



*Anna Siwek*



*Powiedz, że mnie  
kochasz*

**RODZICOM**

TTLR

## *Rozdział 1*

### *Miłość niejedno ma imię*

To był bardzo udany wieczór, pomyślała z satysfakcją pani Nina, zamykając drzwi za ostatnią parą gości. Zakończona właśnie impreza towarzyska z okazji wprowadzenia się do nowego dwustumetrowego apartamentu w cichym zakątku Warszawy dawała jej uzasadnione podstawy do dobrego samopoczucia. Goście bawili się świetnie, tryskali humorem, co chwilę powietrze przeszywały wybuchy salw śmiechu, prowadzone rozmowy były ciekawe, utrzymane w lekkim tonie, odpowiednim do okazji. Towarzystwo pochłonęło prawie wszystkie pieczołowicie przygotowane zakąski, wiele butelek wina i innych alkoholi.

Właściwie tę uroczystość powinno się nazwać „parapetową”, ale określenie to zupełnie nie pasowało do minionego wieczoru. Mieszkanie bowiem było urządzone w najdrobniejszych detalach. Parapetów, zastawionych licznymi doniczkami z kwiatami, w ogóle nie było widać, w żadnym pokoju nie brakowało żarówki ani żyrandola, w oknach wisiały zasłony, a na ścianach obrazy. Wszystko było dopasowane do siebie zarówno pod względem koloru, jak i stylu, a każdy szczegół współgrał z całością.

Pani Nina usiadła koło swego męża na wyłożonym poduszkami ratanowym fotelu stojącym na olbrzymim ukwieconym balkonie. Zdjęła buty na wysokich obcasach, oparła stopy na stoliku i wzięła do ręki wysoką szklankę z ginem i tonikiem. Ach, wreszcie mogła się odprężyć i dać odpocząć zmęczonym nogom. Napięcie gdzieś uleciało i ogarnęło ją błogie uczucie spełnienia i samozadowolenia. Wzięła głębszy wdech i poczuła

delikatny zapach jaśminów. Siedzenie na balkonie w upalną czerwcową noc, ze szklaneczką czegoś mocniejszego, jest przyjemnością samą w sobie, pomyślała. Upiła drinka i rozkoszowała się jego finezyjnym smakiem i aromatem. Wspaniały napój, służył królowej angielskiej, która dożyła ponad stu lat, posłuży i mnie. Następnie spojrzała przez uchylone drzwi balkonowe do środka mieszkania i obrzuciła wzrokiem duży pokój. Miękkie światło lamp rzucało trójkątne smugi na pastelowe ściany, czyniąc wnętrze nastrojowym, a nawet lekko tajemniczym. Uśmiechnęła się do siebie; było dokładnie tak, jak chciała. Przez ostatnie dwa lata codziennie zasypiała, mając głowę przepelnioną pomysłami na urządzenie mieszkania, a dni spędzała w sklepach z meblami, kafelkami i lampami. Teraz, kiedy wszystko zostało dopięte na ostatni guzik, ogarnęło ją to miłe i zasłużone uczucie satysfakcji, jakie daje zakończenie każdego życiowego przedsięwzięcia. Projekt „Dom” skończony, westchnęła z odrobiną żalu, ale i ulgi. Będzie mogła chwilę odpocząć i oddać się całkowicie swojej prawdziwej pasji, pomyślała i wypiła cichy toast. Nie była młoda, zbliżała się do sześćdziesiątki, a to wiek, kiedy wreszcie można z odwagą robić to, o czym zawsze się marzyło.

Pan Jan, nieświadomy, a może nawet nieciekawym tego, o czym myśli jego żona, sącył drinka i zgłębiał światowe problemy opisywane w prasie.

– Oczy popsujesz – rzuciła mu przez ramię pani Nina.

– To pójdę do lekarza. Nie mogę się wszystkim przejmować – odparł, nie przerywając czytania.

Ta odpowiedź nie zdziwiła pani Niny. Jan zawsze tak reagował na wszelkie przejawy jej troski. Dawał znać, że usłyszał, ale nie zamierza nic zmieniać. Właściwie przestało jej to już przeszkadzać i nie robiła mu z tego

powodu wymówek. Lata wspólnego pożycia nauczyły ich wzajemnego poszanowania własnych przyzwyczajęń. Ona rano nie mogła obejść się bez kawy, on bez gazety. Ona nie znosiła buraków, on nie pił mleka. Ona lubiła wino białe, on tylko czerwone. A jednak, pomimo wielu różnic, szli razem przez życie już tyle lat... w szczęściu. Kim dla niego była? Żoną? Kochanką? Przyjaciółką? Częścią jego sukcesu? Tak... chyba wszystkim po trochu. Kiedyś wspólnie z nim tworzyła ich firmę, Metalex, ale potem Jan chciał, aby zrezygnowała z pracy i zajęła się domem. Nie chodziło mu bynajmniej o ugotowany obiad i uprasowane koszule. To mogła przecież załatwić gosposia. Pani Nina wiedziała, że Jan pragnął, aby dom był domem, a nie przedłużeniem biura. Zrozumiała i zrezygnowała. Chciała urodzić dziecko, ale jej marzenie nigdy się nie spełniło. Byli bezdzietni.

Pomyślała o innych parach, które odwiedziły ich tego wieczoru. Co ich łączyło? Przywiązanie? Poczucie obowiązku? Wzajemne dopasowanie? A może niedopasowanie? Albo uzupełnianie się? Wiele małżeństw знаła już od bardzo dawna i jej przemyślenia wywołały uśmiezek na twarzy. Grzeszczakowie – oboje lubili na siebie krzyczeć i się kłócić, zawsze mieli inne zdanie na każdy temat. U Jędruszczaków on ciągle coś remontował, ona szyła firanki. Cichoccy rozumieli się bez słów, co oznaczało, że albo Cichocki przytakiwał żonie, albo ona jemu. U Bębenków ona ciągle mówiła, on się prawie nie odzywał. Kwiatkowskich łączyło zamiłowanie do ogrodnictwa i jedzenia. Bączkowie stale się odchudzali i nadmiernie dbali o swój wygląd. Miłość niejedno ma imię... ale przecież wzajemne dopasowanie się to coś zapisane w gwiazdach, co dziś można wyliczyć. Pani Nina uśmiechnęła się. Tak... teraz będzie wreszcie miała czas, aby całkowicie oddać się swojej pasji.

A potem skierowała myśli na młodych ludzi, obecnych u nich w domu tego wieczoru. Części zupełnie nie znała, byli to stosunkowo nowi pracownicy Metaleksu, przyjęci do pracy, kiedy ona już odeszła z firmy. Wiedziała, że traktowali imprezę jak służbowy obowiązek, ale miała nadzieję, że jeden z tych przyjemniejszych.

– Janku, a kto to był ten przystojny człowiek, co tak miło ze mną rozmawiał? On jest nowy? Nie pamiętam go.

– To Hubert – rzucił pan Jan, nie podnosząc głowy znad gazety.

– Hubert? Ale co za Hubert? Ma żonę?

– Nie, nie sędzę. Gdyby miał, to chyba by z nią przyszedł. W zaproszeniu napisano jasno, że z osobami towarzyszącymi.

– Jak to możliwe, że jeszcze żadna go nie upolowała? Taki przystojny! Pan Kowalski podniósł głowę i spojrzał na panią Ninę.

– To bardzo zdolny chłopak. Chłodny, analityczny umysł i potrafi szybko liczyć. Bączek zrobił go kierownikiem zespołu. – Pochylił się nad gazetą i już chciał wrócić do przerwanego artykułu, ale pod wpływem jakiegoś impulsu dodał: – Roboty tam przybywa, chyba będziemy musieli przyjąć dodatkową osobę. Kogoś, kto ogarnie całą dokumentację. Huberta szkoda do papierkowej roboty.

– Ach, tak. – Pani Nina westchnęła, przypatrując się mężowi badawczo.

Pan Jan nie zwrócił najmniejszej uwagi na jej spojrzenie, wrócił do przerwanego artykułu i doczytał go do końca. Potem złożył gazetę, wstał i zakomunikował, że idzie się położyć. A ona dalej siedziała zamyślona, kontemplując zapach jaśminów w powietrzu i powoli sącząc gin z tonikiem. Kiedy mąż znikł w ciemnościach ich sypialni, usiadła przy stole pokrytym

zielonym suknem. Zafrapował ją ten Hubert. Ciekawe, co go czekało? Rozłożyła na stole talię kart i wpatrywała się w nie ze skupioną uwagą.

Karty od zawsze ją pociągały. To od nich zaczęło się jej zainteresowanie wróżbami, a potem astrologią. Dla niej tarot był łącznikiem między światem realnym a tym niewidocznym dla oka, który istnieje, ale tylko od czasu do czasu daje o sobie znać. Tarot pozwalał jej lepiej zrozumieć samą siebie i zobaczyć to, czego nie widać. Wiedziała, że natura wyposażyła ją w dar czytania z małych obrazków rozłożonych na stole, które tylko pozornie układały się w przypadkowe kombinacje. Bo przecież w życiu nie ma przypadków. Wszystko ma swój sens i przyczynę, tylko nie zawsze jest ona nam znana.

Kiedy Jan dowiedział się o kursie tarota, wyśmiał żonę. Ba, nawet zakazał o tym mówić. Jego racjonalny umysł nie dopuszczał istnienia innego wymiaru niż ten namacalny i wymierny. Dla niego wróżby to były głupie przesady, niegodne zainteresowania inteligentnych ludzi. Pierwsze kursy tarota pani Nina zrobiła, mówiąc mężowi, że idzie na brydża do koleżanki. Ale teraz... teraz nie będzie się ukrywać. Od jutra przystąpi do tworzenia swojego własnego gabinetu, w którym będzie stawiać karty, wróżyć i układać horoskopy. Nie da sobie odebrać tego jedyne go kawałka życiowego tortu, którego nie poświęciła mężowi.

Pochyliła się nad kartami rozłożonymi na stole i zmarszczyła czoło. Co to miało znaczyć? Wysoki brunet poznany przypadkiem... dużo chmur, przeciwności losu Zasepiła się. Nagle doznała uczucia, że karty krzyczały wręcz do niej, aby mu pomogła! Ona? Ale jak? Co to znaczy? Dostała już pierwszy sygnał... Czy to możliwe? Kiedy? Jedna myśl goniła drugą, w głowie pani Niny kłębiły się domysły. Ale rozwiązanie nie przychodziło.

Zrozumiała, że jeszcze za wcześnie. Musi poczekać i mieć oczy szeroko otwarte. Jeśli może mu pomóc, to z pewnością to zrobi. Czyż nie po to właśnie jest tarot? Złożyła talię kart i uspokojona poszła spać.

TTLR



## *Rozdział 2*

### *Motylem jestem*

Martyna wbiegała po schodach obdrapanej klatki schodowej na trzecie piętro, przeskakując po trzy stopnie naraz. Jej ciało, od palców stóp po czubek głowy, wypełniała niczym nie zmacona radość i czuła w sobie taki przyływ energii, że chętnie pokonywałaby nawet cztery schodki w jednym skoku, gdyby tylko pozwoliła jej na to długość kończyn dolnych. Chciało jej się tańczyć i śpiewać i z pewnością unosiłaby się w powietrzu jak motylek, gdyby nie przyziemna i mało romantyczna siła grawitacji, która powoduje, że nawet chwilowe zapomnienie o jej istnieniu grozi nabiciem sobie guza. Biegła więc tylko co sił w nogach, z radosnym biciem serca i entuzjastycznym obłędem w oczach. Twarz rozjaśniał jej promienny uśmiech płynący z głębi duszy, który powoduje, że od razu wyglądamy lepiej, pomimo nieprzespanej nocy, tłustych włosów i braku makijażu. Przybrudzona klatka schodowa zmieniła się w połyskujący srebrem korytarz do nieba, a sprayowe bazgrały miejscowych chuliganów dziś wydawały się przejawem prawdziwej sztuki. Bo tego popołudnia cały świat był tylko i wyłącznie piękny.

Zdyszana stanęła przed drzwiami mieszkania na trzecim piętrze i energicznie przycisnęła dzwonek. Cieszyła się, że zaraz zobaczy mamę i babcię i wszystko im opowie. Drzwi się uchyliły i Martyna niczym burza wtargnęła do środka.

– Mamo! Babciu! Dostałam pracę! Przyjęli mnie! Przyjęli! Słyszycie!

Rzuciła się z pasją małego tygrysa na stojącą w przedpokoju kobietę w średnim wieku i zaczęła ją ścisnąć i obracać tak, że o mało obie się nie wywróciły.

– Ach! Mamo, tak się cieszę! Nie masz pojęcia! – Martyna krzyczała jej prosto w ucho.

– To cudownie! Po prostu cudownie! Ale zaraz mnie udusisz i ogłuchnę! – Pani Renata starała się delikatnie uwolnić z uścisku ukochanej córeczki.

Martyna jednak, nie przejmując się niewygodą rodzicielki, dalej tańczyła w przedpokoju swój taniec radości, kręcąc się w prawo i w lewo. Przy okazji swych dziarskich podskoków ściągnęła wyświechtany chodniczek, który dużo przeżył, ale dawno nie pamiętał takiej eksplozji radości. Ku uldze pani Renaty Martyna po chwili przerzuciła swoje rozszalałe emocje na babcię, która właśnie pojawiła się na horyzoncie, czyli w drzwiach kuchennych. Pani Pelagia, chociaż kochała wnuczkę ponad życie, potrafiła utrzymać ją w ryzach i nie pozwoliła pogruchotać sobie kości.

– Martynko, miej litość dla starych gnatów – upomniała ją bardziej stanowczo. Pozwoliła się jednak przytulić i z całą siłą siedemdziesięciu paru lat doświadczeń życiowych odwzajemniła uścisk.

– No, moja panno, teraz jesteś już naprawdę dorosła!

– Babciu, już dawno jestem dorosła! – powiedziała Martyna z lekko wyczuwalną irytacją w głosie.

– Ale teraz, kiedy masz pracę...

W tym momencie pani Renata poczuła, że oczy jej wilgotnieją, a po policzkach zaczynają płynąć łzy. Starła się zetrzeć je wierzchem dłoni i ukryć wzruszenie, ale nie udało się.

– Mamo, no co ty... płaczesz... przestań!– skarciła ją Martyna.

– Ach, to ze szczęścia, córuniu. Prawdziwego szczęścia. Bo te studia, tyle wysiłku, a teraz tak trudno o pracę...

– Przecież było wiadomo, że gdzieś mnie w końcu przyjmą. – A potem dodała z błyskiem w oku: – Stwierdzili, że z takimi wynikami na dyplomie stanę się cennym pracownikiem i wiążą ze mną wielkie nadzieje. W ogóle jestem super.

– Wreszcie ktoś się na tobie poznał, drogie dziecko!

Babcia, podobnie jak mama, miała łzy w oczach i były to niewątpliwie łzy szczęścia, lekko tylko zabarwione smutkiem, że ich Martynka z małej dziewczynki przeistoczyła się w niezależną, młodą kobietę, zdolną się samodzielnie utrzymać. Babcia przyłożyła do oczu koronkową chusteczkę, którą zawsze nosiła przy sobie, i patrzyła w zachwycie na skaczącą po przedpokoju niczym mały psiak wnuczkę, która już małym psiakiem przestała być dawno. Ach, ich kochana Martynka... taka szczupła... I zaraz przypomniała sobie o rzeczach bardziej konkretnych.

– Zjesz coś?

– Tak, babciu, jestem głodna jak wilk! Ale najpierw muszę zadzwonić do Sandry i Zosi.

Po tych wylewnych uściskach i westchnieniach Martyna odpłynęła do swojego pokoju, zostawiając wzruszoną mamę i babcię. Obie wycofały się do kuchni, aby przyrządzić naleśniki, bo bez pytania było wiadomo, że ich ukochana panna zażyczy sobie naleśniki z dżemem truskawkowym i zupę ogórkową. Jej ulubione dania.

W pokoju Martyna rzuciła na tapczan torebkę i zaczęła w niej szukać komórki. Kodeks koleżeński nakazywał, by pochwalić się taką

wiadomością, jaką jest dostanie pierwszej pracy, najszybciej, jak to możliwe. Mogłaby zalogować się na Facebooku, ale uznała, że lepiej zadzwonić. Po chwili świergotała do słuchawki:

– Sandra? – Tak...

– Przyjęli mnie!

Usłyszała po drugiej stronie, jak jej koleżanka przesuwa jakieś papiery, a potem odzywa się przyciszonym głosem:

– Martyna, to super, po prostu super! Nie bardzo mogę z tobą teraz rozmawiać, jestem w pracy. Zadzwoń później.

I szybko się rozłączyła. Martyna szybko wybrała numer drugiej przyjaciółki.

– Zosia! – Tak. – Mam pracę!

– To super! Musimy to opić! Bardzo się cieszę. – Koleżanka wykazała większą dawkę entuzjazmu, pomimo że również była w pracy.

– Dobra, na Starym Mieście, pod Kolumną Zygmunta, o osiemnastej.

– Postaram się zdążyć. Mam nadzieję, że nic mnie tu nie zatrzyma. Wiesz, mam dzisiaj urwanie głowy, ale spróbuję się wyrobić.

– No to hej.

Pięć minut później Martyna siedziała przy stole kuchennym i zdawała szczegółową relację z całej ceremonii przyjęcia do pracy. Mama i babcia słuchały uważnie, aby nic nie uronić. Martyna przetykała zupełnie gorącą jak jej emocje i mówiła:

– Zostałam zatrudniona na stanowisku młodszego handlowca w zespole zajmującym się handlem metalami kolorowymi i stalą.

Babcia spojrzała na nią niepewnym wzrokiem.

– Stalą?

– Stałą – potwierdziła Martyna.  
– Ale, dziecko, ty nie masz pojęcia o stali!  
– To się naucz! – wtrąciła pani Renata stanowczym tonem.  
– A nie było czegoś ciekawszego?  
– Widocznie nie było, niech mama słucha.  
– Faktycznie, niewiele wiem o stali i metalach kolorowych, ale się nauczę.

– Boże, najważniejsze, że ma pracę! I to dobrą pracę. I nieźle płatną – włączyła się znów pani Renata, lekko zniecierpliwiona przerywaniem opowieści przez babcię.

– Rzeczywiście, to najważniejsze... – przyznała zgodnie pani Pelagia.  
– A biuro ładne?

– Tak. Dużo szkła i metalu, sterylnie czysto. Komputery i kable. Nowocześnie i... funkcjonalnie. – Martyna rozejrzała się po kuchni – No bo... u nas to tak... eklektycznie...

–Jak? – zapytała babcia.

– No... zbieranina taka.

– Martynko, a czy ja mam pieniądze? – zapytała trochę urażona pani Renata, odwracając głowę znad oparów unoszących się z patelni.

– Mamo, ty wszystko sprowadzasz do pieniędzy.

–Jak masz rentę z emeryturą na życie, to styl jest pojęciem mocno abstrakcyjnym i może być tylko... oszczędny. Bez pieniędzy to w życiu trudno... uwierz mi. Chociaż, co też ja mówię, obyś się nie przekonała.

Martyna umilkła, bo zdawała sobie doskonale sprawę, że styl, w jakim pani Renata urządziła mieszkanie, był de facto stylem wymuszonym przez

życie. Takim, na jaki to pozwalała nauczycielska pensja mamy i emerytura babci.

Martyna obawiała się, że zaraz nastąpi tyrada na temat niełatwego losu, jaki życie zgotowało pani Renacie. Znała na pamięć powtarzane przez lata żale i narzekania i wcale nie miała ochoty słuchać ich po raz kolejny.

Życie jej mamy faktycznie nie było usłane różami. Mąż pani Renaty zmarł, gdy Martyna miała sześć lat. Pani Renata, chcąc związać koniec z końcem, sprowadziła do siebie owdowiałą matkę, aby pomogła w wychowaniu córki i płaceniu rachunków. Babcia wprowadziła się do nich wraz z kolekcją rodzinnych pamiątek, cudem uratowanych z majątku ojca i matki. Wśród nich była przedwojenna szafa i komoda, które pasowały do reszty wyposażenia mieszkania niczym duch Brunhildy do bloku z wielkiej płyty. Babcia z uporem twierdziła, że jest do nich przywiązana, i za nic na świecie nie pozwoliła wystawić ich na śmietnik. Wraz z tanimi meblościankami z lat sześćdziesiątych, które kupili kiedyś rodzice Martyny, umeblowanie lokalu na trzecim piętrze stanowiło więc kuriozalny melanż. Regały ze sklejki wyglądały na jeszcze bardziej tandetne, a stare meble przypominały bardziej rupiecie rodem z lamusa niż zabytkowe antyki.

Do pokoju Martyny została wstawiona stara komoda, która niestety nigdzie indziej się nie mieściła. Martyna jej nie znosiła, ale nic nie mogła zrobić. Codziennie słyszała od babci, że to wartościowy mebel, i mogła jedynie marzyć, że w przyszłości będzie miała swój własny dom lub chociaż mieszkanie, które urządzi tak, jak będzie chciała. Czyli nowocześnie, przestronnie, bez zagraćania kątów i robienia z domu muzeum. Uwielbiała oglądać magazyny z wystrojami pięknych wnętrz i skrycie fantazjowała, że kiedyś nastanie taki dzień, że nie będzie musiała się liczyć się z każdym

groszem, wstydzić skromnie urządzonej łazienki i codziennie walczyć z szufladkami w znieawidzonej komodzie, które nie chciały się otwierać. Będzie zapraszać kolegów i koleżanki i urządzać imprezy. Ale na razie... to wszystko pozostawało w sferze marzeń.

– Mamo, ale ja wcale nie krytykuję, tylko mówię... – zaczęła Martyna, chcąc przywrócić pogodny nastrój przy stole.

– No to nie mów, bo mnie to denerwuje.

– No dobrze, już dobrze. Mam nadzieję, że jak wreszcie zacznę zarabiać godziwe pieniądze, to nas stąd przeprowadzę do jakiegoś ładniejszego mieszkania w nowym bloku z windą. I w ogóle zaczną się lepsze czasy.

– Lepiej męża sobie znajdź, a nie myśl o nas – wtrąciła babcia.

– Mamo! Przestań z tym mężem! Przecież ona nie poszła do pracy, żeby męża sobie znaleźć! Teraz nowe czasy, dziewczyny nie lecą do ołtarza na byle gwizdek – przygasiła babcie pani Renata.

– Zauważyłam. Ale przydałby się jakiś chłop w tym naszym babińcu...

– Tutaj?! No babci to już chyba nie... – Pani Renata spojrzała z wyrzutem na swoją matkę i postawiła na stole talerz z jedzeniem.

Trzypokoleniowa rodzina zajęła się pochłanianiem pachnących naleśników z dżemem, które stanowiły osłodę ich życia w sensie przenośnym i dosłownym. Konsumpcyjna cisza nie trwała jednak długo, bo trzy kobiety nie umiały siedzieć obok siebie w milczeniu. Po chwili pani Renata upomniała córkę, że łokci się na stole nie trzyma, na co Martynka musiała jej odpowiedzieć, że nie trzyma. Odczekała parę minut, aby pokazać swoje niezadowolenie z poczynionej uwagi, po czym postanowiła puścić w niepamięć mały rodzinny zgrzyt i kontynuować relację z przyjęcia do pracy,



na co miała wielką, ochotę. Sprawa była zbyt ważna, aby nie opowiedzieć jej do końca.

– Och, mamó! Czuję, że dziś świat należy do mnie. Najważniejsze, że mnie w końcu gdzieś przyjęli. I stamtąd można wyjeżdżać w delegacje. Zwiedzę świat... – rozmarzyła się Martyna, kończąc swoją opowieść.

– Najpierw niech ci zapłacą – przytomnie zauważyła pani Renata.

– Właśnie... to dopiero za miesiąc... Muszę pożyczyć trochę pieniędzy... chciałam iść z Sandrą i Zosią na Stare Miasto. Mamó... pożyczylabyś parę dyszek?

Pani Renata rzuciła jej wymowne spojrzenie, ale Martynka wiedziała, że zaraz zmięknie i zapyta ile. A potem bez gadania wyciągnie portmonetkę i poda jej szeleszczący banknocik. Bo przecież, w gruncie rzeczy, mama była kochana. I babcia też.

Parę minut po osiemnastej Martyna, Zosia i Sandra zasiadły w kawiarni na Rynku Starego Miasta, zamówiły tanie wino i ciastka, co i tak było szczytem rozrzutności ze strony Martyny. Wiedziała, że może liczyć na wyrozumiałość koleżanek, i obiecała, że jak tylko dostanie pierwszą wypłatę, to postawi coś porządnego. Ale dziś... no właśnie... dziś były ważniejsze sprawy do omówienia. Poczowała wpatrzone w nią rozpalone oczy koleżanek.

– Widziałaś swojego szefa? – zaczęła Zosia, nawijając na palce kosmyk jasnych poskręcanych włosów.

Martyna zrobiła odpowiednio tajemniczą minę i spojrzała na koleżanki.

– Tak, ale tylko przez chwilę.

– I co? – chórem zapytały Zosia i Sandra.



– Dziewczyny, mówię wam... ciacho, po prostu ciacho. Siedziałam w gabinecie dyrektora, który przyjmował mnie do pracy, i w pewnym momencie wszedł do pokoju taki przystojny facet, że aż mnie zamurowało. Dyrektor przedstawił go i powiedział, że od poniedziałku będę z nim pracować. Ledwo z krzesła wstałam. Nogi miałam jak z waty. On jest... zjawiskowy.

– To znaczy...? Jaki? – dociekała Sandra.

– Wysoki, szczupły, ciemne włosy.

Ciekawość płonąca w spojrzeniach obu koleżanek osiągnęła temperaturę mogącą bez trudu stopić przęsła mostu Poniatowskiego, ale po co robić tyle szkody w stolicy. Patrzyły więc tylko w maślane oczy Martyny i całą energię skierowały na wyobrażanie sobie przystojnego bruneta za biurkiem. Sandra jak zwykle pierwsza ocknęła się z tego stanu błogości, bo nagle zauważyła, że jej ideał różnił się nieco od opisu Martyny.

– Wolę blondynów, wzbudzają więcej zaufania.

– Sandra, my to wiemy, że kochasz się w Bradzie Pitcie, ale on jest zajęty. Już od dawna – zachnęła się Zosia.

– A okulary nosi? – zapytała Sandra

–Kto?

– Wiadomo, że nie Brad Pitt, tylko ten twój nowy szef.

– Nie zauważyłam.

– A żonaty?

– Nie wiem, nie pytałam.

– To lepiej się dowiedz.

– Dowiem się w poniedziałek, nie mogłam od razu pytać. Pomyśleliby, że idę tam złapać męża.

Zosia i Sandra spojrzały oburzone na Martynę.

– No jasne, że nie po to! – krzyknęły obie.

Siedzące przy stoliku dziewczęce trio, uważające siebie za młode pokolenie feministek, kobiet wyzwolonych i samowystarczalnych, miało dosyć jasno określone poglądy na temat płci przeciwnej. Ogólnie rzecz biorąc, faceci byli dziecinni, niedojrzali, nie potrafili wyrwać się spod skrzydeł swoich matek i jeżeli już myśleli samodzielnie, to tylko o tym enigmatycznym „jednym”, ewentualnie jeszcze o sporcie, technice i grach komputerowych. Generalnie niewielu z nich do czegoś się nadawało. Byli fajnymi kolegami, ale poza tym nic więcej. Na szczęście dla rozwoju rodzaju ludzkiego dziewczyny dopuszczały istnienie wyjątków.

– Najważniejsze, żeby nie był upierdliwy – zaczęła zazdrośnie Zosia.

– Bo mój szef to przyczepia się do byle czego. A jak do mnie coś mówi, to tylko: „Zosiu, czy wysłałaś?” albo „Zosiu, czy zrobiłaś?”. Jest żonaty, ale nie wiem, jak ta kobieta z nim wytrzymuje. To typ perfekcyjnego pedancika. Nie do zniesienia. Czasami, jak jest w dobrym humorze, to opowiada mi, jak jego żona wspaniale gotuje. Podobno najlepiej żeberka w sosie słodko—kwaśnym.

– Zrobił z niej kucharkę?

– Sama z siebie zrobiła. Przez żołądek do serca. Stara prawda ludowa.

– To on lubi chińszczyznę?

– Aż tak głęboko mi się nie zwierzał. Ale zawsze przy tym podciąga sobie spodnie z takim samozadowoleniem – tu nastąpiła demonstracja uzupełniona odpowiednią mimiką – jakby uwielbiał jeść.

– Gruby jest?

– Trochę.

– Może to taki... no wiesz, gryps – zasugerowała Sandra.

– Jaki znowu gryps? Co ty wymyślasz? To nie więzienie.

– Zośka, co z tobą! Przecież Sandrze chodzi o udany przepis na... seks.

Dziewczyny parsknęły śmiechem. – A co mają żeberka do seksu? – zapytała z powagą Zosia. – Nie widzę związku.

– Może to taki wstęp... wiesz...

– Zośka, weź koniecznie przepis, może nam się przydać w przyszłości.

– Żeberka z seksem, poproszę... w sosie słodko-kwaśnym. – Sandra chichotała.

– Boże, wam to wszystko się z jednym kojarzy... To brzmi zbyt prozaicznie. Gdyby na przykład szampan, ostrygi, kolacja przy świecach... ale żeberka... to mało romantyczne – upierała się przy swoim Zosia.

– Mój szef jest w zasadzie w porządku. Tylko urodził się niespecjalnie atrakcyjny. Niski, gruby, nadrabia ubiorem. Rzeczywiście, facet ma gust. Poza tym lubię go, bo jak coś mówi, to tak jest, a jak mnie opieprza, to wiem za co.

– Mam nadzieję, że ten mój też będzie w porządku. Bo czy taki przystojny facet może być upierdliwy? – Rozmarzyła się znów Martynka. – To niemożliwe – stwierdziła z pewnością przebijającą z tonu głosu.

– O kurczę, wzięło cię! Poczekaj, zobacz, jaki ma charakter. – Zosia spoważniała.

– Przecież się nie zakochałam – odpowiedziała nieco urażona Martyna.  
– Nawet go nie znam. Ale... przystojny jest... – Znów ogarnęło ją przyjemne uczucie rozmarzenia. – Będzie chociaż na co popatrzeć... Zwłaszcza że mam siedzieć z nim w pokoju...

Zosia i Sandra spojrzały zazdrośnie na Martynę i wróciły do opychania się słodkimi ciastkami. Bo słodczy w życiu nigdy za dużo.

TTLR

## *Rozdział 3*

### *Widok z drugiej strony*

Hubert siedział rozparty na fotelu w gabinecie dyrektora Bączka i tępo patrzył na ścienny zegar, którego wskazówki zbliżały się do siedemnastej. Zastanawiał się, czy jego szef specjalnie czekał do końca dnia z zakomunikowaniem mu tej wiadomości. Z pewnością musiał się spodziewać, że Hubert będzie wściekły, i nie pomylił się. Hubert był wyraźnie niezadowolony i postanowił tego nie ukrywać. Siedział z zaciśniętymi ustami, ze wzrokiem wbitym w ścianę i słuchał z kamienną twarzą wywodów swojego przełożonego. Obiecał, że załatwi tę posadę Norbertowi, a tu taka wpadka. W dodatku Bączek nawet nie zapytał go o zdanie! Wpychał mu na siłę do jego zespołu jakąś dziewczuchę, a przecież on jako świeżo upieczony kierownik powinien mieć wpływ na obsadę stanowisk, myślał rozżalony. Czuł jak ogarnia go wściekłość, a rozgoryczenie kipi w nim coraz bardziej, gotowe lada moment wybuchnąć jak wulkan.

– Szefie, czy mam rozumieć, że dostanę tę panienkę, tę... – Spojrzał za okno w poszukiwaniu w obłokach inspiracji słownej, ale nie znalazł właściwego określenia, musiał więc zadowolić się wariantem opisowym. – Tę blondynkę, co tu siedziała u pana przez pół godziny? I to do mojego pokoju?! Przecież ja potrzebuję kogoś do pracy! Kogoś, kto zna robotę, umie obrabiać kontrakty! Ja nie mam czasu na wychowywanie jakiejś... mizdrzącej się małolaty zaraz po studiach!

Pomyślał, że gdyby chciał wychowywać młodych ludzi, to zatrudniłby się w szkole, a nie w firmie handlującej metalami, ale tę informację zachował dla siebie. Bo chociaż bardzo szanował dyrektora Bączka za to, że można mu było otwarcie, bez owijania w bawełnę powiedzieć, co się myśli, to jednak pewne granice obowiązywały. Szczególnie jeśli nadal miał tu pracować. Dyrektor Bączek musiał domyślać się temperatury i zabarwienia uczuć Huberta, bo powiedział:

– Wyluzuj się. To bardzo fajna, młoda dziewczyna. Spójrz na jej CV. Angielski, niemiecki, studia w SGH z bardzo dobrymi wynikami. Jest ambitna, pracowita i zdolna. Za chwilę mi podziękujesz, że ją przyjąłem. I wygląda też niczego sobie, naprawdę atrakcyjna. Widziałeś ją przecież. Na pewno się dogadacie. Przyda się w twoim zespole ktoś ze świeżą krwią, młodą krwią. Na dodatek dziewczęcą. To trochę złagodzi obyczaje. Zresztą, decyzja podjęta. I nie bądź do niej uprzedzony. Ona jest jeszcze taka młoda... – Zrobił stosowną przerwę i dodał jak zwykle na zakończenie: – Uważam sprawę za zamkniętą.

Hubert wiedział, że to ostatnie zdanie oznacza: „Proszę wyjść, mam cię dosyć”. Wstał bez słowa z fotela i skierował się w stronę drzwi. W tym momencie Bączek podniósł na niego wzrok i dorzucił:

– Wiem, że chciałeś Norberta, ale dyrektor Kowalski się nie zgodził.

Hubert pokiwał tylko głową, dając do zrozumienia, że informacje przyjął, i opuścił gabinet.

Na korytarzu nie było nikogo. Zacisnął usta i z chmurnym czołem skierował się do swojego pokoju. Przekleństwa same cisnęły mu się na usta, a w głowie roiło się od najgorszych myśli. Właśnie teraz, kiedy wydawało się, że zyskał trochę władzy i samodzielności, wsadzają mu do pokoju jakąś

zieloną gąskę. E tam... gąskę. Konia trojańskiego przebranego za blondynkę. Nic, tylko się upić. I co to niby znaczyło: „Ze świeżą, młodą krwią“?, zaczął się zastanawiać. Czyżby ktoś uważał go za staruszka dinozaura? Szefer był tak zachwycony tą pannicą, że... to na pewno czyjaś protegowana! No to masz, babo, placek. Trzeba będzie uważać, co się mówi. Pilnować się na każdym kroku, przy każdym słowie... Chyba zwariuje! Ale jeśli protegowana, to czyja? Bączka czy też może kogoś wyżej? Na przykład dyrektora Kowalskiego? Pewnie ktoś z rodziny. Jakaś kuzynka teściowej, no bo chyba nie kochanka... Nie wyglądała, chociaż nigdy nic nie wiadomo. Młodość potrafi uderzyć do głowy nie tylko niedojrzałym emocjonalnie nastolatkom, ale i starszym mężczyznom po czterdziestce. Tylko że Kowalski... nie wygląda na takiego, któremu chciałoby się zabiegać o kochankę. Poza tym brzydzi się łapówkami i załatwianiem pod stolikiem. Taka przynajmniej panuje o nim opinia. Ma tyle pieniędzy, że stać go na takie poglądy. Pewnie więc to sprawka Bączka... Raczej ktoś z rodziny albo znajomych. Tak... wtedy wszystko by się zgadzało. Stary wyga nie puścił pary z gęby na ten temat. Zamydlił mu oczy jakimiś dyplomami i świetnymi wynikami na studiach, ale przecież cała ta gadka była tylko po to, żeby odwrócić jego uwagę i nadać sprawie pozory zupełnej neutralności. Do diabła!, zaklął w duchu. Jak nic będzie na niego donosiła! Cholera! A... postanowił się nie przejmować. Co tam. Będzie taki, jak zawsze. Albo gorszy. Bączek na pewno go nie zwolni, przecież jest za dobry. Pannica prawdopodobnie okaże się do niczego, bo tak to zazwyczaj jest z tymi polecanymi prymuskami... Jej wygląd zastraszonego dziecka też nie wróżył nic dobrego. Po miesiącu jakoś delikatnie będzie musiał dać Bączkowi do zrozumienia, żeby poszukał dla

niej innej ciepłej posadki. Potem ściągnie Norberta i wszystko będzie tak, jak chciał.

Usiadł w obrotowym fotelu w swoim pokoju i postanowił jeszcze chwilę nacieszyć się samotnością. Od poniedziałku wszystko się zmieni, pomyślał z żalem. Będzie tu siedziała jakaś głupio uśmiechająca się dziewczuszka. Wyjął papierosa i z lubością zaciągnął się dymem. Poczuł, jak nikotyna przenika do płuc, i zrobiło mu się rozkosznie dobrze. Pewnie ta nowa zabroni mu palić w pokoju. Bo takie są teraz przepisy ochrony pracowników przed rakiem i czymś tam jeszcze. Jako palacz czuł, że te restrykcje bardziej uderzają w jego wolność osobistą, niż go przed czymś chronią, ale do tej pory mógł zakazu nie przestrzegać, bo w pokoju siedział sam. Od poniedziałku będzie musiał wychodzić do palarni, która znajdowała się piętro niżej, a to oznaczało latanie po schodach. A co on jest ? Helikopter? Jeszcze raz szpetnie zaklął w duchu. Przecież nie miał czasu na skakanie jak zając po klatce schodowej. Będzie palił w pokoju, postanowił. To jego prawo kierownika. Nikt mu tu nie będzie podskakiwał. Najwyżej otworzy okno. Tego chyba żadne przepisy nie zabraniają. Nawet przeciwpożarowe.

Usiłował przywołać myślami wizerunek dziewczyny. Widział ją tylko przez chwilę i było zbyt mało czasu, aby dobrze się jej przyjrzeć. Pamiętał, że miała blond włosy, ani długie, ani krótkie. Pewnie wszystko inne też ma mocno nijakie, pomyślał poirytowany. Nie wierzył, że dziewczyny mogą być dobre w pracy. A już na pewno nie w tej branży. To zbyt męska działka. Nie dla kobiet. Zresztą, skoro taka młoda, to pewnie zaraz wyjdzie za mąż i pójdzie na macierzyński. I nawet jeśli ją do czegoś przyuczy, to całą pracę szlag trafi. Wyjątkiem była pani Gosia. Ale ona pracowała w firmie ponad



dwadzieścia lat i nigdy nie zdarzyło mu się myśleć o niej jak o kobiecie. Dla niego była niezniszczalną biurwą. Tylko i wyłącznie.

Zaskrzypiały otwierane drzwi i stanęła w nich właśnie pani Gosia, jakby przywołana myślami swojego szefa. Jej telepatyczna zdolność do pojawiania się tam, gdzie akurat coś się działo, była ogólnie znana i już nikogo nie dziwiła.

– Mogę wejść?

– Tak – oparł niechętnie Hubert.

– Mam papiery do podpisu.

Mężczyzna bez słowa wziął od niej plik faktur.

– A co ty taki smutny? – zapytała z troską w głosie, jakby był jej synem.

– Wcale nie jestem smutny. – Poirytowany wycedził przez zęby i posłał kobiecie sztuczny uśmiech. – Jestem zadowolony, bo od poniedziałku będziemy mieli nową koleżankę.

– O! – wykrzyknęła pani Gosia z udawanym zdziwieniem w głosie. – Sympatyczna?

– Nie wiem.

– Widziałeś ją?

– Tylko przez chwilę

– I jest na co popatrzeć?

Hubert spojrzał pytającym wzrokiem na panią Gosię.

– Co ma pani na myśli?

– No... czy ładna... Nie rozumiesz? – zapytała wymownie.

– Nie, pani Gosiu, nie rozumiem.

– Szefie, mnie jako kobiecie chodzi tylko o jedno.

- To znaczy o co? –Jak była ubrana!
- Nie wiem. Nie zwróciłem uwagi.
- A na co zwróciłeś uwagę?
- W ogóle na nic nie zwróciłem uwagi.
- Żartujesz?
- Nie, nie żartuję.

Pani Gosia chciała poprosić, aby się nie wygłupiał, bo chyba zostało w nim coś z mężczyzny, który zwraca uwagę na wdzięki płci przeciwnej, i z pewnością by to powiedziała, gdyby nie fakt, że Hubert od niedawna był nie tylko jej kolegą z pracy, ale również przełożonym. Popatrzyła na niego ze współczuciem i pokiwała głową z rezygnacją. Jej obserwacje na temat biurowych zachowań tylko się potwierdzały. Władza zmieniała ludzi w bezduszne roboty widzące tylko własne interesy i Hubert nie był wyjątkiem. Przypuszczała, że jego niezadowolenie wynikało z faktu, że chciał, aby do zespołu przyjęto Norberta, a tu góra wciskała mu jakąś nieznaną pannę. Kompletnie nową, o której nikt nic nie wiedział. Właściwie każdy by się zdenerwował... Ale żeby aż tak to manifestować... Mężczyźni są przewrażliwieni na swoim punkcie, pomyślała.

Tymczasem Hubert zastanawiał się, czy może jakoś delikatnie pozbyć się pani Gosi z pokoju. Chciał mieć trochę świętego spokoju i opanować targającą nim wściekłość, tudzież inne uczucia. Niestety, pani Gosia wcale nie miała zamiaru wyjść. Szybko zmieniła temat, by móc zostać jeszcze przez pięć minut i dowiedzieć się czegoś więcej o Martynie.

- Jak będzie ta nowa, to czy nadal będziesz palił w pokoju?
- Niech pani otworzy okno, jak pani przeszkadza.

– No, to otworzę i sama sobie zapalę. Jeśli, oczywiście, nie masz nic przeciwko.

Uchyliła okno i rozsiadła się w obrotowym fotelu naprzeciw Huberta. Sięgnęła do paczki, wyjęła papierosa, przypaliła i zaciągnęła się. Po czym wyczekująco spojrzała na swojego szefa.

– To nic więcej nie powiesz?

– Pani Gosiu, nic więcej nie wiem.

– Zaskoczę cię... widziałam ją. W przelocie, na korytarzu. Jest bardzo młoda i bardzo ładna. Ma dużo wdzięku. To dziś rzadkość! I jaka wykształcona! Pani Marta z kadr mówiła, że ma świetne stopnie na dyplomie, same piątki z języków i chyba jeszcze jakieś wyróżnienia. Czyli ambitna. .. tylko doktoratu jej brakuje, ale na pewno z czasem zrobi. No i MBA. Ale poza tym... nic nie wiem. – Zrobiła krótką przerwę i błagalnie spojrzała w stronę Huberta. – No, powiedz coś więcej, Hubert! Proszę. I co mówił Bączek? Umieram z ciekawości.

W tym momencie Hubertowi zaświtała w głowie pewna myśl. Otóż zdał sobie sprawę, że jedyną osobą, która mogła się dowiedzieć, czyją protegowaną jest Martyna, była właśnie pani Gosia. Jego najstarsza stażem i wiekiem pracownica znała wszystkich zatrudnionych w Metaleksie, i to nie tylko z imienia i nazwiska. Wiedziała, jakie mają przyzwyczajenia, kogo lubią, a kogo nie, czy mają dzieci, gdzie pracowali wcześniej i z kim się przyjaźnią. Uważała, że zainteresowanie drugim człowiekiem jest sprawą zupełnie naturalną, odróżniającą nas od robotów, i nie kryła się ze swoimi poglądami w tej kwestii. Poza tym szerokie znajomości zapewniały wielopłaszczyznowy punkt widzenia, co pomagało pani Gosi utrzymać się na powierzchni i przepracować w firmie dwadzieścia lat. Ze swoim

wścibstwem i niewyparzonym językiem wszystkiego się dowie, pomyślał uradowany Hubert. Ponadto pani Gosia przyjaźniła się z panią Martą z kadr, która pracowała w firmie od zawsze i wiedziała absolutnie wszystko. Fakt, że musiał wchodzić w jakąkolwiek zażyłość z panią Gosią wzbudzał w nim lekkie przerażenie, ale cel uświęca środki. Zmrużył lekko oczy i nachylił się nad biurkiem w jej stronę.

– Pani Gosiu, pani jest kobietą nieprzebranych możliwości. Niech się więc pani dowie, czy ta nasza nowa koleżanka to czasami nie jest czyjaś protegowana... Dyrektora Bączka albo kogoś innego... To byłaby cenna informacja dla nas wszystkich. Bączek zamydlił mi oczy tymi jej dyplomami i poza tym pary z pyska nie puścił, ale rozumie pani...

Błysk w oczach pani Gosi zastąpił uścisk dłoni i przybicie paktu wzajemnego porozumienia.

– Nie ma sprawy. Możesz na mnie liczyć.

Hubert pomyślał, że pani Gosia powinna zostać prywatnym detektywem, a nie marnować się w biurze, ale widocznie nie wszyscy wykonują w życiu zajęcia, do których się urodzili.

Po chwili w pokoju Huberta pojawił się Darek, zwabiony długą nieobecnością pani Gosi. Domyślił się, że jest u szefa na naradzie towarzyskiej, bo o czym można dyskutować w piątek o siedemnastej. W biurze, jak i w każdych innych okolicznościach, lepiej było zachować czujność harcerza, sam więc postanowił nadstawić ucha, szczególnie, że Hubert spędził ostatnie pół godziny w gabinecie dyrektora. Z całego zespołu brakowało tylko Pawła, ale wiadomo było, że i on zaraz się pojawi. Faktycznie, po paru minutach otworzył drzwi i z szerokim uśmiechem na ustach wpakował się do środka. Udawał, że papierosowy dym w ogóle mu

nie przeszkadza, bo również był ciekawy, co w trawie piszczy. Hubert przyglądał się swoim pracownikom snującym się po jego pokoju i co chwila kierował wzrok ku niebu za oknem. Gdzieś przeczytał, że niebieski kolor uspokaja, a teraz właśnie spokoju było mu trzeba. W końcu opanował targające nim emocje i przypomniał sobie, że jest kierownikiem i że ma pewne obowiązki z tego tytułu.

– Słuchajcie, właśnie się dowiedziałem od dyrektora Bączka, że od poniedziałku przychodzi do nas nowa koleżanka. Zna angielski i niemiecki, jest po SGH i z tego, co możecie już wywnioskować, jest niesamowicie ambitna. Nic więcej nie wiem na jej temat. Mam nadzieję, że będziecie jej służyć pomocą i okażecie sympatię. Ma chyba dwadzieścia cztery lata. Jest zaraz po studiach. Widziałem ją zaledwie przez chwilę. Raczej ładna, ale to sprawa gustu. A teraz muszę już iść na piwo. Miałem ciężki dzień. Do widzenia. I życzę wam miłego weekendu.

## *Rozdział 4*

### *Nieprzyzwoite zachowania już od pierwszego dnia*

Wrześniowy poniedziałek przywitał świat strugami deszczu, jakby jesień postanowiła przypomnieć, że już niedługo nadejdzie i nic jej nie powstrzyma. Martyna, poderwana pierwszym dzwonkiem budzika, wyprostowała się na łóżku i z radością pomyślała, że idzie dziś do pracy. Szybko wepchnęła w siebie śniadanie i o ósmej wybiegła z domu, nie przejmując się zbytnio niepogodą. Uznała, że godzina powinna jej wystarczyć, aby dotrzeć do Metaleksu na dziewiątą. Tak się złożyło, że jej pierwszy dzień w pracy zbiegł się z rozpoczęciem roku szkolnego, a to w połączeniu z deszczem dało jeden odczuwalny efekt – gigantyczne korki. Autobus, którym jechała, włókł się jak ślimak, ciągle przystawał i nie reagował na jej najbardziej wymyślne zaklęcia, mające zmusić go do szybszej jazdy. Przecież nie można się spóźnić do pracy pierwszego dnia! Nikt się nie spóźnia pierwszego dnia! To zwyczajnie nieprzyzwoicie... Tylko co zrobić?! No właśnie... czasami nic się nie da zrobić. Tak więc zawodowa kariera Martyny zaczęła się od nieprzyzwoitego dwudziestominutowego spóźnienia. Wbiegła do budynku biura z bijącym mocno sercem i ociekającą wodą parasolką i zziębnięta otworzyła drzwi do pokoju, w którym miała pracować. Przywitało ją świdrujące spojrzenie Huberta, które z miejsca przygwoździło ją do podłogi. Stała jak słup soli nie wiedząc, co powiedzieć ani zrobić. Hubert tymczasem z zaciekawieniem przyglądał się jej znad sterty papierów walających się na biurku i spokojnie

mieszał łyżeczką cukier w filiżance z kawą. Po chwili Martyna opanowała zdenerwowanie i wykrztusiła z siebie nieśmiało:

– Dzień dobry, mam na imię Martyna i powiedziano mi, że mam tu pracować. – Starła się przybrać najbardziej miły wyraz twarzy, na jaki było ją stać.

Hubert nadal patrzył na nią bez cienia uśmiechu, po czym podciągnął rękaw koszuli, odsłaniając zegarek, wymownie spojrzął na cyferblat i zapytał:

– A na którą godzinę ma pani zamiar przychodzić do pracy?

Martyna zmieszkała się i odpowiedziała speszona:

– Powiedziano mi, że na dziewiątą, ale mogę przychodzić, na którą pan chce... To znaczy wcześniej – poprawiła się. – I przepraszam, że się spóźniłam. To się więcej nie powtórzy. Ale ten deszcz... no wie pan, autobusy przez to wolniej jeżdżą.

– Czy to znaczy, że zawsze będzie się pani spóźniała w deszczowe dni?

– Nie, oczywiście, że nie. Tylko dzisiaj nie przewidziałam...

– Od przewidywania pogody mamy w tym kraju pewne służby. Chyba pani słyszała. A jeśli nie, to podpowiem, że nazywają się meteorologiczne. I nie musi ich pani wyrećzać. Wystarczy radia słuchać.

– Tak, oczywiście... ma pan rację – mówiła dalej zbita z tropu. I nie wiedząc, co ma zrobić, wciąż stała nieruchomo, gdy tymczasem Hubert nadal mierzył ją badawczym spojrzeniem. Czuła, jak ocenia jej ciało milimetr po milimetrze, analizuje każdą wypukłość niczym krwiożerczy samiec, który, tak się złożyło, od dziś jest jej szefem. Poczuli się jak koń na wybiegu, albo może raczej klacz wyścigowa, z tą różnicą, że Hubert nie



mógł obejrzeć jej nóg, bo była w spodniach. Wydawało jej się, że ta chwila nigdy się nie skończy. Odczekała parę sekund, a potem, mając dość jego przenikliwego wzroku, posłała mu uśmiech, który, jak niektórzy wiedzą, już sam w sobie jest siłą nie do pokonania i potrafi wyważyć niejedne drzwi.

– Przepraszam. Naprawdę.

Stara prawda znów się sprawdziła, bo Hubert spuścił oczy i udobruchany powiedział:

– Niech pani siada. – Wskazał jej biurko naprzeciwko swojego. – Tu są listy, na które trzeba odpisać. – Podał jej plik kartek. – Porobiłem adnotacje, mam nadzieję, że odczyta pani moje pismo. A tu jest coś po francusku. – Wskazał list na wierzchu. – Nie mam pojęcia, co tam jest napisane. Niech mi pani to przetłumaczy, bardzo proszę, a potem trzeba napisać, że nie jesteśmy zainteresowani.

– Ale ja nie znam francuskiego! – wykrzyknęła Martyna.

– Powiedziano mi, że jest pani ambitna, zatem szybko się pani nauczy.

Następnie odwrócił się w stronę komputera i pogrążył w studiowaniu treści na ekranie. W pokoju zapadła martwa cisza, którą przerywały tylko krople deszczu lekko uderzające o szybę.

To mało przyjemne przywitanie podziało na Martynę niczym zimny prysznic. Cały jej poranny entuzjazm przygasł jak wypalona świeca. Nie wyobrażała sobie, aby taki przystojny facet mógł się okazać takim służbistą, szczególnie przy pierwszym spotkaniu. Jak można nie wykazać zrozumienia dla czegoś tak prozaicznego jak spóźnienie? To zwyczajnie nie pasowało do jego rysów twarzy! Poza tym są chyba gorsze zaniedbania, których ludzie dopuszczają się w pracy, niż głupie spóźnienie. Czyżby zapomniał, co to jest kwadrans akademicki? A może w ogóle nie studiował i nie ma pojęcia, co to



takiego? A tu dostał się tylko dzięki znajomościom. Teraz w obawie o stanowisko musi pokazywać swoją władzę i wyższość, aby zaspokoić męskie, egoistyczne ego. Taki szef to zwyczajny pech.

Martyna wzięła do ręki pierwszy list i zaczęła czytać. Był datowany sprzed dwóch miesięcy, inne również miały dosyć zamierzchłe daty wysłania, trzy czy nawet cztery miesiące wstecz. Na większości były porobione adnotacje „spławić” i inicjały JB, co, jak się domyśliła, było inicjałami dyrektora handlowego, Jana Bączka. A więc wcale nie Huberta... Zaczęła sobie przypominać wyuczone formułki z korespondencji handlowej i wzięła się za pisanie pierwszej odpowiedzi. Co jakiś czas mimochodem rzuciła w stronę swojego nowego szefa ciekawskie spojrzenie, jakby chcąc się upewnić, czy nadal jest przystojny.

Zauważyła, że zmierzwione włosy Huberta nie lubiły przesadnego kontaktu ze szczotką czy grzebieniem, co bardzo kontrastowało z resztą wizerunku. Był dokładnie ogolony, z równo przyciętymi baczkami, ubrany w nieskazitelnie białą koszulę, która wyglądała na świeżo upraną i uprasowaną, a może nawet wykrochmaloną. Ciemnoczerwony krawat z granatowym rzucikiem świetnie pasował do ciemnej marynarki. Miał facet gust, przynajmniej jeśli chodzi o kolory. Dosyć standardowy, ale dużo lepszy taki niż jego brak. Nadal nie pojmowała, jak taki przystojniaczek mógł się okazać takim upierdliwcem, aby czepiać się o spóźnienie. A może to tylko pozory?

Tymczasem Hubert siedział pochylony nad biurkiem i, udając, że wpatruje się w swój komputer, również uważnie obserwował Martynę. Bliższe oględziny wykazały, że dziewczyna faktycznie ma w sobie sporo wdzięku, ale daleko jej było do piękności z okładek „Vogue'a”. Ot,

przeciętnie ładna, stwierdził. Nic wielkiego. Włosy nijakiej długości, bardzo pasowały do jej owalnej twarzy i okazały się wcale nie blond, jak myślał na początku, tylko jasnobrązowe. Niebieskie oczy były duże, ładnie oprawione i... nawet interesujące. Trochę zadarły nos zapowiadał, że będzie miał okazję obcować z naturą upartą. Na ulicy na pewno nie zwróciłby na nią uwagi, ale teraz, kiedy siedziała naprzeciwko niego, nie wiedzieć czemu nie mógł się skupić. Zaklął w duchu parę razy, aby rozładować wewnętrzne napięcie i znów zaczął się zastanawiać, jak ma traktować ten nowy, niechciany nabytek.

Dziś specjalnie przyszedł do pracy wcześniej, aby przygotować się na jej przyjście. Postanowił dać swojej nowej koleżance do zrozumienia, od razu na samym początku, że nie obchodzi go, czyją jest protegowaną, kuzynką czy kochanką, nie będzie miała z tytułu swoich koneksji żadnej taryfy ulgowej. Nawet ucieszył się z jej spóźnienia i był zadowolony z siebie, że tak ostro ją potraktował. Musi jej pokazać miejsce w szeregu, żeby nie podskakiwała. Przejdzie szkołę i zobaczy, czy się nadaje do pracy. A jak się jej nie podoba, to niech od razu idzie... do diabła.

Przypomniawszy sobie, że powinien ją przedstawić swojemu zespołowi. Ale przecież wiedział, że pani Gosia nie wytrzyma długo i zaraz przyleci do jego pokoju pod byle pretekstem, pociągając za sobą resztę współpracowników. I nie pomylił się. Parę minut później zobaczył w drzwiach pofarbowane na kasztanowo włosy swojej podwładnej.

– Witam nową koleżankę – zaczęła od razu pani Gosia i podała Martynie rękę. Lekko wymiętoszona i przetarta w niektórych miejscach garsonka zdradzała, że pani Gosia od lat pracuje w tym biurze i czuje się tu jak ryba w wodzie.

–Ja nazywam się Małgorzata, ale proszę do mnie mówić Gosiu. – Jej twarz rozpromieniła się w ciepłym uśmiechu.

Martyna wdzięcznie skinęła głową i odwzajemniła uścisk dłoni. W tym momencie uświadomiła sobie, że jej szef nawet się z nią nie przywitał. Nie dość, że czepia się o byle co, to jeszcze niewychowany, pomyślała zawiedziona. Uśmiech na twarzy pani Gosi, nawet jeśli sztuczny, był czymś o wiele miłszym niż szczery grymas niezadowolenia na twarzy Huberta.

Chwilę potem do pokoju przyszedł Paweł, a po nim Darek. Dwaj mężczyźni szarmancko zastukali obcasami i ochoczo zaoferowali nowej koleżance wszelką pomoc. Martyna z przykrością zauważyła, że obaj nosili na serdecznych palcach prawych rąk obrączki. Tacy mili... ale niestety żonaci. Powinna się załapać na jakiegoś fajnego chłopaka na studiach. Teraz zostały tylko ogryzki porzucone przez inne kobiety, pomyślała smutno. Ale zaraz sobie przypomniała, że przecież ona nie jest tu po to, aby złapać męża. Ma się rozwijać, zdobywać doświadczenie zawodowe i piąć się po szczeblach kariery.

Wkrótce wszyscy rozeszli się do swoich pilnych zajęć, a Martyna pochyliła się nad kartkami papieru i na nowo pogрузzyła w pracy twórczej, jaką było odpisywanie na zaległą korespondencję. Pomimo że prawdopodobnie żaden adresat nie oczekiwał już odpowiedzi, starała się, aby listy były ładnie sformułowane i zawierały wszelkie znane jej zwroty grzecznościowe wyuczone na lektoratach z języka. Chciała się wykazać w tym swoim pierwszym zadaniu i tak się skoncentrowała na układaniu zgrabnych odpowiedzi, że zupełnie nieświadomie poruszała wargami, szepcząc do siebie urywki zdań. Hubert tymczasem studiował cyferki na migającym ekranie komputera, analizował jakieś wykresy i nad czymś

intensywnie się zastanawiał. Parę razy uśmiechnął się do siebie. Nagle do jego uszu doszło... jakieś mamrotanie. Zastygł, spojrzął na Martynę i wtedy zauważył, że ona... mówi do siebie. Czytała po cichu napisany list. Zaklął w duchu. Tego tylko brakowało, żeby siedział w pokoju z kimś, kto gada sam ze sobą.

– Pani Martyno, musi pani mówić do siebie?

– Ja? – zapytała zupełnie wytrącona ze świata swoich myśli Martyna.

– A widzi pani tu kogoś innego?

– Ale ja nic nie mówię!

– No... szepcze pani do siebie.

– Przepraszam, nie zauważyłam – odparła, czerwieniąc się po uszy.

– Trochę mi to przeszkadza. Gdyby mogła pani pracować w ciszy.

– A może jest tu radio?

– Radio? Nie, tu nie ma czasu na radio. Chyba że woli pani przejść do księgowości. Na pewno znajdzie się tam jakiś etat. I radio. Ale u nas to wykluczone.

Wkrótce Hubert wyszedł z pokoju, nie mówiąc, dokąd się udaje i kiedy zamierza wrócić. Parę minut później przyszedł z powrotem, siadł przed komputerem, wystukał coś na klawiaturze, popatrzył w ekran, a potem wstał i znów zaczął zbierać się do wyjścia. Tym razem coś przyszło mu do głowy.

– Gdyby ktoś dzwonił, to powiedz, że będę za jakieś pół godziny. A jeśli to byłby któryś z dyrektorów, to biegam po budynku. Czyli... zaraz wracam.

Martyna zauważyła, że przeszedł na „ty”, nie pytając ją o zdanie, ale to prawo szefa. Kiedy została sama w pokoju, odetchnęła głębiej i pomyślała, że jeszcze nie ma południa, a ona zaliczyła już dwa spięcia z szefem. I było

2:0 dla niego. Co za dzień. Dziś jest po prostu na pozycji przegranej. Pochyliła się nad biurkiem i wróciła do odpisywania na listy.

Około dwunastej do pokoju ktoś zapukał i okazało się, że jest to pani, która sprzedaje kanapki.

– Czy to co zwykle? – zapytała.

– Nie wiem, jestem nowa... dziś pierwszy dzień – odparła nieśmiało Martyna.

– Pan Hubert zazwyczaj bierze kanapkę z tuńczykiem i sałatkę.

– Ale... nie ma go w tej chwili, a mnie nic nie mówił.

– To co, bierze pani dla niego czy nie? – Kobieta zaczynała się niecierpliwić.

– Ja... nie wiem, nie zostałam upoważniona

– A pani coś kupuje?

– Ja? Nie, dziękuję.

Wymiana zdań zakończyła się trzaśnięciem zamykanych drzwi i w pokoju znów zapanowała cisza.

Po paru minutach Hubert wrócił ze stertą papierów i zaczął szybko przebierać palcami po klawiaturze. Kiedy skończył pisanie, spojrzął na zegarek i powiedział:

– Muszę wyjść, ale jeśli przyjdzie pani z kanapkami, to weź dla mnie z tuńczykiem. I sałatkę. – Zaczął wyjmować pieniądze z portfela.

– Ale ta pani już była.

– Była?!

– Tak.

– I nie powiedziała ci, żeby mi kupić kanapkę?!

– Powiedziała, ale pan mi nic nie mówił, więc... nie kupiłam.

Hubert wbił w nią spojrzenie, pod wpływem którego skuliła się jak zbity pies. Chciała zniknąć z powierzchni ziemi, schować się przynajmniej pod biurko, ale nie była w stanie wykonać żadnego ruchu.

– Przepraszam, ale nie wiedziałam, co zrobić – wykrztusiła z siebie całkiem naturalnie.

– Nie przejmuj się, to nie twoja wina. – Po raz pierwszy spojrzał na nią cieplej tego dnia i wyparował z pokoju.

Po chwili drzwi otworzyły się znowu i Martyna zobaczyła panią Gosię.

– Była pani z kanapkami? – zapytała.

– Tak.

– I kupiłaś dla Huberta?

– Nie, bo nie wiedziałam, a on nic nie mówił – odrzekła usprawiedliwiająco Martyna.

– O kurczę, jak jest głodny, to staje się zupełnie nie do wytrzymania. Ale to dobry chłopak. Tylko dziś coś go chyba ugryzło.

Martyna spojrzała pytająco na panią Gosię, a pani Gosia zaraz pomyślała, że to świetny moment, aby wykorzystać sytuację i zadać parę pytań.

– Hubert nie jest łatwy. Kto cię wsadził do jego pokoju?

– Nie wiem, to znaczy, chyba dyrektor Bączek.

– Ale dyrektor Bączek to jakiś twój znajomy? Albo rodziców?

– Nie, żaden mój znajomy. Ani rodziców. Mam tylko mamę, ojciec nie żyje.

– A... bardzo mi przykro. – Pani Gosia spojrzała, jakby coś rozumiejąc, albo właśnie nic nie pojmując, i zdecydowała, że wystarczy tego przesłuchania. Uśmiechnęła się do Martyny i powiedziała: – Pierwszy dzień

zawsze jest trudny. Nie przejmuj się. Tymi kanapkami też się nie przejmuj. A jutro to sama zapytaj Huberta, czy masz mu coś kupić. Facet lubi, jak ktoś się nim opiekuje. Będzie ci łatwiej.

Mrugnęła do Martyny, chcąc podnieść ją na duchu, i znikła za drzwiami.

W ciągu popołudnia Hubert parę razy wychodził z pokoju, zostawiając ją samą. Ani razu nie zapytał, jak jej idzie odpisywanie na listy, jakby go to w ogóle nie obchodziło. Podczas jednej z jego licznych nieobecności Martyna stwierdziła, że absolutnie musi wyjść do toalety. Dostyc łatwo znalazła to miejsce, gdzie wszyscy prędzej czy później przychodzą. Dzień się wypogodził, na niebie pojawiło się słońce i złociło liście rosnącego nieopodal biura kasztanowca. Wyjrzała przez otwarte okno i wystawiła na chwilę twarz do słońca. Gdzieś za rozłożystymi koronami drzew huczało miasto; trąbiły klaksony samochodów, piszczały hamulce autobusów, zgrzytały pędzące po szynach tramwaje. Wzięła głębszy oddech i poczuła, że od dziś jest pełnoprawną, dorosłą mieszkanką tego miasta. Wsłuchiwała się w płynące z daleka odgłosy, chłoneła ciepłe promienie słońca tańczące na jej twarzy i rozkoszowała się tą chwilką relaksu. W pewnym momencie usłyszała, jak ktoś piętro niżej otwiera okno. Po chwili uderzył ją w nos zapach dymu papierosowego i usłyszała męskie głosy, z których jeden był bardzo znajomy. Od razu zorientowała się, że był tam Hubert.

– Jak tam ta nowa? – ktoś zapytał.

– Co ci będę opowiadał. Przyjdź i sam zobacz. Cipcica z niej. Z przodu deska, z tyłu pośladki jak dwie dorodne dynie, a nóg nie widziałem, bo przyszła w spodniach. Więc pewnie nie ma co oglądać – powiedział Hubert z przekąsem, po czym obaj panowie ryknęli śmiechem.



Martyna instynktownie schowała się za firankę. Poczowała, jak się czerwieni, mięśnie jej tężeją i oblewa ją fala gorąca. Boże... co za mięśniaki, pomyślała. Nawet blokowi pijaczkowie nigdy by jej tak nie opisali. Tak... tak prymitywnie! Bez krzty finezji! Ależ z tego Huberta burak! Jak to możliwe, żeby taki przystojniaczek był takim... dupkiem wołowym. Nie dość, że upierdliwiec, to na dodatek cham! Chciała mu powiedzieć, że w spodniach przyszła wcale nie dlatego, że ukrywa nogi. Bo nogi akurat ma bardzo zgrabne. Ale... w ogóle... jak on mógł! Boże, lepiej żeby tego nie usłyszała! Deska z przodu! A co go to w ogóle obchodzi, co ona ma z przodu! Takie upokorzenie!

Oburzona wróciła do pokoju i wsadziła nos w listy. Postanowiła, że nie da po sobie poznać, jak bardzo poczuła się dotknięta. Jeszcze się do niej przekona ten burak, z którym przyszło jej pracować! Jeszcze ją doceni! Jeszcze pożałuje, że tak się o niej wyraził! I wcale nie ma wielkiego tyłka! A że piersi ma małe, to co? Nie przyszła tu pracować ze względu na walory fizyczne, tylko swoją wiedzę i wykształcenie. Nie jest gruba! I nie jest cipcią! Reszta dnia upłynęła jej dosyć szybko, bo Huberta przeważnie nie było w pokoju. Kiedy wreszcie się pojawił, najwidoczniej przypomniał sobie, że powinien skontrolować swoją podwładną, bo w końcu zapytał, jak jej idzie odpisywanie na listy, a potem, nie czekając na odpowiedź, pogрузił się w swojej pracy. Przed siedemnastą powiedział, że już wychodzi.

– Panie Hubercie – zapytała nieśmiało Martyna znad stosu kartek. – Czy muszę na te listy odpisać dzisiaj? Nie zdążyłam ze wszystkim. Jutro będę miała tłumaczenie tego listu z francuskiego. Poprosiłam koleżankę...

– Ach, to świetnie! Właściwie miałem nadzieję, że uporasz się z nimi w jeden dzień. Ale, jak widać, nie udało się. Posiedź, ile możesz, a resztę



zrobisz jutro. Tylko nie za długo. W razie czego sprzątaczkę cię wygonią. – Uśmiechnął się, jakby to rzeczywiście było zabawne. – Do jutra – rzucił, zamykając za sobą drzwi.

Martyna spojrzała na czekające na odpowiedź listy i poczuła, jak pogrążyła się w rozpacz. Bardzo chciała już pójść do domu! A zostało jej jeszcze z dziesięć odpowiedzi do napisania. O Boże, co tak wolno to idzie! Starła się rzetelnie wykonać powierzone jej zadanie, w każdym liście używała innych zwrotów, żeby pokazać, że z korespondencji handlowej miała zasłużoną szóstkę. Pochyliła się zdesperowana nad blatem biurka, bliska płaczu. Wtem usłyszała, jak ktoś naciska kłamekę, i w drzwiach ukazała się głowa dyrektora Bączka.

– A co ty tu jeszcze robisz, dziecko?

– A... odpisuję na listy.

– Jakie listy? – zainteresował się dyrektor.

– Pan Hubert mi kazał.

Dyrektor wszedł do pokoju i wziął do ręki pierwszy leżący na biurku list. Szybko przebiegł wzrokiem tekst. Potem obejrzał drugi i trzeci, i kolejne. Twarz mu spoważniała i pokiwał głową, po czym z wymuszonym uśmiechem powiedział:

– Możesz już iść do domu. Zostaw to do jutra. Gdyby Hubert pytał, to przekaż mu, że to ja pozwoliłem ci już wyjść. Do widzenia. Miłego wieczoru.

Wieczór wcale nie zapowiadał się miło. Co miała powiedzieć mamie i babci? Że jej szef to gburowaty i źle wychowany prostak? Że prymityw? I że nie tak sobie wyobrażała pierwszy dzień w biurze? Nie, nie mogła denerwować ani mamy, ani babci... I pomyśleć, że jeszcze wczoraj była taka

szczęśliwa. Przy kolacji udawała więc, że pierwszy dzień w pracy był fascynujący, szef nawet fajny, koledzy sympatyczni, że cały dzień odpisywała na listy i teraz wie, po co wkuwała te wszystkie grzecznościowe formułki na lektoratach z języka.

Wieczorem spotkała się z Zosią u niej w domu. Zaraz wpadła tam też Sandra, bo również była ciekawa wrażeń Martyny z nowego miejsca pracy. W końcu znalezienie zatrudnienia to ważne wydarzenie, otwierające w życiu człowieka nowy rozdział, który dla większości będzie trwał aż do emerytury. Jest taki długi, że można przez niego przebrnąć jedynie dlatego, że zawiera pewne podrozdziały: potajemna fascynacja koleżanką/kolegą z pracy, jawna fascynacja koleżanką/kolegą z pracy, zmiana pracy, awans, podwyżka, frustracja z powodu braku podwyżki, szukanie pracy, utrata pracy, ponowne szukanie pracy i tak w kółko.

– I jak było? – Zosia i Sandra wbiły wzrok w przyjaciółkę.

– Okropnie! – wyrzuciła z siebie Martyna.

– Dlaczego???

– Nie kupiłam kanapki swojemu szefowi! Dziewczyny wytrzeszczyły na nią oczy.

– Temu przystojniaczekowi? – zapytała Zosia.

– Tak... urodę ma faktycznie po Hołowczycu, ale nazwisko i wszystko inne już nie. Pierwsze wrażenie okazało się nadzwyczaj mylne. Spóźniłam się piętnaście minut, bo padało, a on z miejsca palnął mi kazanie jak ksiądz na mównicy.

– Myślisz, że jest wierzący? – zastanowiła się głośno Sandra.

– Tego nie wiem, ale na pewno ze skłonnościami pedagogicznymi.

– Tacy są najgorsi!

– Naprawdę zaczął od ochrzaniania cię? – zapytała z niedowierzaniem Zosia.

– Ale czub! Ty się w nim lepiej nie zakochuj. Takich z zasadami i zacięciem do wychowywania lepiej omijać z daleka – dodała Sandra. – To zakały społeczne.

– Cham po prostu! – skwitowała Zosia.

– Gorzej! Prostak! – wtórowała koleżance Sandra.

– W dodatku podsłuchałam jego rozmowę z jakimś jego kolegą, w której nazwał mnie... cipcią.

Sandra i Zosia znów spojrzały z niedowierzaniem, które szybko przerodziło się w stosowne koleżeńskie współczucie przemieszane z należytych oburzeniem.

– Czy on zwariował? Cipcią to ty na pewno nie jesteś. **A** w ogóle, to kto to jest cipcia? Nie przejmuj się, znam bardziej obraźliwe określenia. Jak cię pozna, to zmieni zdanie. Jesteś twarda jak skała i ja to wiem. Tylko że nie masz jeszcze grubej skóry słonia, ale moja mama mówi, że to przychodzi dopiero po pierwszym rozwodzie. I wtedy nazywa się pewnością siebie i doświadczeniem życiowym.

– Tak uważasz? – Martyna spojrzała z wdzięcznością na Sandrę. – **A** czy i wy sądzicie, że mam dużą... pupę? I nic z przodu?

Dziewczyny znów znacząco spojrzały na siebie.

– No co ty! Martyna! Jesteś szczupła jak modelka! – powiedziała z przekonaniem w głosie Sandra.

– I biust też masz... zgrabny. Przynajmniej ci nie wisi.

– Tyłka to na pewno nie masz dużego!

– Na pewno! – poparła koleżankę Zosia. – Zresztą, u kobiety liczą się inne sprawy; wrażliwość, ciepło, inteligencja. To naprawdę rusza facetów – powiedziała głosem osoby znającej się na rzeczy. I zaraz popiła swoją wypowiedź winem.

– Musisz jakoś wytrzymać z tym prostakiem, którego masz za szefa – dodała rozsądnie Sandra. – Przynajmniej przez pewien czas, dopóki go nie awansują.

– Myślisz, że zostanie dyrektorem?

– Tacy zawsze najwyżej zachodzą.

– No właśnie ...

– Rób mu kawę – podpowiedziała Sandra.

– Chyba zwariowałaś, może jeszcze zacznę mu przynosić kanapki? – zapytała lekko urażona Martyna.

– Musisz zrobić coś, żeby się poczuł, że nie może bez ciebie żyć. W taki naturalny sposób – poparła koleżankę Zosia. – Inaczej cię zniszczy. Nabawisz się wrzodów i do grobu cię wpędzi.

– Mówiłam, że z tą kawą to dobry sposób. Tylko upewnij się, ile słodzi. I czy dodaje mleko – odezwała się znów Sandra.

– Czy to aby nie od kawy dostaje się wrzodów? A poza tym, czy wy zwariowałyście?! – krzyknęła Martyna. – Co ja jestem? Kelnerka? Pielęgniarka?

– Martyna... – Zosia spojrzała na nią z politowaniem. – Bądź praktyczna... nie ma sensu zadzierać z szefem. To się nie opłaca.

– Dziewczyny, słyszałam niezły dowcip – zmieniła ten lekko niezręczny temat Sandra.

– O blondynce czy Chucku Norrisie?

– No pewnie, że o blondynce. Te są lepsze, bo z życia wzięte, a nie z Internetu. Wiecie, dlaczego blondynka ogląda film pornograficzny do końca? Bo wierzy, że się skończy ślubem.

Sandra sama zaczęła się śmiać z własnego żartu, tymczasem Zosia otworzyła torbę chipsów i skinęła na Martynę, aby dołąła wina do kieliszków.

– Sandra, to stare jak świat i mało śmieszne. Napij się lepiej za karierę Martyny! Aby utarła nosa temu gburowi, który się nigdy nie spóźnia! Za królową stali i innych metali! O, nawet się rymuje.

Sandra podniosła kieliszek.

– Za karierę naszej serdecznej przyjaciółki! Martyna, pij! Martyna faktycznie była w takim podłym nastroju, że

najchętniej by się upiła, ale na drugi dzień musiała być wcześniej w biurze. Przecież nie mogła się znowu spóźnić. Wychyliła więc swój kieliszek do dna, pożegnała koleżanki i pognała do domu.

Wyszła z klatki schodowej w ciemny granat wieczoru, rozświetlony nikłym blaskiem osiedlowych latarni. W powietrzu wyczuwało się ulotny jak wspomnienie powiew letnich dni, które bezpowrotnie odchodziły w przeszłość. Pomyślała, że dla niej też kończy się pewna epoka, młodości i beztroski, a zaczyna coś zupełnie innego: dorosłe, prawdziwe życie. Przystanąła, zadarła głowę do góry i spojrzała w rozgwieżdżone niebo. Szczerze wierzyła, że każdy ma swoje światełko, które niczym drogowskaz prowadzi nas przez życie i dodaje nam mocy do walki z przeciwnościami losu. Co kryją dla niej gwiazdy? Czy będzie szczęśliwa? Bogata? Czy zwiedzi świat? Czy będzie mieć własne mieszkanie? Kiedy? Za parę lat? Za

ile? A samochód? Czy wyjdzie za mąż? Kiedy? Jak już będzie stara? Ach... westchnęła głęboko i ruszyła w stronę obdrapanych drzwi klatki schodowej.

W domu babcia z mamą były zajęte oglądaniem tysięcy któregoś odcinka ich ulubionego serialu telewizyjnego.

Z postaciami były bardzo zżyte, mówiły o nich jak o najbliższej rodzinie, a problemy bohaterów dotyczyły ich do żywego. Martyna szybko przemknęła do swojego pokoju, aby czasem babcia z mamą nie zaczęły jej opowiadać serialowych perypetii i nie poczuły, że piła wino. Zaraz zaczęłyby lamentować po swoim, krytykować dzisiejszą młodzież, a właśnie teraz tego by już nie zniosła. Rzuciła torebkę na znieawidzoną babciną komodę, którą miała ponoć docenić w przyszłości, i przebrała się w piżamę. Weszła do łóżka, naciągnęła kołdrę po same uszy i zaczęła rozmyślać nad pierwszym dniem w pracy.

Perspektywa spędzenia najbliższych miesięcy w towarzystwie Huberta wydawała jej się średnio zachwycająca. Było jasne, że nowy szef jej nie lubił, jakby był uprzedzony. Pomyślała smutno, że pewnie szybko znajdzie jakiś pretekst i ją wyrzuci. Padną miłe słowa: „Przyjemnie było poznać”, „Życzymy szczęścia gdzie indziej”. A ona odpowie z wydrenowanym uśmiechem: „Było to dla mnie nowe i ciekawe doświadczenie życiowe” lub „Dziękuję za szansę”. Ale co potem? Gdzie dostanie nową pracę? I jak to będzie wyglądało w CV, gdy zwolnią ją po miesiącu? To gorsze, niż gdyby w ogóle nie pracowała.

Musiała wyzwolić w sobie ducha wojownika, postanowiła. Nie było wyjścia. Jeszcze pokaże temu... burkowi, na co ją stać. Chwilę później zdecydowała, że to nieodpowiednie przezwisko dla jej szefa, bo w końcu burek to podwórzowy pies, wierny, oddany, pilnujący domu, i już sam fakt,

że jest zwierzęciem czyni go kimś miłym, a Hubert miły zdecydowanie nie był. Ochrciła więc swojego szefa bardziej warzywnym przydomkiem. Został burakiem, czerwoną bulwą bez ogłady, którą najpierw trzeba ugotować, żeby się nadawała do jedzenia. Postanowiła, że zrobi wszystko, aby jej szef poznał się na niej i ją docenił. Po namyśle zdecydowała, że potraktuje poważnie rady swoich bardziej doświadczonych koleżanek i sprawi, że Hubert nie będzie mógł się bez niej obejść. Może nawet zacznie mu robić kawę... Jutro uda, że jego zachowanie pierwszego dnia nie zraziło jej zupełnie, pójdzie do pracy uśmiechnięta i wesoła, jakby ignorowanie jej osoby było czymś naturalnym, czymś, do czego jest przyzwyczajona. A kiedy nadejdzie odpowiedni moment, odpłaci mu pięknym za nadobne i wsadzi szpilę w najbardziej czułe miejsce. Nie walczyć, a wygrywać – oto jej strategia. Będzie się jej trzymać jak sternik wyznaczonego kursu. Po czym wyczerpana wrażeniami z całego dnia spokojnie i głęboko zasnęła.



## *Rozdział 5*

### *Praca się zaczyna*

Na drugi dzień rano Martyna wpadła zdyszana do biura za pięć dziewiąta, ale Huberta nie było jeszcze w pokoju. Odetchnęła z ulgą, że udało jej się przyjść na czas, siadła przy biurku, włączyła komputer i z miejsca zaczęła odpisywać na następny list z pozostawionej wczoraj sterty. Już w autobusie układała sobie w głowie stosowne formułki i teraz szybciej przelewała całe frazy na ekran komputera. Była tak pochłonięta pracą, że ledwo usłyszała jak po piętnastu minutach zaskrzypiały drzwi i pojawił się w nich dyrektor Bączek.

– Dzień dobry. Huberta jeszcze nie ma?

– Nie, chyba nie – odparła lekko speszona.

– On zawsze się spóźnia. – Bączek pokiwał głową z dezaprobatą. – Jak się pojawi, to powiedz, żeby do mnie przyszedł.

– Tak, oczywiście.

Jak to, zawsze się spóźnia?, zastanowiła się, kiedy dyrektor Bączek zamknął za sobą drzwi. Wczoraj przyszedł na czas. I jakoś nie wykazał wyrozumiałości dla jej spóźnienia. O co tu chodzi???

Hubert wpadł do pokoju pięć minut później i kiedy Martyna zakomunikowała mu, że wzywa go dyrektor Bączek, miał bardzo zadowoloną minę. Dzień zaczął się dobrze. Już rano to wiedział, gdy brawurowo wyprzedził torującą drogę ciężarówkę, dzięki czemu uwolnił się z samochodowego korka i przybył do biura parę minut wcześniej, niż się zapowiadało. Szybko odpalił komputer, włączył notowania Bloomberga i

zatarł radośnie ręce. Wczoraj dobrze doradził dyrektorowi zamknięcie pewnych długich pozycji na miedzi i skasowali niezły zysk. Spodziewał się więc pochwały. I liczył, że będzie miała przełożenie na coś bardziej wymiernego niż uścisk dłoni. Na przykład zaowocuje podwyżką albo premią. Teoretycznie nadal gniewał się na dyrektora Bączka za wsadzenie mu do zespołu Martyny, ale miał wystarczająco dużo oleju w głowie, żeby wiedzieć, że jawna manifestacja swoich uczuć jest raczej czymś głupim niż heroicznym. Zaraz więc, pewny siebie, udał się do gabinetu swego przełożonego.

Pani Ewa, sekretarka z ostrym makijażem na twarzy, który wydawał się elementem jej stroju, wpuściła go od razu, jakby spodziewała się jego wizyty. Dyrektor Bączek siedział za biurkiem i wskazał Hubertowi krzesło.

– Dobrze mi wczoraj doradziłeś z zamknięciem tych pozycji na miedź – zaczął. – Ale wezwałem cię, aby zapytać o twoją nową pracownicę. – Wbił w Huberta stalowe spojrzenie, które nie wróżyło nic dobrego. – Jak ją znajdujesz?

To pytanie tylko utwierdziło Huberta w przekonaniu, że Martyna to protegowana Bączka. Odchrząknął i odpowiedział dyplomatycznie:

– Bardzo miła.  
– I widzę, że pracowita – dodał dyrektor.  
– Tak. Myślę, że tak, choć trudno oceniać po jednym dniu.  
– Wczoraj, wychodząc z biura, zajrzałem do twojego pokoju. Ciebie już nie było, zastałem tylko tę nową dziewczynę. Mogę się dowiedzieć, dlaczego odpisuje na listy, na które ty miałeś odpowiedzieć trzy miesiące temu? – Znów zatopił w Hubercie zimny i ostry jak brzytwa wzrok. – Co to za firma, która zwleka z odpowiedzią na korespondencję tak długo?! –

mówił piskliwym, podniesionym głosem. – I tej małej każesz to robić?! Czego ty ją uczysz?! Już od pierwszego dnia?! Możesz to jakoś wytłumaczyć?! Hubert usiłował ukryć totalne zaskoczenie.

– No... jakoś nie miałem czasu, żeby odpisać – wybąkał słabo.

Dyrektor nerwowo bębnił po blacie biurka zaciśniętymi w pięści dłońmi, co zawsze było u niego oznaką silnego wzburzenia. Nie patrząc na Huberta, powiedział:

– Przyda ci się ta dziewczyna. Wracaj do pracy. Dziękuję.

Hubert wymknął się na korytarz jak zbesztany pies.

Kiedy znalazł się z powrotem w pokoju, usiadł za biurkiem i tępo gapił się w komputer, usiłując skupić uwagę na oglądanej właśnie stronie. Musiał trochę ochłonać po reprimendzie, jaką dostał od Bączka, i zastanowić się, co właściwie ma teraz zrobić. Powinien oderwać Martynę od tych listów i znaleźć inteligentne wytłumaczenie, dlaczego tak późno każe jej na nie odpisywać. Tylko co powiedzieć? Że wcześniej nie chciało mu się nimi zajmować? Że uważa to za stratę czasu? Nie widzi sensu marnowania papieru na coś, z czego i tak nic nie będzie? Mało pedagogiczne podejście. .. Kurczę, że też musieli mu ją tu wsadzić! W duchu zaklął jeszcze bardziej siarczyście. Tak jak przeczuwał, jej obecność oznaczała dla niego same kłopoty i jak na razie się nie zawiódł. Przecież cholerny Bączek wiedział, że chciał Norberta! Chłopak stanowiłby świetne uzupełnienie zespołu. Był łąbski i Hubert umiał się z nim dogadać. Niech to cholera weźmie... A zamiast tego otrzymał w prezencie tę nadgorliwą cipcię... i przez nią zebrał jeszcze ochrzan.

Musi delikatnie dać jej do zrozumienia, żeby nie przesiadywała w biurze po godzinach, jeśli nie ma po co.

Ukradkiem spojrział na Martynę. Miała skupione rysy twarzy i ze spokojem śledziła wklepywany tekst na komputerze. Hubert zauważył, że ma w sobie pewną słodką niewinność, która w tym momencie jeszcze bardziej go zirytowała. Najchętniej wyrzuciłby swoją nową współpracownicę przez okno. Bo przecież była winna, i to bardzo. To przez nią został dziś wezwany na dywanik do Bączka, co nie należało do przyjemności. Po co ona tyle siedziała w tym biurze?! znów pomyślał z wściekłością. Co za blondynka! Przesadnie pracowita! Przez nią będzie miał popsuty humor na resztę dnia. Poczł gwałtowną chęć na papierosa i już zaczął wyciągać paczkę, gdy przypomniał sobie, że palarnia znajduje się piętro niżej. Cholera, zaklął niewyraźnie pod nosem, chyba rzuci... na przekór. Wstał i skierował się ku drzwiom.

– Czy mam kupić panu kanapkę? – Głos Martyny zatrzymał go w progu.

– A... tak. Dziękuję. Z tuńczykiem. .

– To proszę mi zostawić pieniądze.

– Ach tak... oczywiście.

Wyjął portfel i zaczął szukać drobnych. Po chwili poczuł wibrowanie komórki w kieszeni spodni. Na wyświetlaczu zobaczył, że dzwoni Lucy.

– Przepraszam. – Zerknął na Martynę, zostawił jej dwudziestozłotowy banknot i wyszedł na korytarz.

Lucy już od roku była dziewczyną Huberta. W rzeczywistości nazywała się Lucyna, ale nie zносиła swojego imienia i kazała mówić do siebie „Lucy”. Zainteresowanym tłumaczyła, że to oczywiste polskie zdrobnienie imienia Lucyna, nadanego jej na chrzcie. Była wysoką blondynką o figurze anorektyczki, z talią osy i z nogami tak cienkimi i

długimi, że czasami Hubert zastanawiał się, czy to jest naturalne. Kompletny brak tkanki tłuszczowej stał w sprzeczności z dorodnym biustem, który jakimś cudem nie dostosował się do reszty sylwetki i jako jedyna część ciała nie wyglądał tak, jakby jego właścicielka notorycznie się odchudzała. Ogólnie rzecz biorąc, Lucy była więc wymarzonym wieszakiem na ubrania, co wykorzystywała w pełni, ubierając się u najlepszych i najdroższych projektantów mody. Hubertowi ciśnienie skakało, gdy bez zmrużenia oka wydawała pół swojej pensji na designerskie buty na dwudziestocentymetrowej szpilce czy jakiś ciuch z najnowszej kolekcji. Ale... to mu imponowało. Pachniała luksusem i wielkim światem, a to był silny magnes i trudno było się oprzeć takiej woni.

Związek Huberta i Lucy był jak najbardziej partnerski, oparty na równości potrzeb erotycznych i towarzyskich oraz egoizmie w ich zaspokajaniu. Oboje dążyli do rozwoju indywidualnego, który jednak daleki był od pojęcia rozwoju gatunku ludzkiego. Byli razem dla krystalicznie czystej przyjemności przebywania we własnym towarzystwie, wspólnego pokazywania się tam, gdzie należało, i prowadzenia rozmów na poziomie z ludźmi, którzy coś znaczyli. Lucy pracowała w agencji PR, miała kontakt z osobami z pierwszych stron gazet, co dodatkowo podnosiło jej atrakcyjność w oczach Huberta. Zасыpywała go bowiem opowieściami o tym, z kim się widziała i co kto mówił. Fakt, że ona sama przez chwilę znajdowała się blisko znanej osobistości, którą pokazują w telewizji, wprawiał ją w stan euforii, jakby część sławy i splendoru w magiczny sposób spływała na nią, czyniąc ją lepszym człowiekiem. Dziewczynę dużo bardziej kręciła jej własna praca niż Hubert, ale jemu to nie przeszkadzało. Nie wykręcał się, gdy *zabierała*, go na różne koktajle i imprezy, bo dzięki temu zdawało mu

się, że bywa na salonach i jest częścią śmietanki towarzyskiej, do której aspirował. Lucy za to mogła się pochwalić, że ma przystojnego chłopaka, który umiał zabłysnąć wiedzą ekonomiczną. Ich związek był więc, w zasadzie, idealny. Byli dobrani i w łóżku, i w towarzystwie.

Hubert z nadzieją przycisnął klawisz z zieloną słuchawką i odpowiednio zamszowym, miękkim głosem powiedział:

– Cieszę się, że dzwonisz. Mam dziś zły dzień.

Niestety, telefon od Lucy nie okazał się remedium na zły początek dnia. Oznajmiła mu, że wyjeżdża do Gdańska na delegację i nie będzie mogła się z nim zobaczyć. Mieli się spotkać po jej powrocie, dopiero za trzy dni. Albo cztery. Hubert spuścił głowę i zrobiło mu się smutno. Jak przegrana, to na całej linii, pomyślał gorzko. Pech to pech.

Dalszy ciąg dnia przyniósł sporo wydarzeń i Hubert miał mało czasu na roztrząsanie osobistych dramatów. Zaraz po telefonie od Lucy zobaczył na korytarzu zmierzającą w jego stronę panią Gosię i wiedział, że raczej nie zdąży przed nią uciec.

– Hubert – krzyczała zasapana kobieta. – Dzwonił klient z Anglii i potrzebuje trzysta ton walcówki stalowej na szybko, z dostawą do Rotterdamu. Gotowy zapłacić wysoką premię. – Pani Gosia wyszczerzyła przy tym nierówne, ale za to białe zęby.

Hubertowi zaświeciły się oczy, poczuł żyłkę handlowca i od razu zapomniał, że wybierał się do palarni.

– Niech pani dzwoni do huty! Szybko! I niech Darek sprawdzi stawki przewozowe. I statek. To może być okazja. . .

– Już się robi, szefie. – Pani Gosia odpłynęła korytarzem w tę samą stronę, z której przed chwilą przybyła, niczym żaglowiec, który złapał wiatr w żagle.

Hubert zatarł ręce i wrócił do pokoju, gdzie Martyna nadal siedziała pochylona nad stosikiem listów. Spojrzał na nią nieco łagodniejszym wzrokiem i podekscytowany mruknął do siebie pod nosem: „Może coś z tego będzie. Przydałoby się”. Martyna zwróciła głowę w jego stronę, sądząc, że mówi coś do niej, ale Hubert zaraz oficjalnie wyjaśnił, że właśnie przyszło zapytanie na walcówkę i może będzie nowy kontrakt.

Wkrótce wokół Martyny zaczęła się bieganina; Hubert wpadał do pokoju i z niego wypadał, gdzieś dzwonił, ciągle coś sprawdzał w komputerze, szybko wysyłał e–maile i znowu znikał na korytarzu. Darek, pani Gosia i Paweł również w pośpiechu otwierali drzwi ich pokoju i, widząc, że nie ma Huberta, mruzczyli pod nosem: „A gdzie ten się, kurczę, szlaja”, po czym znikali, kompletnie ją ignorując. Podczas jednej z nieobecności Huberta w pokoju zadzwonił telefon i Martyna stwierdziła, że jej obowiązkiem jest odebrać. Lękliwie podniosła słuchawkę i usłyszała niski, męski głos, który niewątpliwie należał do dyrektora Bączka.

– Hubert, cholera, masz te stawki?

– Pan Hubert właśnie do pana idzie...

– A, to ty! – Dyrektor wyraźnie się speszył. – No, to przepraszam.

Takie biuro to ma coś z budowy, pomyślała trochę zaskoczona słownictwem używanym nawet przez samą wierchuszkę. Zupełnie jakby wczoraj wieczorem wszyscy oglądali *Kiepskich*.

Parę minut później w pokoju zjawił się rozpromieniony Hubert. ..



– Mamy nowy kontrakt! – wykrzyknął uradowany. – I ty będziesz go prowadzić.

Martyna spojrzała na niego tak wystraszonymi oczami, że aż mu się śmiać zachciało. Świetnie, ale jest przerażona!, pomyślał ze złośliwą satysfakcją. Może sama zrezygnuje z pracy tutaj i gdzieś ją przeniosą.

– Ale ja mam jeszcze te listy... – wykrztusiła Martyna.

– Pokaż je – zażądał Hubert i wziął do ręki plik wydrukowanych kartek. – Piszesz oddzielną odpowiedź na każdy list? – zapytał ze zdumieniem.

– No, tak... bo są trochę inne... te zapytania.

– Bardzo ładne te odpowiedzi, ale my nie jesteśmy biurem korespondencji, tylko przedsiębiorstwem handlowym. Nie mamy czasu na popisywanie się znajomością grzecznościowych formułek. Oczywiście, trzeba je znać, ale... jak by ci to powiedzieć, nie o to chodzi w tej pracy. Bo, wiesz, my musimy złapać zajęczka, a nie go gonić. Rozumiesz? Oznacza to, że trzeba łapać kontrakty i zarabiać na prowizji. I nie warto marnować energii na sprawy, z których nic nie będzie. Ba, czasami nie ma czasu nawet na przeczytanie takich listów do końca. Dlatego nie odpisywałem na nie. Pokaż, ile ci jeszcze zostało?

Martyna podała plik złożonych kartek. Hubert przejrzał nagłówki, a potem wyjął z przepastnych czeluści swojego biurka tekturowe pudełko po butach i włożył tam listy, na które Martyna nie zdążyła odpowiedzieć. Następnie schował pudełko z powrotem w swoim biurku i przekręcił kluczyk w drzwiczkach.

–Już nie musisz na nie odpisywać – powiedział. – Teraz dostaniesz kontrakt do prowadzenia na trzysta ton walcówki stalowej z dostawą do

Rotterdamu. Statek wychodzi ze Szczecina. Towar musi być na nadbrzeżu najpóźniej za dziesięć dni. Huta dała nam cenę na bazie FOB Szczecin, musisz dopilnować, aby wysyłki były w terminie. My pokrywamy koszt transportu ze Szczecina do Rotterdamu, ale mam nadzieję, że Incotermsów w szkole nauczyli... Oczywiście, najpierw trzeba poczekać, aż klient otworzy akredytywę, ale to też chyba wiesz. Najpóźniej jutro powinniśmy dostać z banku ostateczne warunki. Masz tu całą korespondencję, przeczytaj ją. Musisz sporządzić kontrakt, dokumenty wysyłkowe i całą resztę z fakturą włącznie. – Na koniec dodał nieco zgryźliwie: – Na pewno sobie poradzisz. Zatem bierz się do pracy!

Zaraz potem szybko wyszedł z pokoju i zadowolony zamknął za sobą drzwi. Ciekawe co ona robi? Złośliwy uśmiech przemknął mu po twarzy, gdy przypomniał sobie przestraszoną minę Martyny. W drugim końcu korytarza zobaczył pędzącą w podskokach w jego kierunku panią Gosię. Westchnął, że dzisiaj się od niej nie opędzi, ale była nadzieja, że znów przyniesie jakąś dobrą wiadomość. Pani Gosia, lekko zdyszana, zaczęła konspiracyjnym tonem:

– Byłam w kadrach. U pani Marty.

–I?

– Pani Marta zdradziła mi w największej tajemnicy, że ta nasza nowa koleżanka to protegowana samego naczelnego Kowalskiego. Ale to wielka tajemnica. Bo Kowalski nie lubi takich akcji.

Hubertowi włos zjeżył się na głowie i gdzie indziej też.

– Pani Gosiu, do cholery, teraz mi to pani mówi! Nie mogła pani wcześniej powiedzieć? Z samą górą lepiej nie zadzierać. A... zresztą. – Machnął ręką. – Nie będę się przejmował. Niech na mnie donosi.

– To Bączek nic ci nie mówił? Przecież się z nim przyjaźnisz.

– A kto pani powiedział, że się z nim przyjaźnię?

– No... chodzisz tam do niego. I gadacie...

– Pani Gosiu, pani Gosiu. – Hubert rozłożył ręce. – Niech mnie pani nie załamuje. Dyrektor to rzeczownik w liczbie pojedynczej. I już to wskazuje, że jest jeden i z nikim się nie przyjaźni. Po tylu latach pracy w biurze pani o tym nie wie?

– I to ci się podoba? – zapytała.

– Pani Gosiu, na Boga, o tym, czy mi się coś podoba czy nie, to się wypowiem, jak mnie zapytają. Co cztery lata na wyborach. A w tym czasie trzeba tyłek chronić.

– Ależ z ciebie cyniczny typ się zrobił.

– Dobrze, że chociaż w pani trochę naszej narodowej szlachetności zostało. Lepiej niech pani wymyśli, jak mamy pozbyć się tej nowej.

– Hubert, bądź człowiekiem. Po co się pozbywać tak miłej dziewczyny. Może z tego jakieś profity będą. – Pani Gosia puściła do niego oko. – Lepiej ją polubić. Czy to tak dużo? Zauważyłeś, ile ma w sobie wdzięku? Zresztą, pomyśl, przecież wsadzili ją tutaj nie po to, żeby donosiła, ale żeby nauczyła się czegoś. Więc ją ucz.

– Ale co to? Czy ja jestem nauczycielem?

– Hubert, nie przypominasz sobie swoich pierwszych dni w firmie? Nie chwaląc się sama wiele ci pokazałam i byłoby mi miło, gdybyś o tym pamiętał. Szczególnie wtedy, gdy będą podwyżki dawali. Więc lepiej się nią zajmij, bo...

– Bo co?

– Bo jak się poskarży albo będzie chciała odejść, to jeszcze przyczepią ci etykietkę, że sobie z ludźmi nie radzisz. To ci zaszkodzi w karierze. Nie awansują cię. Czy tego chcesz?

– Cholera – syknął Hubert. – Ma pani rację. Nie pomyślałem o tym – dodał zakłopotany.

Tymczasem Martyna siedziała w pokoju pozostawiona sama sobie, studiowała wydrukowane e–maile i jakieś zapisane skrawki papieru i czuła się niespecjalnie. Wiadomość o tym, że ma prowadzić kontrakt, była dla niej równie ekscytująca, co przerażająca. Bo co konkretnie ma zrobić? Sporządzić kontrakt? Ale jak? A te dokumenty wysyłkowe, o co z nimi chodzi? Ktoś musi jej pomóc. Ale kto? Do kogo się zwrócić? A tak w ogóle, to jak wygląda ta walcówka? Kojarzyła się jej z socjalizmem i słonym potem robotnika. Z niczym więcej. Spoglądała na plik kartek podsuniętych przez Huberta i zachciało się jej płakać. Ach, dlaczego nie może siedzieć w pokoju z panią Gosią, Darkiem i Pawłem! Oni są przynajmniej mili. Nie miałyby oporów, aby o coś zapytać, i na pewno by jej pomogli. Spodziewała się, że zaraz do pokoju wpadnie Hubert i będzie się z niej naigrawał, że nie wie, co zrobić, bo na studiach nie nauczyli, i wygadywać inne podobne bzdury. Już widziała ten jego drwiący uśmiezek. Facet jej nie lubił i nawet nie miał zamiaru tego ukrywać. Tak bardzo się starała napisać ładne odpowiedzi na te listy, a on co? Zamiast pochwały usłyszała, że nie są biurem korespondencji handlowej. Miała dosyć. Siłą woli powstrzymywała cisnące się do oczu łzy. Najchętniej uciekłyby stąd, ale dokąd? Do toalety? I jak długo można siedzieć w toalecie? W końcu ktoś się zorientuje. Nerwowo przekładała więc papiery z jednej kupki na drugą i udawała, że czyta.

Kiedy po paru chwilach w pokoju znów pojawił się Hubert, tym razem z panią Gosią, Martyna nadal siedziała nad stosem kartek w niezmienionej pozycji, ze spuszczoną głową. Pani Gosi na jej widok aż serce ścisnęło się z żalu.

– Hubert! Dałeś naszej nowej koleżance kontrakt i tak ją zostawiłeś? Spójrz na to biedactwo! – Rozłożyła ręce niczym mama kwoka. – Dziewczyna przerażona jak ptaszyna w klatce, jeszcze nam się rozplacze i ucieknie, i dopiero wtedy będzie. Przecież ona bidulka pojęcia o tym nie ma. Trzeba jej wszystko wytłumaczyć i pokazać.

Hubert stał wyraźnie zbity z pantałyku i na serio zaniepokojony. Kurde, jak się rozbeczy, to obetną mu premię, pomyślał. I jeszcze naprawdę przyczepią mu łatkę, że nie radzi sobie z ludźmi, tak jak mówiła pani Gosia. Chyba przeholował.

– Niech się pani nie martwi, pani Gosiu. Zaraz wszystko pokażę naszej nowej koleżance. Nie ma się czym denerwować – odezwał się łagodnym głosem.

Ku zdumieniu Martyny przystawił swoje krzesło do jej biurka, usiadł i zaczął cierpliwie pokazywać, jak wprowadzić kontrakt do systemu komputerowego i wygenerować dokumenty. Zmienił się niczym kameleon. O sto osiemdziesiąt stopni. Tak nagle jak pogoda w górach. Aż trudno było uwierzyć. Siedzieli chyba z godzinę, dopóki Martyna nie nauczyła się podstawowych funkcji programu i nie zaczęła się nim swobodnie posługiwać. Hubert szczegółowo wyjaśnił, co ma zrobić, i był przy tym miły. Naturalnie miły. Może nie będzie z nim aż tak źle, Martyna nabrała nadziei. Jakoś się dogadają. Potem kazał jej zadzwonić do huty, wyjaśnił, co ma

powiedzieć i jak rozmawiać z jakimś ważnym dyrektorem. Po tym telefonie poczuła się jak prawdziwa bizneswoman.

Pod koniec dnia, kiedy już zaczęła zbierać swoje rzeczy, żeby iść do domu, Hubert podniósł oczy znad swojego komputera i rzekł:

– Aha... na przyszłość. Możesz mnie o wszystko zapytać. W każdym razie nie płacz. To w biurze nie jest dobrze widziane.

Martyna poczuła, jak jej twarz nabiera koloru bordowych peoni. Miała nadzieję, że nie zauważył. I wcale nie płakała, tylko jej się zbierało... Co za upokorzenie. Skinęła głową, zacisnęła usta.

– Proszę się nie obawiać.

I wyszła.

## *Rozdział 6*

### *Szara rutyna i nowe klucze*

Następne dni okazały się bardzo intensywne i pracowite. Martyna została zawałona taką ilością pracy, że wystawał jej tylko nos. W akredytywie, która przysłała z banku, było chyba z dziesięć wydumanych warunków. W odpowiedzi na każdy z nich trzeba było przygotować jakiś papier, zdobyć czyjś podpis i pieczętkę. Ganiań po biurze było tyle, że nogi ją bolały. Ruszył kontrakt na walcówkę i zaczęły się wysyłki; niezliczone ilości wagonów opuszczały hutę, każdy z nich miał co najmniej piętnastocyfrowy numer, który należało skrupulatnie przepisać, umieścić w stosownym dokumencie i awizować klientowi. Oprócz tego Martyna dostała do prowadzenia jeszcze parę innych kontraktów. Dokumenty, cyferki, podpisy, wydruki, e-maile – a właściwie całe stosy tych papierów – to właśnie nazwało się pracą biurową. Prawdę powiedziawszy, myślała, że będzie robić coś bardziej kreatywnego...

Przez pierwszych parę dni Hubert oraz jej nowi biurowi koledzy i koleżanka w osobie pani Gosi byli mili i służyli radą i pomocą, ale już po dwóch tygodniach zorientowali się, że Martyna jest bardzo pracowita i uczynna i zwałali na jej barki mnóstwo pracy. Co rusz ktoś przychodził i o coś ją prosił: „Martynko, nie skoczyłabyś do finansów?” albo „Martynko, zajmiesz się tym nowym zapytaniem?”. Zaciskała zęby, przyklejała do twarzy promienny uśmiech i odpowiadała: „Oczywiście, już lecę” albo „No jasne, że się tym zajmę”. Wysyłała zapytania, oferty, dzwoniła w pięć miejsc naraz, sprawdzała, czy przysły płaćności, przygotowywała dokumenty.



Była ciągle potrzebna i to było... również miłe. Jej kariera handlowca zaczęła się na dobre. W krótkim czasie praca pochłonęła ją całkowicie, tak że na nic więcej nie zostało czasu. Całe życie Martyny zawężało się do stosu papierów, dokumentów i oficjalnych e-maili.

Właściwie to nie miała siły na nic innego. Wdrażanie się do codziennego kieratu dało jej w kość. Po całym dniu spędzonym w biurze przychodziła do domu tak wykończona, że marzyła tylko o kąpieli, łóżku i dobrej książce. Nigdy wcześniej nie musiała siedzieć przez tyle godzin za biurkiem i nie przypuszczała, że może to być taka mordęga. Ledwo żywa jadła obiad, pokrótce opowiadała, co dziś robiła w pracy, a potem musiała cierpliwie wysłuchać, co wydarzyło się w oglądanym przez mamę i babcię serialu telewizyjnym, następnie była informowana, co powiedział któryś z polityków i jakie to oburzające, w końcu wtajemniczano ją w medyczne utrapienia sąsiadek i znajomych. Rodzinny wieczór kończył się na telewizyjnych wiadomościach, a czasami jakimś filmie. Po dwudziestej drugiej Martyna przybita wagą problemów lokalnych i globalnych padała na łóżko jak kłoda. Bywały dni, że nawet nie sprawdzała prywatnej skrzynki e-mailowej, bo po całym dniu w pracy odrzucało ją od komputera. Zamykając oczy, myślała o sprawach, które musiała załatwić następnego dnia; telefonach, fakturach i, na samym końcu, wcale tego nie chcąc, o Hubercie.

Wrodzona duma nakazywała darzyć go głęboką pogardą, bo czyż można myśleć inaczej o kimś, kto nazwał ją cipcią? Zdecydowała, że typ to był impertynencki, nie wart nawet jej spojrzenia. Jednak myślenie o nim było dziwnie... miłe. Oczywiście, nigdy, przenigdy by się nie przyznała do swej skrytej fascynacji, szczególnie po tym, jak fatalnie potraktował ją pierwszego dnia, ale musiała przyznać, że w miarę upływu czasu zmieniał

się na lepsze. Niemniej „cipci”, „pośladek jak dynie” i „deski z przodu” nie zamierzała mu wybaczyć.

Któregoś dnia weszła na stronę internetową reklamującą klinikę powiększania piersi. Ale niespecjalne pociągały ją silikonowe implanty, a gdy pomyślała o operacji i szwach... o nie, na pewno się nie zdecyduje, nawet jeśli kiedykolwiek będzie miała na to kasę. Niech sobie mówią, co chcą i nazywają ją deską. Lepsze to niż operacja i blizny.

Dni płynęły, papierów w biurze przybywało, z września zrobił się październik, w sklepach sprzedawali dynie i przebrania na Halloween, a w blokach już dawno włączono centralne ogrzewanie. Świat kręcił się wokół własnej osi, jak co roku o tej porze. W relacjach Martyny z Hubertem również wytworzyła się pewna rutyna; z samego rana parzyła dwie kawy, nawet jeśli jej szefa nie było jeszcze w pracy. Stawiała jedną filiżankę na jego biurku na wypadek, gdyby któryś z dyrektorów zajrzał do ich pokoju. Parująca kawa miała oznaczać, że Hubert był już w firmie, tylko na chwilę gdzieś wyszedł. Martyna szybko się bowiem zorientowała, że zachowanie Huberta pierwszego dnia było pozą; w istocie nie lubił porannego wstawania i zazwyczaj sam spóźniał się do pracy, nawet o pół godziny. Nauczyła się bez mrugnięcia okiem kłamać, gdy prosił ją, aby wytłumaczyła jego nieobecność, bo akurat załatwiał jakieś pilne sprawy prywatne, których absolutnie nie można było załatwić po pracy. W porze lunchu kupowała mu kanapkę, nie zadawała zbyt wielu pytań i trzymała zdrowy dystans.

Hubert również szybko przyzwyczał się do obecności Martyny, a nawet stwierdził, że było to bardzo wygodne; biegała z papierami, robiła kawę i kupowała kanapki. Wiedział, kto do niego dzwonił podczas jego nieobecności w pokoju, kto go szukał i czego chciał. Mniej palił, bo w tym

celu musiał specjalnie chodzić do palarni, a nie bardzo mu się chciało. Od czasu do czasu zastanawiał się, jaki jest jej związek z dyrektorem Kowalskim, ale ponieważ nigdy, nawet słówkiem, nie pisnęła nic na ten temat, po pewnym więc czasie zupełnie przestał się tym przejmować. Z dnia na dzień zapomniał, że jako szef powinien być oschły, i pozostał po prostu sobą. Do potulnego baranka, lub choćby golden retrievera, który chce być przyjacielem każdego człowieka bez wyjątku, było mu daleko; miewał humory, od czasu do czasu wybuchał i podnosił głos, ale potem wstydził się i słodycz z niego wyciekała niczym z topniejącego lodu waniliowego.

Martyna dowiedziała się, że ojciec Huberta już nie żył, że mieszkał on nadal z matką i że miał dziewczynę, którą nazywał Lucy. Rozmawiał z nią jednak po polsku i sądząc po niektórych odzywkach typu: „Będę stąd zaraz spadał”, albo „Wołem mnie tam nie zaciągniesz”, domyśliła się, że to raczej przydomek niż prawdziwe imię i że Lucy jest z pochodzenia Polką. Kiedy zobaczyła ją pierwszy raz, stojącą na parkingu przed biurem, wiedziała, że o swoim uczuciu do Huberta może zapomnieć. Lucy to była pierwsza liga. Wyglądała wystrzałowo nawet z wysokości piątego piętra. Tak lekko i zwiewnie... jakby mógł ją unieść podmuch wiatru... „Kobieto, puchu marny! Ty wietrzna istoto!”, chciało się powiedzieć... romantycznie jak prosto z Mickiewicza. Wydawało jej się, że cytat pasuje do Lucy jak ulał. Jeśli, oczywiście, nie wdawać się w to, co autor naprawdę miał na myśli... czyli zmienność natury kobiecej. W rzeczy samej, Lucy była istotą zmienną. Ale również zjawiskową. Wysoka, wychudzona blondynka z rozwianymi długimi włosami przypominała wyglądem skrzydlatego ducha, który sfrunął na ziemię, aby wabić mężczyzn. Ściągała na siebie spojrzenia wszystkich osobników płci męskiej w promieniu kilometra. Jej krucha sylwetka

sugerowała, że taka kobieta musi się wesprzeć na męskim ramieniu, bo inaczej gotowa się przewrócić... A faceci, oczywiście, z ochotą lecieli z pomocą, aby to cudo natury nie nabiło sobie przypadkiem prozaicznego siniaka albo guza. Kiedy Hubert odbierał od niej telefon, głos mu się zmieniał w miękki aksamit, co dodawało mu jeszcze większego uroku. Ach... czy ktoś kiedyś będzie tak mówił do niej? Do Martyny? Może... kiedyś.

Wiadomość o tym, że Hubert dostał klucze do nowego mieszkania rozeszła się po całym biurze jak herbaciany napar z torebki zaparzany w szklance wrzątku. Początkowo wiedziało o tym tylko najbliższe otoczenie, ale stopniowo krąg wtajemniczonych rozszerzał się, napar w szklance stawał się mocniejszy i wkrótce osiągnął stan nasycenia, czyli moment, w którym prawie wszyscy pracownicy Metaleksu byli poinformowani i mogli bardziej lub mniej szczerze wzdychać z zazdrości bądź odczuwać inne, trudniejsze do sprecyzowania emocje. Pani Gosia od razu skwitowała wiadomość komentarzem: „No, to teraz wreszcie wyprowadzi się od mamusi i zacznie żony szukać. Żeby tylko kogoś rozsądnego znalazł, bo o to dzisiaj trudno”. Kiedy Martyna wtrąciła, że Hubert ma dziewczynę, pani Gosia machnęła lekceważąco ręką, zupełnie jakby Lucy była nic nie znaczącą zjawą, postacią zaiste „wietrzną”, którą przegoni byle podmuch wiatru. Taką, z którą można „być” przez pewien czas, ale, broń Boże, się żenić. Najwidoczniej pani Gosia ją widziała. Albo może nawet znała. Albo też wiedziała coś, o czym Martyna nie miała pojęcia. Pozostawało więc pilnie obserwować sytuację i czekać na rozwój wypadków.

Faktycznie, intuicja pani Gosi, kobiety po dwóch rozwodach, obeznanej nie tylko z biurem, ale i z życiem, nie zawiodła jej. W idealnym

związku Huberta i Lucy nieoczekiwanie pojawiły się rysy. Zarzewiem konfliktu była sprawa mieszkania. Otóż Lucy nie podzielała radości Huberta z jego nowego lokum i nie sprawiała wrażenia, jakby chciała wyprowadzić się ze swojej wygodnej kawalerki w centrum gdzieś na daleki Ursynów. Niechętnie wdawała się w dyskusje nad urządzeniem gniazdka Huberta i w ogóle omijała ten temat, jakby był śmierdzącą psią kupą. Ledwo spoglądała na katalogi i magazyny z wystrojami wewnątrz przynieszone przez Huberta, przerzucała je i bez zainteresowania odkładała na bok. Potem mówiła o swojej pracy i perspektywach rozwoju, jakie się przed nią rysują. Oczywiście w pracy. Huberta ukłuło to tak mocno, jakby ktoś zrobił mu bolesny zastrzyk w pupę. Albo jeszcze wrażliwszą część ciała. Nagle bowiem dojrzał swoimi męskimi oczętami, że jest jedynie jedną ze śrubek w maszynie, która ma służyć Lucy do życia całą pełnią i realizowania się na każdym polu. Zdał sobie sprawę, że jego miejsce w korowodzie, którym otacza się Lucy, jest na szarym końcu, za fryzjerem i manikiurzystką. Poczul się... wykorzystywany. To nim mocno wstrząsnęło. Po raz pierwszy zastanowił się czy ją kocha. Nigdy nie wyznali sobie miłości, bo żadne z nich nie uważało tego za konieczne. Wydawało mu się, że jest im tak dobrze razem, że nie ma potrzeby psuć tej idylli jakimiś staroświeckimi słowami. Ale teraz całe to ich superpartnerstwo przestało mu wystarczać. Chciał od Lucy czegoś więcej. Potrzebował kobiety, która stworzyłaby mu dom. Jego dom. A Lucy się do tego nie paliła.

Bolało go to i od czasu do czasu wyrzucał z siebie cały swój żal, smutek i rozczarowanie głosem pełnym pretensji. Wtedy Lucy oplatała go swymi anielskimi ramionami, przyciskała wydatny biust do jego klatki piersiowej i tłumaczyła słodkim świergotem, że nie widzi tych dwóch

pokoików na dalekim Ursynowie jako ich docelowego lokum. Bo jak dojrzeją do założenia rodziny i dzieci, to będą potrzebowali czegoś większego, najlepiej domku z ogródkiem. A te dwa pokoiki trzeba będzie sprzedać albo wynająć. Hubert musiał zrozumieć, że nie chce w to wkładać serca, żeby nie pokochać tego miejsca, którego i tak pozbędą się w najbliższej przyszłości. Bo ona jest bardzo wrażliwa i sentymentalna, i przyzwyczajają się do rzeczy i miejsc. Prosiła, aby myślał racjonalnie i nie kierował się emocjami.

Hubert nie dawał łatwo za wygraną i wygarniał jej, że nie ma teraz więcej pieniędzy, niech więc znajdzie sobie bogatszego gacha, skoro chce od razu domek z ogródkiem albo inny pałac. On wychował się w dwóch pokojach i jakoś żyje. Na to Lucy tłumaczyła mu słodkim głosem, że czasy się zmieniły, nawet ustrój jest inny i trzeba przestawić myślenie. Oboje mają dobre posady, nieźle zarabiają, zatem odpowiednie finanse to tylko kwestia czasu. Kiedy będą gotowi do założenia rodziny, sprzedadzą jej kawalerkę i jego dwa pokoje, wezmą kredyt, kupią domek z ogródkiem i będą się rozmnażali. W końcu któregoś dnia bardziej zdecydowanym tonem oznajmiła, że właśnie do ich agencji zgłosiła się duża zachodnia firma i Lucy musi się wykazać. Sorry, nie ma czasu, aby zająć się wykańczaniem mieszkania Huberta. Może później.

Czyż mógł z nią dalej dyskutować? Cichł, przyjmował do wiadomości jej racjonalne argumenty i niechętnie przyznawał rację. Czy naprawdę rozumiał Lucy? Trochę tak i trochę nie. Na razie myśl o zakładaniu rodziny przerażała go w takim samym stopniu jak ta, że musi urządzić mieszkanie. Miał bowiem cichą nadzieję, że to Lucy zajmie się wszystkimi tymi przyziemnymi sprawami związanymi z remontem; poumawia fachowców,



kupi płytki, zamówi armaturę, a on będzie tylko przychodził, kiwał z zadowoleniem głową, mruzczał z aprobatą i wypisywał чеки. A potem odpowiednio wynagrodzi Lucy jej starania swoją tkliwością w łóżku. Bo czyż nie o czułość i kasę kobietom chodzi najbardziej? Niestety, Lucy nie dała się wciągnąć w ten przebiegły męski plan. Woląла spędzać czas u fryzjera niż w oczekiwaniu na przybycie hydraulika.

Po każdej ostrzejszej wymianie zdań ze swoją dziewczyną Hubert wzdychał głęboko i kierował myśli ku przyjemniejszym sprawom, które miał w zasięgu ręki i wzroku. Godzili się, po czym szli do łóżka i zatracali w cielesnych rozkoszach, po których świat od razu wyglądał lepiej. Doraźna dawka seksu pozwalała obojgu, jeśli nie zapomnieć o dręczącej sprawie mieszkania, to przynajmniej odsunąć ją w czasie na magiczne „potem”. Hubert w głębi serca wierzył, że Lucy w końcu zmieni poglądy i przekona się do apartamentu na zielonym Ursynowie.

Mógłby poprosić o pomoc w wykończeniu mieszkania swoją mamę, ale od razu odrzucił tę możliwość jako zbyt ryzykowną. Wiedział, że szanowna rodzicielka miała ogromną ochotę urządzić mu nie tylko mieszkanie, ale i całe życie. Wybrać meble, dywany, żonę, dzieci, a nawet psa, hobby i poglądy polityczne. Lucy musiałaby zniknąć, bo krucha zwiewność nie przypadła jego matce do gustu. Kładła mu do głowy, że za żonę musi mieć kogoś, kto mocno stoi nogami na ziemi. A nie ducha z biustem, zapatrzzonego w swoje wnętrze. No właśnie... był jakiś powód, dla którego chciał wyprowadzić się od swojej mamy... Miał dosyć jej dobrych rad i już teraz musiał nieźle się napocić, aby nie dać sobie wmówić tego, co według szanownej rodzicielki było dla niego najlepsze.



Weekendy Hubert spędzał z Lucy, towarzysząc jej w stołecznym życiu towarzyskim, a w poniedziałek sam jeździł do swojego nowego mieszkania, które jeszcze pachniało cementem i wapnem, ziało pustką opryskanych farbą okien i gołych futryn. Z sufitów zwisały kable czekające, aż ktoś założy oświetlenie, w łazience patrzyły na niego smętnie wystające ze ścian rury domagające się podłączenia kranów, zainstalowania wanny i umywalki. Jedynie licznik elektryczny w przedpokoju działał już bez zarzutu, leniwie odmierzając rzadkie jeszcze kilowaty zużytej energii. Hubert brudził buty wapiennym pyłem, wymierzał ściany, dreptał po swoich dwóch pokoikach i zastanawiał się, jak sobie urządzić to gniazdko. Cieszył się z tego mieszkania i przykro mu było, że nie ma z kim dzielić swej radości. Jednocześnie był niezłe przerażony, bo kompletnie nie wiedział, jak ma się zabrać do wykończenia go. Czy najpierw kupić wannę, czy kafelki? A może założyć krany? Albo pomalować sufity? Zmienić parapety? Zamontować żaluzje? Na jego nieszczęście firma budowlana oddała mieszkania zupełnie gołe. Nawet bez białego montażu. Zresztą, jak się dowiedział, było to życzenie przyszłych lokatorów. Nie pamiętał, żeby się podpisywał pod taką petycją, ale pewnie mu wcisnęli. Klął, że nie ma przy nim Lucy. Wykonał parę telefonów do tak zwanych fachowców, ale ku swemu zaskoczeniu nie potrafił z nimi rozmawiać. Kompletnie nie znał się na budowlance i w rezultacie nie umówił się z żadnym z nich.

Któregoś dnia, kiedy tak kręcił się po mieszkanku w tę i we w tę, ktoś zapukał do jego drzwi. Otworzył i zobaczył młodego mężczyznę, mniej więcej w jego wieku. Widział go już wcześniej parę razy na schodach, wywnioskował więc, że musi to być jego sąsiad. Tamten od razu wyciągnął do Huberta rękę i przedstawił się jako Patryk. Mieszkał w tym samym bloku

piętro niżej. Hubert zaprosił go do środka i już po paru minutach rozmowy poczuł, że jego anioł stróż zesłał mu tego chłopaka, niczym tonącemu koło ratunkowe. Okazało się bowiem, że Patryk był inżynierem, pracował w dużej firmie budowlanej i znał się na wykończeniówce. Miał świetną ekipę remontową, która właśnie pracowała u niego w mieszkaniu, mogła więc również wykończyć dwa pokoiki Huberta. Patryk szybko i w przystępny sposób wyjaśnił Hubertowi, co to jest gładź gipsowa i sztukateria, doradził, czy ściany malować farbą akrylową, czy emulsyjną i co położyć na podłodze. Ba, dał adresy hurtowni płytek, która była wyjątkowo dobra i niedroga.

Początkowo ich znajomość miała charakter czysto biznesowy; rozmawiali o remontowaniu mieszkań, cenach materiałów budowlanych, ale szybko przeszli również na inne tematy, jak sport czy samochody. Patryk niedawno przeprowadził się do Warszawy i nie miał tu wielu znajomych. Zaczął więc dzwonić do Huberta i wyciągać go na piwo czy wspólną pizzę. Ponieważ Lucy w ostatnich tygodniach była ciągle zajęta, Hubert chętnie się zgadzał na propozycje Patryka. Czyż mógł przypuszczać, że ta rodząca się zażyłość stanie się w pewnym momencie jego życia kłopotliwa? Nie, nie mógł.

Wydawałoby się więc, że wszystkie problemy Huberta zostały w cudowny sposób rozwiązane. Mama mu gotowała i prała, Lucy zapewniała towarzystwo i odpowiednią dawkę seksu w weekendy, a Patryk w jego imieniu rozmawiał z fachowcami i mówił im, co mają zrobić. Była jednak sprawa, której żadna z tych osób nie chciała za Huberta załatwić. Chodziło o wybór glazury, koloru ścian i reszty wyposażenia mieszkania. Ba, Patryk radził mu dobrze się zastanowić, bo takie kafelki w łazience czy kolory

ścian są jak żona; rano wstajesz i patrzysz na nie, wieczorem się kładziesz i też na nie patrzysz, po prostu żyjesz z nimi. Ich widok nie może cię denerwować, bo to fatalnie wpływa na psychikę, co zostało naukowo udowodnione. Sprawa stawała się bardzo pilna. Glazurnicy kończyli robotę u Patryka i lada dzień mieli wejść do Huberta. Musiał więc koniecznie kupić płytki.

Hubertowi udało się namówić Lucy, aby pojechała z nim do hurtowni i pomogła w wyborze glazury. Umówili się na miejscu. Hubert przyjechał, czekał ponad godzinę, klucząc między rzędami wystawionych kafelków, ale Lucy się nie pojawiła. Zadzwoiła, kiedy pani sprzedawczyni przekręcała klucz w zamku, zamykając hurtownię. Przepraszała gorąco, że utknęła w korkach, i obiecała, że następnego dnia wyrwie się z pracy i razem coś wybiorą. Pani sprzedawczyni spojrzała na Huberta ze współczuciem, wepchnęła mu do teczki trzy płytki, radząc, aby „się z nimi przespał” i rano, wspólnie z narzeczoną, zdecydował, które są najlepsze. Był wściekły, ale co miał zrobić? Czuł, że traci Lucy. Z powodu takiej przyziemnej sprawy jak urządzenie mieszkania oddalali się od siebie jak dwie planety krążące po innych orbitach. Ale przecież wcale tego nie chciał! Myślał, że kocha Lucy. I postanowił walczyć o tę miłość.

Następnego dnia przyszedł do pracy wystrojony w buty od jakiegoś lalusiowatego projektanta o włoskim nazwisku, na widok których Lucy wpadła kiedyś w zachwyty i zmusiła go do ich kupna. Do tego włożył skarpetki i krawat, które dostał od niej w prezencie. Wiedział, że jego dziewczyna będzie w siódmym niebie, widząc go tak ubranego, a chciał za wszelką cenę naprawić napięte stosunki i pokazać, że mu na niej zależy. O dziesiątej otrzymał SMS-a: „Sorka, ale się nie wyrwę. Urwanie głowy.

Wiem, kochanie, że na pewno dobrze wybierzesz. Wolę coś jasnego. Buziaki". Dołączyła jakieś dyndające serduszka, które go jeszcze bardziej wkurzyły. Chwilę potem dostał SMS-a od Patryka, który pisał, że ekipa glazurników wejdzie do niego następnego dnia. Trzeba było szybko działać; pojechać do sklepu, wybrać kafelki, zapłacić i już. Problem polegał na tym, że nie miał pojęcia, który wzór mu się podoba i jak będzie wyglądał w łazience. Wysiłał wyobraźnię, ale w głowie miał pustkę. Już w drodze do pracy zastanawiał się, czy woli biel z akcentami granatu, czy też upojną zieleń, czy może pastelowe beże. Coś jasnego, ale co? Nie wiedział. W ogóle do tej pory nie zastanawiał się nad tym, jaką by chciał łazienkę. Tak naprawdę pragnął, aby to Lucy zdecydowała. Cholera!, syknął do siebie całkowicie sfrustrowany. I wtedy jego wzrok padł na Martynę.

## *Rozdział 7*

*Ratuj mnie, jestem w potrzebie*

Pani Nina siedziała przy brydżowym stole wraz ze swoimi trzema koleżankami i zastanawiała się, ile to już lat się spotykają? Osiem? E... więcej. Te czwartkowe spotkania stały się jej cotygodniową rutyną i teraz nie wyobrażała sobie bez nich życia. Tereska, Ela i Julia szybko stały się jej najbliższymi przyjaciółkami, które wysłuchają, pocieszą i poratują w potrzebie. Takich przyjaźni pani Nina życzyłaby każdej kobiecie na ziemskim globie. Brydż był tylko pretekstem, aby się spotkać, rozdać karty i... porozmawiać.

Cztery kobiety były różne jak pory roku; miały odmienne problemy, zmartwienia i zawody. Znały różnych ludzi, a nawet mieszkały w różnych częściach miasta. Ale rozumiały się świetnie. Wszystkie w średnim wieku, już bez złudzeń, ale jeszcze z tłącą się radością życia. Już bez pretensji i żądań, ale nadal z nadzieją w sercu. Każda z nich niosła na plecach bagaż życiowych doświadczeń, który dawał jej życiową mądrość i dystans do spraw. Owszem, liczba codziennych rozczarowań i trosk bywała przytłaczająca, ale nie spotykały się po to, aby wyplakiwać swoje żale, ale po to, aby od nich uciec. Brydż nie skłania ku przesadnej wylewności. Historie opowiada się mimochodem, a wygłaszane uwagi są krótkie, ostre i dotyczą sedna sprawy. Przez lata wspólnych spotkań pani Nina dobrze poznała swoje koleżanki i ich życie. Tu i tam rzucone zdania, niby niedbale i przez przypadek, składały się na dosyć dokładny obraz każdej z nich. Poznała ich zmartwienia, problemy rodzinne, mężów, dzieci, a nawet sąsiadów i

sąsiadki. Wiedziała, co myślą i jak myślą. Po sposobie gry w brydża, a nawet tasowania i rozdawania kart mogła dużo o nich powiedzieć. Bo przecież w każdej czynności, którą wykonujemy, odciska się rys naszej osobowości.

Od jakiegoś czasu spotkania odbywały się u pani Niny. W jej mieszkaniu cztery panie zasiadały przy zielonym stoliku, piły kawę z porcelanowych filiżanek i rozdawały karty. Każde nowe rozdanie było jak nowa szansa. Przyjdzie karta, a może nie? Wyjdzie bez atutu czy tylko dwa piki? Chwila ciszy, gorączkowe liczenie, licytacja. A potem rozgrywka. Dla jednych nuda, dla drugich to taniec do muzyki partnera, skok adrenaliny, swoje pięć minut tego dnia. Karta, stół, jedna lewa, potem druga. As już zszedł, ale kto ma króla? Trzecia ręka, bije i płacze. I znów następna lewa i następna. Czy wszystko pójdzie dobrze? Chwila ekscytacji, oderwania myśli od trosk... a potem łyk kawy i rozmowa. Banalna, o wszystkim i o niczym. Strzępki informacji z czyjś życia, podawane niczym kawałki układanki na tacy. Jakiś dowcip, pikantna uwaga, perlisty śmiech. Czasem historie nieco dłuższe i poważniejsze. Westchnienie, łyk kawy i znów rozdanie. To były czwartki pani Niny. Dni, kiedy nie stawiała tarota i nie wróżyła.

To na spotkaniu brydżowym pani Nina dowiedziała się, że córka znajomej jej koleżanki poszukuje pracy.

Wraz z nastaniem października Martyna zauważyła, że jej szef coraz częściej melancholijnie się zamyśla, gapi beznamiętnie w okno, błądzi wzrokiem po niebie, jakby szukał obłoków, które o tej porze roku coraz rzadziej się tam pojawiały. Czyżby tak bardzo ulegał jesiennej aurze i wpadał w depresję? Powinien być przecież w skowronkach! Dostał mieszkanie, miał wystrzałową dziewczynę, dobrą pracę, awansował na

kierownika, a on, zamiast tryskać radością niczym fontanna w parku, ciągle się czymś zamartwiał. Pani Gosia od razu wydała wyrok: „Ma problemy sercowe albo łózkowe”. Na jedno wychodzi – czyli Lucy.

Faktycznie, Lucy dzwoniła rzadziej, za to Hubert zaczął otrzymywać więcej telefonów od niejakiego Patryka. Wtedy robił się trochę zmieszany i najczęściej mówił: „A... cześć, Patryk! Świetnie, że dzwonisz. Tak, tak... Zobaczymy się wieczorem”.

Któż to był ten tajemniczy Patryk, z którym jej szef spotykał się wieczorem? Co to znaczyło? Jak może się nie układać tak świetnie dobranej parze, jaką tworzyli zjawiskowa dziewczyna i zdolny przystojniaczek? Co może gnębić człowieka, który właśnie kupił mieszkanie? Brak pieniędzy? Nie... Hubert nieźle zarabiał. Użeranie się z robotnikami? Nic o tym nie mówił. Więc co? A jednak Martyna była pewna, że coś go martwi, coś mu przeszkadza, jakby... go buty uwierały.

Któregoś ranka siedzieli oboje w milczeniu pochyleni nad swoimi biurkami, wpatrzeni w komputery, jak zwykle popijając pierwszą kawę. Hubert od czasu do czasu zamyślał się i częściej niż zwykle odwracał głowę w kierunku okna, jakby tam szukał natchnienia do analizy migających na ekranie cyferek. Do biura przyszedł dziś wystrojony w nowe buty i krawat. Martyna od razu zauważyła, że nie było to zwykle męskie obuwie; designerski kształt z przesadnie wąskimi czubami, koło dziurek na sznurówki jakieś dziwne dekoracje, a do tego Hubert miał na nogach skarpetki w deseń, w tonacji butów. Kolor skarpetek był na tyle jaskrawy, że odcinały się od spodni i trudno ich było nie zauważyć. Do tego włożył krawat w równie w krzykliwych barwach. Wzór nawet ciekawy i artystyczny, pasujący do jego zmierzwionych włosów, ale tylko do nich.



Martyna wywnioskowała, że ubrał się tak, bo po pracy umówił się na randkę z Lucy. Pogrzeżyła się więc w papierach, które w tym momencie wydały jej się ciekawsze niż głowienie się nad przyczyną humorów swojego szefa. U kobiety zawsze wszystko można było zwalić na zespół przedmiesiączkowego napięcia albo menopauzę, ale u mężczyzn? Tylko na jedno i to samo. Po randce z Lucy będzie jutro radosny jak wiosenny motylek, pocieszyła się i pochyliła nad biurkiem.

I właśnie wtedy zadzwoniła komórka Huberta. Rzucił się w jej kierunku z prędkością światła, omal nie strącając aparatu na ziemię. Martyna pomyślała, że wielkiej szkody by nie było, bo model telefonu był mocno przestarzały. Zwykła nokia, dokładnie taka sama jak jej. Hubert mógłby sobie kupić coś bardziej bajeranckiego, stwierdziła. Stać go było. Na butach nie oszczędzał, a nie wymieniał co roku komórki na nową? A podobno faceci lubią techniczne gadżety i nowinki. Co się z nim dzieje? Zobaczyła kątem oka, jak jej szef odczytuje SMS-a i coraz bardziej marszczy brwi. Po chwili dostał jeszcze jedną wiadomość i tak się zasepił, że w ogóle przestał patrzeć w komputer i bez skrupowania gapił się w okno. Wpatrywał się badawczo w niski pułap chmur, jakby został meteorologiem i coś musiał zmierzyć albo policzyć. Nagle zupełnie niespodziewanie odwrócił się do niej i zapytał:

– Co robisz?

To pytanie brzmiało dosyć groteskowo w ustach szefa, bo z samego rana rozmawiali na ten temat, ale widocznie zdążył zapomnieć.

– Właśnie kończę awizację wagonów z katodami miedzi. Potem muszę sprawdzić akredytywę na kontrakt z walcówka. Przyszło też nowe zapytanie

na stal. Trzeba poszukać, czy będziemy mogli dostarczyć, chodzi o walcówkę o przekroju...

Hubert słuchał bez krzty zainteresowania i przerwał jej w połowie zdania machnięciem ręki, po czym wyjął z teczki trzy zapakowane w gazetę płytki łazienkowe.

– Spójrz, podobają ci się?

Martyna zerknęła na kafelki. Dwa z nich miały pstrokaty deseń w stylu lat siedemdziesiątych, a trzeci był zupełnie gładki i dość nijaki.

– To do łazienki? – upewniła się. – Tak.

Zobaczyła, że na skroni Huberta pulsuje mała żyłka. Czyżby się denerwował? Czym? Kafelkami? Trudno sobie wyobrazić większą przyjemność niż wybieranie akcesoriów do własnego mieszkania. Ale zawsze jest to decyzja do podjęcia.

– Mam mówić, co myślę? – zapytała rzeczowo.

– Tak, wal całą prawdę.

– Takie nijakie. Będzie pan miał jak w łazience hotelowej. Mnie się nie podobają. Ale niech pan lepiej zapyta swoją dziewczynę.

– Wiesz co... – Podrapał się w głowę. – Ubieraj się !

– To znaczy... co pan ma na myśli?

– Ubieraj się, skoczmy na miasto.

– Ja z panem?!

– Tak.

– Teraz?!

– No tak, a co takie zdziwienie?! Dobra pora, nie ma korków.

– A po co skoczmy, jeśli można zapytać?

– Pomożesz mi wybrać płytki do łazienki.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem, nadal starając się pojąć, o co mu chodzi. Jej duże oczy zrobiły się jeszcze większe, osiągając rozmiar spodków do herbaty. W głębi ducha pożałowała, że zjawisko powiększania nie objęło również biustu, i to na stałe, ale natura nie zawsze jest łaskawa. W końcu wyjąkała:

– A nie ma pan kogoś odpowiedniejszego, żeby panu pomógł? Na przykład, pańska dziewczyna? No, przecież ma pan dziewczynę.

– Ona jest bardzo zapracowana i nie może wyjść z firmy.

– Ale nie mogę za nią decydować!

– Możesz, możesz. Nie przejmuj się – odparł, jakby to był powszechnie na świecie stosowany proceder.

Po chwili podawał jej płaszcz i szybkim krokiem pomaszerowali na parking, gdzie stała zielona honda Huberta. Po piętnastu minutach zaparkowali przed sklepem z glazurą.

– Naprawdę chce pan, żebym to ja pomogła panu wybrać kafelki do pana łazienki? – jeszcze raz zapytała Martyna.

– Oby nie różowe. Wybierz tak, jakbyś wybierała dla siebie. Coś, co ci się naprawdę podoba.

– A duża ta łazienka?

– Normalna, ani duża, ani mała. Mam wymiary na kartce.

– Aha. – Martyna pokiwała ze zrozumieniem głową, jakby rzeczywiście wszystko było jasne.

Stanęła przed ekspozycją z różnymi płytkami iomal nie dostała oczopląsu. Paski, desenie, naloty, nalociki i nakrapiania, aż oczy bolały. Ale to akurat wcale Martynie nie przeszkadzało. Bardzo chętnie sarna wybrałaby kafelki do swojej łazienki, gdyby ją miała. Z radością prześlizgiwała

wzrokiem po płytkach i myślała o tej swojej przyszłej łazieneczce, która miała być piękna jak marzenie. Jak bardzo zazdrościła Hubertowi! Gdyby to było jej mieszkanie! Oglądała różne płytki, zestawiała razem, porównywała. I w końcu wybrała. Piaskowy beż i parę dekoracyjnych płytek z białym wzorem muszli i rdzawą czerwienią rozgwiad. Trzy górne rzędy kafelków miały być w innym odcieniu, wpadającym w lekki błękit, który wtapiał się w beż. Martyna z pomocą pani sprzedawczyni ułożyła wzór na podłodze, bo Hubert za nic w świecie nie mógł go sobie wyobrazić w dużym formacie.

– To będzie naprawdę ładne – zachwyciła się pani sprzedawczyni. – I takie oryginalne.

– Niech pan spojrzy – mówiła Martyna z roziskrzonymi oczami. – Jak będzie pan w wannie, to niech pan sobie wyobrazi, że kąpie się pan w niebieskim oceanie. Naokoło rozgrzany piasek, muszle, białe grzywy fal i gorące słońce. A na horyzoncie niebieska toń oceanu łącząca się z błękitem nieba. To tam, gdzie te kafelki z niebieskim odcieniem. – Wskazała dłonią. – Z takiej łazienki nie będzie się panu chciało wyjść...

Hubert spojrzał na nią, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Ten żar w oczach... Nigdy nie przypuszczał, że można takim wzrokiem patrzeć na coś tak prozaicznego jak kawałki ceramicznych odlewów. I porównywać łazienkę do plaży? Takie skojarzenie nigdy nie przyszłoby mu do głowy. Ma dziewczucha fantazję...

– O Boże! Dziewczyno! Czy chcesz, żebym całe życie spędził w łazience? – zapytał, chcąc sprowadzić Martynę z wyższego pułapu świadomości na ten zupełnie przyziemny.

– A co? Łazienka to złe miejsce? Można się w niej na przykład zamknąć. I wtedy nikt nie ma do pana dostępu... Ważne więc, aby to było

miłe i ładne miejsce. Takie, w którym się pan dobrze czuje. Chyba na plaży dobrze się pan czuje? Do tego będą pasować brązowe ręczniki, ale też białe, niebieskie i ciemny pomarańcz. Niech pan sobie tylko wyobrazi! Będzie bardzo ładnie! Naprawdę! Chyba lubi pan morze i plażę?

Hubert spojrział jeszcze raz na ułożony wzór, potem na zegarek i zdecydował.

– Dobra, biorę.

– Od razu mówiłam, że musi pan przyprowadzić narzeczoną – wtrąciła się pani sprzedawczyni tonem osoby znającej się na życiu. – I jaki świetny gust ma dziewczyna.

Martyna chciała sprostować, ale Hubert ją uprzedził:

– Szkoda, że wczoraj nie przyszła. Nie musiałbym przyjeżdżać drugi raz.

A potem puścił do Martyny oko. Gdy byli w samochodzie, powiedział:

– Nie ma co wtajemniczać tej pani w sprawy, których i tak by nie zrozumiała. Zresztą, nie wyglądała na zbyt inteligentną.

– Co ma pan na myśli? Czy jest pan uprzedzony do wszystkich kobiet? Czy uważa pan, że nie są tak inteligentne jak mężczyźni? Jeśli chodzi o tę sprawę wyboru kafelków, to ja również jej nie ogarniam umysłem, jeśli chce pan wiedzieć, i dlatego nie dziwiłabym się pani sprzedawczyni. Przecież to oczywiste, że powinna tu być pana narzeczoną. Nie uważa pan?

– E... nie. Nie o to mi chodziło. Ta pani chyba nie zauważyła, że cały czas mówiłaś do mnie „pan”. Czy widziałaś dzisiaj dziewczynę, która mówi do swojego narzeczonego „proszę pana”? – uśmiechnął się z wyrazem zwycięstwa na twarzy.

– A... faktycznie. – Martyna poczuła lekkie zakłopotanie, bo rzeczywiście o tym nie pomyślała. Chcąc skierować rozmowę ponownie na właściwe tory, dodała pewniejszym głosem: – Może pan jednak skonsultuje ten wybór ze swoją dziewczyną. Co pan zrobi, jeśli jej się nie spodoba?

– To moje mieszkanie – odpowiedział Hubert, a Martyna dostrzegła błysk stali w jego nadzwyczaj dziś błękitnych oczach.

No jasne... wszystko było jasne. Kłócił się z Lucy na całego. Fatalnie, bo to ona będzie musiała znosić jego zły humor, wybuchy złości i napiętą atmosferę w pracy. Już wołałaby, żeby się z nią pogodził Dla własnego dobra.

– A propos „pana” – Hubert odezwał się po krótkim milczeniu. – Darek i Paweł mówią mi po imieniu, nie widzę więc przeszkód, abyś ty również zwracała się do mnie „Hubert”.

– A... dziękuję. Ale przyzwyczaiałam się do „pana”.

O ile dni Huberta faktycznie wypełnione były na przemian kłótniami i czułym godzeniem się z Lucy, o tyle życie uczuciowe Martyny niepokojąco utknęło w ślepych punkcie. Spadło do zera, do samej posadzki. Żadnych porywów serca, romantycznych westchnień, powłóczystych spojrzeń, żadnych wyjść, jeśli nie liczyć tych do biura i sklepu spożywczego. Nawet przyjaciółki ją zawiodły. Od czasu do czasu widywała się z Sandrą i Zosią, ale na początku października Zosia wyjechała do Londynu, a Sandra zakochała się w jakimś Robercie i nie miała dla Martyny czasu. Początkowo ekscytująca praca też szarzała niczym aura za oknem. Nowość zastąpiły zmudne obowiązki, codzienna dawka zdenerwowania na ludzką niesolidność, jednym słowem, rutyna. Martyna poczuła, że jej życie niczym wóz wtoczyło się w utarte koleiny i ugrzęzło w nich na dobre. Dzień biegł

za dniem, powoli i mozolnie jak w kieracie, bez żadnych dodatkowych atrakcji. Jeśli, oczywiście, nie liczyć tych, których dostarczał jej szef.

Chyba kompletnie ogarnęłaby ją jesienna chandra, gdyby nie biurowa kuchnia. Tam, wokół ekspresu do kawy, lodówki i baniaka z wodą, toczyło się życie towarzyskie. Poznała Hankę i Marzenę, bardzo je polubiła, a nawet zaprzyjaźniły się. Hanka pracowała w dziale marketingu, właśnie się rozwodziła, za darmo więc udzielała Martynie porad życiowych na temat traktowania facetów. Swojego męża chciała zmienić w lepszego człowieka, jak dziecku tłumaczyła mu, co i jak ma zrobić, a on tak się jej odwdzieczył, że zażądał rozwodu. Marzenka była z finansów, miała małe dzieci i ciągle przynosiła ich zdjęcia do oglądania. Była tak zakochana w swojej rodzinie, że potrafiła mówić tylko o niej. W socjalnym zjawiali się czasami Paweł z Darkiem, którzy rozbawiali towarzystwo dowcipami, pani Gosia, która zawsze miała jakieś ważne plotki do przekazania, sekretarka dyrektora Bączka i pani Marta z kadr. Hubert przychodził rzadko, bo wyraźnie preferował palarnię i towarzystwo niejakiego Norberta z działu półfabrykatów, który tam stale bywał.

Biurowe życie układałoby się bezproblemowo, gdyby na horyzoncie nie pojawił się Mirek. Mirek pracował z Marzenką w finansach, nosił okulary, nie był zbyt wysoki i okropnie się ubierał. Brak gustu i niepozorną posturę nadrabiał miłym obyciem. Był typem brata-łaty – bezpośredni i otwarty, łatwo znajdował wspólnotę dusz z każdym niemal rozmówcą, który tego chciał. Fajnie się z nim gadało o pogodzie, ociepleniu globalnym, polityce i filmach. Okazało się, że był kawalerem. Mirek często dołączał do grupki dziewczyn, w której była również Martyna, i razem rozmawiali, robiąc zupę z torebki lub inne bardziej wymyślne dania biurowe. Martyna



zauważyła, że Mirek jest czytany, i szczerze lubiła wdawać się z nim w dyskusje na różne tematy. I tak było przez dwa tygodnie.

Po tym czasie zauważyła, że na jej widok oczy Mirka zaczęły się robić maślane i spotyka go nadzwyczaj często. Ilekroć przyszła do kuchni – był tam Mirek. W finansach – wpadała na Mirka, w księgowości – akurat niespodziewanie pojawiał się Mirek. I ciągle, niby przypadkiem, miał jej coś do powiedzenia. Doszło do tego, że kiedy długo nie pojawiała się w biurowej kuchni, pukał do jej drzwi i pytał, czy nie zrobiłaby sobie przerwy na kawę. Był miły, bardzo miły, ale dla Martyny to było „wszystko w tym temacie”. Mirek w ogóle jej nie pociągał jako mężczyzna. Nie iskrzyło ani trochę. On jednak, niestety, tego nie dostrzegał. Spodziewała się, że w najbliższej przyszłości czeka ją jedno z najtrudniejszych zadań na kuli ziemskiej. Jak delikatnie uświadomić chłopakowi, że nie odwzajemnia jego uczuć, nie tracąc przy tym przyjaciela? Zadanie stare jak świat i z góry skazane na niepowodzenie.

Ku przerażeniu Martyny stopień jej zażyłości z Mirkiem rósł coraz bardziej. Ba, wymienili nawet przepisy kulinarne swoich babć na szarlotkę i bigos, co było równoznaczne ze zdradzeniem jednej z najpilniej strzeżonych tajemnic rodzinnych. Ale nie była w stanie tego zatrzymać. Nie chciała go tracić jako kolegi i nie wiedziała, co ma zrobić. Do tej pory jednak Mirek zadowalał się pogawędkami na korytarzu czy przy kawie, Martyna postanowiła więc, że będzie udawać, iż nie dostrzega jego rozpalonych oczu tak długo, jak tylko się da. Niestety, ku jej rozpaczy, biurowi koledzy i koleżanki zauważyli amory współpracownika z czwartego piętra i zaczęli im dopingować ze wszystkich sił. Najpierw zdradziły ją Hanka i Marzena. Pod pretekstem nawału pracy opuszczały kuchnię, kiedy tylko pojawiał się

Mirek. Pani Gosia, widząc ich przy ekspresie do kawy, wychodziła nadzwyczaj szybko, nie mając nic do powiedzenia. Doszło do tego, że całe biuro już o tym gadało. Darek z Pawłem, niby mimochodem, zagadywali ją tajemniczym tonem, czy już dzisiaj miała okazję porozmawiać ze swoim kolegą z finansów, bo jeśli nie, to właśnie przechodził korytarzem. Kiedy trzeba było coś załatwić w finansach, wysyłano Martynę. Raz do biurowej kuchni wtargnęła sekretarka dyrektora Bączka i widząc ją rozmawiającą z Mirkiem, zaraz wyszła, mówiąc: „Nie będę wam przeszkadzać, przyjdę później”. Pasztet się robił zupełnie biurowy... albo gorzej ... gulasz, w którym wszyscy mieszały i dorzucali swoje trzy grosze.

Jedyną osobą nie dostrzegającą zalotów Mirka był Hubert. Przynajmniej nie dawał po sobie znać, że go to w ogóle obchodzi. I to on nieoczekiwanie przyszedł jej z pomocą. Otóż któregoś dnia Hubert wparował do biurowej kuchni w poszukiwaniu Martyny i zobaczył tam ją i Mirka pograżonych w rozmowie. W tym momencie doznał chyba olśnienia, bo aż przetarł oczy, jakby go słońce oślepiło.– Ach, więc tu znika Martynka, zamiast pracować, dotarło wreszcie do jego szarych komórek to, o czym ćwierkały wróble za oknem. Zaraz też poczuł przemożną chęć zdyscyplinowania swojej pracownicy, a nawet uznał, że to jego obowiązek jako kierownika. W dodatku powód był prawdziwy, bo do Martyny były już dwa telefony, a jej nie było w pokoju. Przywołał na twarz zjadliwy uśmiezek, jaki potrafią zrobić tylko przełożeni, i powiedział:

– Nie chciałbym przerywać pasjonującej zapewne dyskusji, ale obowiązki czekają. Może odłożycie tę rozmowę na po pracy.

Martyna bez słowa wyszła z kuchni, rzucając Mirkowi spojrzenie mówiące, że pewnie jej szef znowu ma jeden z gorszych dni i musi się na

kimś wyżyć. Kiedy byli już w pokoju, Hubert zdecydował, że faktycznie powinien Martynie coś powiedzieć. Widok jej wpatrzony w jakiegoś chłoptasia nie bardzo mu przypadł do gustu.

– Martyna, bardzo się cieszę, że ci się miło rozmawia z tym facecikiem, ale, wiesz, na spotkania towarzyskie to umawiaj się z nim po pracy.

Spojrzała na niego speszona. Najgorsze, co może człowieka spotkać, to szef moralista z zacięciem pedagogicznym. Może jeszcze wygłosi jej kazanie na temat romansów biurowych. Lepiej niech się nie kłóci z tą SWOją dziewczyną, a ją zostawi w spokoju, pomyślała obruszona. Bo chociaż z Mirkiem miała kłopot, to wcale nie chciała, aby ktoś go za nią rozwiązywał, szczególnie w taki sposób. Zaciśnęła pięści, spuściła oczy i usiadła przy biurku.

– Przepraszam, nie sądziłam, że byłam tam aż tak długo. – Wlepiała wzrok w komputer i papiery i w milczeniu przeżuwała uwagę.

Po krótkiej chwili ciszy z zamyślenia wyrwało ją pytanie Huberta:

– I o czym wy tak rozmawiacie?

Całkowicie ją zamurowało. Na usta cisnęło jej się „To nie pańska sprawa” albo „Niech pan się ode mnie odczepi”, albo coś dłuższego w stylu „Ja się nie pytam o czym pan rozmawia z Lucy”, ale zamiast tego powiedziała:

– Mówiliśmy... o ociepleniu globalnym..

W tym momencie Hubert parsknął śmiechem, jakby mu zacytowała zabawny dowcip.

– To on cię na ekologię bierze?

– Słucham?!

Zupełnie zignorował wymówkę w jej głosie i to, że nie uważała tematu ocieplenia za śmieszny, lecz raczej za bardzo poważny i globalny.

– Nie wiedziałem, że teraz się na to dziewczyny podrywa. Sam kiedyś przyjdę i posłucham. Może się czegoś nauczę od kolegi Mirka.

– Nie widzę przeszkód. Kuchnia jest dostępna dla wszystkich. Nawet dyrektor Bączek czasami tam wpada – wysyczała przez zęby.

Następnego dnia Hubert przyszedł do pracy w wyjątkowo złym humorze. Był chmurny i gburny, nie dowcipkował, wściubił nos w komputer i go stamtąd nie wyjmował. Pewnie znów pokłócił się z Lucy, westchnęła Martyna i sama też zanurkowała w papierach. Nauczyła się bezbłędnie rozszyfrowywać nastroje swojego szefa i wiedziała, że taka poranna *posepność* nic dobrego nie wróżyła. To było jak napięcie, które musiało się gdzieś rozładować, coś podobnego do gwałtownego wyrównywania ciśnień. Pewnie huknie na kogoś, złość ujdzie jak powietrze z balonu i znów będzie miły i pogodny. Dziś nie padło ani słowo o urządzeniu mieszkania, kolorach ścian czy kafelkach, co ostatnio weszło do stałego repertuaru ich rozmów. Za to zauważyła, że Hubert znowu przyszedł w tych śmiesznych butach i skarpetkach. Miał tak zaciętą minę, jakby te buty go obcierały, ale postanowił wytrzymać za wszelką cenę. Mógłby je najpierw u szewca rozciągnąć, chciała mu poradzić, ale ponieważ nie poskarżył się ani słowem, siedziała więc cicho.

Hanka ją przecież pouczyła, że to, czego mężczyźni nie znoszą najbardziej, to dobre rady.

Siedzieli tak całe przedpołudnie, pochłonięci sprawami miedzi, wlewki i katod, aż do ich pokoju zapukał Mirek, zniecierpliwiony długim

niepojawianiem się Martyny. Zajrzał przez uchylone drzwi i zapytał z promiennym uśmiechem na twarzy:

– Cześć, Martynka, wyjdiesz na kawę?

Zamiast jednak usłyszeć miłe „Zaraz przyjdę”, do czego biedaczek już się przyzwyczał, natknął się na, mierzący go od stóp do głów, mrożący wzrok Huberta, który sztucznie się uśmiechnął i nie pytany odpowiedział za swoją podwładną:

– Martynka nie może teraz. Jest zajęta. Przykro mi. Mirek trochę się spieszył i zaraz wycofał na korytarz.

Martyna za to spłoszyła, ze złości, oczywiście. Akurat nie miała nic pilnego do załatwienia i odebrała uwagę jako jawne wtrącanie się Huberta w jej życie prywatne. Mógł jej wydawać polecenia służbowe i to mogła tolerować, ale w żadnym wypadku nie będzie jej dyktował, z kim może się widywać.

– Mam chyba prawo do przerwy na drugie śniadanie.

– Wymierzyła swój wzrok niczym laserowy miecz w samo serce Huberta, gdzieś na wysokości górnego guzika marynarki.

Hubert podniósł oczy znad komputera i obrzucił ją niedowierzającym spojrzeniem.

– I wykorzystujesz ją na spotkanie się z tym... z tym...

– Najwyraźniej zapomniał imienia. – Z tym kolesiem?

– To Mirek.

– No właśnie, z Mirkiem? On ci się naprawdę podoba?

– Patrzył na nią z prawdziwym zainteresowaniem.

Martyna poczuła, że robi jej się sucho w gardle. Co za wścibski dupek, pomyślała. Nic mu do tego, z kim się spotykam! Nie dość, że burak i prymityw, to jeszcze będzie jej wchodził z butami w... życie intymne.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Mirek jest moim kolegą i nikim więcej, niech więc pan ostudzi wyobraźnię i nie dopisuje jakichś bzdurnych urojeń. Co do Mirka, to jest to bardzo miły i odcytany chłopak i lubię z nim rozmawiać, bo jest o czym – zaakcentowała to ostatnie słowo i wyniośle spojrziała na Huberta.

On patrzył na nią jeszcze przez moment, dłużej niż by wypadało i odparł:

– O Boże, a już się przestraszyłem, że ty naprawdę... – Pokiwał głową z ulgą.

Po chwili znów spojrzął na nią, zmarszczył brwi i dodał zupełnie niepotrzebnie:

– Zanudziłabyś się z nim na śmierć w ciągu tygodnia. To byłaby fatalna agonia. Z nudy. Albo zagadałby cię na śmierć. Nie wiadomo, co gorsze.

Ale najgorsze miało się stać za chwilę. Faceci wszystko biorą dosłownie – babcia miała rację. Hubert nagle zaproponował, aby razem poszli do kuchni zrobić sobie kawę.

Kiedy tam weszli, zastali Mirka, Hankę i Marzenę jedzących biurowy lunch. Hubert nalał sobie kawy, oparł się o lodówkę, a potem zapytał, co zebrani sądzą na temat żab rozjeżdżanych na drogach przez samochody. Wszyscy spojrzeli na niego podejrzliwie, a on nawiedzonym głosem zaczął opowiadać o jakimś programie, który niedawno oglądał na kanale Discovery. Użalał się nad malejącą populacją pingwinów i niedźwiedzi

polarnych i za to wszystko winił globalne ocieplenie. Dziewczyny patrzyły na niego zaintrygowane, Mirek udawał zainteresowanie, a Martyna, zielona na twarzy, mieszała nerwowo kawę w kubku i wymownie milczała. Na szczęście nikt nie zwracał na nią uwagi, bo Hubert tak zajmująco mówił o losie ginących tygrysów sumatrzańskich, że wszyscy pilnie go słuchali, nie chcąc uronić ani słowa. Hanka szczerze się przejęła i nawet chciała od razu wpłacić donację na konto jakiejś ekologicznej organizacji, która wspiera zwierzęta. Na koniec wywiązała się dyskusja, w trakcie której Hubert zapewnił, że wyśle wszystkim adres strony internetowej o złym traktowaniu kaczek i innych ptaków. Prosił, aby przesłać ją dalej, do jak największej liczby osób, aby podnieść świadomość społeczną na temat ochrony zwierząt, bo ich los bardzo mu leży na sercu.

Kiedy znaleźli się z powrotem w pokoju, Martyna z przekąsem zapytała:

– Czyżby chciał pan kogoś poderwać?

– Nie, ale widziałas, jakie zrobiłem wrażenie na twoich koleżankach?

Dobry byłem, co? Hanka to tak była wpatrzona we mnie... – Uśmiechnął się łobuzersko i nie dokończył zdania.

– Ona jest po rozwodzie, więc ma pan szansę, gdyby pan chciał. A swoją drogą, nie sądziłam, że tak się pan przejmuje wymierającymi gatunkami.

Znów wyszczerzył zęby i zadowolony dodał:

– Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz. A co do zwierząt, to naprawdę je lubię.

Po tym zdarzeniu Mirek przyjął nową strategię. Czekał na Martynę po pracy i odprowadzał ją na przystanek. Łatwo się facet nie poddawał.



## *Rozdział 8*

### *Delegacja służbowa*

W pierwszych dniach listopada dyrektor Bączek wezwał Huberta do siebie i oświadczył, że wytypował Martynę na wyjazd na targi do Hanoweru. Podobno dyrektor Kowalski zażyczył sobie, aby pojechała tam jakaś przystojna, młoda dziewczyna, bo stoisko lepiej wygląda. Zazwyczaj to Hubert reprezentował ich dział na tej międzynarodowej imprezie i on był tym „przystojnym. młodym”, ale tak widać, czasy się w firmie zmieniły. Wybór Martyny tylko potwierdził w oczach Huberta fakt, że jest ona protegowaną Kowalskiego, w zasadzie więc się nie zdziwił. To, co go zdumiało, to pozostały skład delegacji. Pani Alinka z importu i pan Czesio z półfabrykatów. Najwidoczniej dyrektor Kowalski nie wiedział jak pan Czesio zachowuje się na delegacjach, i nie słyszał krążących po biurze opowieści o jego erotycznych ekscesach. Bo chyba wtedy zastanowiłby się, czy na pewno chce wysłać swoją protegowaną w takim towarzystwie. Cóż, wszystko wskazywało na to, że szacowna dyrekcja wybrała życie w błogiej nieświadomości, a Hubert nie zamierzał donosić na, jak by nie było, biurowego kolegę. Co miał zrobić? Uprzedzić Martynę? Ale czy można było z całą pewnością przewidzieć, z czym wyskoczy pan Czesio? I w końcu Huber przypomniał sobie, że to zupełnie nie była jego sprawa. Córki by z panem Czesiem nie wysłał nawet do sklepu spożywczego, ale czy Martynka była jego córką? Nie. Więc nie było się nad czym zastanawiać. Zresztą, była dorosła.

Poszedł do pokoju i bez żadnych wstępów zakomunikował swojej podopiecznej, że czeka ją wyjazd służbowy. Ku jego zdziwieniu Martyna nie była zachwycona. Twarz jej spochmurniała, jakby zbierało się na deszcz, wykonała parę chaotycznych ruchów głową, dwa razy otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, w końcu za trzecim wydo była z siebie głos.

– A co ja będę tam robić?

– Zachwalać nasze towary.

– A więc muszę odmówić. Spojrzał na nią, jakby nie dosłyszał.

– Co? – Rozdziawił lekko usta. Znów kompletnie go zaskoczyła. – Dlaczego?! Myślałem, że będziesz skakać z radości.

– Nie znam się na asortymencie, który sprzedajemy – wyrzuciła z siebie przez tygodnie skrywaną prawdę.

– A na czym się tu znać?

– Nawet nie wiem, jak walcówka wygląda.

– Żartujesz!

– Mówię poważnie. Pręty zbrojeniowe, kęsy stalowe, wlewki, katody, o tym też nie mam pojęcia. I nie wiem, do czego służą.

Parsknął śmiechem.

– I myślisz, że to twój największy problem?

– A widzi pan większy?

Hubert zrobił dwa kroki w stronę okna i dwa z powrotem, a potem podrapał się w głowę.

– Martyna... przecież nikt cię tam nie będzie egzaminował. To nie szkoła. Ważne, że ci, co kupują, to się znają. Zresztą, najważniejsze, żebyś знаła specyfikację. Wiesz, przekroje, zawartość węgla w stali i takie tam.

Naucz się na pamięć. Swoją drogą, jak na osobę, która sprzedała parę setek ton tego towaru, to... Nie możesz obejrzeć w Internecie?

– Patrzałam, ale do mnie nie przemawia.

– Tym się nie martw. No więc... pojedziesz i nie ma o czym mówić.

Tydzień później Martyna, w asyście pana Czesia i pani Alinki, ubrana w garsonkę, pożyczoną od Marzeny, stała, niczym żołnierz na posterunku, na stoisku firmy Metalex w przepięknym pawilonie wystawowym na Hannover Messe i uśmiechała się do różnych niemieckich biznesmenów. Ci najczęściej odwzajemniali uśmiech i szli dalej. Od czasu do czasu któryś się zatrzymywał i przeglądał wyłożone ulotki, a potem słuchał recytacji Martyny na temat produktów oferowanych przez Metalex. Skutecznie przepłoszony, a może znudzony, dziękował i odchodził. Pan Czesio miał większe powodzenie. Co rusz z tłumu marynarek wyłaniał się ktoś, kto podchodził do pana Czesia i witał się z nim wylewnie, jakby się znali kopę lat. O ile za kopę lat można uznać dekadę przepracowaną przez pana Czesia w Metaleksie. Pani Alinka zajmowała się głównie parzeniem kawy i opowiadaniem Martynce, jakie super buty widziała w Deichmannie i co jeszcze zamierza sobie kupić za zaoszczędzone diety. Od czasu do czasu znikwała w toalecie na więcej niż kwadrans, zostawiając Martynę z panem Czesiem. W połowie dnia na stoisko zawitała najwyższa dyrekcja; dyrektor Bączek, dyrektor Kowalski i dyrektor Łaś z półfabrykatów. Kowalski spojrzał na Martynkę i zapytał:

– A co ty tu, dziecko, robisz?

Martyna zrobiła przestraszoną minę i już chciała coś powiedzieć, ale Bączek pośpieszył z wyjaśnieniami, że to „ich” Martynka z działu metali.

– Jakaś nowa? – zapytał Kowalski.

– Tak, tak, to nasza nowa koleżanka. Pracuje z Hubertem – potwierdził Bączek.

– Ach, myślałem, że on chciał Norberta – zdziwił się Kowalski. – Ale dziewczyna się przyda w jego zespole.

Potem zlustrował Martynę przenikliwym wzrokiem i wrócił do rozmowy na temat eksportu półfabrykatów. Po wypiciu kawy i whisky dyrekcja się pożegnała i na stoisku znów zapanował upragniony święty spokój.

W końcu pierwszy oficjalny dzień targów dobiegł końca i pan Czesio zaproponował, aby poszli we trójkę na kolację. Znał świetną bawarską knajpę z piwem, preclami i golonką z kapustą, że palce lizać. Martyna i pani Alinka bez wahania przystały na tę propozycję i niedługo potem wszyscy troje znaleźli się w jakimś zatłoczonym baraku, gdzie ledwo udało im się wcisnąć w tłum rozochoconych piwem niemieckich biznesmenów. Między stolikami przemykały kelnerki ubrane w ludowe stroje zwane dirndl – co podkreślało folklorystyczny charakter knajpy. Tłok panował nieziemski, ale jakimś cudem znaleźli trzy wolne miejsca. Pan Czesio, przekrzykując panujący hałas, zamówił piwo i golonkę i wkrótce na stole pojawiły się litrowe kufle, które były tak ciężkie, że potrzeba było dwóch rąk, aby je unieść. Było gwarnie i biesiadnie, po pewnym czasie na stół wjechały talerze z jedzeniem, roztaczając wokół apetyczne aromaty. Pan Czesio zabawiał obie panie, jak umiał, opowiadał przestarzałe dowcipy, które w tych okolicznościach nadal były bardzo śmieszne, i całe towarzystwo chłonęło atmosferę rodem z Oktoberfest, tylko że nie w październiku, a w listopadzie, i nie w Bawarii, a w dolnej Saksonii. Kiedy na podwyższeniu pojawiła się orkiestra przygrywająca skoczne melodie, wszyscy troje zostali

porwani do tańca typu „wąż”, który lawirował między stolami, wydłużając swój ogon o coraz to nowych uczestników. Zabawa rozkręciła się na całego, ktoś zaczął przytupywać, ktoś jodłować, a nawet doszło do chóralnego, spontanicznego śpiewania. Strumieniami lało się piwo, kelnerki uwijały się jak w ukropie, torując sobie drogę wśród tłumu łokciami i szturchańcami i trzymając tace pełne kufli piwa wysoko nad głowami gości, co było nie lada sztuką. Martyna miała wrażenie, jakby brała udział w jakimś przedstawieniu, tylko nie ustaliła, czy jest widzem, czy aktorem. Ale to był dopiero początek wieczoru.

Po powrocie do hotelu pan Czesio obwieścił rozbawionym paniom, że tak miło rozpoczęty wieczór nie może się jeszcze skończyć, i zawitał do ich pokoju z półlitrowką wódki. Rozlał alkohol do hotelowych szklanek mających służyć do mycia zębów, zwałił się na podłogę przy rozchichotanej pani Alinie i... zaczął całować jej kolana. Jego usta wprost przyssały się do jej rzepek, a palce wykonywały erotyczny masaż łydek, jakby był w transie. Martyna zastanawiała się, czy to jest uwielbienie, upojenie alkoholowe, czy też pan Czesio testuje efektywność wiedzy zaczerpniętej z ostatniego pornosu, jaki widział w zaciszu własnego domu. I czy to był wstęp do... części dalszej? Pani Alinka, już nieźle pijana, trzepocząc rzęsami, które uginały się od nadmiaru tuszu, chichotała, że to ją łaskocze, i powtarzała mało przekonująco, żeby pan Czesio przestał. Ale pan Czesio nie przestawał, tylko dalej z lubością ją całował. Po chwili masaż łydek przeszedł w masaż stóp, co jeszcze bardziej łaskotało panią Alinkę, więc zachwycona chichotała dalej.

Martyna siedziała obok i zastanawiała się, co ma ze sobą zrobić? Czekać na swoją kolejkę z panem Czesiem? Czy wyjść na korytarz i nie

przeszkadzać? A może spać w łóżku pana Czesia? Albo zamknąć się w toalecie i wyjść dopiero rano? Swoją drogą, kolana nigdy, ale to nigdy nie kojarzyły jej się z seksem. Raczej z łysiną, która jest przecież mało seksowna. Ma wyobraźnię ten pan Czesio! Pomyślała, że jej koledzy ze studiów z pewnością nie mieli tak rozbujanych fantazji erotycznych. Nie pamiętała, aby ktoś zaczynał od... kolan. Albo na kolanach kończył. Całusy w łydki też nie cieszyły się popularnością. Był taki jeden chłopak, który kiedyś przesiedział imprezę u stóp swojej dziewczyny i kładł jej głowę na kolanach, ale to tylko dlatego, że w pokoju był jeden fotel i ona siedziała właśnie na tym fotelu. Chłopakowi w sposób naturalny przypadła podłoga i kontakt dotykowy z kolanami dziewczyny.

Tymczasem pani Alinka świergotała w pijackim uniesieniu swoim cienkim głosikiem:

– Martynko, pij, pij, młoda, wiesz, jak alkohol rozluźnia! Ha! Ha! Czesiu, no przestań wreszcie, jesteś nieprzyzwoity. I co ty robisz? Ale ten masaż, ha, ha, nigdy bym cię nie podejrzewała o takie zdolności, ha, ha. Jest mi wspaniale! Ale już przestań... ha, ha... Och...

Martyna wysiliła się na uśmiech i udawała, że świetnie się bawi, a umizgi pana Czesia wcale jej nie przeszkadzają.

– No, piję, piję – powtarzała, ledwo maczając usta w szklance i starając się nie wykrzywiać z odrazą.

W tym momencie postanowiła, że następnym razem, jeśli wyślą ją na delegację, bezwzględnie zażąda własnego pokoju. Gdzieś ma oszczędności firmy. Niech sobie oszczędzają na pensjach dyrektorów, a nie na niej. Albo już nigdy nie wyjedzie służbowo. Już nigdy! Od początku miała złe przeczucie.

Machinalnie wzięła do ręki pilota i włączyła telewizor. Właśnie leciał jakiś mecz. Pan Czesio oderwał na chwilę usta od kolan pani Alinki i spojrzał w ekran. Niestety, na krótko. A potem skierował wzrok na Martynę trzymającą w ręku szklankę z wódką.

– No, to hop do góry – przerzucił na nią swoje zainteresowanie.

– Ale ja... nie piję tak. Nie umiem.

– No to pij jak chcesz, dziewczyno, byle miało swój efekt. Rozluźnij się. Mama daleko!

Po chwili poczuła jego mokre wargi na swoich kolanach. Co też ten facet ma do kolan? Nie wystarczą mu te pani Alinki?

– Panie Czesiu, niech pan przestanie... bardzo pana proszę!

Starła się go odepchnąć, ale nie było łatwo. Facet był silny. I doszłoby zapewne do niezręcznej szamotaniny, gdyby w tym momencie nie zadzwoniła komórka. Pan Czesio oderwał usta od kolan Martyny, zastrzygł uszami i wyjął z kieszeni spodni swój telefon.

– O kurwa, to moja żona! Bądźcie cicho!

Pani Alinka i Martyna jak na komendę umilkły i w pokoju słychać było tylko głos sprawozdawcy sportowego płynący z ekranu telewizora.

– Cześć, kochanie – zaczął pan Czesio przymilnym głosem. – Tak, już jestem w pokoju, nudno tu bardzo, co... skaczę po kanałach... Właśnie mecz jakiś oglądam... wszystko w porządku... nic się nie dzieje... kupię, na pewno kupię... też się już stęskniłem... Kocham cię... pa.

Pan Czesio rozłączył się i schował komórkę do kieszeni, po czym wychylił pozostałą wódkę do dna i spojrzał na obie panie.

– Ach, jak mnie, skubana, pilnuje... idę... dobranoc. I zniknął za drzwiami.



Martynka całą noc błogosławiła tego, kto wynalazł komórki, i chciała go ozłocić. Ale pewnie był już nieźle bogaty. Pani Alinka część nocy spędziła w łazience z powodu. .. zatrucia pokarmowego. Na drugi dzień rano pan Czesio wypił sześć kaw i znów był miłym, misiowatym panem Czesiem, który od czasu do czasu rzucił jakiś stary dowcip. Życie toczyło się dalej, jakby zupełnie nic się nie stało. Reszta delegacji upłynęła już bez ekscesów i wszyscy zadowoleni wrócili do kraju.

Zaraz po powrocie Martyny do biura Hubert prosto z mostu zapytał:

–I jak było?

– Dobrze, mam ta trochę zapytań na miedź i pręty zbrojeniowe. Nawet całą masę. Może wyjdą z tego jakieś kontrakty. – Martyna rzuciła na stół stos kartek z wizytówkami, jakieś papiery i broszury.

Hubert jednak nie był nimi zbyt zainteresowany. Nietrudno się było domyślić, że zżerała go ciekawość, co do szczegółów pobytu.

– A poza tym?

– Poza tym była ładna pogoda i Hanower też bardzo ładny.

– To wszystko?

– A co by pan jeszcze chciał wiedzieć?

– Czy pan Czesio całował cię w kolana?

Spojrzała na niego jak sroga nauczycielka na niegrzecznego ucznia, który powiedział coś bardzo, ale to bardzo niestosownego. Wścibski, infantylny burak, zasraniec, pomyślała. Co to za pytanie w ogóle.

– On zawsze całuje kogoś w kolana – dodał Hubert usprawiedliwiającym tonem.

– Pana też?

– Nie, na facetów nie leci. Nie miałem tej przyjemności.

– Nie, nie całował mnie. Może pan być spokojny. Nie zdążył. Żona zadzwoniła.

– Och, to odetchnąłem.

– Czyżby się pan mną przejmował? – zapytała zgryźliwie.

– No... wolałbym, żebyś nie wdawała się w romans z panem Czesiem, bo on jest żonaty i dzieciaty. Żona to ponoć bardzo zazdrosna istota. Pod tym względem Mirek lepszy, choć wiesz, co o nim myślę. Ale co do tego przejmowania się... wiesz... pracujemy razem, jestem twoim szefem, więc, oczywiście, że czuję się odpowiedzialny. I obchodzisz mnie. Coś w tym złego?

– Nie, nic. Pytam... z ciekawości. Aha... gdyby pan zapomniał, to jestem już dorosła. Więc proszę się mną jednak zbytnio nie przejmować.

W tym momencie Martynie zaświtał w głowie pewien pomysł. Jeżeli taki opiekuńczy ten jej szef, to go wykorzysta.

– Czy mógłby mi pan pomóc w sprawie Mirka.

–Ja? – Hubert spojrział na nią nieco zaskoczony.

– Tak, pan. Czy mógłby mnie pan dzisiaj odwieźć do domu?

Znów go zaskoczyła. Ach, ta dziewczucha to ma fantazję... że on niby do domu ma ją odwozić? Ale właściwie... będzie dobra zabawa. Zgodził się.

## *Rozdział 9*

*Szare na złote – przemiana i co z niej wynikło*

Martyna wysiadła z zielonej hondy Huberta, rzuciła „Dziękuję” i od razu skierowała kroki do klatki schodowej. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, oparła się o ścianę i wygięła usta w podkówkę. Nagle poczuła się tak bardzo samotna i nieszczęśliwa, że zachciało się jej płakać. Łzy same napłynęły do oczu, a ramiona zaczęły drgać w konwulsyjnych spazmach. Tak ją jakoś wzięło... Bo nic się nie układało... Cholera... Teraz zostanie zupełnie sama, jak jej mama i babcia, pomyślała rozżalona. Jeszcze gorzej, bo one przynajmniej były wdowami, a jej przyjdzie spędzić życie jako stara panna. Pogoniła Mirka, który wystawał z nią na przystankach, nawet jak padał deszcz, i teraz mogła liczyć tylko na facetów pokroju pana Czesia – spuszczonej ze smyczy mężów szukających przygodnego seksu. Jedyną radość, jaka ją w życiu czekała, to awans na starszego handlowca, jeśli ją w ogóle kiedyś awansują. Świetlana perspektywa, zadrwiła na samą myśl o takim życiowym scenariuszu. Do chrzaniu z tym wszystkim... Próbowała się jakoś uspokoić, wysmarkała nos i wytarła oczy. Miała po prostu zły dzień.

Czuła się podle z powodu Mirka. Przed wyjazdem do Hanoweru jej biurowy adorator zaprosił ją do kina. Powiedziała, że nie ma czasu, ale obiecała, że może pójdzie po powrocie z delegacji. Ach, dlaczego to zrobiła? Po co dała mu złudną nadzieję? Teraz winiła siebie, że tak beznadziejnie rozegrała całą sprawę. Dziś po południu Mirek czekał na nią jak zwykle przy drzwiach Metaleksu, a ona... przeparadowała mu przed nosem z Hubertem, rzucając tylko krótkie „Cześć”. Na domiar złego Hubert

przesadnie wczuł się w swoją rolę, głupkowato się do niej uśmiechał, szarmancko otworzył drzwi, aby ją przepuścić, a potem, na oczach Mirka, wsiedli razem do hondy Huberta. Do tej pory czuła na sobie zbolale spojrzenie swojego wiernego adoratora i wiedziała, że zraniła go do żywego. Powinna była delikatnie mu wytłumaczyć, jak się sprawy mają, a wybrała do tego najgorszą drogę z możliwych.

Na dodatek Hubert. Gdy tylko wsiedli do samochodu, zadzwoniła do niego Lucy. Gruchał w słuchawkę, zupełnie nie przejmując się obecnością Martyny. „Tak, kochanie, przyjadę i zostanę... odwożę Martynkę, bo gdzieś się śpieszy... nie ma sprawy... to pocałuję... to też pocałuję... a nie, ona jest dorosła – tu na nią spojrział – ..też się cieszę... to buziaczki". A przecież rano kiedy powiedział, że się nią przejmuje, to tak popatrzył, że ciepło jej się zrobiło na sercu. Boże, ale była głupia! I co ona w ogóle sobie wyobrażała? Przecież wiedziała, że Hubert ma Lucy. A to, że się z nią czasem kłócił, nie miało żadnego znaczenia. Kłócił się i godził. A jednak zrobiło jej się bardzo, bardzo smutno. Tak, po prostu miała zły dzień, westchnęła. Musi się wziąć w garść. Otarła łzy i podreptała na górę do mieszkania.

Tego wieczoru zadzwoniła do Sandry. Była taka zdołowana, że koniecznie chciała się spotkać z koleżankami i wypłakać im swoje smutki. Okazało się, że Sandra też była spragniona dziewczyńskich pogaduszek, bo przez ostatni miesiąc słuchała ciągle o samochodach, meczach ligowych i Formule 1. Udawała zainteresowanie, ale była tym lekko znużona. Od razu więc chętnie się zgodziła i umówiły się na piątek. Zosia miała wrócić do tego czasu z Londynu, zatem spotkanie zapowiadało się w pełnym składzie.

Wszystkie trzy pojawiły się we włoskiej restauracji. Zamówiły makaron penne z boczkiem i cebulą, czerwone wino, a na deser tiramisu.

Sandra non stop nawijała o Robercie, w którym była zakochana. Aż trudno jej było przerwać. Zosia paplała o szkoleniu w Londynie, o tym, jakie ciuchy kupiła, o musicalu, który jej się podobał, i o czymś tam jeszcze. W końcu tajemniczym tonem zdradziła, że poznała łysego Anglika, bardzo miłego i... obiecującego. Martyna słuchała koleżanek w milczeniu i zastanawiała się, o czym ona ma opowiedzieć. O zalotach pana Czesia? A może Mirka? U niej właściwie nie działo się nic. Pochwaliła się, że była na targach w Hanowerze, ale tylko dwa dni i, prawdę powiedziawszy, to mało co zwiedziła. O doświadczeniach z panem Czesiem nie miała ochoty mówić. Uznała je za zbyt żałosne, by opowiadać o nich swoim koleżankom. Zosia na pewno zdziwiłaby się, że nie kopnęła pana Czesia prosto w krocze. Albo bardziej filmowo – nie spoliczkowała go. Ale czy ona była aktorką? Poza tym, za co miała go kopnąć? Za całowanie kolan? Czy to podpada pod molestowanie seksualne? Nie była pewna. Po wysłuchaniu treści wszystkich e-maili, jakie Zosia wymieniła z łysym Anglikiem, koleżanki zwróciły wreszcie uwagę na milczącą Martynę. Przypomniały sobie o jej przystojnym szefie i zaczęły o niego wypytywać. Kiedy Martyna stwierdziła, że zmienił się na lepsze i w zasadzie to był bardzo fajny, ich zainteresowanie od razu wzrosło.

– I w ogóle cię nie zauważa? – pytała przejęta losem koleżanki Zosia.

– Nie, przecież mówiłam, że ma dziewczynę.

– Słuchaj, to, że spotyka się ze zjawiskową, długowłosą blondynką, to jeszcze nic nie znaczy – tłumaczyła Zosia w przerwach przeżuwania makaronu. – Już ci mówiłam, że takie dziewczyny są dobre na trochę, ale nie na długo. Facet musi się poczuć, no, wiesz, jak w domu. – Podniosła rękę z widelcem i zaczęła nim kręcić kółka w powietrzu, aby Martyna lepiej

zrozumiała. – Kapatcie, telewizor i trochę wyrozumiałości. To im do szczęścia zupełnie wystarczy. I uważaj z intelektem. Żeby nie czuł się zagrożony. Ale też nie za nisko, bo wtedy pomyśli, że jesteś idiotką, i będzie się ciebie wstydził przed kumplami.

– A czy ty w ogóle coś robisz, żeby go zdobyć? – zapytała rzeczowo Sandra.

– A co miałabym robić? On nigdy nie zwróci na mnie uwagi. Dla niego jestem cipcią. Już to powiedział.

– Boże, Martyna, nic ci samo z nieba nie spadnie, chyba że deszcz na głowę. Dziś trzeba o swoje walczyć.

– Z tym anorektycznym puchem? Nie czuję się na siłach. Za bardzo lubię jeść. – Włożyła sobie do buzi całą łyżkę tiramisu. Rozpłynęło się apetycznie na języku. Z tego nawet dla Huberta nie zrezygnuje. Nie opłacało się.

– Martyna, spójrz na siebie. Czy ty w ogóle masz w domu lustro?

– No, mam, w przedpokoju.

– Słuchaj, może powinnaś zmienić styl?

– Na jaki?

– Po pierwsze, kup sobie buty na obcasie.

– Noś spódnice mini.

– I bluzki z dekolcami.

– Paznokcie sobie zrób.

– Idź do fryzjera.

– Perfum używaj.

– Dziewczyny, czy wy myślicie, że to naprawdę działa na facetów? Dajcie mi rady jak z amerykańskich poradników. Ja chcę, żeby ktoś mnie kochał za to, jaka jestem.

Sandra i Zosia wymieniły spojrzenia,

– Martyna, ja wiem, że to poniżające dla nas, ale faceci nie są zbyt skomplikowanymi stworzeniami. I to działa. Szczególnie na początku. Wiesz, seksapil to nasza broń kobieca.

– W starszym wieku też działa – dodała Zosia z mocą, myśląc o swojej mamie.

– Faceci są przekonani, że robisz to dla nich – uzupełniła Sandra.

– Jak będziesz taką szarą myszką, to nikt nie zwróci na ciebie uwagi. Powinnaś widzieć, jak się ubierają w Londynie. Tam to dziewczyny mają odwagę. Dekolty, wycięcia, kolczyki w pępkach. Ich strój to zaproszenie do łóżka. My przy nich to grzecznutki pokojówki, nudne, szare, bez fantazji. Więcej odwagi i pomysłowości, pokaż, na co cię stać.

– Spójrz na siebie: garsonka, jakbyś na poczcie pracowała, o butach można powiedzieć tylko jedno, że wygodne. Fryzura autobusowa. Makijaż niewidoczny. Musisz coś zmienić. Być bardziej seksowna.

– Zmień się nagle, żeby to zostało zauważone.

– Ale ja się sobie podobam. Poza tym, nie mam pieniędzy – upierała się Martyna.

– A od czego są karty kredytowe? Podobać to się musisz jemu, dopiero potem sobie – Zosia perorowała z pewnością osoby, która zna się na rzeczy.

– Zresztą, sobie też się będziesz podobać. Zobaczysz.

– Ale co u mnie można zmienić? Popatrzcie na mnie? No... jestem taka, jaka jestem.



Dziewczyny patrzyły na nią z uwagą przez dłuższą chwilę.

– Trzeba eksperta – zdecydowała Sandra.

– Mam koleżankę w pracy, której siostra jest wizażystką – przypomniała sobie Zosia. – Ona coś wymyśli. Maluje artystów. I ubiera też. A, i fryzjerką też jest. Trzy w jednym. Podobno świetna.

Zanim Martyna zdołała się sprzeciwić, już została umówiona na następny dzień na rajd po sklepach i wizytę u wizażystki. Pomyślała o swojej karcie kredytowej, ale od czego nazwa kredyt. Raz się żyje i jest się młodym. Później będzie się martwiła o coś tak prozaicznego jak kasa. Zosia cały czas opowiadała o jakimś programie na BBC, podczas którego zmieniają przeciętność w osobowość. Ropuchy stają się królewnami, jak w bajce. Jutro się przekona, czy z nią też tak będzie. Królewnę mogła sobie darować, ale jeśli ktoś wydobyłby z niej styl i osobowość... to było kuszące.

W sobotę Martyna zerwała się z łóżka już o ósmej rano i popędziła na spotkanie ze stylistką o imieniu Bernadetta, która jednocześnie była fryzjerką i wizażystką. Zosia i Sandra również przybyły, aby dodać jej otuchy. Obie chciały uczestniczyć w procesie przemiany przyjaciółki i mieć w tym swoje zasługi. Poza tym, same były bardzo ciekawe, co wyniknie z tego ryzykownego eksperymentu. Bo jeżeli ta Bernadetta faktycznie wyczaruje inną Martynkę, to może warto samemu poddać się takiemu zabiegowi?

Bernadetta okazała się bardzo miłą dziewczyną; ubrana była artystycznie, co potwierdzało, że zna się na rzeczy. Wpakowała je wszystkie do swojego samochodu i rozpoczęły eskapadę po sklepach. Martyna czuła, że sąd ostateczny nad jej osobą się rozpoczął. Dowiedziała się wielu nieprzyjemnych rzeczy: że się garbi, że przekrzywia głowę w jedną stronę,

że chodzi jak kaczką, że musi trzymać kolana razem, a biust i podbródek wypinać do przodu. Potem przyszła kolej na bardziej przyjemne odkrycia; okazało się, że biust ma, tylko go ukrywa, że jej nogi są zgrabne i powinna je pokazywać, że dobrze jej w okularach, gdyby kiedyś chciała nosić, że nos ma kształtny, a rzęsy długie. Bernadetta kazała jej przymierzyć chyba z pięćdziesiąt różnych bluzek, sukienek i spodni, w różnych kolorach i fasonach. Na większość z nich Martyna nawet by nie spojrzała, nie mówiąc o ich przymierzaniu. Posłusznie jednak wkładała, zdejmowała, zapinała i rozpiniała, aby za chwilę powtórzyć te czynności na nowo. Bernadetta patrzyła na nią uważnie, studiowała niczym malarz swoje dzieło, i w końcu zdecydowała. Kazała jej kupić prześwitującą bluzkę w kolorze kawy, której Martyna sama nigdy by nie wybrała, i jeszcze jedną podobną, pomarańczową. Potem doradziła czarną wąską spódniczkę i czarne spodnie, a do tego kozaki za kolano na wysokim obcasie. Wybrała dla niej również kwiecistą sukienkę przed kolano, którą radziła nosić z czarnymi rajstopami i wysokimi szpilkami. W tych szpilkach Martynie trzęsły się łydki, ale Bernadetta fachowo stwierdziła, że po dwóch dniach się przyzwyczai. Wielki świat mody był bezwzględny i nie przejmował się takimi detalami jak wygoda. Liczył się efekt końcowy.

Po południu obciążone zakupami dziewczyny pojechały do studia Bernadetty, pełnego szminek, tuszów, podkładów i innych mazideł potrzebnych do tego, aby wyglądać bosko. Martyna usiadła na fotelu i zaczęło się. Bernadetta ufarbowała jej włosy na rudy brąz, zrobiła pasemka, obcięła, wycieniowała, wyprostowała i zaciesała na bok. Potem zajęła się twarzą; wydepilowała brwi, zrobiła makijaż i dopiero kiedy wszystko było gotowe, pozwoliła swojej klientce spojrzeć w lustro. Martyna ledwo się

poznała. Wpatrywała się przez parę minut w swoje odbicie, starając się rozpoznać, czy to na pewno ona. Tak! To była ona! Wyglądała FANTASTYCZNIE! Nigdy nie przypuszczała, że fryzura i makijaż mogą tak dużo zmienić. W kawowym i pomarańczowym było jej do twarzy, chociaż do tej pory nie lubiła tych kolorów. I te rude włosy! Jej kolor! Cera w jedno popołudnie nabrała oliwkowego odcienia, wyjaśniała i wygładziła się. Patrzyła na siebie i... tak, to była ona!!! We własnej osobie. Sandra i Zosia też były zachwycone i już same zaczęły się umawiać z Bernadettą.

Wtedy właśnie do pracowni wszedł Łukasz, fotografik, z którym pracowała Bernadetta. Łukasz wlepił Bernadecie całusa w policzek i został przedstawiony dziewczynom. Był dosyć niski, z bliznami po przebytym trądziku na twarzy, ale te niedociągnięcia natury nadrabiał stylem. W czarnych spodniach, ciemnej koszuli w paski i butach z czubami wyglądał całkiem nieźle. Przyjrzał się Martynie z uznaniem, a potem zaproponował, że zrobi jej parę zdjęć. Agencje wciąż szukają nowych twarzy, warto więc spróbować.

– No, nie wiem...

– Dobra, siadaj tutaj – powiedział słodkim tonem, który rozbrajał wszystkie kobiety.

Rozwiesił za nią firanki, pozapalał jakieś światła, kazał się uśmiechać, potem się nie uśmiechać, stanąć, usiąść, kucnąć i cały czas strzelał jej zdjęcia, jakby pomylił aparat z karabinem maszynowym.

– Muszę je obrobić. Gdyby wyszło coś fajnego, to ci wyślę. Jaki masz e-mail?

Martyna podała mu adres, nie licząc na to, że stanie się twarzą „Vogue'a” czy choćby rodzimych tabloidów, ale co tam... Może

przynajmniej będzie miała ładne zdjęcie? Jeśli bardzo ją przyciśnie samotność, to zamieści je na jakimś portalu randkowym, ucieszyła się.

– Dziewczyny, idziemy z Bernadką do klubu, potańczyć. Może chcecie dołączyć?

Sandra spojrzała na Łukasza.

– Świetny pomysł!

– No jasne, idziemy. Koniecznie z Martyną. Chcemy jej znaleźć faceta – dodała Zosia, puszczając oko do Łukasza.

– To... na polowanie! Jeśli będę mógł pomóc... to na pewno to zrobię – odparł Łukasz, patrząc na Martynę, która właśnie pożałowała, że nie udusiła Zosi, kiedy miała taką okazję.

W klubie było tłoczno, ciemnawo i bardzo głośno, w powietrzu unosił się słodkawy aromat alkoholu, dezodorantów i potu, pobudzając zmysły obu płci. Dziewczyny zamówiły „Cosmopolitan” i postanowiły, że dzisiejszego wieczoru poczują się jak w serialu *Seks w wielkim mieście*. Trzymały w rękach koktajlowe kieliszki na długich nóżkach, w których kapały się pokruszone kawałki lodu, i wyobrażały sobie, że są gdzieś na Manhattanie. Po godzinie dołączył do nich chłopak Sandry, a ponieważ trudno było im rozmawiać w panującym hałasie, więc wyciągnął swoją dziewczynę na parkiet i znikli w tłumie. Łukasz i Bernadetta również wtopili się w podrygujący gąszcz ludzi i ulotnili z pola widzenia. Martyna została sama z Zosią. Wodziły oczami po przewalającej się fali ciał i sączyły swoje drinki. W pewnej chwili Zosia stuknęła koleżankę.

– Martyna, jakiś facet gapi się na ciebie.

– Jak wygląda? Mięśniak czy da się pogadać?

– Na mięśniaka nie wygląda. Rozum mu prześwieca przez zakola i okulary ma. Optyczne.

– Może to na ciebie się gapi?

– Nie, jestem pewna, że na ciebie. Z kolegą jest. Kolega nawet przystojny. Zawołać ich?

– Zwariowałaś? Niech sami podejda.

– Jeszcze się rozmyślą. Ja biorę tego, co się na ciebie nie gapił.

Ku przerażeniu Martynty Zosia szybko zaczęła dawać głową i dłonią znaki, które były jak najbardziej jednoznaczne. Po chwili przy ich stoliku pojawiło się dwóch młodzieńców w ciemnych koszulach, obcisłych dżinsach i butach kowbojkach. Jeden miał na imię Mariusz, drugi Czarek. Zosia od razu zaczęła się uśmiechać do Mariusza, który był wyraźnie przystojniejszy niż jego kolega i okazał się również bardziej rozmowny. Czarek siedział milczący jak sfinks i jedyne, co robił, to pożerał Martynę wzrokiem, czego nie można było nie zauważyć. Jak zwykle trafia się jej drugi sort, pomyślała, chociaż... chłopak miał w twarzy coś pociągającego. Zamówili następną kolejkę drinków, Mariusz starał się przekrzyczeć wyjące głośniki, Zosia usiłowała zrozumieć, co on mówi, ale było to dosyć trudne. Mariusz poprosił ją więc do tańca i opuścili stolik, zostawiając Martynę skazaną na towarzystwo Czarka. Poczula się jak na zesłaniu na bezludną wyspę z zamontowaną na drzewie kamerą w postaci oczu siedzącego obok chłopaka. Obserwowała go kątem oka; tak... nawet było na czym oko zawiesić, ale postanowiła, że skoro się tak gapi, to niech sam się najpierw odezwie. Ona mu ułatwiać nie będzie. Po dłuższym milczeniu i wzajemnym badaniu się wzrokiem Czarek zdobył się na odwagę i przemówił:

– Okropnie tańczę! – przerwał niezręczną ciszę, jeśli można tak nazwać panujący wokoło hałas, płynący z rozkręconych na full głośników.

– Nie przejmuj się! – odkrzyknęła Martyna.

Od razu pomyślała, że to głupi sposób usprawiedliwienia się, że nie chce jej zaprosić do tańca, ale przeżyje. Facet pewnie łamaga i się wstydzi. Ale przynajmniej jest szczery. Piła więc spokojnie swojego drinka i patrzyła przed siebie.

– Ale mam inne zalety! Odwróciła głowę w jego kierunku.

– A jakie?!

– Jestem nieśmiały! – powiedział Czarek i uroczo się uśmiechnął, pokazując rząd równych zębów i dołeczki w policzkach.

– To zaleta?! – Martyna również się uśmiechnęła.

– Myślę, że tak!

Patrzył na nią swoimi przeraźliwie zielonymi oczami i myślała, że za chwilę ją zahipnotyzuje.

– Zatańczysz ze mną? – zapytał.

– Jeśli tańczysz okropnie, to lepiej posiedźmy.

– Ale nawet nie wiesz, czy mówię prawdę! Musisz się sama przekonać.

Podał jej rękę i pociągnął za sobą na parkiet. Poszła za nim, bo nie bardzo wiedziała, jak się sprzeciwić. Zresztą było w nim coś kociego, czemu trudno się było oprzeć. Przyciągnął ją do siebie i szepnął:

– Udowodnię ci, że mówię prawdę. Tańczę fatalnie.

Mówił nieprawdę. Jak każdy facet na początku. Tańczył całkiem nieźle. Nawet bardzo dobrze jak na potrzeby Martyny. Z tą nieśmiałością to też była bujda. Potem jej powiedział, że nie chciał nic mówić, bo i tak nie

mógł konkurować z decybelami unoszącymi się w powietrzu. Ale Martynie zaczęło się to podobać...

Pląsali w roztańczonym tłumie, Czarek obracał ją w prawo i w lewo, sam się wyginał, naśladując muzyków rockowych z lat siedemdziesiątych. Patrzyła na niego oszołomiona, bo tańczył coraz lepiej. Ba... świetnie po prostu. Jego giętkie ciało wyginało się na wszystkie strony, jakby był z gumy, potem przerzucił się na styl Micheala Jacksona, którego bardzo śmiesznie parodiował, a kiedy obojgu błyszcząły twarze od potu, zaproponował, żeby się czegoś napili.

Przeszli do trochę cichszego pomieszczenia, w którym nie musiał jej krzyczeć prosto w ucho, żeby coś zrozumiała, i Martyna dowiedziała się, że Czarek pracuje w banku, skończył SGH, lubi muzykę i że to Mariusz namówił go na kupno butów kowbojek. Po godzinie stwierdziła, że Czarek ma równe zęby, zmysłowe usta, używa ładnej wody toaletowej o nieznannej jej nazwie i ma duże dłonie. Powoli przemieniał się z nieznanego palanta z zakolami, przez które prześwieca mózg, w całkiem interesującego mężczyznę. Po dwóch godzinach stwierdziła, że jest przystojny i mówi z sensem. Zgodziła się, aby odprowadził ją do domu. Rzuciła krótkie „Cześć” Zosi i Sandrze, które z trudem wyłowiła z falującego tłumy, i wyszła z Czarkiem z klubu. Trzecia godzina znajomości upłynęła na rozmowie. Szli wymarłymi o tej porze ulicami Warszawy i tak dobrze im się gadało, że Martynie przestało się śpieszyć do domu. Czarek robił się coraz bardziej interesujący. I patrzył na nią tak, że... to było przyjemne... W czwartej godzinie znajomości, już pod klatką schodową, pozwoliła się pocałować. Czarek nieźle całował, ale nie posunął się dalej... dała mu więc swój numer telefonu. W piątej godzinie, przewracając się z boku na bok na łóżku,



zastanawiała się, jak mogłoby wyglądać jej życie u boku Czarka. Hipotetycznie, oczywiście. Nie był aż tak przystojny jak Hubert, ale prezentował się nieźle, był inteligentny, taki... skrojony na jej miarę. Nie mogła liczyć na George'a Clooneya ani na Brada Pitta, bo za daleko mieszkali. A nawet gdyby żyli w Warszawie, to i tak by na nią nie zwrócili uwagi. W głowie nadal szumiała jej muzyka, która w połączeniu z wypitym alkoholem i wspomnieniem oczu Czarka czyniła myśli klarowniejszymi. W szóstej godzinie zaplanowała, jak będzie wyglądało jej życie z Czarkiem; on będzie robił karierę w banku, kupią dwa samochody, dorobią się domku z ogródkiem, a wakacje będą spędzać za granicą, nad Morzem Śródziemnym. Co do szczegółów pożycia, to ustaliła, że będą razem gotować, on będzie zmywał naczynia, ona będzie wycierać, będą zapraszali znajomych na kolacyjki, na wycieraczkę będzie spał pies, a w pokoju dziecięcym dwa aniołki o płci jeszcze nieznannej. Bo w życiu, tak jak w każdym przedsięwzięciu, najważniejszy jest plan. Wtedy człowiek nie jest dryfującym liściem, ale świadomą jednostką realizującą swoje cele. W siódmej godzinie dokładnie przemyślała, jak ma wyglądać jej ślubna sukienka. W ósmej zaczęła się poważnie zastanawiać, czy w podróż poślubną woli pojechać do Grecji, czy do Egiptu. A może do Hiszpanii? Dobrze, że ma jeszcze trochę czasu, to się zastanowi. W końcu, zmęczona tym nawałem pracy umysłowej, zasnęła. I miała całkiem przyjemne sny.

Następnego dnia rano obudził ją telefon Czarka. Jeszcze raz się upewniła, że ma bardzo miły głos. Szczególnie przez telefon. Wprost czarujący... tak jak i imię... Umówiła się z nim na spacer w Łazienkach i... przystąpiła do realizowania obmyślonego w nocy planu. Swojego życia z Czarkiem. Czyżby się zakochała...

## *Rozdział 10*

*Złote na szare – czyli zmian ciąg dalszy*

W poniedziałek Martyna pojawiła się w biurze zupełnie przemieniona. Hubert ledwo ją poznał. Otworzył drzwi i w pierwszym odruchu chciał je znów zamknąć, bo wydawało mu się, że pomylił pokoje. Martyna miała nie tylko nową fryzurę, kolor włosów i ubranie. W ogóle CAŁA była inna. Patrzył na nią zauroczony, bo nie sądził, że kobieta może się tak bardzo zmienić w tak krótkim czasie. Stwierdził, że urosła, zeszczuplała, nogi na obcasach od razu wyglądały na zgrabniejsze i dłuższe, w końcu zauważył, że ma całkiem kształny biust, i doszedł do przekonania, że jego biurowa koleżanka jest nawet seksowna. Chodziła po pokoju rozpromieniona, jaśniała, niczym gwiazda, zmysłowym światłem, które emanuje tylko z ludzi nadzwyczaj szczęśliwych. Kurde, nie dość, że zmieniła styl, to jeszcze się pewnie zakochała, domyślił się. I zrobiło mu się dziwnie smutno. Przyzwyczał się do jej niewinnego, jeszcze dziewczęcego wyglądu, do zakłopotanych min, a teraz Martynka przemieniła się w znającą swoją wartość kobietę wampa. Ta fryzura... A niech to... Kto by pomyślał... Ale się zmieniła ta „jego” Martynka! Bo przecież fakt, że siedziała u niego w pokoju, robiła mu kawę i kupowała kanapki, w sposób naturalny czynił z niej „jego” Martynkę. Kiedy się nachyliła, aby mu podać jakieś papiery, poczuł delikatny, zmysłowy zapach perfum... Aż się odsunął. Bo nagle zapalał wielką chęcią, aby ją... dotknąć. Zawstydził się tego od razu, zwymyślał sam siebie od najgorszych łajdaków i poprzestał na ukradkowym rzucaniu jej pełnych podziwu spojrzeń. Była jak beza z kremem za szybą...

aż ślinka leciała... a swoją drogą... tak się zmienić... nie do pomyslenia, pokiwał głową.

Martyna udawała, że nie dostrzega wzroku Huberta. Wiedziała, że dobrze wygląda, puszyła się więc jak paw, od czego jeszcze bardziej piękniała. Teraz już by mnie nie nazwał cipcią, dobrze mi Sandra z Zosią doradziły, myślała z poczuciem satysfakcji. Faktycznie, wśród wielu słów, jakie cisnęły się Hubertowi do głowy na określenie obecnego wyglądu Marty, tego nie było.

Kiedy Darek wszedł do ich pokoju, aż gwizdnął z podziwu:

– Martyna, byłaś u fryzjera?

– Wyobraź sobie, że tak – odpowiedziała, rumieniąc się z zadowolenia.

Gdyby miała ogonek, na pewno by nim merdała, pomyślał Hubert, patrząc na swoją biurową koleżankę. Darek tylko pokiwał głową z uznaniem, a po jego wyjściu nagle wszyscy zaczęli przychodzić do ich pokoju pod byle pretekstem. Każdy chciał zobaczyć metamorfozę Marty na własne oczy. Jak najszybciej. Jakby ludziom mało było omawiania tego zjawiska na lekcjach biologii w szkole. Martyna mogłaby się więc poczuć niczym małpa w cyrku, którą wszyscy z zainteresowaniem oglądają, ale się nie poczuła, była bowiem tak zatopiona we własnym, odnalezionym właśnie szczęściu, że niczego więcej nie dostrzegała. Jej myśli wędrowały w obłokach radosnego otumanienia, otulając ją szczelnie jak kokon, filtrując bodźce dochodzące ze świata zewnętrznego i dopuszczając tylko te przyjemne. Kiedy na dźwięk dzwonka swojej komórki rzuciła się jak szalona do telefonu, Hubert tylko się utwierdził w swoim wcześniejszym domyśle – nie dość, że zmieniła wygląd, to jeszcze się zakochała. I miał rację.

Niespodziewanie osoba Czarka, jeszcze do przedwczoraj nieobecna w życiu Martynty, nagle stała się epicentrum jej świata. Jak kometa, która nie wiadomo skąd pojawia się na niebie i przyćmiewa wszystko inne. A ona, Martyna, pławiła się w tym boskim świetle i było jej bardzo dobrze. W niedzielę spotkała się z Czarkiem w Łazienkach, szli razem, rozmawiali... i coraz bardziej jej się podobał. Przeskakiwali z tematu na temat, mówili o pracy, o sobie, co lubią, a czego nie, i wydawało się, że są coraz bardziej do siebie dopasowani. Jak dwie połówki jabłka, które się właśnie odnalazły. Czarek był od niej wyższy, co chwilę więc zadzierała głowę i studiowała jego rysy twarzy. Stwierdziła, że ma marzycielskie zielone oczy, które zauważyła już w klubie, trochę zadarty nos, wysunięty podbródek, jak u Habsburgów. Może w jego żyłach płynie królewska krew... Czarek, niestety, nic nie wiedział o swoim nobliwym pochodzeniu i wcale go to nie obchodziło.

Martyna poznała również niektóre szczegóły z życia osobistego swojego wybranka. Mieszkał z siostrą, która nadal studiowała, chciał robić doktorat, był ambitny, czytany i lubił filmy science fiction, których Martyna nie znosiła. Ale czy można dziś znaleźć idealnego mężczyznę? Raczej nie. Trzeba się zadowolić tym, co wpada człowiekowi w ręce. Trochę zmarzła na tym spacerze i myślała, że ich miła przechadzka zakończy się przy winku w jakiejś przytulnej, kameralnej kafejce, ale Czarek ją zaskoczył. Zaprowadził ją... na wieczorną mszę. Wytłumaczył, że jest wierzący i źle się czuje, jeśli nie pójdzie w niedzielę do kościoła. Przez moment zastanawiała się, czy ta jego religijność to nie wada, ale uznała, że to jak najbardziej zaleta. Bóg samym jest przecież dobrem i jeżeli tylko Czarek jest naprawdę dobrym chrześcijaninem, to właściwie... ona też stanie

się religijna z pożytkiem dla swojej duszy. Do tej pory nie była, ale czas najwyższy się zmienić. I to na lepsze. Po mszy Czarek odprowadził ją pod klatkę i jeszcze raz miała okazję się przekonać, że nieźle całuje. Ach... życie naprawdę stało się nagle takie różowe...

Tymczasem egzystencja Huberta zmieniła właśnie kolor na bury. Albo szary. Albo nawet czarny. Przyczyną była Lucy. W miniony weekend w ich relacjach zaszły ogromne i nieodwracalne zmiany. Hubert odkrył mianowicie, że jego ukochana ma kochanka. I że go zdradza. Sprawę skrętnie przed nim ukrywała, ale każde kłamstwo kiedyś wyjdzie na jaw. Kochanek okazał się na tyle nieroztropny, że zadzwonił w najmniej odpowiednim momencie. Wybrał niedzielny poranek, sądząc zapewne, że Lucy usycha za nim z tęsknoty jak niepodlewany kwiatek. Czyż mógł przypuszczać, że natknie się na Huberta? Czy w ogóle wiedział o jego istnieniu? Jeżeli tak, to pewnie naiwnie sądził, że Hubert wybiegł po świeże bułki dla Lucy. Albo parzy kawę i smaży jajecznicę w kuchni dla swojego słoneczka. Albo służy swej pani w jakiś inny sposób, manifestując swoje oddanie. Ach! Dlaczego nie wpadł na pomysł, że jego konkurent lubi rozpoczynać dzień podobnie jak on, od odrobiny seksu. I że nie odmawia sobie cielesnych przyjemności przed zaspokojeniem bardziej przyziemnego głodu. A może stanowisko tak uderzyło kochankowi Lucy do głowy, że nie brał pod uwagę konkurencji?

Kiedy rano zadzwoniła komórka leżąca na szafce nocnej, Lucy wynurzyła się z pościeli, porzucając tam rozgrzanego jak piec Huberta, i pobiegła z aparatem przy uchu do kuchni. Krzyknęła, że dzwoni jej mama i musi odebrać. Hubert, nie chcąc przerywać namiętnych uścisków, pocałował za nią i kontynuował przerwane działania. Właśnie całował włosy

Lucy i nieprzyzwoicie ją obmacywał, kiedy przypadkiem usłyszał wypowiedane z drugiej strony słuchawki słowa: „Wyobrażam sobie... że teraz pieszczę twoje wielkie... hm... gorące piersi...”. Zastygł w pocałunku i nagle zdał sobie sprawę, że to na pewno nie był głos jego przyszłej teściowej. Teść też by tak do córki nie mówił! Nastawił uszu i przechwycił dalszą część monologu, od której włosy stanęły mu dęba, w efekcie czego inna część ciała zupełnie opadła, a cała krew odpłynęła do mózgu. Słuchał dalej jak zaczarowany: „Mam tak ogromną erekcję... ach... proszę, mów do mnie, chcę chociaż słyszeć twój głos, bo...”. W tym momencie Hubert wyrwał Lucy telefon.

– Bo co, palancie?

Słowa Huberta podziałały niczym strzał z rewolweru w sam środek głowy. W słuchawce zapadła głucha cisza. Facet zamarł na dobre, jakby wpadł do grobu. Hubert patrzył tępo na komunikat na wyświetlaczu komórki – „połączenie przerwane”. Nie tylko połączenie zostało przerwane, pomyślał, inne rzeczy też i zaczął naciskać odpowiednie klawisze, aby sprawdzić, kto to dzwonił. Na nic zdały się zapewnienia Lucy, że to jakiś erotoman wybrał przez pomyłkę jej numer. Tym erotomanem okazał się poważany poseł, udzielający się w telewizji, ojciec dwójki dzieci. Hubert trzymał komórkę Lucy w ręku i pożałował, że ktoś coś takiego wymyślił. Wszystkie informacje były czarno na białym. Ów poseł dzwonił ostatnio do Lucy bardzo często, o różnych porach dnia i nocy. A ona nawet nie pofatygowała się, aby wykasować te oczywiste dowody zdrady. Hubert nie dał się oszukać, wiedział, że telewizja miała magiczny wpływ na Lucy, ale nie sądził, że do tego stopnia... Żeby puszczać się z jakimś misiwatym czterdziestolatkiem, bo ma szanse na reelekcję w wyborach? I dalsze



telewizyjne występy? I obiecuje, że Lucy zostanie szefową jego kampanii wyborczej? I że będzie pierwsza wiedziała o jego poczynaniach w sejmie? Patrzył na kurczącą się pod jego spojrzeniem dziewczynę, której jeszcze przed chwilą pożądał całym swoim jestestwem, i zobaczył w niej egoistyczną, zapatrzoną w siebie modliszkę, która dla kariery puści się z byle kim. Ogarnęło go obrzydzenie, wstręt i odraza. Szybko się ubrał, wybiegł z mieszkania, trzaskając drzwiami, i wiedział, że nie chce mieć z Lucy więcej do czynienia. Nie wróci tu, nie da jej drugiej szansy, nie będzie słuchał usprawiedliwień. Wykasuje ją ze swej pamięci, jakby wcisnął klawisz „delete”. Zgadzał się na wiele, kochał ją wiernie, ale to jeszcze nie znaczyło, że ma się zamienić w ślepego psa. Nie odwrócił się, nie spojrzął za siebie, odszedł z jej życia raz na zawsze.

Na szczęście miał już swoje cztery kąty, nie musiał więc wracać do mieszkania matki i narażać się na jej pytania i spojrzenia. Nie musiał też wypłakiwać się mamie w mankiet ani słuchać jej mądrych rad i wypowiedzi typu „Ona nigdy mi się nie podobała, syneczku”. Zamknął się w swoich pustych czterech ścianach, wypił piwo, zjadł kupionego po drodze hot doga i zatopił się w czarnych myślach. Kiedy przeczytał w gazecie wywiad z wyżej wspomnianym posłem, z którego dowiedział się, że ów ledwo zdał maturę, bo nie mógł się nauczyć żadnego obcego języka, Hubert rozplakał się na dobre. Jak ta Lucy mogła z takim... palantem?! Jak mogła porównywać go do kogoś takiego!

Po południu zdruzgotany poszedł do Patryka i po męsku opowiedział, co się stało. Patryk wysłuchał przyjaciela, skoczył po wódkę, zrobił kolację składającą się z ogórka, śledzia, kielbasy i pasztetu z puszki, a potem odstąpił swój materac do spania, Hubert bowiem był tak pijany, że nie



nadawał się do transportu nawet piętro wyżej. Patryk, rad nie rad, położył się obok na gołej podłodze. Czego się nie robi dla przyjaciela. Szczególnie sąsiada.

W poniedziałek po pracy Hubert wsiadł do samochodu na parkingu przed biurem i zastanawiał się, co ma ze sobą zrobić. Nagle wszystko straciło sens. Gdzie pojechać? Do mamy? Do swojego pustego mieszkania? Zobaczył Martynę biegnącą w podskokach na przystanek i pozazdrościł jej. Jeszcze dwa dni temu też był takim radosnym młodym człowiekiem, ale dziś... Przekręcił kluczyk w stacyjce, nacisnął pedał gazu i mechanicznie ruszył w kierunku domu swojej mamy. Gdy tylko dojechał i wszedł do środka, z miejsca oznajmił wystraszonej rodzicielce, że zerwał z Lucy i teraz musi pobyć sam. Dlatego w trybie natychmiastowym wyprowadza się do swojego nowego apartamentu. Mama patrzyła na niego zbolałym wzrokiem, którego właśnie chciał uniknąć, i minę miała pełną trwogi i współczucia. Szybko więc zabrał z domu parę drobiazgów, powiedział jej, żeby się nie martwiła, i wyszedł. Kupił w Ikei materac i pojechał do niewykończonego jeszcze mieszkania. W oknie powiesił parę koszul zamiast firanek, materac rzucił w kąt i postanowił, że szybko sam skończy remont, aby przyzwoicie mieszkać. Praca fizyczna jest dobra na chandrę, rozstania i wszelkie inne zawirowania życiowe. Wyskoczył do sklepu z farbami, nabył parę puszek z kolorami, jakie mu doradziła Martyna, i zabrał się za malowanie. Solennie przyrzekł sobie nie zaprzętać głowy Lucy i myśleć o czymś innym. O czymś przyjemniejszym. Na przykład o piłce nożnej, Formule 1 lub o samochodach. Albo o swojej karierze.

Po jakimś czasie jego myśli bezwiednie powędrowały do spraw biurowych i przed oczami wyłoniła się postać Martyny. Pamiętał zapach jej

perfum, których woń delikatnie krążyła dzisiaj w powietrzu. Ilekroć nachyliła się ku niemu, czuł je mocniej i zastanawiał się jak się nazywają. Oryginalny zapach, taki zmysłowy. Musi ją zapytać, co to. Może kupi takie same dla Lucy... W tym momencie coś go mocno ukuło w serce. Nie... oczywiście, że nie kupi. Przecież z Lucy już koniec. Rozdział zamknięty. Zrobiło mu się smętnie, znów więc skierował myśli na Martynę. Ta jej przemiana. .. imponujące. Zaczął sobie przypominać maleńkie epizody z ostatnich dni. Jej roześmianą twarz. Entuzjizm rozświecający oczy. Sposób, w jaki marszczyła brwi, gdy się denerwowała. Tembr głosu. I... wyobraźnię. Ach... ma dziewczyna fantazję, powiedział do siebie w myślach już kolejny raz. Kiedy parę dni temu wybierała mu kolor farby na ściany do pokoiów i kuchni, znów mówiła o tym tak, jakby to było coś więcej niż zwykła barwa. Używała przy tym poetyckich porównań, które zawsze, ale to zawsze wywoływały u Huberta totalne zdumienie. Przekonywała go na przykład, że z tymi kolorami na ścianie w pokoju będzie się czuł jak na zalanej słońcem polanie albo w lekko zacienionym lesie, albo że ten odcień przywodzi na myśl zapach upieczonego chleba bądź świeżo parzonej kawy. Jak można mieć takie skojarzenia... patrzeć na ścianę i widzieć łąkę. Pochylił się nad kubłem z żółtą farbą. Czy ten kolor kojarzył mu się z zalaną słońcem polaną? Nie! Kiedy na niego patrzył myślał o Martynie, Bo to właśnie ona go wybrała. Nawet kiedy skończył malowanie, nie umiał sobie wyobrazić, że jego pokój to leśna polana, a on szczęśliwy opala się, zwracając twarz do słońca. Ach, ma dziewczyna fantazję. Tylko pozazdrościć.

A teraz była zakochana... To miło, pomyślał. A on? Sam, jak porzucony pies! Samotny, opuszczony... czy ktoś go kiedyś przygarnie? Smutno się tak zrobiło w jego życiu, że niemal rozczulił się nad sobą. I

ponuro jak na cmentarzu, dawno po Święcie Zmarłych. Nawet nie będzie miał kto świeczki zapalić na jego grobie... Aby zupełnie się nie rozkleić, znów poszedł do Patryka. Niedługo poczuje się u niego jak u siebie w domu, zażartował w duchu. Musi się pilnować, aby nie zacząć mu zmywać naczyń...

Odwrotnie niż u Huberta, w życiu Martyny zrobiło się nagle wesoło i radośnie jak na karuzeli w wesołym miasteczku. Kolorowy zawrót głowy trwał. Przez następne dni zauroczenie Czarkiem rosło niczym ciasto drożdżowe postawione obok kaloryfera. Codziennie gruchali przez telefon jak dwa gołąbki, wysyłali sobie czułe SMS-y i spędzali ze sobą prawie każdą wolną chwilę. Ten pierwszy okres znajomości charakteryzujący się buzowaniem hormonów niesie w sobie ogromny ładunek emocjonalny, wręcz bombę, której eksplozja każe zachłysnąć się życiem aż do utraty tchu. Czarek stał się idolem Martyny, był nadzwyczajny pod każdym względem, oczytany i mądry. Nawet jeśli w jakiejś kwestii się nie zgadzali, Martyna była pewna, że pod jej wpływem Czarek zmieni zdanie. Jak każdej kobiecie wydawało jej się, że to naturalna konsekwencja bycia razem. Już w poniedziałek doczekała się zaproszenia na kawę i wino, a w dalszej części tygodnia na pizzę i sushi. Jej życie kulturalne również się rozkręciło; poszli z Czarkiem do kina i teatru, i na wernisaż jakiegoś bardzo modnego artysty.

Żałowała, że sprawy nie układały się równie dobrze między Zosią a Mariuszem, kolegą Czarka. Spotykałiby się we czwórkę, ale, niestety, nie zanosilo się na to. Otóż okazało się, że po wyjściu z dyskoteki Mariusz odprowadził Zosię do domu i zaczął się do niej dobierać na klatce schodowej. Posunął się za daleko, za co dostał kopniaka w przyrodzenie tak skutecznego, jakby Zosia trenowała izraelski system walki krav maga. W

wyniku otrzymanego ciosu chłopak spadł ze schodów i uderzył szczęką w pręt od balustrady, wybijając sobie przedni ząb. Jedynekę! To się nazywało prawdziwy pech. Wydawał teraz fortunę na dentystę, który miał zakamuflować skutki uboczne jego nieudanego podboju, i wstydził się wychodzić z domu. Zosia bardzo żałowała, bo wcale nie chciała oszpecić chłopaka, ale... przecież sam był sobie winien. Ponieważ Mariusz był kolegą Czarka, sprawa była z tych delikatnych. Czarek wolał o niej nie mówić, a Martyna zapewniła koleżankę, że w razie czego jest po jej stronie.

W następną sobotę Martyna poszła z Czarkiem do klubu, w którym się poznali, i mieli się tam spotkać z Sandrą i jej chłopakiem. Cała czwórka bawiła się świetnie, przetańczyli pół nocy, Robert z Czarkiem przypadli sobie do gustu, przyjaciółki więc tym bardziej żałowały, że sprawy przybrały taki zły obrób między Zosią i Mariuszem. Mogliby wszyscy razem chodzić na imprezy, jeździć na wakacje, a potem niańczyć dzieci. Nad ranem Czarek, po chrześcijańsku odprowadził Martynę do domu, dał czulego całusa i powiedział, że przyjdzie następnego dnia, aby poznać jej szanowną mamę i babcię. Martyna, lekko pijana, wzdychała wniebowzięta i z żalem opuściła jego gorące ramiona. Ach, sprawy naprawdę układały się wspaniale! Facet nie był nachalny, nie pchał się z łapami gdzie nie trzeba, jak jego kolega Mariusz. Wreszcie jakiś normalny, a nie maniak seksualny. Prawdziwie zakochany!

Kiedy zamknęła za sobą drzwi do mieszkanek, w ciemnym korytarzu zobaczyła smugę światła dobywającą się z pokoju mamy. Otworzyła po cichutku drzwi. Lekko zaskrzypiały i mama Martyny podniosła zaspane oczy znad książki.

– Jesteś? Jak było? – zapytała.

Martyna siadła na brzegu łóżka, a potem położyła się na kołdrze i przytuliła do mamy jak kotek. Zawsze tak robiła, kiedy jeszcze była małą dziewczynką. Pani Renata pogłaskała ją po głowie

– Czuję, że się zakochałaś, córeczko.

– Tak, chyba tak...

– To kiedy poznam tego szczęśliwego człowieka? ,

– Jutro. Zaprosiłam go na popołudnie.

– Świetnie. Babcia umiera z ciekawości. Już upiekła sernik, na wszelki wypadek. Bardzo się cieszę, Martynko.

Siedziały tak jeszcze w milczeniu przez parę chwil, obie pochłonięte swoimi myślami. Pani Renata wygładzała kosmyk włosów niesfornie spadający na czoło Martyny i ciepło uśmiechała się do leżącej obok córki. Lampa ze staroświeckim abażurem rzucała miękkie światło na buzię Martynki. Nie była to już twarz dziecka, ale poważnej młodej damy. Szczególnie w tej nowej fryzurze i kolorze włosów. A jednak pani Renata nadal widziała w niej swoje zagubione w świecie maleństwo, które chciała chronić przed całym złem. A miłość? Czy przysporzy jej cierpienia? Czy szczęścia?

W tym samym czasie Martyna myślała o swojej mamie. Od czasu śmierci ojca mama żyła sama, w zupełnym celibacie. Oddała się wychowaniu córki, opiece nad matką i pracy z młodzieżą. Ciągłe zabiegana, troszcząca się o innych, uważała, że nie ma czasu na własne szczęście. A przecież nie była stara; niedawno przeszła na wcześniejszą emeryturę, ale nadal świetnie wyglądała. Miała piękną twarz, choć lekko pomarszczoną, ale promieniejącą ciepłem i serdecznością. Jakby samotność jej służyła... Może to moja wina, że jest sama, zamyśliła się Martyna. Gdyby mnie nie było na

świecie, pewnie znalazłaby kogoś i ułożyła sobie życie. Ach, westchnęła, tak bardzo chciałyby, aby jej mama była szczęśliwa! Tak jak ona teraz. Ale co można zrobić? Może gdyby gdzieś wyjechała, zmieniła otoczenie... kogoś spotkała. Gdyby coś się wydarzyło w jej życiu... Ale czy w tym czteropiętrowym bloku, będącym pozostałością ery gierkowskiej, może się coś wydarzyć? Tu nawet winda się nie popsuje, bo jej nie ma. Można tylko nabawić się depresji. I umrzeć za życia...

– Idź spać, córeczko. Późno już – usłyszała szept mamy.

– Jutro niedziela, to się wyśpię – odparła Martyna, ale po chwili niechętnie się podniosła. – Niech mnie nikt nie śmie obudzić przed dwunastą – rzuciła mamie na dobranoc i znikła w swoim pokoju. Ledwo przyłożyła głowę do poduszki, od razu znalazła się w objęciach Morfeusza.

## *Rozdział 11*

*Co jeszcze może się zdarzyć?*

Życzenie Martyny nie miało się jednak spełnić. I pomyliła się. Nawet w pogierkowskim bloku z wielkiej płyty może się coś wydarzyć. Winda się wprawdzie nie popsukała, bo jej nie było, ale zalało mieszkanie.

W niedzielny poranek Martyna została brutalnie obudzona o nieprzyzwoicie wczesnej jak na wolny dzień tygodnia porze, czyli o dziewiątej rano. Kapało jej z sufitu na nos! A zaplanowała, że się wyśpi! Sąsiadowi z góry popsukała się pralka i właśnie zalewał pięćdziesiąt trzy metry kwadratowe, na których mieszkała Martyna z mamą i babcią. Ich skromny dobytek marniał w oczach. Trzy mieszkanki trzeciego piętra były przeświadczone, że nadszedł koniec świata. Przynajmniej dla nich. Strugi kapiącej wody zalewały ich majątek jak w biblijnym potopie. Co tam majątek... cały ich świat! I to przed samymi świętami! Czy można sobie wyobrazić gorsze nieszczęście!?

Mama Martynki ubrana tylko w szlafrok popędziła na górę do sąsiada. Kto, do cholery, robi pranie w niedzielę rano? Zamiast spać! Albo lecieć do kościoła!

Nad panią Renatą mieszkał niejaki pan Rysio, znany na klatce z powodu swojej zmarłej żony, która nieustannie miała do wszystkich o wszystko pretensje. Tak się ciągle pieniała, wyklócała i walczyła z każdym, kto się napatoczył na jej drodze, że zmęczona życiem umarła dwa lata temu na raka. Pan Rysio, jej mąż, zawsze stał za nią murem, będąc jej podporą, choć głuchy był jak pień na jej narzekania i stękania. Dreptał posłusznie w



jej cieniu, zawsze się z nią zgadzał i spokojnie powtarzał: „Tak, kochanie”. Był bowiem nadzwyczaj spokojnego usposobienia i nie znosił kłótni ani awantur. W czasach, kiedy żona pana Rysia jeszcze żyła, pani Renata unikała sąsiadów jak ognia, a z panem Rysiem nigdy nie odbyła dłuższej rozmowy, wymieniali jedynie grzecznościowe „Dzień dobry”. Uważała jego zmarłą żonę za osobę co najmniej niezrównoważoną i obawiała się, że głębsza zażyłość byłaby pewną receptą na utratę świętego spokoju. W ogóle była zdania, że na klatce w socjalistycznym bloku od paranoi może człowieka uratować tylko zdrowy dystans, i to zarówno do spraw, jak i do ludzi. Babci też kazała przestrzegać tej dewizy i w pogaduchy na korytarzu się nie wdawać. Nie angażować się w życie blokowe, w żadne komitety, posiedzenia, zebrania, czy to oficjalne, czy też spontaniczne. Bo to obgadają człowieka i tyle. Zdaje się, że pan Rysio również stosował tę zasadę, bo odkąd umarła mu żona, lokatorki mieszkania na trzecim piętrze wiedziały o nim tylko tyle, że był wdowcem i że w zimie chodził w czarnym palcie. Poza tym nic więcej.

Energiczne dobijanie się pani Renaty do drzwi zostało wysłuchane, otworzył pan Rysio, w podkoszulku, szortach i w mokrych skarpetkach. Na jego twarzy malował się wyraz zupełnego zagubienia, jakby nagle znalazł się na obcym terytorium, na przykład na Marsie, a nie we własnym mieszkaniu. Przykładał dłonie do policzków i bąkał coś niewyraźnie, co brzmiało jak „Oj, panie dzieju, panie dzieju”. Pani Renata, widząc jego wielce strapioną minę, zamiast posłać mu należną wiązaną wymówek i grózb, współczująco jęknęła:

– O matko! Nie mógłby pan jakoś zatrzymać tej wody! Zalewa mnie!

– Pani dobrodziejko kochana! Przecież pani widzi, że robię, co mogę! Ale nie wiem, gdzie się zakręca wodę – wydukał kompletnie przerażony.

Pani Renata bez zaproszenia wtargnęła do jego mieszkania i udała się w stronę łazienki. Szybko znalazła kranik doprowadzający wodę do pralki, który znajdował się w ścianie zasłonięty pralką. Usiłowała przekręcić zawór, ale się zapiekł i był nie do ruszenia. Za pomocą kombinerek jakoś wspólnie z panem Rysiem dokonali cudu i przekręcili oporne pokrętło, zamykając dopływ wody. Sytuację opanowano, ale tylko połowicznie, woda bowiem rozlała się już po całym mieszkaniu, podtopiła dywany, meble, książki na dolnych półkach i drażyła korytarzyki w łączeniach między wielkimi płytami, którymi spływała do mieszkania pani Renaty niczym po rynnie.

– Boże, co też pan narobił – biadoliła mama Martynki. –Ja strasznie... przepraszam – jąkał się starszy pan.

– Naprawdę. Sama pani dobrodziejka widzi, co się u mnie dzieje. O Boże jedyny!

– Niech pan szybko da wiadro. Pomogę panu zbierać wodę, mniej przesiąknie do mnie.

– Dziękuję pani dobrodziejce z całego serca. Tak mi przykro. Ale nie musi pani. Naprawdę. – I znów złapał się za głowę.

Pani Renata sama więc znalazła wiadro oraz szufelkę i rzuciła się do zbierania wody. Pan Rysio wziął szmatę i kucnął obok. Chyba odzyskał utraconą sprawność umysłu, bo starał się pomagać, jak mógł. Szmaty szybko nasiąkały i trzeba je było wyżymać, ale wody ubywało. Piętro niżej z żywiołem walczyła Martynka z babcią. Na suficie cały czas robiły się nowe zacieki, z których skapywała woda. Kiedy sytuacja została opanowana w mieszkaniu na czwartym piętrze, pan Rysio zszedł z panią Renatą, piętro

niżej, na ratunek babci i Martynie. Służył swoimi zwiotczalymi muskularni i nie wspomniał o bolącym kręgosłupie, co zrobiłby każdy inteligentny facet, aby pokazać, jak się poświęca. Razem z Martyną przesunął starą szafę, która trzeszczała z niezadowolenia, bo wilgoci nie tolerowała zupełnie. Wycierano, zgarniano, wyżymano, wylewano kubły z wodą. Babcia miała łzy w oczach, widząc zacieki na cudem uratowanym, przedwojennym pamiątkowym meblu. Martyna martwiła się tylko o komputer, pani Renata co chwila wydawała z siebie jęki, bo zamartwiała się o wszystko, a pan Rysio dreptał w zakłopotaniu, mruzczał pod nosem „Oj, panie dzieju” i wielokrotnie przeproszał. I tak upłynął cały ranek.

Po południu, kiedy nie było już co ścierać i przesuwać, odbyło się szacowanie strat. Pani Renata chodziła po mieszkaniu i roniła łzy. Babcia załamywała ręce, Martyna przeklinała w duchu sąsiada, nazywając go głupim staruchem, który nawet prania nie umie zrobić. Chciała dodać mamie otuchy, ale jak mogła to zrobić, kiedy jej serce się krajało, gdy patrzyła na zalane książki i ubrania i podnoszącą się od wilgoci klepkę. Zaraz nie będzie mogła otwierać drzwi do swojego pokoju. Ani zamykać! Straci więc ostatnie okruchy prywatności, jakie miała w tym mieszkanku. Złość i niemoc zalewały ją tak, jak jeszcze parę godzin temu woda z pralki pana Rysia jej pokój. Chodziła po domu i filozoficznie mówiła, że są gorsze nieszczęścia, że nic się nie stało, dziś w dobie Internetu książki to przeżytek, a komputer udało jej się uratować. Ale tak naprawdę chciało jej się płakać. Niedziela była zmarnowana. Miała się spotkać z Czarkiem, ale w tych okolicznościach nie była w nastroju na randkę. Zadzwoiła więc do niego, powiedziała o zalaniu i przeprosiła, że dziś nie ma warunków, aby go tu zaprosić. Oficjalną wizytę Czarka u niej w domu trzeba było odłożyć. W sercu tliła się jej

niemrawo nadzieja, że ukochany okaże się tak wspaniałomyślny, że bez pytania jak na skrzydłach przyleci do niej z odsieczą. Niestety, taki genialny pomysł nie wpadł Czarkowi do głowy. Owszem, wyraził słownie współczucie i powiedział, że gdyby był jednak do czegoś potrzebny, to niech Martyna mu rozkazuje, a jest na skinienie jej palca. Ponieważ Martyna nie kazała mu przyjść, ze spokojnym sumieniem grał do popołudnia w grę komputerową, aż nie stracił wszystkich żyć. Tymczasem Martyna suszyła suszarką zamokłą klepkę, modląc się, aby podłoga się nie podniosła i można było zamykać drzwi do jej pokoju.

Do obiadu trzy lokatorki mieszkania na trzecim piętrze zasiadły w minorowych nastrojach. Ani Martyna, ani babcia nie przeczuwały, że zaraz pani Renata już zupełnie je pograży. Rozmowa zesłała na sprawę ubezpieczenia i wtedy mama Martyny wyjawiała nagą prawdę – nie były ubezpieczone. Usprawiedliwiała się, że przez lata nic się nie działo, dlatego pożałowała pieniędzy na polisę. Jadły więc w milczeniu mielone z mizerią, nie czując zupełnie ich smaku, i do głowy przychodziły im same czarne myśli.

– Ale przecież to wina pana Rysia i on musi pokryć szkody – przytomnie stwierdziła Martyna.

– A jeśli on też nie jest ubezpieczony, to co zrobimy? – zapytała mama. – Żona umarła mu dwa lata temu, i widzisz, że od tego czasu nie może się pozbierać... Na bogacza też nie wygląda...

– To co my zrobimy? – jak echo powtórzyła babcia.

– Nic. Jakoś powoli odnowimy.

Przy kuchennym stole znów zapadła cisza. Trzy panie siedziały tak bardzo pogrążone we własnych myślach, roztaczając kasandryczne wizje, że

ledwo usłyszały delikatne pukanie do drzwi. Kto to pukał? Czyżby los? Martyna zerwała się z krzesła i pobiegła, by otworzyć.

Już łudziła się, że to Czarek, ale przed sobą ujrzała pana Rysia we własnej osobie. Wyglądał znacznie lepiej niż rano, miał na sobie spodnie od garnituru, koszulę z kołnierzykiem i sweter, był ogolony i pachniał wodą kolońską marki Brutal. Znowu on, pomyślała niechętnie. Miała dosyć oglądania kręcącego się przez cały ranek po ich mieszkaniu sąsiada, uśmiechania się do niego i powtarzania, jakie mu są wdzięczne za pomoc. Gdyby ich nie zalał, to jego pomoc nie byłaby potrzebna! Tłumiła w sobie złość i zastanawiała się, czy takie zrzączenia losu jak zalanie nie mogą się przytrafiać ludziom, którzy mają więcej pieniędzy? I nie przed świętami? Może modlitwy Czarka przypomną Panu Bogu, aby był bardziej sprawiedliwy.

– Dzień dobry. Nie przeszkadzam paniom dobrodziejkom? – zapytał skruszonym głosem pan Rysio.

– Nie, skądże. Niech pan wejdzie. Proszę! – automatycznie wypowiedziała formułkę grzecznościową, której wcale nie zamierzała użyć, i zaprosiła pana Rysia do środka.

Domyślała się, że przyszedł powiedzieć, że nie jest ubezpieczony i żeby nie liczyły na jakiegokolwiek odszkodowanie. Emeryturę ma niedużą i ledwo wiąże koniec z końcem. A to, że mu pralka wylała, to zwykły przypadek. I gdyby miały więcej oleju w głowie, to by się ubezpieczyły. Pewnie dlatego się stosownie wyperfumował, żeby łatwiej przełknęły tę gorzką prawdę. Gotowa była się założyć, że po raz kolejny powie, że bardzo przeprasza, rzuci ze trzy „panie dobrodziejki”, że naprawdę nie chciał i to nie jego wina. Zmarnuje im niedzielę do reszty. Mógłby z tym poczekać do

jutra, do dnia roboczego, a nie w dzień świąteczny dodatkowo psuć ludziom humor, pomyślała. Może pan Rysio nie zdawał sobie sprawy, że to niedziela? W końcu dla emeryta codziennie jest niedziela.

Pan Rysio wszedł do kuchni, schylił pokornie czoło przez dwiema matronami, które nie ruszyły się na jego widok, po czym Martyna wskazała mu swoje krzesło.

– Niech pan siada.

– Przychodzę w sprawie tego, panie dzieju, zalania. Do tej pory o tym nie rozmawialiśmy, chciałem więc zapytać, czy są panie ubezpieczone? – zaczął prosto z mostu.

Pani Renata spojrzała znacząco na Martynę.

– Nie – odparła. – Niestety, nie jesteśmy ubezpieczone.

– Ale to nie problem, bo ja jestem ubezpieczony i myślę, że szkody będzie można pokryć z mojej polisy.

Twarz pani Renaty lekko się wypogodziła.

– Tak pan myśli? Naprawdę?

– Tak, bo to przecież moja wina. Jak najbardziej może się pani dobrodziejka ubiegać o odszkodowanie z mojej polisy. Przyszedłem zaproponować również paniom pomoc w malowaniu. Sądzę, że to mój obowiązek.

Pani Renata przypomniała sobie jego poranne przerażenie i niezdarną walkę z żywiołem, mogła się więc tylko uśmiechnąć na jego pomysł z oferowaniem pomocy. Na szczęście babcia wykazała więcej przytomności umysłu i taktu i zaproponowała herbatę. O interesach lepiej rozmawiać przy stole. Wstawiła wodę, a pan Rysio znów przeproszał w imieniu pralki i swoim. Aż na jego czole pojawiły się krople potu, dowodząc, że naprawdę



się przejął. Dostał za to od babci wielki kawałek sernika, który był upieczony dla Czarka. Pan Rysio rozpląwał się w pochwałach nad ciastem, mówiąc, że czegoś tak dobrego to już wieki nie jadł, czym od razu zyskał sobie sympatię babci. Martyna stała oparta o zlew, obserwowała, jak sąsiad wcina sernik, i szczerze się zastanawiała, co z tej całej sytuacji wyniknie. Tymczasem pan Rysio przeszedł do konkretów i powiedział, że farbę można kupić już jutro, aby zdążyć z remontem przed świętami. Pani Renata powstrzymała jego zapędy i niechętnie oznajmiła, że przed świętami ma inne wydatki i musi poczekać na pieniądze z odszkodowania. Wtedy pan Rysio wspaniałomyślnie oświadczył, że pieniądze jej pożyczy, a ona mu odda, jak wypłacą odszkodowanie z PZU. Pani Renata się nie zgodziła, ale pan Rysio nalegał. W końcu wstał, zaczął chodzić po kuchni i wnikliwie przyglądać się zabrudzonym ścianom. Stwierdził to, co dla wszystkich było oczywiste, nawet jeszcze przed zalaniem – malowanie absolutnie konieczne. Panie wodziły za nim oczami i nagle w kuchni, nie wiedzieć dlaczego, zrobiło się cieplej i przyjemniej. Obie strony osiągnęły w końcu kompromis i ustaliły, że z samego rana wezwą rzeczoznawcę z PZU. Babcia już widziała oczami wyobraźni, jak się mieszkanie odświeży i jak będzie przyjemnie. Pani Renata zaczęła się nieśmiało zastanawiać, czy nie zmienić kolorów ścian z białych na ciepłe pastele. Kiedy pan Rysio wyszedł po czterdziestu minutach, jego trzy sąsiadki były w znaczenie lepszym nastroju niż godzinę temu.

Co on taki przyjemny?, zdziwiła się Martyna, zamknąwszy się w swoim pokoju. Dziwny jakiś. Ludzie już dzisiaj tacy nie są. Chyba że mają w tym interes. Ale jaki interes mógł mieć pan Rysio? Żaden facet nie będzie malował ścian za friko trzem kobietom. Na co on liczył? Na darmowy



sernik? A może obiad? A może obiad i sernik... i jeszcze szarlotkę. Po chwili serce jej zmiękło. Pewnie czuł się samotny... biedaczek. Żona mu umarła, córka wyjechała do Kanady... Sama Martyna też chętnie pojechałaby do Kanady. Chociaż teraz, kiedy ma Czarka... to już musiałyby się zastanowić. Chyba że razem z Czarkiem. Właściwie to głupio zrobiła, mówiąc mu, żeby dziś nie przychodził. Miał poznać mamę i babcię. Ten sernik to był właśnie dla niego... a zjadł go pan Rysio. Powinna była mu powiedzieć, żeby jednak przyszedł. Ostatecznie zalenie to sprawa losowa. I dobrze poznać kandydata na męża w sytuacji kryzysowej. Mimo woli tak już o nim myślała, chociaż znali się zaledwie dwa tygodnie. Rano jednak, widząc pana Rysia biegającego po mieszkaniu w mokrych skarpetkach i swoją mamę w starym szlafroku, jakoś... nie potrafiła w tym znaleźć miejsca dla Czarka. Bo chciała, aby wszystko odbyło się uroczyście. Elegancko. A nie w bałaganie, jaki się zrobił po zalaniu. Bo Czarek był taki... idealny, perfekcyjny. Wszystko było u niego takie... poukładane jak w szufladzie. Miała nadzieję, że się domyśli, że właściwie chce, aby przyszedł. Mógłby się wysilić i odgadnąć jej myśli. Czy to naprawdę było takie trudne? Nagle tak bardzo zapragnęła jego obecności. Teraz i tutaj. Wyciągnęła komórkę, znalazła numer Czarka i nacisnęła klawisz z zieloną słuchawką. Ale zamiast Czarka usłyszała przeciągły sygnał, a potem jego głos informujący ją, że teraz nie może rozmawiać i prosi o nagranie wiadomości lub zadzwonienie później. Domyśliła się, że jej ukochany poszedł na mszę. Przecież była niedziela. Nie miała zamiaru konkurować z Panem Bogiem, zabrała się więc do porządkowania swoich szpargałów. Stwierdziła, że obowiązek w zakresie modlitwy spełniła przy suszeniu podłogi. Modliła się zawzięcie, żeby podłoga się nie podniosła, i chyba jej prośby zostały wysłuchane, bo klepki

tkwiły na miejscu. Jeżeli Czarek pomodli się za nią w tej samej intencji, to może Pan Bóg usłyszy, podłoga się nie wypaczy, a pralka pana Rysia nie będzie już więcej wylewać.

Otworzyła wielką szufladę w babcinej komodzie, gdzie trzymała różne skarby: stare pachnące gumki do ścierania, wypisane flamastry, ołówki, jakieś kolczyki, których już dawno nie nosiła. Teraz miała nowy styl. Z fryzurą było trochę zachodu, bo rano musiała wstawać pół godziny wcześniej i prostować włosy na szczotce, ale kiedy widziała podziw w oczach Huberta, nie żałowała. To znaczy w oczach Czarka, poprawiła się w myślach. Bo Hubert zdecydowanie już ją w ogóle nie obchodził, był jej szefem dupkiem i tyle. No, czasami bywał sympatyczny, ale tylko czasami. Przymierzyła stare kolczyki i obejrzała się w lustrze. Przypomniała sobie siebie sprzed paru lat. Była głupią, zakompleksioną nastolatką. Ach, jak bardzo się zmieniła od tego czasu. Ta Bernadetta – to były dobrze wydane pieniądze, pomyślała z satysfakcją. Faktycznie, zaproponowana przez nią fryzura była wymarzona dla Martyny. Przejrzała się w lustrze i znów odpłynęła myślami o parę lat wstecz. Przypomniała sobie, że spotykała się z jakimś chłopakiem, który pracował teraz w warsztacie samochodowym. Wtedy wydawało się jej, że jest przystojny. I chyba był, bo skusiła się na niego jej najbliższa koleżanka. W rezultacie rzucił obie, ale ich przyjaźń nie przetrwała. Ach, jakie to było głupie... A teraz? Co się zmieniło? Wszystko? Nic? Ona? Był Czarek...

Tak dużo myślała o Czarku, ale przecież... nie padły żadne deklaracje i oprócz całusów i ściskania za rękę jak w szkole średniej nic się nie wydarzyło. Z drugiej strony, to właśnie było takie romantyczne. Gdyby zachował się jak Mariusz, pewnie leczyłby teraz złamany nos. A tak

Martyna czuła, że... coraz bardziej ma na niego ochotę. Tak, to najlepsze określenie jej stanu uczuciowego. Nagle usłyszała dzwonek do drzwi. Czyżby to Czarek?

Nie był to bynajmniej Czarek, ale Zosia. Dziewczyny nie widziały się przez ponad tydzień, więc liczba spraw do opowiedzenia przekraczała pojemność pokoju Martyny. Na pewno ich paplanina rozlałaby się na boki mimo zamkniętych drzwi i dotarło do uszu mamy albo babci Martyny, co mogłoby się okazać niezdrowe dla obu stron. Dziewczyny postanowiły, że wyjdą na spacer, bo świeże powietrze dobrze robi na cerę. Obejdą blok parę razy i zdadzą sobie wzajemnie relację z tego, co się ostatnio w ich życiu wydarzyło.

Zosia miała do rozwikłania dylematy, o których koniecznie musiała z kimś pogadać. Otóż, owszem, Mariusz wybił sobie przez nią ząb, ale okazało się, że to jeszcze nie odebrało mu mowy, bo ciągle do niej wydzwaniał i chciał się umówić. Kopniak w przyrodzenie poskromił jego żądzę, ale tylko na pewien czas. Głos w telefonie nadal pałał namiętnością i Zosia nie wiedziała, co zrobić. Bo Mariusz był dosyć przystojny i to był fakt. A z faktami nie ma co dyskutować. W dodatku architekt. Człowiek z pasją. I bardzo przeprosił ją za swoje zachowanie, co wskazywało, że jest porządnym facetem. Albo seryjnym gwałcicielem, bo to nigdy na pewno nie wiadomo. Twierdził, że go poniosło, i sądził, że Zosia chce tego samego. Uważał, że całe jej zachowanie tego wieczoru na to wskazywało. Jakby ona od podstawówki marzyła o seksie na schodach z lastrico w ciemnej klatce schodowej z nowo poznanym facetem. Martyna od razu pomyślała, że seksualne wariacje pana Czesia z kolanami w roli głównej były znacznie przyjemniejsze i mniej groźne. Może z wiekiem Mariusz też się przerzuci na

kolana. Zosia dalej paplała, że Mariusz pracował podobno w znanym biurze projektowym i był bardzo zdolny. Wschodząca gwiazda polskiej myśli designerskiej.

Może w przyszłości wygładzi kanty na schodach, żeby się nie wpijały w plecy jego partnerkom, od razu pomyślała Martyna. Ale jej koleżanka naprawdę miała zagwozdkę. No bo tak od razu spławić przystojnego architekta... trochę szkoda... A że pierwsze spotkanie nieudane, to jeszcze nie powinno niczego przesądzać.

Sprawy u Zosi jeszcze bardziej się skomplikowały, bo jej łyse Anglik napisał e-maila i zaprosił ją na weekend do Londynu. Czy miała odmówić? Czy pojechać? I czy jej przyjazd byłby jednocześnie wyrażeniem zgody na... seks w wielkim mieście? Pytania były dosyć filozoficzne. Martyna zapytała więc, czy Zosia kocha Anglika, ale Zosia nie wiedziała. Bo czy ktoś wie takie rzeczy? To właśnie był problem. Uczucia mają to do siebie, że są zmienne. A w Zosi • sytuacji – jednego szkoda, drugiego żal. Jak odmówi tego wyjazdu do Londynu, to straci życiową szansę. Mieszkanie za granicą, pieniądze i tak dalej. Czy można zrezygnować z życiowej szansy? Oczywiście, że nie. Z Mariuszem pewnie się w końcu spotka. Jest mu to winna z powodu zęba. Ale czy chce mieć chłopaka bez górnej jedyńki? Albo, co gorsza, męża? W końcu obie doszły do przekonania, że łysego Anglika można zaprosić do Warszawy i wtedy Zosia będzie go mogła lepiej poznać. I zaprowadzić do muzeum Powstania Warszawskiego, żeby wiedział, że Zosia nie jest z tych płytkich i że historia kraju leży jej na sercu. Tylko gdzie Anglik miał spać? W hotelu? Czy u Zosi? W jej łóżku? Czy na fotelu? I co Zosia miała zrobić z mamą. Wystawić ją na balkon jak w lecie kwiaty w doniczkach? Tak się rozdyktowały, że trafiły do pobliskiej

knajpki na wino. Dołączyła do nich niebawem Sandra, która zaproponowała, że w razie czego może załatwić dla Anglika mieszkanie Roberta, swojego chłopaka. Oczywiście, jeśli Anglik przyjmie zaproszenie, aby odwiedzić Warszawę. O ile Zosia w ogóle zdecyduje się na wysłanie zaproszenia. Bo z Zosią nigdy nic nie wiadomo. Dziewczyny rozstały się o dwudziestej drugiej, tylko dlatego, że zamykano lokal.

Gdy Martyna wróciła do domu, dowiedziała się, że w tym czasie był u niej Czarek. Kurde!, zakląła. Facet zgadywał jej myśli! Przejął się zalaniem i chciał pomóc. Jaki wspaniałomyślny! Tylko czy nie mógł do niej zadzwonić i uprzedzić? Nie wyszłaby z domu. W tym momencie zorientowała się, że nie miała przy sobie komórki. Zostawiła ją na komodzie w swoim pokoju. Ach, przeklęta komoda! Złapała aparat i zobaczyła sześć nieodebranych połączeń. Cholera jasna... tak się przejęła paplaniną Zosi, że zapomniała o bożym świecie. Mama stwierdziła, że bardzo miły chłopiec z tego Czarka i pewnie chciał jej zrobić niespodziankę. Przyniósł kwiatek w doniczce, czym podświadomie wyraził życzenie zainstalowania się u nich w domu na dobre. Przynajmniej tak uważała babcia, nie powiedziała jednak tego wnuczce, a jedynie, że chłopak również jej się spodobał i że został poczęstowany sernikiem. Martyna zadzwoniła zaraz do Czarka i przez dziesięć minut mówiła mu jak żałuje, że jej nie było. Czarkowi też było szkoda. Powiedział, że bardzo się za nią stęsknił, i zaprosił ją do siebie do domu następnego dnia. Miał być sam, bo siostra gdzieś wyjeżdżała. Czyżby sprawy miały posunąć się do przodu?

W niedzielne popołudnie Patryk zabrał się do skręcania szaty z Ikei. Rozłożył ulotkę, wygładził zagięcia i z uwagą czytał instrukcję. Przygotował na podłodze potrzebne narzędzia i precyzyjnie wziął się za wkręcanie śrub w

nawiercone otwory. Zdał sobie sprawę, że robi to tak solidnie i dokładnie jak jego ojciec. Systematycznie, po kolei, jakby chciał uporządkować ten kawałek świata w zasięgu jego rąk. W tym momencie zdenerwowany rzucił śrubokrętem o podłogę. Przecież nie chciał być jak ojciec. Nienawidził go i nie mógł znieść myśli, że może być do niego podobny, choćby w najmniejszym stopniu. Był inny, zupełnie inny i wiedział to. Usiadł na podłodze i ukrył twarz w dłoniach. Wczoraj zadzwonił do niego Jerry. To ta wizyta właśnie wytrąciła go z równowagi. Wspomnienia i stare demony, z którymi walczył, odżyły. Pomyślał o Hubercie. Przyjaźni się z nim, więc będzie mu musiał powiedzieć. Wziął telefon, wybrał numer Huberta i... przypomniał mu, że musi zamówić szafki do kuchni, bo w następnym tygodniu przyjedzie ciężarówka z transportem. Znowu stchórzył.

## *Rozdział 12*

*Zwariowane dni, kiedy coś się wyjaśnia, a coś zaciemnia*

Lucy odłożyła słuchawkę. Komórka Huberta znów nie odpowiadała. „Abonent czasowo niedostępny”, usłyszała beznamiętny, powtarzający się głos operatora, doprowadzający ją do szału. „Hubert, do cholery, odbierz, wszystko ci wytłumaczę!”, krzyczała do kawałka plastiku. „Proszę! Musisz do mnie wrócić! Przecież nie możesz mnie tak zostawić! Nie możesz brać na poważnie tego erotomana! Wszystko będzie jak zawsze!”, obiecywała płacząc.

Na próżno. Hubert najwyraźniej nie miał ochoty z nią rozmawiać, nie oddzwaniał pomimo próśb zostawianych na automatycznej sekretarce i wyłączał aparat, kiedy dzwoniła. Sygnał był jasny; nie chciał z nią rozmawiać. Nie przewidziała takiego biegu wypadków. Hubert miał być koło niej, służyć jej, kochać, robić za atrakcyjne tło, a ona chciała tylko go mieć i realizować się w życiu zawodowym. Czy to tak dużo? Miał za to jej ciało, mógł ją dotykać, jak tylko chciał i jak długo chciał, o co mu więc chodziło? Seks między nimi był cudowny i nie potrzebowała jego pieniędzy. Czy to nie idealny układ? Czego mężczyzna może chcieć więcej? Przecież musiał rozumieć, że sprawa z tym posłem była tylko głupim, nieliczącym się epizodem; zrobiła to dla kariery i obietnicy, że zostanie szefową kampanii wyborczej. Czysty biznes. Faceci naprawdę mają bzika na punkcie honoru i dumy.

Przez ten jeden niefortunny telefon całe jej życie legło w gruzach. Pan poseł i były kochanek najeżył się strasznie i zupełnie zmienił ton ich



rozmów; przestał rozwodzić się na temat jej gorących piersi, krążącej szybciej krwi poniżej pasa i zżerającego go pożądania. Zamiast tego zakomunikował chłodnym głosem, że Lucy może zapomnieć o poprowadzeniu mu kampanii wyborczej, bo stracił do niej zaufanie. Ostrzegł, że jeżeli komukolwiek piśnie słówko na temat ich związku, to zniszczy ją bez wahania. Wdepcze w ziemię jak robaka i pogrzebie żywcem. Zabronił do siebie dzwonić i zupełnie zerwał kontakt.

Właściwie spodziewała się tego. W tej branży liczyły się tylko interesy i zachowanie pozorów. Sondaże i głosy wyborców. Ujawnienie romansiku na boku mogło tymże sondażom poważnie zaszkodzić. W polityce nie było miejsca na sentymenty ani na miłość. Na łyzy też nie, chyba że do kamery – to co innego. Ale Lucy nie miała zamiaru wypłakiwać się całej Polsce i opowiadać, jak bardzo została skrzywdzona. Wiedziała, że nie ma nic na swoje usprawiedliwienie i nie takie są reguły w tej grze. Wykonała więc parę telefonów do konkurencji politycznej eks–kochasia i postanowiła cierpliwie poczekać na ich efekt. Komuś na pewno się przypomni podana przez nią informacja w najbardziej odpowiednim czasie. Wstrzelenie się we właściwy moment to w życiu sprawa najważniejsza. Gdyby ten kretyn zadzwonił do niej o innej porze, wszystko byłoby jak dawniej.

Odejście Huberta zabolalo ją bardziej, niż mogła podejrzewać. Przyzwyczaiała się do jego telefonów, wspólnych weekendów, wielogodzinnych rozmów. Tęskniła za dotykiem jego palców, aksamitnym głosem, łaskotaniem szczeciny na policzku w niedzielne poranki. Chciała zwyczajnie podnieść słuchawkę i pogadać, wyzalić się, tak jak zawsze.

A tu nic. Pustka. Czuła się tak, jakby ktoś wykopał dziurę w jej życiu w miejscu, gdzie stał Hubert, a potem wepchnął go tam i zasypał. Został

tylko ledwo widoczny ślad na ziemi; pozostawione drobiazgi typu maszynka do golenia, szczotka do zębów, brudne skarpetki i szlafrok. Pojechała do niego do domu, ale drzwi otworzyła niedoszła teściowa, która nawet nie wpuściła jej za próg i oświadczyła, że Hubert się wyprowadził. Z jakiegoś powodu nie przypadły sobie do gustu i nigdy się nie lubiły. Najwyraźniej tak miało zostać. Lucy udała się więc do nowego mieszkania Huberta, ale tu również pocałowała klamkę. Stała przed drzwiami i dzwoniła, ale nikt nie otwierał. Zostawiła kartkę, ale nie oddzwonił. Było jasne, że nie chciał jej już więcej oglądać. Powoli docierało do niej, że to wszystko stało się naprawdę i nie ma odwrotu. Poczula się jeszcze bardziej zraniona. Ba, upokorzona. Jakby to ona była ofiarą jakiegoś spisku, a nie jego przyczyną. A to nie było przyjemne uczucie. Ale przecież... Hubert powinien jej wybaczyć! Przecież ją kochał! Miłość wybacza! Zamiast poczucia winy narastała w niej złość i absurdałna, przekorna chęć zemsty.

W poniedziałek Martyna zauważyła, że z jej szefem coś jest nie tak. Właściwie to trwało już dobry tydzień, ale Martyna tak była zajęta swoimi sprawami, że mało co poza nimi dostrzegała. Dziś jednak nabrała pewności. Hubert dalej gapił się na chmury za oknem, ale zrobił się również podejrzanie łagodny i cichy. Przez cały poprzedni tydzień ani raz nie wybuchł, gdzieś znikła jego dawna werwa, wesołość i eksplozje energii. Nie rzucał stekami niewybrednych przekleństw, stał się apatyczny, a jego oczy żarzyły się dziwnym, zgaszonym blaskiem. Jakby wszystko przestało go obchodzić. Za to nerwowo reagował na każdy dzwonek swojej komórki, rzucał się na nią jak rekin na swoją zdobycz, a potem trzęsącymi się pakami... wyłączał. Odbierał telefony tylko od swojej mamy i Patryka. Sprawiał wrażenie, jakby... czegoś się bardzo bał. Coś mu doskwierało i to porządnie. Tym

razem było to coś więcej niż obcierające buty... Ale co mogło go gryźć? Pewnie znowu Lucy. Pokłócili się i Hubert cierpi na brak seksu. Jeśli się szybko nie pogodzą, jeszcze gotów wpaść w depresję. Czy oni muszą się tak ciągle kłócić? Czy znowu poszło o mieszkanie? Dlaczego ta Lucy nie chce mu pomóc? Tego Martyna nie mogła zrozumieć, ale już się pogodziła z tym, że nie wszystko w życiu była zdolna pojąć rozumem. Już dawno postanowiła traktować Lucy jak bardzo skomplikowane równanie matematyczne, które przerasta jej możliwości umysłowe i nie należy nawet próbować go rozwikłać. Niech Hubert się z tym męczy, jeśli mu odpowiada taka huśtawka nastrojów.

Spojrzała badawczo na swojego szefa, ale nawet się nie odwrócił, zapatrzony w krople deszczu na szybie. Sprawiał wrażenie nieobecnego, odległego, zupełnie pogrążonego we własnych myślach. W pewnym momencie przerwał kontemplowanie strug deszczu i wyjął z teczki katalog z meblami kuchennymi.

Czyżby znów miała mu wybierać kolor szafek? Albo ścian? Patrzyła, jak Hubert bezmyślnie przerzuca kartki w katalogu, prześlizgując się po nich znudzonym wzrokiem, bez odrobiny zaciekawienia. Od razu wiedziała, że w ogóle nie interesują go oglądane zdjęcia. Nie myliła się. W chwilę później rozłożył na jej biurku otwarty katalog i spojrzał pytająco.

– Ma pan przecież dziewczynę. Proszę ją zapytać. Naprawdę kieruje pan swoje zapytania pod zły adres.

– Nie mam już dziewczyny – odparł cicho. – Rozstaliśmy się.

– Dlaczego? – Spojrzała zdumiona, nie pomyślawszy nawet, że takie pytanie może być uznane za wścibskie.

– Z powodów osobistych – odpowiedział i zaczął nerwowo przewracać kartki w katalogu, dając jej do zrozumienia, że nie chce kontynuować tego tematu. Po chwili ponowił pytanie, wskazując zdjęcie bardzo ładnej kuchni.

– Ta ci się podoba?

Martyna wzięła do ręki katalog. A więc sprawa się wyjaśniła. Znow się pokłócili. Trzeba poczekać, pomyślała. Za tydzień wszystko będzie jak zwykle, czyli Hubert będzie kwilił w komórkę, a ona będzie mu pisała pikantne SMS-y. Aż do czasu, kiedy na nowo się pokłócą. Potem znowu się pogodzą i Hubert będzie tryskał energią w biurze i czym innym w innych okolicznościach. I tak w kółko. Zwariować można.

– Przykro mi. Na pewno wkrótce się pogodzicie – powiedziała tonem, który miał mu dodać otuchy.

– Nie – uciał. – Już się nie pogodzimy. To sprawa skończona i bardzo cię proszę, abyś mi o niej nie przypominała.

Zamiast spuścić głowę i wykazać się dyskrecją i delikatnością, patrzyła na niego z nieukrywanym współczuciem. Jakby starała się wyczytać z jego twarzy, co też mogło się stać. Bo coś na pewno się stało. Ale co? Czyżby Lucy go rzuciła? A może zdradziła?

– Martyna, proszę, nie przeprowadzaj mi tu teraz psychoanalizy, tylko pomóż wybrać tę cholerną kuchnię – poprosił łagodnym głosem. – Nie mam pojęcia, jaką chcę kuchnię. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. U mojej mamy są szafki drewniane, więc wolałbym mieć inne. Jeśli chcesz mi pomóc, to popatrz na te obrazki i zdecyduj za mnie, jaką chcę mieć kuchnię. A potem mi powiedz, jak mam się w tej kuchni czuć. Tak, jak ty to potrafisz. Twoje słowa dobrze na mnie działają.

Posłusznie wzięła do ręki katalog i pochyliła się nad zdjęciami. Sprawa z Lucy musiała być poważna... Chyba sobie nieźle dopiekli, skoro go tak wzięło. Inaczej nie mówiłby, że to już koniec. A może to faktycznie koniec? Zaraz jednak upomniała się, że to zupełnie nie jej sprawa i nie powinna w ogóle o niej myśleć. Zamknęła w głowie pudełko pod tytułem „kłopoty Huberta” i wzięła się za oglądanie katalogu.

Ach, jak przyjemnie byłoby wybierać meble do swojego mieszkania, westchnęła. Może to się już niedługo zdarzy... Trzeba mieć nadzieję. Teraz, kiedy miała Czarka, wszystko w jej życiu wydawało się bardziej prawdopodobne. Przyjrzała się szafkom i odpłynęła w krainę marzeń. Wyobraziła sobie, że gotuje w tej kuchni obiad dla... no jasne, że dla Czarka. Po paru minutach już wiedziała, co by wybrała. Oczywiście, gdyby to była jej kuchnia. Hubert spojrzał z zainteresowaniem na białe szafki z drewnianymi rączkami i uśmiechnął się. Pierwszy raz dzisiejszego dnia.

– Błaty niech pan zrobi drewniane – mówiła. – Będzie dobry kontrast. Takie połączenie nowoczesności z tradycją, a jednocześnie wszystko ekologiczne, czyli na czasie. I kolory przytulne. A jak pan będzie w tej kuchni, to musi pan czuć... co pan lubi jeść najbardziej?

–Ja?

–No... pan?

– Lubię zupę ogórkową. Kiełbasę i ogórki. Ewentualnie śledzie.

– Myślałam, że powie pan coś bardziej wymyślnego.

– Spojrzała zawiedziona. – Kuchnia włoska, bazylia, czosnek, wino – rozmarzyła się. – Na oknie niech pan postawi doniczkę z ziołami, bazylią, miętą lub kolendrą, czyli polskim lubczykiem.

– Oczywiście. – Skinął głową. – Ale nie wiem, co to jest ta kolendra.

– Mogłam się spodziewać. Kolendra to takie ziele, jest dobra na... seks.  
Ma zielone listki podobne jak u selera, ale delikatniejsze w smaku.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– I ty ją... stosujesz?

– Tak, codziennie. Bardzo lubię.

– Nie podejrzewałbym cię o coś takiego.

– O wyrafinowany smak?

– Nie, chodziło mi o ten... seks. Chyba nie potrzeba ci ostatnio żadnego afrodyzjaka.

Spojrzała na niego lekko zbita z tropu. O czym on mówi? Jak on śmie!  
Coś się w niej w środku zagotowało i odważyła się na zaczepną odpowiedź.

– Czyżby dostrzegł pan we mnie dojrzałą kobietę spragnioną seksu?

– No, można to tak określić... Zmieniłaś się ostatnio. Nowa fryzura, ubranie, można powiedzieć, że przeobraziłaś się w... panią łabędzicę.

Przyjrzała mu się, zmrużywszy oczy.

– A... faktycznie, widzę, że zmienił pan zdanie na mój temat. Bo na początku, parę miesięcy temu, nie dojrzał pan we mnie kobiety, tylko... no, nie będę mówić.

– Nie, powiedz, powiedz, bo to ciekawe! – zainteresował się nagle Hubert.

– Dla mnie mniej. Nie pamięta pan, co pan o mnie myślał i mówił pierwszego dnia?

– Ja? Nic nie mówiłem – odparł pewny siebie.

– Oczywiście, że pan mówił.

– Co mówiłem? Proszę, powiedz. Nie pamiętam. Przysięgam!

Zawahała się. Właściwie nie miała zamiaru kiedykolwiek mu wypominać tego, co podsłuchała. Chciała się odwzajemnić podobnie kąśliwą uwagą i poczuć, że wyrównała rachunki. Teraz jednak musiała jakoś wyjść z tej głupawej sytuacji, w którą sama się wplątała. Jeśli nie powie, to będzie ją męczył przez resztę dnia. A jeśli powie, to na pewno ryknie śmiechem. A co tam... Może się zawstydzi? Właściwie teraz, kiedy ma Czarka, naprawdę było jej wszystko jedno, co Hubert o niej myśli. Wzięła oddech i wygarnęła mu prosto w twarz:

– Powiedział pan, że jestem cipcią, że z przodu mam deskę, a z tyłu dwie dorodne dynie!

Hubert zbaraniał, a potem wybuchnął szczerym śmiechem.

– Co w tym śmiesznego? – zapytała obruszona. – Zmyśliłaś to!

– Nie! Podsłuchałam!

– A wiesz, że to nieładnie podsłuchiwać – przeszedł do ataku, jak wredny samiec, który od razu łapie ofiarę, bez chwili namysłu.

– A wie pan, że zrobiło mi się przykro? – odparowała. Chyba go zatkało. Ale tylko na moment.

– Przepraszam – powiedział skruszony. – Naprawdę. Nie miałem najmniejszego zamiaru cię urazić. Ale sama przyznasz, że to śmieszne?

– Niezupełnie. Następnym razem niech pan pomyśli, zanim pan coś powie.

Po pracy Martyna jak na skrzydłach pobiegła na przystanek, ale pojechała w zupełnie inną stronę niż zazwyczaj. Po trzydziestu minutach stanęła przed drzwiami mieszkania Czarka, zamknęła oczy i zadzwoniła. Nie zdążyła ich otworzyć, a już poczuła na swoim ciele ciepłe ramiona, które przyciągnęły ją do siebie. I od razu zrobiło jej się... bardzo dobrze.



„Jestem sam”, szepnął jej do ucha Czarek i wciągnął do środka. Została u niego do późna i nie nudziła się... Zatopili się w cielesnej rozkoszy, odkrywając przed sobą najbardziej intymną i zmysłową stronę ich samych. Dotyk rąk na skórze, wzajemny zapach, smak pocałunków i ciepło bijące od ich nagich ciał. Kiedy wieczorem Czarek odprowadził Martynę do domu, nie musiał jej długo namawiać, aby przyszła też nazajutrz. Zgodziła się. Miał być sam przez cały tydzień.

Następnego dnia Martyna zastała na swoim biurku w pracy bukiet kwiatów. Popatrzyła zdziwiona. Przecież dziś nie były jej imieniny. Ani urodziny. Czyżby Czarek wpadł na pomysł, aby posłać jej kwiaty do biura? Nie, to chyba niemożliwe... Wczoraj było wspaniale, ale żeby zaraz kwiaty przysyłać? To lekka przesada, jednak to ładnie z jego strony, pomyślała ucieszona. Nawet bardzo ładnie. I poczuła się tak szczęśliwa, jak nigdy dotąd. W siódmym niebie albo jeszcze wyżej. Wreszcie ma mężczyznę, który daje jej kwiaty... Wzięła do ręki komórkę, aby zadzwonić do Czarka z podziękowaniami. Albo lepiej wyśle SMS-a, zdecydowała. Nie będzie mu przeszkadzać w pracy. I zabrała się do pisania. W tym momencie do pokoju wkroczył Hubert.

- Adoratora masz? – Spojrzał pytająco na kwiaty.
  - Na to wygląda – burknęła, nie przerywając pisania wiadomości.
  - A kto nim jest? Jeśli można wiedzieć?
  - To sprawa osobista.
  - To lepiej do niego nie pisz. Wysłałaś już?
- Podniosła głowę i obrzuciła go pytającym spojrzeniem.
- O co panu chodzi?
  - Te kwiaty to ode mnie.

– Od pana?! A dlaczego pan mi daje kwiaty?!

– A czyż piękna kobieta nie powinna otrzymywać takich prezentów?

– Do niedawna nie uważał mnie pan za piękną kobietę.

– Ale zmieniłem zdanie. I chciałem cię przeprosić za tamte niefortunne słowa.

– I dziś przyniósł mi pan kwiaty?! Z tego powodu? Spojrzała na niego z lekkim zakłopotaniem, które już

tak dobrze znał.

– Tak! Czy coś w tym złego?

– Ale ja po pracy idę na... randkę. Nie mogę przyjść z bukietem kwiatów od kogoś innego. Chyba pan to rozumie.

Hubert uśmiechnął się.

– Ale przecież nie zostawisz ich w biurze. Są dla ciebie. I tak mi dziękujesz?

– Nie... Bardzo mi miło, tylko, rozumie pan, że ten ktoś może być zazdrosny – powiedziała z wyrzutem.

– Nie pomyślałem o tym. Zresztą, to nie moja sprawa.

– Ale co ja mam teraz zrobić? – Spojrzała na niego bezradnie.

– Tego to już nie wiem. A propos tych ziół, o których mi mówiłaś – zmienił temat – sprawdziłem, lubczyk i kolendra to nie to samo. Kolendra nie jest wymieniana jako afrodyzjak. Lubczyk natomiast faktycznie działa pobudzająco i jest określany jako ludowe ziele miłosne, które łagodzi kłótnie w małżeństwie. Występuje w przyprawie maggi. Dużo tej przyprawy używasz? Ostatnio?

– O co panu chodzi? – Martyna patrzyła na niego w lekkim osłupieniu.

– Nie... o nic, tak tylko pytam, bo wczoraj mówiłaś, że kolendrę jesz garściami. Więc jeśli chodzi ci o to, aby wzmacniała pożądlivość seksualną, to możesz przestać. Nie działa. Za to ma działanie wiatropędne... Jeżeli, oczywiście, masz z tym kłopoty.

Hubert uśmiechnął się, siadł przy swoim biurku i zaczął analizować wykresy cen metali. Martyna zaczerwieniła się po cebulki włosów i postanowiła nie komentować wypowiedzi swojego szefa. Po południu zabrała kwiaty z biura i wyrzuciła do kosza na śmieci przed klatką schodową Czarka. Po co chłopak miał być niepotrzebnie zazdrosny Na szczęście ani Czarek, ani Hubert tego nie widzieli.

W środę Patryk musiał wyjechać poza Warszawę na delegację służbową. Spędził cały dzień w niewielkiej miejscowości na Mazurach, gdzie jego biuro miało zrobić projekt adaptacji starego budynku na luksusową restaurację. Ponieważ inwestor nie dysponował oryginalnym planem, Patryk musiał sam dokonać wszelkich pomiarów i sporządzić inwentaryzację. Pracę skończył dopiero późnym wieczorem, wsiadł w samochód i ruszył w kierunku stolicy. Wraz z nastaniem zmierzchu zaczął prószyć śnieg z deszczem. Spadające krople zamarzały na powierzchni asfaltu, tworząc niewidoczną lodową pokrywę. Patryk, zmęczony całym dniem pracy, chciał jak najszybciej znaleźć się w domu i był wściekły, że musi jechać bardzo wolno. Gdzie są służby drogowe w tym kraju, pieklił się w duchu. Około pięćdziesięciu kilometrów przed Warszawą, przycisnął pedał gazu odrobinę za mocno, samochód wpadł w poślizg i zaczął się obracać na zlodowaciałym asfalcie. Patryk zupełnie stracił panowanie nad kierownicą i sam nie wiedział, jak się znalazł w przydrożnym rowie. Udało mu się wydostać z samochodu, był cały i zdrowy, ale samochód miał

wgniecioną maskę i nie nadawał się do jazdy. Ktoś musiał mu pomóc. Ale kto? Nie znał wielu ludzi w Warszawie. Właściwie bliżej zaprzyjaźnił się tylko z Hubertem, Zawahał się i zadzwonił. Hubert natychmiast zgodził się przyjechać. Półtorej godziny później razem wyciągali samochód z rowu. Założyli hak i odholowali auto do miasta. Następnego dnia Patryk wysłał Hubertowi SMS-a: „Dzięki za wczorajszą noc”

TTLR

## *Rozdział 13*

*Czy to możliwe?*

W czwartek Hubert przyszedł do pracy w stanie, który Martyna określiła jako nieświeży. Był nieogolony, ziewał, miał podkrążone oczy i ogólnie był jakiś... wymiętoszony. Pił kawę za kawą i słał się po biurze ledwo przytomny, jakby zarwał całą noc i przyszedł do pracy tylko z czystego poczucia obowiązku. Akurat dzień był z tych, kiedy nie było czasu, aby się podrapać; Darek był chory, Paweł w delegacji, rozczochrana pani Gosia biegała po biurze, opowiadając, że szaleje grypa, jedna z wysyłek była opóźniona, z portu przyszła reklamacja w sprawie ilości walcówki – jednym słowem, kryzys gonił kryzys i wymagał natychmiastowych działań. Hubert nie bąknął więc ani słowa o tym, że spędził noc, pomagając Patrykowi wyciągnąć samochód z rowu, bo nie znalazł na to odpowiedniej chwili. Wyszedł z biura najwcześniej, jak się dało, śpiesząc się do domu, bo akurat tego popołudnia przyjeżdżał do niego transport z zamówionymi szafkami do kuchni.

Martyna zaczęła się zbierać zaraz po wyjściu szefa. Ona również była niewyspana, ale z bardziej przyjemnych powodów. Dziś po raz pierwszy od trzech dni zamiast do Czarka jechała po pracy do swojego domu. Ani trochę nie żałowała zarywanych ostatnio nocy, ale jej organizm domagał się swego prawa do odpoczynku i musiała wykonać parę przyziemnych czynności, na przykład pranie. Poza tym czuła się fizycznie zmęczona i postanowiła zrobić sobie dzień przerwy od szalonych namiętności. Jutro przecież znów miała się spotkać z Czarkiem, a krótka przerwa powinna na nowo rozbudzić ich

żądze. Po pracy poszła więc na przystanek, wsiadła do autobusu i zatopiła się w rozważaniach na temat swojego chłopaka. Była zakochana po uszy. Właśnie zastanawiała się, czy Czarek już wyszedł z pracy i czy może do niego zadzwonić, kiedy usłyszała sygnał przychodzącego SMS-a. Zaczęła się szamotać z suwakiem torebki i gorączkowo szukać komórki. Spodziewała się, że to Czarek wysłał jej jakąś namiętną wiadomość, sygnalizując, że też jest już w drodze do domu. Uśmiechając się do swych niezbyt przyzwoitych myśli, wyjęła komórkę, szybko odblokowała klawiaturę i odczytała wiadomość: „Dzięki za wczorajszą noc.”

Ha, bardziej nazwałaby to wieczorem, ale niech mu będzie. Zdziwiła się tym bardziej, że Czarek zazwyczaj pisał, że myśli albo tęskni, a podziękowania zostawiał dla Pana Boga na niedzielną mszę. Na wszelki wypadek spojrzała więc na nadawcę i... skamieniała. Jeszcze raz przeczytała bardzo powoli, aby się upewnić, że dobrze widzi. Nadawcą był Patryk. Kto to jest Patryk? Przecież ona nie zna żadnego Patryka. O co tu chodzi? Chwileczkę, chwileczkę, zaczęła grzebać w pamięci. Czyż nie tak ma na imię znajomy Huberta, który ciągle do niego wydzwania? Ale dlaczego pisze do niej? Dziękuje jej za noc? Jaką znowu noc? Nawet faceta na oczy nie widziała.

Po chwili wszystko było jasne. W torbie miała dwie komórki. Jedna należała do Huberta. Musiała niechcący zabrać ją z jego biurka lub też Hubert sam położył ją nieopatrznie na jej biurku, a ona wzięła ją przez przypadek. Obie komórki to nokie, takie same modele, nic nadzwyczajnego. Tylko ta Huberta była bardziej porysowana, ale początkowo nie zwróciła na to uwagi. A niech to cholera!, zaklęła w myślach. Dobrze, że jutro piątek, będzie mogła mu ją oddać, pomyślała. Zaraz sobie przypomniała, że Hubert

wyglądał dziś na bardzo zmęczonego, jakby w ogóle nie spał. Podejrzewała, że jego wymiętoszony stan ma jakiś związek z Lucy, pewnie kłócili się przez całą noc albo godzili, ale przez dyskrecję nie pytała, a on nie był skłonny do zwierzania się.

Jeszcze raz przeczytała wiadomość: „Dzięki za wczorajszą noc”. O co tu może chodzić? Znowu sprawdziła nadawcę. Był nim Patryk. Jak facet do faceta może wysłać takiego SMS-a??? Dziwne, nawet bardzo dziwne, zaczęła się zastanawiać. I nagle wszystkie mięśnie jej zeszywniały, jakby trafił w nią piorun, tu, w samym środku Warszawy. Czyżby Hubert był... czyżby Hubert spędził noc z Patrykiem? Łajdaczył się z nim do rana, i dlatego przyszedł taki wymiętoszony? Czyżby miał inne skłonności seksualne? Czyżby... lubił Patryka? Czyżby był GEJEM??? Może dlatego pokłócił się z Lucy? Odkrył swoje skłonności i to było powodem zerwania. I dlatego powiedział takim stanowczym tonem, że sprawa z Lucy była definitywnie zakończona. Zaraz, zaraz... i te jego dziwne buty? Oczywiście, taki gust mają tylko geje. Że też nie przyszło jej to do razu do głowy... A niech to! Czy to możliwe??? Ale fakty mówiły same za siebie. Wszystko pasowało do siebie jak puzzle w układance! Chciała coś wykrzyknąć z wrażenia, ale naokoło stali ludzie, ograniczyła się więc do głośniejszego chrząknięcia i dalej intensywnie zastanawiała się, czy to naprawdę jest możliwe, aby Hubert był gejem. O gejach nie wiedziała nic, poza tym, że istnieją. Ale jeśli jej szef był gejem...

Kiedy wreszcie autobus stanął na jej przystanku, rzuciła się pędem do domu. Wpadła do mieszkania jak trąba powietrzna, ledwie zamykając za sobą drzwi. Nawet nie zauważyła, że w kuchni siedział pan Rysio. Ale on w ogóle mało ją obchodził. Przy takiej bombie, jaka właśnie wybuchła w jej



życiu, był nieliczącym się pionkiem, niegodnym jej uwagi. Rzuciła się do komputera i szybko wklepała w wyszukiwarce hasło „homoseksualizm”. Zaczęła czytać. Po dwóch godzinach lektury wiedziała, że:

- wydaje się, że orientacja jest sprawą wrodzoną i jak na razie żadna terapia nie jest skuteczna,

- dopiero po dwudziestym roku życia można stwierdzić definitywnie jakiej jest się orientacji,

- większość gejów i lesbijek ma do perfekcji opanowaną sztukę udawania osób heteroseksualnych,

- wiele osób ze skłonnościami homoseksualnymi nie chce zaakceptować, że są inni. Boją się odrzucenia, nie chcą być wyśmiewani. Wstydzą się i ukrywają swoje skłonności. Żyją w negacji własnego ja, boją się zrobić *coming out*, czyli wyjawić otoczeniu, że są gejami.

Cholera, mruknęła do siebie Martyna. Wszystko się zgadzało; Hubert poznał Patryka, który też jest gejem, i zakochał się w nim. Początkowo nie chciał tego faktu zaakceptować, ale coraz bardziej uświadamiał sobie, że jest po prostu inny. Może do tej pory ignorował swoją orientację, nie chciał być „nienormalny”? Może bał się odrzucenia? Stąd te zamyślenia, gapienie się w szybę, odejścia i powroty do Lucy, nerwowe reagowanie na telefony od Patryka. To jak film *Tajemnica Brokeback Mountain*, tu, w Warszawie, na jej oczach. Tylko dlaczego ta przypadłość dotknęła Huberta?! Taki przystojny! Szkoda go dla facetów!

Tego dnia odebrała jeszcze jeden telefon do swego szefa. Od jego mamy. Przeprosiła ją i powiedziała o przypadkowym zabraniu komórki. Starsza pani bardzo miłym głosem odpowiedziała, że zna ją z opowiadań, bo Hubert często o niej mówi. To było dosyć dziwne, pomyślała Martyna, bo

nie sądziła, że choć odrobinę obchodzi Huberta poza pracą. A już na pewno nie do tego stopnia, by opowiadał o niej swojej mamie. Chyba że... Hubert nie chce rozmawiać o Patryku, mówi więc o pracy i, siłą rzeczy, o niej. Nie chce, aby jego mama domyśliła się, że coś z nim jest nie w porządku. To było jedyne logiczne wyjaśnienie tej kwestii. Przy okazji zobaczyła, że w skrzynce było pełno nieprzeczytanych wiadomości od Lucy. Poskromiła w sobie ciekawość i nie otworzyła ani jednej. Zresztą zauważyłby gdy jutro odda mu komórkę. I tak wiedziała, że naruszyła prywatność swojego szefa w stopniu co najmniej nadmiernym. Jeszcze tego wieczoru zwołane zostało nadzwyczajne spotkanie dwóch przyjaciółek Martyny, Sandry i Zosi. Sprawa była zbyt ważna, aby mogła czekać. Homoseksualizm Huberta bezwzględnie wymagał gruntownego i dogłębnego przedyskutowania w gronie zaufanych koleżanek. Pomyślała o Czarku, ale postanowiła, że na razie mu nie powie. Musi się upewnić, że to wszystko prawda, a nie jej urojenie. Nie mogła rozsiewać niepotwierdzonych plotek na tak delikatny temat. Zwłaszcza, że niedawno się okazało, że Czarek zna Huberta. Chodził z nim do tego samego liceum, ale z jakiegoś powodu nie darzył go zbyt dużą sympatią. Jak się dowie, że Hubert jest gejem, jeszcze bardziej się do niego uprzedzi. Sandra i Zosia zgodziły się, że to prywatna sprawa Huberta, która nikogo nie powinna obchodzić, i że najważniejsza jest akceptacja. Totalna i kompletna. Stuprocentowa. Dwustuprocentowa. Jeśli tylko Hubert nie będzie atakował Roberta, Czarka, łysego Anglika i Mariusza. I nie będzie wykorzystywał faktu swojego homoseksualizmu dla własnych egoistycznych potrzeb. Nie będzie się obnażał w biurze ani nikogo atakował. Następnie – dyskrecja. Jednogłośnie przyznały, że Hubert przeżywa trudny okres, że musi uporać się z własną odmiennością, to znaczy, zaakceptować

ją. Dziewczyny uzgodniły, że najlepiej będzie, jeśli Martyna nie będzie zdradzać, że wie o problemie. To musi wyjść od niego. Uznały, że taka informacja może być dodatkowym powodem do zdenerwowania dla i tak już zestresowanego, biednego Huberta. Gdyby wiedział, jak się o niego troszczyły, z pewnością byłby pod wrażeniem. Albo by się wściekł.

Po ustaleniu tych najważniejszych spraw dotyczących traktowania Huberta, Sandra w końcu przytomnie zaczęła wypytywać, czy ta informacja o jego homoseksualnej orientacji jest naprawdę prawdziwa.

– Nie zorientowałaś się wcześniej? Musiałaś coś podejrzewać.

Niestety, Martyna niczego nie podejrzewała. Kobięca intuicja zawiodła ją na całej linii. Ba, Hubert działał na nią jak... facet. Aż do tego dnia nawet przez myśl by jej nie przeszło, że może być gejem. Dziewczyny z powagą kiwały głowami i sabat czarownic zakończył się. Przed rozstaniem, Zosia pochwaliła się, że jej łysy Anglik odpisał, że przyjedzie, ale dopiero po świętach, jak bilety lotnicze stanieją. To nawet dobrze, była nadzieja, że spadnie śnieg i Angol zobaczy Warszawę przykrytą białą pierzynką, rozmarzyła się Zosia. I do tego czasu wyjaśni się z Mariuszem. Jeszcze się z nim nie spotkała, ale zbliżał się weekend. A ona była wolna. Więc jeszcze raz mu się przyjrzy... Jeżeli najpierw obieca, że jej nie zgwałci na klatce schodowej.

Po powrocie do domu Hubert zobaczył stojący przed wejściem do bloku ciężarowy samochód z transportem zamówionych szafek kuchennych. Pomógł kierowcy wyładować ciężkie paki i razem przenieśli je do jego mieszkania. Kiedy skończyli, Hubert padł ledwo żywy na materac i zamknął oczy. Był wykończony. Miał za sobą ciężką noc i ciężki dzień. Nawet się nie zorientował, że nie ma komórki. Zresztą, nie miał ochoty z nikim

rozmawiać. Próbował zasnąć, ale jego myśli skakały z tematu na temat; zbliżające się święta, prezenty, praca, samochód Patryka i... Martyna. Dziś była dziwnie skupiona i zamyślona. Zauważył, że miała lekkie sińce pod oczami z niewyspania. Zbyt duża dawka seksu wykańcza, pomyślał z nutką zazdrości. I ogarnął go dziwny smutek. Bo nagle zdał sobie sprawę, że bardzo chciałby być tym tajemniczym kimś, przez kogo Martyna się nie wysypia. I żeby to on był powodem dla którego tak wypiękniała i zmieniła styl. Ciekawe, kim był ten szczęśliwy wybraniec, którego obdarowuje swoimi wdziękami? Nie śmiał pytać. Na przekór rozsądkowi rzucał jej ukradkowe spojrzenia jak jakiś zakochany szczeniak. I coraz bardziej przekonywał się, że „jego” Martynka ma wiele wdzięku... A on tracił czas na tę wyrafinowaną idiotkę Lucy!

## *Rozdział 14*

### *Warszawa to bardzo małe miasto*

Jeżeli ktoś myśli, że Warszawa, stolica Polski, jest wielkim miastem, to się myli. Warszawa jest mała. Daleko jej do wielomilionowych metropolii, takich jak Londyn, Paryż czy Nowy Jork. Z jednego końca na drugi można się dostać w niespełną godzinę, warszawskie metro ma jedną nitkę, a na ulicy rzadko słychać inny język niż polski. Nie ma tu Oxford Street jak w Londynie ani domów handlowych Printemps czy Lafayette jak w Paryżu, ani amerykańskiego domu towarowego Macy's. Ale przecież Warszawa stara się doścignąć czołówkę miast europejskich i stać się metropolią na skalę światową. Są już w stolicy wielkie centra handlowe i takie same sklepy jak gdzie indziej na świecie: hiszpańska Zara, H&M (mało kto wie, że to skrót od Hennes & Mauritz – i wywodzi się ze Szwecji), angielski Marks & Spencer i niemiecki Peek & Cloppenburg. Dotarła nawet amerykańska sieć Starbucks Coffee. Chcemy żyć tak, jak się żyje w wielkim świecie. Na prozonych przyjęciach na przystawkę zamiast śledzia podajemy mozzarellę z bazylią, daniem głównym już nie jest schabowy z kapustą, lecz spaghetti z sosem z czterech serów. Najpopularniejszym deserem przestała być rodzima szarlotka, a stało się włoskie tiramisu. Ubieramy się w palta bez watoliny, a w wielu domach latem włącza się klimatyzację, tak jak w Rzymie czy Madrycie. Nic więc dziwnego, że do naszej stolicy dotarł również nowy światowy trend – dubbing. Młodzi ludzie nie urządzą w domach prywatek, ale chodzą do nocnych klubów, tak samo jak to robią ich rówieśnicy w Londynie, Paryżu

czy Nowym Jorku. Piją takie same drinki, noszą podobne ciuchy i w ciągu nocy parę razy zmieniają lokal, żeby się nie zasiedzieć. Klubów przybywa, a jednak spotkać się w nich nadal łatwo...

Pani Nina myślała o kobiecie, której dziś stawiała karty. Biedaczka martwiła się o swego syna. Rozstał się z dziewczyną i bardzo to przeżywał. Na domiar złego wyprowadził się z domu, teraz mieszkał sam, co jeszcze bardziej przygnębiało strapioną matkę. Bo jak mogła mu pomóc? Chciała, aby się ustatkował, założył rodzinę, a ona mogłaby się cieszyć wnukami. Historia, jakich pełno. Do pani Niny przychodziło wiele matek z dokładnie takimi pytaniami, ale akurat ten przypadek okazał się wyjątkowo bliski jej sercu. Po godzinie kobieta wyszła bardzo uspokojona; karty mówiły, że jej syn już niedługo się zakocha i tym razem we właściwej dziewczynie. Kiedy kobieta poszła, pani Nina westchnęła. Warszawa to małe miasto, pomyślała.

W sobotę Sandra umówiła się z Robertem i jego przyjaciółmi w klubie uważanym za mekkę młodych wpływowych. Przychodzili tam warszawscy yuppies pracujący w firmach marketingowych, agencjach PR czy reklamie, od czasu do czasu pojawiali się biznesmeni, sportowcy ze swoimi wystrzałowymi dziewczynami, a nawet politycy. Okazało się, że znajomy Roberta znał kogoś z towarzystwa, w którym obracała się Lucy (już bez Huberta), i dzięki temu Sandra została przedstawiona zjawiskowej blondynce o długich włosach, na widok której część mężczyzn niesmacznie się śliniła. Zwróciła na nią uwagę tylko dlatego, że Lucy miała na nogach bardzo designerskie buty, w których wyglądała, jakby była na szczudłach. Przypadek sprawił, że Sandra usiadła przy stoliku obok niej i mimo woli podsłuchiwała jej rozmowę z jakimś kolesiem, który po bratersku obejmował szczupłe ciało Lucy i pocieszał, że nie jedyny Hubert na świecie i że może

mu się odmieni. Wtedy Sandra skojarzyła, że poznana blondynka mogła być byłą dziewczyną szefa Martyny. Z opisu pasowała jak ulał. Sandra zdobyła się na odwagę i zagadnęła ją. Jeszcze raz się przedstawiła i powiedziała, że jest koleżanką Martyny, która pracuje z Hubertem w pokoju. Lucy spojrzała na nią początkowo oziębło, ale po chwili uśmiechnęła się ciepłej i zdecydowała poświęcić Sandrze odrobinę uwagi.

– Aha, jesteś koleżanką Martyny. Hubert mówił mi o niej. Tak, to ta nowa, co z nim pracuje. Podobno miła. Tylko, wiesz... ja i Hubert to, zdaje się, już przeszłość... szkoda... nie z mojej to winy... więc, jestem trochę zdołowana.

– Rozumiem, przykro mi. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Nie znam Huberta osobiście, ale Martyna mówiła, że stanowiliście bardzo dobraną parę. Sama nie mam pojęcia, jak przyjąłabym taką informację... to musiał być dla ciebie szok... – Rzuciła Lucy współczujące spojrzenie. – Gdyby nie spotkał tego Patryka... może jego skłonności. .. to w końcu nieszczęście... choć dzisiaj już bardzo popularne...

Lucy wypijała tego wieczoru parę drinków, ale nie była na tyle pijana, żeby nie zdawać sobie sprawy z tego, co mówi Sandra. Przyglądała się badawczo swojej rozmówczyni, chcąc lepiej pojąć sens jej słów. Po sekundzie w pełni do niej dotarło to, co Sandra dawała jej do zrozumienia! Że Hubert jest... HOMOSEKSUALISTĄ! Co ta dziewczyna wygaduje? Zwariowała, czy co? Jaki Patryk? Ale zaraz... tak... faktycznie, Patryk to sąsiad Huberta z nowego bloku. Hubert nieraz o nim wspominał, kiedyś nawet go widziała. I nagle Lucy zaczęła postrzegać wszystko bardzo jasno i klarownie. Aż za bardzo. Z nieba spadała jej szansa, aby zemścić się na byłym kochanku. A ona nie z tych, co nie chwytają okazji, gdy się takie



nadarzają. Wystarczy potwierdzić, że Hubert jest gejem i... nikt nigdy nie uwierzy w jej romans z podtatusiałym politykiem. Nawet nie będzie chciał o tym słuchać! Czyż to nie genialne wyjście z sytuacji? Powie, że Hubert odkrył swoje skłonności niedawno; spotkał Patryka i zakochał się w nim. Poznał samego siebie i stwierdził, że woli chłopców. Dlatego z nią zerwał! Bingo! Poczula w ustach słodki smak zemsty. Ale... Chociaż może przesadza... w tej samej chwili dopadły ją wyrzuty sumienia, ale zaraz się ich pozbyła. Nawet nie zna tej Sandry. W razie czego wyprze się wszystkiego, powie, że była pijana, a tej dziewczynie coś się zdawało. Zabawa i tak będzie świetna. Przez moment chciała pocałować Sandrę czy nawet ją uściskać za to, że podsunęła jej tak nedorzeczny pomysł, ale się powstrzymała. Pomyśleliby, że jest lesbiją, a oto jej wcale nie chodziło. Zamiast tego starała się zrobić najbardziej udreńczoną minę, na jaką było ją stać.

– Tak, to był dla mnie szok – potwierdziła smętnym głosem, spuszczać głowę. – Wiesz, w ogóle nie zdawałam sobie sprawy, że on tak ma. Seks między nami był w porządku. Aż tu pewnego ranka to jego wyznanie. Nie wierzyłam. Wydawało mi się, że to niemożliwe. Że to zły sen, który minie. Mówił, że długo z tym walczył. Już od paru lat... ale teraz, gdy poznał Patryka, uświadomił sobie w całej pełni, że jest gejem. Zakochał się w nim. Powiedział, że nigdy nie będzie mi mógł dać prawdziwego szczęścia. Rozplakał się i wyszedł. Chciałam mu pomóc, pogadać z nim, ale on się zupełnie odciął. Zupełnie. Nie chce odbierać ode mnie telefonów. Zero kontaktu. Jeszcze nikomu o tym nie mówiłam, że jest... no, wiesz... gejem. To jego prywatna sprawa. Mnie też trudno w to wszystko uwierzyć. Ale jeżeli w biurze już wiedzą...

Chciała się rozplakać dla lepszego efektu, ale nie zrobiła tego, bo przypomniała sobie, że rozmazałby się jej makijaż. Poza tym są jakieś granice odstawiania cyrku.

W tej samej chwili Hubert przebywał w innej części Warszawy, ale również w klubie nocnym. Gdyby wiedział, o czym właśnie rozmawiała Sandra z Lucy, zapewne złość by go zalała albo dostałby ataku serca, lub... ogarnąłby go niekontrolowany wybuch szczerego śmiechu. Trudno przewidzieć. Na razie jednak siedział przy barze i gapił się dookoła na kręcące się wokół panienki. Oceniał długie nogi, odziane w czarne rajstopy, wystające spod kusych spódniczek, ale nie wzbudzały w nim szczególnego zainteresowania. Patrzył na nie tak, jak ogląda się obrazy w muzeum; ten ładny, ten mniej, ten mi się podoba, tamten w ogóle. I tak nie kupi. Patryk, którego sam tu zaciągnął, bo chciał mu pokazać nocne życie w Warszawie, gdzieś wsiąkł, Hubert nie miał więc nic innego do roboty jak sączenie drinka, gapienie się na dziewczyny i słuchanie muzyki. Zresztą, mało co słyszał, bo siedział tu już ze dwie godziny i był kompletnie ogłuszony i lekko pijany. Zamyślił się i zaczęło go denerwować migające co chwila światło stroboskopowe. Nie dość, że ledwo co słyszał, to jeszcze nic nie widział. Zamknął na moment zmęczone oczy, ale zaraz je otworzył. W takim miejscu lepiej wiedzieć, co się naokoło człowieka dzieje. I wtedy zobaczył... zjawę.

Była nią Martyna wirująca w tańcu z jakimś facetem. Myślał, że coś mu się przywidziało. Że ktoś wrzucił mu do drinka ekstazy albo inne świństwo. Przestraszył się nie na żarty, że ma urojenia. Cholera mruknął pod nosem. Martyna tutaj? Co ona tu robi? Dużo chodził po klubach, ale do tej pory nigdy jej nie spotkał. Wziął do ręki niedopitego drinka i przedarł się

przez tłum falujących ciał pod ścianę, żeby nie było go widać. Nie miał najmniejszej ochoty na spotkanie ze swoją biurową koleżanką i jej chłopakiem. Ale chciał się im z ukrycia przyjrzeć, bo był bardzo, ale to bardzo ciekawy. Gapił się więc na tańczące w oparach dymów i dyskotekowych świateł pary, starając się przebić wzrokiem wirującą masę ciał i wyłowić z nich Martynę z jej chłopakiem. Odnalazł wreszcie to, czego szukał. „Jego” Martynka bezwstydnie przytulała się do jakiegoś faceta i... całowała się z nim. A tym facetem był... Czarek. Jego dawny kolega z liceum, którego uważał za pierwszoligowego palanta.

Czuł się, jakby ktoś dał mu obuchem w głowę. Ona... z Czarkiem? Tym dupkiem, który płakał w szkole, bo dostał trójkę? Złotoustym lalusiem, grzecznym, układnym chłopcem, co się nie wychyli. Uważał Czarka za mięczaka, ulubieńca nauczycielek i pierdołę życiowego. Hubert nigdy nie lubił swojego licealnego kolegi, ale prawdziwa niechęć zrodziła się po tym, jak dziewczyna Huberta rzuciła go dla Czarka, mówiąc mu na odchodnym, że Czarek jest bardziej odczytany i umie wyrażać uczucia. Hubert poczuł się tak, jakby go ktoś spoliczkował. To było upokarzające. I za to wszystko winił tego cholernego lalusia! A teraz patrzył na niego, jak ten robi wygibasy rodem z kursu tańca, obraca w tańcu Martynę, a jej giętkie ciało poddaje się jego prowadzeniu, jakby było z plasteliny. Cholera, zaklął Hubert, mamusia na pewno zapisała Czarusa na lekcje płaśów towarzyskich, a on posłusznie chodził. Może jeszcze gra na skrzypcach i pianinie, dodał uszczypliwie w myślach. I „jego” Martynka z nim się zadaje? Coś ukłuło go mocno w samo serce. Zazdrość? Nie wiedział. Czuł, że w środku klatki piersiowej ma krwawiącą ranę, która przyprawia go o fizyczny ból. Przydałby mu się plaster czy coś podobnego. Czy nie mogła sobie znaleźć

jakiegoś innego faceta?, zapytał sam siebie. Mało to ludzi w Warszawie? Zaklął pod nosem, żeby sobie ulżyć. Zrobiło mu się duszno i poczuł, że musi natychmiast wyjść. Na gwałt potrzebował świeżego powietrza. Odszukał Patryka, który akurat rozmawiał z jakimś gogusem, i pociągnął go brutalnie za ramię, mówiąc: – Zmieniamy lokal.

Patryk spojrział na niego dziwnie, nie rozumiejąc, o co chodzi, ale uścisk Huberta był zdecydowany, spolegliwie więc podążył za przyjacielem. Nie opierał się specjalnie, ale zdołał wepchnąć do ręki nowemu znajomemu wizytówkę ze swoim numerem telefonu i wyszedł z klubu za Hubertem. Żaden z nich nie zauważył, że odprowadza ich zaciekawiony wzrok jednej z dziewczyn.

Kiedy znaleźli się w taksówce, Hubert wyjaśnił, że zobaczył kogoś, kto nie powinien go tam widzieć, i stąd to nagłe wyjście. Poza tym nic się nie stało. Do końca wieczoru był dziwnie małomówny. Gdy znaleźli się w innym klubie, usiadł przy barze i rozmyślał na kuflem piwa, jakby ] rozwiązywał krzyżówkę.

W niedzielę Sandra napisała do Martyny e-maila, a kopię wysłała do Zosi:

„Hubert to na pewno gej. Poznałam Lucy, która przyznała, że Hubert zakochał się w Patryku i to stało się powodem ich rozstania. Ona nadal jest w szoku. Bardzo to przeżywa. Przedtem nigdy nie mówił, że kręca go face-ci”.

Zosia dodała: O Boże!”

Martyna zakończyła:

„O kur... Więc to jednak prawda...”

I krótka wymiana słowa pisanego zakończyła się. Wieczorem dziewczyny spotkały się na winie w pobliskiej kawiarni i sprawę ucziwie obgadały do końca. Sandra zdała ze szczegółami relację ze spotkania z Lucy, nie zatajając żadnego detalu, dokładnie opisując nawet buty blondyny, które zrobiły na niej wielkie wrażenie. Sprawa była oczywista i potwierdzona. Hubert był gejem. A nawet gdyby nie był, to i tak Martyna nie miała szans w rywalizacji z dziewczyną w takich butach, pomyślała w duchu Sandra.

Nowy tydzień zaczął się zupełnie zwyczajnie. W poniedziałek Hubert jak zwykle spóźnił się do biura, Martyna jak zwykle zrobiła mu kawę i kupiła na lunch kanapkę z tuńczykiem. Godziny płynęły monotonnie jak każdego dnia, ale tylko pozornie. Hubert wyczuwał, że coś się zmieniło. Otóż wydawało mu się, że Martyna dziwnie mu się przypatruje, jakby pofarbował się na rudo albo miał wybitą jedynekę. Rzuciła mu ukradkiem badawcze spojrzenia, z których odczytywał... zgorzenie. O co jej chodziło? To raczej on powinien tak na nią patrzeć po tym, jak widział ją całującą się z tym kretynem Czarkiem. I to jak się całującą! I obściskującą! Przy ludziach! Ten obrazek zapisany w głowie Huberta napawał go dziwnym wstrętem. Wiedział, że to nie była jego sprawa, ale nic nie mógł na to poradzić. Był niezadowolony i już.

Wydawało mu się również, że jego młodsza koleżanka jest bardziej nerwowa niż zwykle. Kiedy czuł na sobie jej spojrzenie i podnosił wzrok, ona od razu odwracała głowę i udawała, że jest pogrążona w pracy. Hubert miał wrażenie, że chce mu coś powiedzieć albo na coś czeka. Ale na co? Na co można czekać w poniedziałek? Na wtorek?

We wtorek okazało się, że dyrekcja robi świąteczne spotkanie integracyjne dla załogi i wszyscy są zaproszeni do eleganckiej restauracji wynajętej w całości dla Metaleksu. Zaproszenia były jednoosobowe, co wywołało pewne komentarze, bo rok wcześniej obejmowały również osoby towarzyszące. Ku zgrozie Martyny Darek z Pawłem od razu zaczęli się wygłupiać i razem ze sobą tańczyć, udając gejów. Prawie się przy tym pocałowali. Pani Gosia biadała, że nie będzie mogła przyjaciom z pracy przedstawić kandydata na swojego trzeciego męża, Hanka nie żałowała, bo niedawno się rozwiodła i nie miała kogo przyprowadzić, a Marzenka była szczęśliwa, bo jej mąż będzie musiał zostać z dzieciaczkami i zaoszczędzi na niańce. Mirek nic nie mówił, a Hubert pokiwał tylko głową i skierował wzrok ku chmurom. Jakby tylko one go rozumiały.

Tego samego dnia w biurowej kuchni przy kawie pani Gosia dopadła Martynę i rozpoczęła przesłuchanie na temat Huberta. Wyczuła swoim szóstym zmysłem, że coś jest nie tak. Intuicja jak zwykle jej nie zawiodła.

- Coś zamyślony nasz szefunio ostatnio? – zagadnęła Martynę.
- Rozstał się z Lucy i przeżywa.
- I dlatego tobie kwiaty przynosi?
- A nie, nie, to nic... – Martyna zastanawiała się, co wymyślić, i machała przy tym ręką, jakby to miało pomóc rozwiązać wątpliwości. – Przegrał zakład, to dlatego – wyjąkała.

Pani Gosia popatrzyła na nią swoim przenikliwym wzrokiem kobiety doświadczonej. Martyna od razu wiedziała, że jej nie uwierzyła, ale nie miała zamiaru się tym przejmować. Po chwili pani Gosia zaczęła opowiadać, że w czerwcu było spotkanie integracyjne w domu dyrektora Kowalskiego, na które zaproszono wybrane osoby z biura; z ich działu był

to dyrektor Bączek, ona i Hubert. Pomimo że zaproszenia były dwuosobowe, Hubert przyszedł sam. Zaczęła się więc głośno zastanawiać, czy już wtedy się nie kłócili.

– Możliwe, że coś go już wtedy gryzło – zaryzykowała Martyna.

– Ale co? – od razu podchwyciła pani Gosia.

– No, nie wiem. Może... może.... – Martyna zaczęła desperacko się jąkać.

Pani Gosia przyspiliła ją wzrokiem tak, jakby robiła rentgen duszy. I niczego przed nią nie można było ukryć.

– Naprawdę nie wiem, pani Gosiu – jąkała się Martyna. – Głupie myśli mi przychodzą do głowy... Może Hubert jest „inny”.

– W jakim sensie inny?

– No... facet, ale co innego lubi. Tak jak kiedyś w Grecji. Chodzi o chłopców.

– Hubert!?! – Panią Gosię zamurowało.

Stała oniemiała i aż usta otworzyła ze zdziwienia. Potem usiadła przy stole, bo czuła, że ma trudności z utrzymaniem równowagi.

– Patrz... Nigdy bym na to nie wpadła... Jak to możliwe... cholera, to taka modna zaraza teraz. – Zamyśliła się i zamilkła, co było u niej zjawiskiem rzadkim. Martyna od razu pożałowała swoich słów, ale było za późno.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytała pani Gosia. Martyna ściszyła głos i nachyliła się ku niej.

– Potwierdziła to Lucy, jego była dziewczyna. Hubert zakochał się w jakimś Patryku, który jest jego sąsiadem. To dlatego się rozstali. Zdał sobie sprawę ze swoich skłonności.



– O ja pieprzę – syknęła pani Gosia.

Martyna pokiwała potakująco głową, a jej starsza biurowa koleżanka popatrzyła na nią przerażonym wzrokiem.

– Dobrze, że szefostwo jeszcze nic nie wie. Na pewno nie zrobiliby go kierownikiem. Kowalski nie lubi takich dziwactw. Bączek tym bardziej. Musimy to trzymać w tajemnicy. Tak długo, jak się da. Ani słowa nikomu. NIKOMU. Wiesz, o tolerancji to się u nas dużo pisze i gada. I nic więcej.

Martyna zastanawiała się, czy pani Gosia jest zdolna do trzymania języka za zębami, ale nie zawiodła się. Jeszcze przez ponad tydzień pani Gosia udawała, że nic a nic nie wie. Przeżywała tę wiadomość w samotności. A potem również była dyskretna. Jak nie ona. Może jej życiowe doświadczenie czegoś ją w końcu nauczyło?

Martyna nie zwróciła początkowo uwagi, że podczas ubiegłego tygodnia w jej rodzinnym domu zaszły daleko posunięte zmiany. Ostatnio była tu raczej gościem; wieczory spędzała u Czarka, w ciągu dnia była w pracy, a do mieszkania wpadała tylko po to, aby się przespać lub zrobić pranie. Nie brała więc udziału w domowych rozważaniach na temat remontu i nie zdawała sobie sprawy z częstotliwości odwiedzin pana Rysia. Właściwie tak intensywnie przeżywała swój romans z Czarkiem i wiadomość, że Hubert jest gejem, że kwestia zalania zupełnie zeszła na dalszy plan. Kiedy więc została poinformowana, że jej pokój będzie malowany, była bardzo zdziwiona. Spojrzała pytająco na mamę i babcię.

– Ach tak, a przez kogo, jeśli wolno zapytać?

– Przez pana Rysia. I ja mu pomogę – odpowiedziała stanowczo mama.

– Mamo, przecież widzisz, że pan Rysio to ciapa, jakich mało. On i malowanie? Nie wyobrażam sobie. Jeszcze z drabiny zleci i narobi kłopotów. Będziesz musiała sama wszystko zrobić. Nie bierz się do tego! To ciężka robota. Poczekaj, weźmiemy fachową ekipę i zrobią to szybko i jak należy. Albo poproszę Czarka i razem to zrobimy. Ale teraz przed świętami za dużo się dzieje. Trzeba to odłożyć.

Na to mama i babcia wyjaśniły jej, że był rzeczoznawca z PZU i mają dostać odszkodowanie lada dzień, nie ma więc na co czekać. Zdążą jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Pan Rysio jest chętny do pomocy, poradzą więc sobie. Malowanie to nie taka ciężka praca. To nie jest ocieplanie dachu, gdzie można spaść i skreć kark. Ani wykopki, przy których dysk wypada. Tu potrzebna tylko drabina i pędzel, co ma załatwić pan Rysio. Babcia dodała, że jak wreszcie jakiś facet jest chętny do pomocy, to nie można tego lekceważyć, tylko należy pomoc przyjąć, bo drugi raz może takiej oferty nie złożyć. Ona ma doświadczenie życiowe, więc wie. Martyna słuchała tych wywodów z szeroko otwartymi oczami i coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że sąsiad z górnego piętra był traktowany przez mamę i babcię jako ich wybawiciel i mąż opatrnościowy zesłany z niebios. Na wszelki wypadek Martyna stanowczo zakazała wstępu do swojego pokoju i oświadczyła, że sama go pomaluje. A do pomocy weźmie Czarka. Mama z babcią spojrzały po sobie wymownie i nic nie powiedziały.

Nie był to koniec niespodzianek i ostrzejszej wymiany zdań tego wieczoru. Na widok świeżo upieczonej szarlotki Martyna wybuchła jak gejzer na Islandii, bo przecież ona się odchudza i ktoś mógłby jej w tym pomóc. Zdenerwowana pouczyła babcię, żeby ta w wolnym czasie zajmowała się czymś innym niż pieczenie. Na przykład może na drutach

zrobić jej szalik. Albo czapkę. Ewentualnie sweter. Wszystko jej jedno, ale ona nie chce być gruba. A na tych serniczkach i szarlotkach tak się utuczy, że zaraz będzie przypominała prosię przed świętami. Babcia spojrzała na nią\_ z wyrzutem na twarzy i dała jej po łapach, kiedy Martyna kroїła dla siebie wielki kawał ciasta, o które właśnie zrobiła awanturę.

– To dla pana Rysia, nie dla ciebie – powiedziała urażonym głosem.

Martyna spojrzała z wyrazem niezrozumienia w oczach. Zaraz... chwileczkę... Co tu jest grane? Przecież w tym domu wszystko jest dla niej! Od dwudziestu czterech lat! Od zawsze! Po chwili, ku swemu zdumieniu, dowiedziała się, że pierogi na obiad były nie dlatego, że ona lubi, ale z powodu pana Rysia! Bo pan Rysio wspomniał, że już dawno nie jadł! I sernik babcia też miała zrobić dla niego. Już nawet kupiła ser. Bo pan Rysio tak chwalił jej sernik poprzednim razem... Martyna słuchała tego, nie wierząc własnym uszom. Spojrzała na mamę i wytrzeszczonymi ze zdumienia oczętami dostrzegła, że jej rodzicielka ma tusz na rzęsach, a ona nigdy, oprócz świąt i imienin, się nie malowała! Ba, miała umyte i wymodelowane włosy i włożyła bluzkę, którą zamierzała dać Martynie. Nagle Martyna pojęła, że nie tylko życie babci i mamy zaczęło się kręcić wokół osoby tego samca, pana Rysia, który zalał im mieszkanie. One same zaczęły się kręcić wokół pana Rysia, żeby... Czy one zwariowały?, przeraziła się nie na żarty. Hormony w tym wieku? Tu psychiatra potrzebny!

Zaraz poczuła szczerą nienawiść do sąsiada z górnego piętra. Wystarczyło, że nie było jej przez parę wieczorów, a jakiś drepczący emeryt, powtarzający formułki rodem z ubiegłego stulecia, zrzucił ją z tronu domowej księżniczki, który zajmowała w tym domu od urodzenia. Cholera! Co za spryciarz z niego. Nie dość, że ich zalał, to jeszcze wpycha się na siłę

do ich życia! I będzie tu zamieszanie robił. Najgorsze, że jej mama wydawała się być nim zupełnie oczarowana. Może nawet zakochana? Nie... w tym niedoładzie? Niemożliwe. Zdesperowana kobieta... posunie się do wszystkiego! Czysta klasyka! Nawet taki pan Rysio przypadnie jej do gustu, skoro nikogo innego nie ma. Że też musiało to dotknąć jej mamę! Cholera jasna! W każdym razie robiło się niebezpiecznie. Bo co konkretnie wiadomo o panu Rysiu? Że chodzi w zimie w czarnym palcie, że miał żonę nie do wytrzymania i zalał im mieszkanie. Może sam zaraził się od swojej zmarłej żony tą chorobą „nie do wytrzymania” i też się taki stał? Trzeba uważać. Ta jego pomoc to jakiś podstęp.

Zamknęła się w swoim pokoju, aby uspokoić nerwy i przetrwać z dystansem sytuację. Wcale nie chciała awantury z mamą ani z babcią, ani nawet ostrej wymiany zdań. Uważała jednak, że jej najświętszym obowiązkiem jest chronić bezbronne kobiety, za jakie uważała mamę i babcię, przed zakusami jakiegoś podejrzanego starucha, którego jedynym atutem było to, że jest mężczyzną. I te jego zwroty? „Pani dobrodziejko” albo „Panie dzieju”. Kto tak dziś mówi? Dziwak jakiś. Zaczyna od herbatek, a za chwilę gotów w ogóle się tu przeprowadzić, myślała roztrzęsiona. Czy one nie widzą, że ten emeryt szuka kogoś, kto będzie mu za darmo prał skarpetki i prasował koszule? A jak zachoruje, to przynosił herbatę i podstawiał basen? A co one są? Pielęgniarki?

Wzięła parę głębszych wdechów i starała się uspokoić rozdygotane myśli. Spojrzała na niebo, bo niebieski kolor podobno uspokajał. Tak powiedział któregoś dnia Hubert, kiedy oderwał wreszcie wzrok od widoku za oknem. Tego dnia niebo było akurat szare, a nie niebieskie, ale Martyna przez grzeczność mu tego nie wypomniała. Sama patrzyła teraz w

nieprzeniknioną czerń grudniowego nieboskłonu, jaka rozpościerała się za oknem i życzyłaby sobie, żeby stamtąd spłynął na nią spokój i ukoił roztrzęsione nerwy. Bez względu na kolor.

Musi myśleć racjonalnie, upomniała się w duchu. Nie powinna pochopnie oceniać pana Rysia. W końcu nic nie miała do faceta, oprócz tłącej się gdzieś głęboko nieufności. Ale coś w jej duszy krzyczało! Uważała, że jest dużo lepiej zorientowana w zagrożeniach, jakie niesie obecne życie, niż te dwie naiwne i samotne kobiety, jakimi były babcia i jej mama. Był jakiś powód, dla którego mamie nigdy w życiu nie wychodziło. To teraz niby miało jej się udać? Za sprawą pana Rysia? Położyła się na łóżku i spojrzała na zaciek na suficie, który jednoznacznie kojarzył jej się z sąsiadem. Jeszcze niedawno modliła się, żeby strop nie zamókł kompletnie i nie spadł, bo wtedy pan Rysio wpadłby do jej pokoju, ale on i tak się tu dostał, tyle że drzwiami wejściowymi. Rozejrzała się po ścianach i pomyślała o malowaniu. Musi zadzwonić do Czarka. On jej na pewno pomoże.

## *Rozdział 15*

*Czy ktoś mi może pomóc?*

Na barki Martyny spadło w ostatnim czasie tyle spraw, że można było tylko jej współczuć; zalanie mieszkania, homoseksualizm Huberta, pojawienie się w domu pana Rysia, w końcu, a może przede wszystkim, nagła i intensywna miłość do Czarka. Wreszcie – nadchodzące święta. Ta ostatnia myśl akurat była przyjemna. Bardzo przyjemna. Ich pierwsze Boże Narodzenie razem... To znaczy jeszcze osobno, ale przecież będą się spotykać, pójdą razem do kościoła i na pasterkę, na której Martyna jeszcze nigdy nie była, bo zawsze leciało coś ekstra w telewizji. W tym roku miało być inaczej. Zamierzała zaprosić Czarka do domu na obiad albo na kolację i oczekiwała, że takie samo zaproszenie otrzyma z jego strony. Zbliżające się święta wcale nie zapowiadały się źle. Tylko musi przedtem pomalować swój pokój, ale przecież nie jest sama. Ma Czarka! Och, jak to dobrze móc dzielić obowiązki życiowe z drugą osobą. Od razu człowiekowi różniej. Świat nie wydaje się taki straszny, a wszelkie problemy łatwiej przezwyciężyć. Już sobie wyobraziła, jak będą we dwoje u niej w pokoju i będzie... fajnie. Marzyła, że w Wigilię przed zaśnięciem spojrzy na ściany, które pomaluje dla niej Czarek, i przypomni sobie, jak był tu razem z nią. Blisko niej. I nadal będzie, przynajmniej duchem. Czyż to nie romantyczne? Jak średniowieczny rycerz dla swojej damy będzie wykonywał powierzone mu zadanie (w tym wypadku malowanie pokoju), aby zdobyć jej serce. Wyobrażała sobie, jak jej kochanek stoi na drabinie, dzielnie macha

pędzlem, poświęca się dla niej, a ona przynosi mu kanapki, aby z wysiłku nie zasłabł.

Wiadomość, że Czarek nie będzie jej mógł pomóc w malowaniu, bo wyjeżdża na szkolenie bankowe, była więc jak cios nożem w plecy z najmniej spodziewanego kierunku. Ze strony banku! No cóż, banki to nie są instytucje, które rozumieją ludzkie uczucia... Organizować szkolenie właśnie wtedy, kiedy ona tak bardzo potrzebuje Czarka! I to przed świętami! To czysta niegodziwość. Czy bank nie wie, że przed Bożym Narodzeniem ludzie powinni myć okna, froterować podłogi albo malować pokoje, a nie szkolić się? Była kompletnie zdołowana. Tak bardzo liczyła na pomoc Czarka, myślała, że będzie to okazja, aby lepiej poznać mamę i babcię, i że będzie mogła „przeciwstawić” go panu Rysiowi, pochwalić się swoim chłopakiem, a tu kłapa. Całkowita. Z malowaniem nie mogła czekać do powrotu Czarka, bo potem zaczynał się już tydzień świąteczny, a Boże Narodzenie w mieszkaniu na trzecim piętrze uważane było za świętość najwyższą. Ani mama, ani babcia nie przeżyłyby, gdyby w Wigilię Martyna skrobała farbę z podłogi w swoim pokoju, zamiast beztrąsko objadać się makowcem i gapić w telewizor przy stole nakrytym wykrochmalonym obrusem. Wiadomość o wyjeździe Czarka mocno ją zabolą.

Szkolenie miało się odbyć na południu Polski, w Krynicy, zażartowała więc, że przynajmniej Czarek obejrzy sobie Nikifora, choć wcale nie było jej do śmiechu. A do ludowego artysty nic nie miała, oprócz podziwu dla jego dzieł. Czarek dowcipu nie pojął, bo nie bardzo się orientował, kto to jest Nikifor. I na tym miła atmosfera między nimi skończyła się na pewien czas.



Widząc nadąsaną minę Martyny, Czarek jeszcze raz zapewnił ją, że mu przykro, bo naprawdę z chęcią by jej pomógł, gdyby tylko miał na to czas. Uważał, że powinna to zrozumieć i na tym całą sprawę z malowaniem należałoby zakończyć. Ale Martyna wcale nie miała ochoty na udawanie, że jest szczęśliwa. Była smutna, bardzo smutna, przybita i zła i nie potrafiła tego ukrywać. Szła w milczeniu obok Czarka z zaciśniętymi ustami i spuszczoną głową. Czarek czuł się jak dziecko, które jest niesprawiedliwie karane, bo czy to jego wina, że bank wyskoczył z tym szkoleniem? Nie widział powodu, dlaczego ta sprawa miałaby popsuć im randkę. Przyzwyczał się, że Martyna ciągle się do niego uśmiecha, że jest szczęśliwa i radosna i śmieje się z jego dowcipów. Tymczasem teraz szła obok niego nadąsana, a on wcale nie czuł się winny. Stopniowo więc zaczęła go ogarniać złość i frustracja. Niestety, on również nie był z tych, którzy potrafią zapanować nad swoimi emocjami.

– Musisz mnie zrozumieć! – mówił tonem człowieka głęboko urażonego, lekko podnosząc głos. – Przecież nie odwołam wyjazdu na szkolenie tylko dlatego, że ty chcesz, abym pomalował ci pokój! Musisz zrozumieć, że praca jest dla mnie ważna! I powinna być ważna również dla ciebie. Trzeba mieć w życiu priorytety!

Kochana Martynka zacisnęła usta i syknęła jak wąż przez zęby:

– Przecież rozumiem! Już ci mówiłam!

– To dlaczego masz do mnie pretensję?

– Nie mam! Już ci to mówiłam!

– Ale przecież widzę, że masz!

– No więc nie mam. Już ci to mówiłam – wysyczała po raz kolejny, coraz bardziej wściekła. – W ogóle skończmy tę durną dyskusję!

Czy on jest takim palantem, że tego nie rozumie? Nie chciała go poniżyć i tłumaczyć mu rzeczy oczywistej, jaką jest to, że w takiej sytuacji ma prawo do złego humoru, i że jest jej zwyczajnie smutno. Gdyby Czarek miał trochę więcej wrażliwości, nie złościłby się na nią, lecz ją pocieszył. Jemu natomiast wydawało się, że nic innego nie robi, tylko ją pociesza, a w ogóle to nie jego wina, mogłaby więc już dać spokój z tą naburmuszoną miną. Ona zastanawiała się, czy dociera do niego, ile jej marzeń, które mogłyby się ziścić, właśnie się nie spełni? Chyba nawet o tym nie pomyślał! I co powie mamie i babci? Co gorsza, sama będzie musiała pomalować ten cholerny pokój, bo po tym, jak odrzuciła pomoc pana Rysia i mamy to teraz dla niej sprawa honoru. A malowanie to ciężka praca. Liczyła na Czarka, ma prawo więc być zawiedziona. Jeśli jest tak głupi i mało wrażliwy, że tego nie rozumie, to może... może nie jest facetem dla niej? Ale powstrzymała się przed stwierdzeniem tego ostatniego faktu, bo za wszelką cenę chciała, aby Czarek był facetem dla niej.

Jak każda kobieta w jej wieku łudziła się, że pod jej wpływem Czarek nabierze trochę subtelności i delikatności uczuć i że się zmieni... Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że Czarek musi jechać na to szkolenie i to jest najważniejsze. Do cholery, oczywiście, że to rozumiała! Przecież nie jest głupia! Może nawet odprowadzić go na dworzec, jeśli mu na tym zależy. Na tym jednak Czarkowi nie zależało, bo okazało się, że zabiera go koleżanka z pracy swoim samochodem. Nic, tylko się upić.

W końcu zmęczona tą idiotyczną sprzeczką Martyna zapytała czy Czarek nie wzięłby jej na wino, i na szczęście się zgodził. Wylądowali w jakimś pubie i tam w końcu po drugim kieliszku zmienili temat rozmowy i znów było miło.

Magiczna moc trunku rozpędziła narosły między nimi chłód, sprzeczka poszła w zapomnienie i pod koniec wieczoru zrobiło się między nimi ciepło jak w tropikach. Rozstali się pod jej klatką, namiętnie się całując. Miłość zwyciężyła! Można było odetchnąć!

Następnego dnia w pracy Martyna przypomniała sobie jednak o tym głupim wyjeździe Czarka. To, że wypite wczoraj wino wprawiło ją w lepszy humor, nie znaczyło wcale, że rozczarowanie i złość na los wyparowały wraz z opróżnieniem kilku kieliszków. Oczywiście, że nie miała do nikogo pretensji, ale kłopot pozostał; pokój trzeba było pomalować.

Każdy zatrudniony w biurze wie, że po jakimś czasie ludzie, z którymi pracujemy, stają się nam bliscy jak rodzina. Znają z opowiadań naszych mężów, żony i dzieci. W naturalny sposób są wtajemniczani w nasze kłopoty. Nikt się więc nie zdziwił, kiedy przy okazji wizyty w biurowej kuchni Martyna opowiedziała Marzence, Hance i Mirkowi o swoim utrapieniu. Rzecz jasna dodała, że rozumie Czarka, który przecież nie zrezygnuje z wyjazdu na szkolenie, ale czy ktoś pomyślał o niej? Koleżanki solidarnie wzięły jej stronę, a Mirek szybko wycofał się do pokoju, mówiąc, że ma dużo pracy. Wtedy weszła pani Gosia, która instynktownie wybierała zawsze najbardziej odpowiednie momenty, aby się pojawić, gdzie trzeba. Będąc po dwóch rozwodach, rozumiała sytuację Martyny lepiej, niż mogło się to zdawać młodszej koleżance. Uśmiechnęła się z wyższością osoby znającej życie i chcąc ją pocieszyć, rzuciła, jak jej się zdawało, głęboką mądrość życiową:

– To, moja mała, jest życie. Kobieta może polegać tylko na sobie. Będzie jeszcze gorzej, jak urodzą ci się dzieci.

Zrozumienie u męża znajdziesz wyłącznie wtedy, gdy popsuje ci się samochód. Oni tak są skonstruowani. Uwierz mi, mam w tym doświadczenie.

Wypowiedziawszy te filozoficzne słowa wyszła, zostawiając Martynę sam na sam z gołą życiową prawdą i dwoma koleżankami, które, niestety, potakująco kiwały głowami. Hanka po rozwodzie wiedziała swoje, a Marzence nie raz wydawało się, że jest matką samotnie wychowującą dzieci. Z niańki miała więcej pożytku niż z męża. Strapiona Martyna podreptała do swego pokoju, miętosząc kłopot pod czaszką niczym prane w ręku skarpety. W końcu co tam, starała się pocieszyć samą siebie, załatwi to malowanie sama i tyle. To nie taka filozofia... Pędzłem machać umie. A jak nie, to się nauczy.

W pokoju Hubert spojrział na nią pytająco i nawet zainteresował się, co się stało, ale są pewne granice w traktowaniu kolegów z biura za rodzinę. I szef znajdował się poza tymi granicami. Martyna postanowiła mu się nie zwierzać, mruknęła tylko, że nic, chodzi o drobiazg, i wsadziła nos w komputer. A jednak rodzina to rodzina, choćby tylko biurowa, i w końcu poczuwa się do obowiązku pomocy. Po chwili do pokoju zajrzała Gosia, która przypomniała sobie o swoim dziewiętnastoletnim pierworodnym, który zbijał bąki, pobrzdkując na gitarze, co działało jej na nerwy.

– Martyna, mój syn chętnie ci pomoże. I mamie, i babci też. Przyda mu się trochę pracy fizycznej. Zrobisz mu za to tort na urodziny, bo ja takich rzeczy nie umiem. I dwa razy dasz obiad.

– A o co chodzi, jeśli mógłbym wiedzieć? – wtrącił się Hubert.

Wkrótce wiedział już z detalami o tym, co się właśnie dzieje w życiu Martynki i że biedaczka musi sama pomalować sobie pokój, bo jej chłopak bankowiec wyjeżdża na szkolenie.

– Ależ, Martynko, trzeba było od razu mówić! Ja mam wprawę w malowaniu i chętnie ci pomogę. Nie ma sprawy.

Pani Gosia wycofała się na korytarz, bąkając, że później przyjdzie, a Martyna patrzyła na Huberta w całkowitym osłupieniu. Chyba się przesłyszała? Zmarszczyła brwi i uważnie przyglądała się jego twarzy, starając się wyczytać, czy jego propozycja to nie żart. Nie może się przecież zgodzić na to, żeby jej szef malował ściany w JEJ osobistym pokoju. Mózg parował jej od gonitwy gorączkowych myśli. Kim Hubert dla niej jest, żeby malować jej pokój? I dlaczego ten egoistyczny dupek w ogóle wyskoczył z taką propozycją? Co chce przez to osiągnąć? Akceptację społeczną dla swojego homoseksualizmu? Ma mu w tym pomóc czy co? Chce zrobić *coming out*? Ujawnić się? Malując sufit na drabinie w jej pokoju? Czy może zapisał się do jakiejś sekty, która chce zbawić świat przez dobre uczynki? Lub odpokutować swoje cielesne grzechy przez pracę dla innych? Do cholery, o co tu chodzi? Najbardziej prawdopodobna wydała jej się wersja, że skubany chce wyjść na dobrego homoseksualistę, który pomaga za friko samotnym kobietom. Ależ świetny PR. Sprytnie. Chyba wymyśliła to ta jego Lucy, bo ona jest od kreowania pożądanego wizerunku.

– Dziękuję bardzo, ale nie mogę przyjąć pana propozycji. Niemniej jestem naprawdę miło zaskoczona, a wręcz wzruszona, i to bardzo miło z pana strony, nigdy tego nie zapomnę, ale rozumie pan, że nie mogę się zgodzić. – Czują, że język jej się płacze.

– Nie, ja... wcale nie rozumiem. To kiedy zaczynamy? Masz już farbę? Wałki? Jeśli nie masz, to ja ci przyniosę swoje – Hubert mówił pewnym głosem, jakby nie dosłyszał jej sprzeciwu.

– Ale pan nie rozumiał...

– Nie martw się, wszystko zrozumiałem. I wiem, jak się maluje. Ostatnio nabrałem w tym wprawy. Aha, musisz kupić taśmę, żeby zabezpieczyć podłogę. Same gazety nie wystarczą. Najlepiej kupić taką wielką folię, wiesz, pięć na pięć metrów. Jest w sklepach z farbami. Jeśli nie masz, to ci pożyczę. Malowanie farbą emulsyjną czy akrylową?

– Ale pan nie rozumiał!

– Martyna, pozwól mi po prostu ci pomóc. – Popatrzył na nią jednym z tych spojrzeń, pod wpływem których każda kobieta, jego zdaniem, powinna bezwarunkowo się rozpląnąć – Nie zawiodę cię i nie będę niczego od ciebie oczekiwał. Żadnych wyrazów wdzięczności. Obiecuję! Malowanie to wbrew pozorom ciężka praca. Zaharujesz się na śmierć, będą cię ręce bolały i barki, i po co ci to. Jesteś delikatną kobietą i taką pozostań. Ja nabrałem trochę wprawy. Zresztą, ty też będziesz malować. We dwoje uporamy się z tym szybciej.

– Dziękuję, ale nie musi pan. Nie jestem aż tak delikatna, jak się panu wydaje.

– Martyna, ale chcę. – Spojrzał jej prosto w oczy.

– No... dobrze, ale będę musiała się jakoś panu odwdzięczyć.

– Powiedziałem, że nie chcę żadnych dowodów wdzięczności. Aha... nie dawaj mi czasami wódki, bo i tak za dużo ostatnio piję. Ani whisky. A z tą wdzięcznością... może przyjedzie taki moment, że będziesz mogła mi się zrewanżować. Ale nie obawiaj się... w nic cię nie chcę zrobić.



Czy mogła coś na to powiedzieć? Czy mogła odmówić? Zabrakło jej słów. W głowie zrobiło jej się zupełnie pusto i nie mogła wymyślić żadnej rozsądnej wymówki. Spuściła wzrok, a potem jeszcze raz na niego popatrzyła i nic nie powiedziała. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że grzeczność nakazuje podziękować. Wybąkała więc krótkie „Dziękuję”.

Po wyjściu z biura ponownie przemyślała całą sprawę i stwierdziła, że jednak nie może pozwolić, żeby Hubert malował jej pokój, bo to zupełnie niedorzeczne. Po prostu to się w głowie nie mieści. W ten sposób w życiu Martyny z jednego problemu zrobiło się kilka, bo nie dość, że pokój trzeba było pomalować, to jeszcze należało przekonać Huberta, żeby jej nie pomagał. I co będzie, kiedy Czarek dowie się o pomocy Huberta? Może być niezadowolony. Przez to wszystko źle spała w nocy. bo zastanawiała się, czy powiedzieć Czarkowi o Hubercie, czy nie. Może nic nie mówić? Jest pewne prawdopodobieństwo, że się nie dowie. Jeśli mu powie, na pewno zrani jego uczucia i męską dumę, a tego wcale nie chciała. Może nawet Czarek zrezygnuje ze szkolenia! Do tego nie mogła, oczywiście dopuścić. Niech Czarek zawodowo się rozwija, awansuje i lepiej zarabia. To w końcu może leżeć w jej interesie. Praca w banku jest dla niego ważna i na tym szkoleniu dziwnie mu zależy. Postanowiła więc, że mu nie powie. W razie czego ujawni, że jej szef jest gejem, co powinno wykluczyć jakiegokolwiek niezdrowe podejrzenia i zazdrość. Ale po chwili znów wracała do punktu wyjścia; przecież w ogóle nie może pozwolić, aby Hubert malował jej pokój! To dlaczego się zgodziła?!

Przeklinała się w duchu za zbytnią wylewność w dzieleniu się swoimi problemami z bliźnimi. Po cholere chlapała językiem na prawo i lewo? Gdyby nikt nie wiedział, sama pomalowałaby sobie pokój, słuchając fajnej



muzyczki i marząc o Czarku, a tak będzie miała na karku Huberta. Nie dość, że spotyka go codziennie w biurze, to jeszcze będzie u niej w domu. Nagle ogarnęła ją taka złość na samą siebie, że miała ochotę komuś dołożyć. Komu? I jednemu, i drugiemu. To znaczy, i Hubertowi, i Czarkowi. Pobić ich pięściami i... niech sobie pójdą. I dadzą jej spokój! Dlaczego tego nie zrobiła? Powód był prozaiczny. Leżała w swoim łóżku w piżamie, a była właśnie godzina trzecia w nocy. Nie będzie się wyglupiać i wałęsać po ciemku. Poza tym nie знаła dokładnego adresu Huberta, a u Czarka natknęłaby się na zdziwioną siostrę. To się właśnie nazywa paranoja. Postanowiła poczekać do rana, bo według babci ranki zawsze przynoszą rozwiązanie. Tu babcia się nie myliła. Po południu następnego dnia Martyna wsiadała do zielonej hondy Huberta wyładowanej sprzętem do malowania. Jak się walec zacznie toczyć, to trudno go zatrzymać...

Mama z babcią powitały Huberta w drzwiach z wylewną serdecznością należną człowiekowi, który jest szefem ich ukochanego słoneczka, i poczęstowały obiadem. Hubert jadł z wielkim apetytem, szarlotkę babci chwalił głośniej niż pan Rysio i obie starsze kobiety były nim zachwycone. Martyna patrzyła na to szeroko otwartymi oczami, bo Hubert czuł się jak ryba w wodzie w towarzystwie mamy i babci. Jakby znał je całe życie. Jest więc źdźbło prawdy w powszechnie panującym przekonaniu, że geje są bardzo mili, pomyślała. I rozumieją kobiety. Oczywiście, Martyna nie zdradziła ani babci, ani mamie, że jej szef jest innej orientacji seksualnej. Obawiała się, że babcia ze swoją tolerancją z poprzedniej epoki raczej nie wpuściłaby go za próg, bojąc się, że jeszcze zasieje w domu chorobę. HIV jakiś albo inną zarazę. Ignorancja jest czymś cudownym, pomyślała Martyna. Powinni postawić jej pomnik.

Po obiedzie oboje ochoczo wzięli się do pracy. Gdyby zrobiła mu zdjęcie w tej pochłapanej farbą czapce i zamieściła na Facebooku, na pewno oglądalność strony wzrosłaby do rozmiarów komercyjnych, i żałowała, że nie może tego zrobić. Lojalność ją jednak obowiązywała. Zresztą, sama wyglądała pewnie równie śmiesznie. Przyniosła do pokoju radio i włączyła je, aby im się nie nudziło. I tak przy dźwiękach muzyki przerywanej komentarzami spikera malowali ściany w pokoju Martyny na ciepły żółty kolor.

– A ten kolor z czym ci się kojarzy? – zaciekawiał się Hubert.

Pomyślała, że ten kolor będzie jej się kojarzył już tylko z Hubertem, ale taka odpowiedź mogłaby zabrzmieć dwuznacznie, rzekła więc:

– Z gorącym piaskiem na jakiejś egzotycznej wyspie.

– To muszą być Karaiby, bo plaże na wyspach śródziemnomorskich są skaliste, pełno tam kamieni i trudno znaleźć gorący piasek.

– Ach tak! Nie wiem. Nie byłam. Może kiedyś pojedę. Jeśli Metalex wypłaci jakąś ładną premię... Na razie mnie nie stać.

– Podróżowanie to piękna sprawa – ciągnął rozmowę Hubert. – Chętnie bym pojechał na taką Dominikanę. Tam plaże jak marzenie. Piasek, palmy, ocean, ciepło... ludzie są pełni życia, śpiewają, tańczą i nie martwią się ciągle. Albo w ogóle gdzieś do Ameryki Południowej. Kręcą mnie tamte klimaty. Marzę, aby zobaczyć Rio de Janeiro. To najpiękniej położone miasto na świecie. Cudowne.

– Nie wiem, nie byłam – odpowiedziała znowu i zaraz pomyślała, że gdyby była gejem, to też marzyłaby, żeby tam pojechać. Bo to tam najwięcej było transwestytów, gejów i lesbijek. Nawet Parada Miłości w Berlinie nie

mogła im dorównać. Hubert nie musiałby się ukrywać ze swoją orientacją. Czułby się wolny, akceptowany. Bo tu w tej zimnej Warszawie...

W pewnym momencie Hubert zszedł z drabiny i podkręcił głos w radiu, mówiąc, że bardzo lubi tę piosenkę. Leciał właśnie stary przebój Glorii Gaynor *I Will Survive*. Martyna zamarła, bo przecież ten utwór był uznawany za nieoficjalny hymn gejów, ale na szczęście Hubert nie zauważył konsternacji na jej twarzy. Dla Martyny sprawa wyglądała jednoznacznie; dawał jej subtelne sygnały, że jest homoseksualistą. Może jeszcze powie, że jego ulubiony wykonawca to Ricky Martin? Który niedawno się przyznał, że jest gejem. Może to taki wstęp i Hubert zaraz wyjawia jej prawdę o sobie? Ale nic takiego nie nastąpiło. Przynajmniej nie tego dnia. Po skończeniu malowania na prośbę pani Renaty Hubert wywiercił dziurę na hak do zawieszenia obrazu i pomógł przesunąć jedną ciężką szafę, wywiezioną z majątku prababci. Wszedł przed dwudziestą pierwszą, kłaniając się w pas. Jak ułan.

Po jego wyjściu do pokoju Martynki zapukała babcia. Oczy jej się świeciły, jakby wypaliła sobie jointa albo dwa. Przysiadła na łóżku z obranym i pokrojonym jabłkiem dla wnusi, jak w czasach, kiedy ta miała siedem lat.

– Bardzo miły ten Hubert. I jaki przystojny – zaczęła. – Gdybym była młodsza, to od razu bym się w nim zakochała – rozmarzyła się najstarsza lokatorka mieszkania na trzecim piętrze.

No tak, tego jeszcze brakowało, żeby jej babcia kochała się w geju. Martyna omal nie zakrztusiła się kawałkiem jabłka. Świat zna wiele paranoi, ale gdzieś jest chyba granica, pomyślała z lekkim zakłopotaniem. Poza tym w wieku babci...

– I przemiły, przemiły! – entuzjazmowała się seniorka rodu, jakby jeszcze pamiętała, jak to jest, gdy ma się dwadzieścia lat. – Martyna, ale jak on na ciebie patrzy! – Wzniosła oczy ku niebu.

– Babciu, zdaje ci się. Zapewniam cię. Patrzy na mnie najnormalniej na świecie. Na pewno go nie interesuję, jeśli o to ci chodzi. Możesz spać spokojnie.

– Ale po co by ci pomagał?

– Właśnie tego nie wiem. Może jest po prostu uczynny? Tak jak pan Rysio? Może samotny? Wiem, że ma tylko matkę... I rozstał się z dziewczyną.

Babcia popatrzyła na nią tak, jak czasami robiła to w biurze pani Gosia. Jakby naiwność Martyny przerastała jej możliwości rozumienia. Bo w całym swoim długim życiu nie spotkała jeszcze mężczyzny, który malowałby pokój dziewczynie, nie licząc na coś więcej. Uśmiechnęła się więc tylko tajemniczo, pocałowała Martynę w policzek na dobranoc i zamknęła za sobą drzwi.

Z niektórymi rzeczami jest jak z ciastem, pomyślała, idąc do swojego pokoju. Nie można nic przyspieszyć. Najlepiej, jak samo w spokoju ostygnie wyjęte z piekarnika. Albo opadnie, albo nie. I już nic nie można na to poradzić.

Na drugi dzień, kiedy Martyna przyszła z Hubertem po pracy dokończyć malowanie, okazało się, że jej mamy nie było w domu. Babcia zaś wystrojona w różową bluzkę z falbankami i bufiastymi rękawami, w której wyglądała według swojej wnuczki kretyńsko, zmrużyła oczy i konspiracyjnym tonem oznajmiła, że pani Renata poszła na zakupy z panem Rysiem. „Pojechali do miasta”, powiedziała w sposób wskazujący, że

„miasto” to tajemnicze miejsce, które oznacza coś zgoła innego niż zbiorowisko budynków, sklepów i urzędów, z których wychodzi się z torbami pełnymi zakupów lub niezalatwionymi sprawami.

Kiedy byli w pokoju Martyny, Hubert zapytał, kto to jest pan Rysio.

– Do niedawna był tylko sąsiadem, który w zimie chodzi w czarnym palcie. Ale, jak widzisz, awansował na tragarza paczek z zakupami – powiedziała z przekąsem Martyna. – Takie są właśnie niespodziewane efekty uboczne zalania nam mieszkania.

Hubert uśmiechnął się do siebie i odrzekł:

– W takim razie chciałbym, żeby moją mamę też zalało i żeby znalazła sobie takiego tragarza paczek. Jest sama, ma tylko mnie i wiesz... jej nadopiekuńczość jest wykańczająca. Nadmiar troski po prostu przygniata mnie do ziemi. Nie miałbym nic przeciwko, gdyby znalazła sobie jeszcze jakiś obiekt, na który mogłaby przelewać uczucia. Gdyby twojej mamie nie wyszło z tym sąsiadem – odwrócił się – to ja chętnie poznam go z moją mamą. Jeśli nie masz nic przeciwko, oczywiście.

– Nie, nie mam. Mam nadzieję, że u nas to sprawa przejściowa. Jak pogoda. Dziś śnieg, jutro odwilż. I mamie się szybko znudzi.

– No wiesz... miłość czasami zaskakuje. – Hubert nie przerywał wymachiwania wałkiem z farbą, jakby waga wypowiedzianych słów na to nie zasługiwała. – Nadchodzi nagle, uderza w nas i zawłada całym naszym życiem... naszym ciałem. Paraliżuje umysł i choć rozum mówi nam, że to głupie, nie słuchamy go... – zamyślony kontynuował niczym natchniony kaznodzieja. – Bo miłość nie zna granic; ani wiekowych, ani żadnych innych. To coś ponad... coś, co może dotknąć każdego bez względu na wiek. Może więc twoja mama i ten pan Rysio...

– Powiedz mi, Hubert, to znaczy, przepraszam, panie Hubercie, czy naprawdę chciałby pan, aby pana matka spotykała się z jakimś staruchem, zamiast myśleć o panu? – przerwała ten filozoficzny wywód Martyna.

– Po pierwsze, możesz mi mówić po imieniu. Już ci to proponowałem. Po drugie, nie miałbym nic przeciwko temu, bo jeśli podobałby się mojej matce, to byłoby to dla mnie najważniejsze. Mam nadzieję, że jesteś choć trochę tolerancyjna. .. – Spojrzał na nią bardzo uważnie.

– Jeśli chodzi o mówienie po imieniu... to miło mi, ale przyzwyczaiałam się do „pana” i wcale nie jestem taka nowoczesna, jak sugerowałyby to mój wiek. A mówiąc o tolerancji, to oczywiście, że jestem bardzo tolerancyjna. Możesz się nie obawiać. To znaczy, może się pan nie obawiać – poprawiła się.

Potem w pokoju zaległa cisza. Ale ponieważ cisza okazała się krępująca, Martyna więc, jako gospodyni, starała się zagaić rozmowę. Zresztą, musiała wytłumaczyć, że jej niektóre opinie były w rzeczywistości powierzchowne. Bo w głębi serca uważała się za osobę bardzo tolerancyjną i niczego tak nie pragnęła, jak szczęścia dla swojej rodzicielki.

– A co do mamy... no pewnie, że chcę, żeby była szczęśliwa. Tylko to takie... tak jak powiedziałaś, zaskakujące. Chyba potrzebuję czasu, aby się oswoić z tą myślą. I z panem Rysiem. Jakiś obcy facet kręcący się po mieszkaniu to dla mnie nowość.

– Czas jest faktycznie ważny. – Hubert się uśmiechnął.

– I widzisz, zupełnie naturalnie powiedziałaś do mnie „ty”.

Zaczął się śmiać. Martyna mimo woli odwzajemniła uśmiech, ale coś ścisnęło ją mocno za serce. Jak to możliwe, żeby taki miły facet był stracony dla rodzaju żeńskiego? To po prostu niesprawiedliwe! . . .

## *Rozdział 16*

*Znowu coś się strasznie komplikuje*

Pani Nina wracała pieszo do domu z wyrazem zamyślenia na twarzy. Jeszcze nie uwolniła myśli od ludzkich bolączek i problemów, jakie poznała, stawiając dziś tarota i układając horoskopy. Nadal się nad nimi zastanawiała. Niektóre historie pisane przez życie były o wiele bardziej skomplikowane i niewiarygodne niż te wymyślane w książkach. Przypomniała sobie o zbliżającej się kolacji świątecznej dla pracowników Metaleksu. Mąż pokazał jej dziś rano menu. Na zakąskę owoce morza, a potem barszcz czerwony z uszkami, pieczona kaczka z jabłkami, a na deser sernik wiedeński. Aby umilić wieczór, zaproszony został również rosyjski śpiewak, który miał wykonać arie operowe. Obawiała się, czy pomysł z artystą nie okaże się pomyłką. Ujął ją swoim głosem i płomiennym spojrzeniem, ale pomimo to nadal miała wątpliwości, czy wszystkim się spodoba. Szła przystrojonym świątecznie Nowym Światem i patrzyła na wystawy. Na jednej stał Święty Mikołaj z długą brodą z białej waty i wydawało jej się, że mrugnął do niej. Przypadkiem? Nie. Nie wierzyła, że w życiu cokolwiek dzieje się przypadkiem. Od razu odgadła to, co ta tylko z pozoru zwykła kukła chciała jej powiedzieć: „Teraz nie pora na martwienie się”. Spacer jest po to, aby oczyścić umysł i wyciszyć się. Pani Nina wiedziała, że musi skupić się na otaczającym ją świecie, bacznie go obserwować i nie myśleć o swoich bolączkach. To proste ćwiczenie pozwala się zrelaksować i nabrać dystansu do spraw. Wiedziała, że każdy zawsze i wszędzie będzie miał wątpliwości, ale trzeba umieć zobaczyć świat we właściwych proporcjach i odnaleźć w



sobie moc, która pozwoli te wszystkie trudności pokonać. I właśnie relaks miał w tym pomóc. Odetchnęła głębiej grudniowym powietrzem i spojrzała na miasto zatapiające się w różowym miejskim zmierzchu.

Boże Narodzenie zbliżało się wielkimi krokami i w wielu domach rozpoczęły się świąteczne porządki i przygotowania. Część zapobiegawczych gospodyń domowych miała już pomyte okna oraz uprane firanki, zasłony i kapy na łóżka. Kolory na powłóczkach poduszek odżyły, a powietrze w pokojach odświeżyło się. Pani Nina z nutką nostalgii pomyślała, że teraz nikt nie trzepie dywanów na zasypanych świeżym śniegiem trawnikach i nikt nie pastuje podłóg „Agatą”. Rzadko kto krochmali bieliznę i biega do magła po wyprasowane na blachę obrusy. Już mało kto przejmuje się takimi detalami, które w rzeczywistości tworzą atmosferę świąt; wyczekiwania i przygotowywania się. Świat się zmienił. Zamiast kartek świątecznych ludzie wysyłają sobie e–maile, zamiast samemu piec ciasta, kupują gotowe makowce i serniki. Czyżby duch świąt zaginął? Oczywiście, że nie. Bo przecież nadal wszyscy czekają na święta. Jak co roku.

Spotkanie wigilijne załogi Metaleksu zaplanowane było na piątek. Spodziewając się, że kolacja będzie zakrapiana alkoholem i trudno będzie się wymigać od wznoszenia toastów, Hubert postanowił, że pojedzie taksówką. W ciągu dnia dostał od Patryka krótkiego SMS–a: „Nie mogę iść na piwo. Muszę zostać w biurze do późna. Kończę projekt”.

Och... zupełnie zapomniał. Rzeczywiście, Patryk w poniedziałek wspominał o wspólnym wypadzie na piwo. Cały tydzień się nie widzieli, bo Hubert był pochłonięty malowaniem pokoju u Martyny i urządzeniem swojej kuchni. Szybko odpisał, że ma oficjalną świąteczną kolację na

Krakowskim, sam więc też jest zajęty. Po paru minutach otrzymał odpowiedź: „Mogę cię zabrać samochodem po imprezie. To blisko mojego biura”. Ustalili, że Patryk przyjedzie po Huberta o dwudziestej trzeciej.

To się nawet dobrze składało, pomyślał Hubert. Po takiej oficjalnej kolacji będzie potrzebował trochę odreagować. Parę piw w towarzystwie Patryka przywróci mu równowagę psychiczną. Wyluzuje się, może obejrzą jakiś mecz na nowym telewizorze HD Patryka. Zapomni o sprawach zawodowych, zastanawianiu się, kto jak na kogo spojrzal i co się za tym kryje, i innych podobnych sprawach. I... o Martynie.

No właśnie. Ostatnio to było jak obsesja. Bez przerwy myślał o Martynie, choć wcale tego nie chciał. Siedziała u niego w głowie niczym jakiś przekorny diabeł i za nic nie chciała stamtąd wyjść. A z babą nie wygrasz, coś mu cały czas powtarzało. Że też nie mogła sobie znaleźć bardziej odpowiedniego chłopaka. Gdyby to był ktoś inny, a nie Czarek, może zignorowałby całą sprawę, ale już sama myśl o dawnym koledze z liceum irytowała go. Spodziewał się, że Czarek pojawi się po imprezie, aby odprowadzić Martynę do domu, a wcale nie pragnął się z nim spotkać. Co więcej, zdał sobie sprawę, że mógł ich ujrzeć w momencie większego zbliżenia; na przykład, gdy będą się całowali. A przed takim widokiem wzdrygał się całym sobą. Hubert sam całował mnóstwo dziewczyn na ulicy, ale całować a oglądać, jak to robią inni, to dwie zupełnie różne rzeczy. Planował więc, że wymknie się niezauważony z imprezy, wskoczy samochodu Patryka i zakończy wieczór u niego w domu z butelką piwa w ręku.

Zastanawiał się, dlaczego ciągle myśli o Martynie. Nie był typem, który lubił przesadnie analizować zawilości własnej psychiki. A jednak

usiłował racjonalnie sobie wytłumaczyć, dlaczego jego nieposłuszne myśli ciągle do niej wracały. Miała przecież chłopaka, a on nie zamierzał psuć cudzego szczęścia. Skoro się kochają... cóż można poradzić. Nawet jeśli uważał Czarka za palanta, to musiał uszanować wybór Martyny i nie wtrącać się. Może jego psychika chciała wypełnić lukę, jaka powstała po stracie Lucy? A ponieważ Martyna była właśnie pod ręką, myślał więc o niej? Jeżeli by jednak iść tym tokiem rozumowania, to równie dobrze mógłby myśleć o pani Gosi. A o pani Gosi nie myślał. Z Martyną... to było coś więcej. Z pewnością ją polubił. Te miesiące przebywania razem w jednym pokoju spowodowały, że naturalnie zbliżyli się do siebie. Nawet jeśli oboje nie byli wylewni i nie opowiadali sobie szczegółów z życia prywatnego, to w jakiś sposób Martyna stała mu się bliska. Była ładna, miała sporo wdzięku i od czasu, kiedy zmieniła sposób ubierania się i przeistoczyła się z przerośniętej nastolatki w dojrzałą kobietę, to było naturalne, że zdarzało mu się, o niej myśleć. Był przecież mężczyzną. Do tej pory właściwie nie wiedział, dlaczego wyskoczył z propozycją pomalowania jej pokoju. Parę miesięcy wcześniej taka myśl do głowy by mu nawet nie przyszła. Nagle, niespodziewanie dla siebie, z całego serca zapragnął jej pomóc, jakby machanie pędzlem było jego największą życiową przyjemnością, a bezinteresowne spełnianie dobrych uczynków drugą naturą. A jednak to właśnie zrobił i wcale nie żałował. Poznał jej mamę i babcię i od razu dobrze się poczuł u niej w domu. Szczególnie pani Renata przypadła mu do gustu; miała w sobie tę łagodność i miękkość obycia, którą tak lubił u kobiet. Nie narzucała się, a była. Pomyślał, że Martyna przejęła od niej trochę tych, tak bardzo kobiecych, cech. A dodatkowo miała fantazję i temperament i potrafiła fascynować się światem jak nikt, kogo znał. Nawet

jej urocze dąsanie się zawsze wywoływało u niego serdeczny uśmiech. No tak... czyżby się zakochał? Sam nie wiedział.

Wszystko zwałił na kryzys wewnętrzny, jaki przeżywał po rozstaniu z Lucy. Do tej pory zawsze był otoczony wianuszkiem znajomych, włóczył się z kolegami albo przesiadywał w pracy, wdawał się w przejściowe jednonocne romanse, których namiętność wygasła wraz ze wschodem słońca. Potem w jego życiu pojawiła się Lucy i zagospodarowała całą wolną przestrzeń życiową. Spotykał się z jej przyjaciółmi, chodził z nią do kina, teatru, a nawet od czasu do czasu pojawiał się na obiadkach rodzinnych u niedoszłych teściów. Do starych kumpli dzwonił już sporadycznie i z reguły dowiadywał się, że komuś urodziło się dziecko albo ktoś właśnie się ożenił, ewentualnie rozwiódł. Do tej pory w ogóle nie myślał o samotności, bo jej nie doświadczał. A teraz, po rozstaniu z Lucy, poczuł się nagle bardzo osamotniony. Gdyby nie Patryk, byłoby z nim całkiem źle.

Początkowo przebywanie w swoim własnym towarzystwie nawet mu odpowiadało. Potrzebował побыć sam na sam ze sobą i swoimi myślami. Zastanović się nad życiem, wylizać rany po nieudanym związku. Samotność sprzyjała takim refleksjom. A jeśli mu zbyt doskwierała i nie chciał być sam, to zawsze mógł pójść do Patryka. Obejrzeć z nim jakiś film, zamienić parę zdań, coś wypić, co pomagało zapomnieć o smutkach. Nie miał ochoty na bliższe kontakty z innymi ludźmi, nie chciał się narzucać, obnosić ze swoją smutną gębą. Wielu znajomych miało już rodziny, dzieci, własne sprawy. Przyjaźnił się jeszcze z Norbertem, ale ich spotkania ograniczały się do krótkiej wymiany zdań w biurowej palarni. Zresztą Norbert zastanawiał się nad zmianą pracy, więc kontakt pewnie i tak się niedługo urwie. Hubert coraz bardziej zdawał sobie sprawę ze swojej

samotności i tęsknił za bliskim związkiem z drugim człowiekiem. Tej tęsknoty nie mogła jednak zaspokoić przyjaźń z Patrykiem czy Norbertem. Potrzebował kogoś, z kim mógłby dzielić swoją samotność. Cholera! Potrzebował kogoś takiego jak... Martyna!

Tego dnia po pracy Hubert pojechał do mamy, gdzie czekała na niego wyprasowana biała koszula i ciemny garnitur prosto z pralni. Mama nakarmiła synka, wyciągnęła, że u niego wszystko w porządku, dostała zapewnienie, że jak będzie zamierzał się ożenić, to rodzicielka dowie się druga, zaraz po narzeczonej, i w końcu Hubert z wyrazem ulgi na twarzy zamknął za sobą drzwi mieszkania i udał się do restauracji na Krakowskim.

W hallu już zgromadziła się grupka pracowników Metaleksu: panie z mocniejszymi makijażami na twarzach, panowie pachnący wodą kolońską, z szyjami ściśniętymi kołnierzykami i obwiązanymi krawatami. Zespół Huberta rozsiadł się przy jednym końcu stołu; twarz pani Gosi z błyszczącym podkładem, który miał odwrócić uwagę od pojawiających się zmarszczek, jaśniała niczym gwiazda betlejemska, Darek i Paweł, obaj w garniturach i wypastowanych, lśniących butach, rechotali z jakichś lichych dowcipów, a Martyna... Hubertowi dech zapało. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Ubrana była w małą czarną sukienkę, podkreślającą jej figurę, i buty na obcasach. Miała mocny makijaż, który w przyciemnionym świetle restauracji wcale nie raził. Hubert po raz kolejny stwierdził, że miała piekielnie zgrabne nogi, które w pełni rekompensowały jej niewielki biust. Odczuł również to coś, co zawsze go dopadało, kiedy widział Lucy. Ten rodzaj podniecenia, pragnienia fizycznej bliskości drugiej osoby, którego nie da się wytłumaczyć rozumem i które przenika człowieka, powodując szybsze krążenie krwi. Do cholery jasnej! Nagle zdał sobie sprawę w całej

pełni, że się w niej zakochał! W Martynie! Czy to możliwe? W tej cipci bez biustu? Gdyby wiedziała, co się teraz działo w jego duszy... No nie! Co gorsza, tak go zatkało, że opuściła go wrodzona elokwencja. Przestraszył się nie na żarty, że zaraz zamieni się w bufonowatego pana Darcy'ego z powieści Jane Austen, którymi zaczytywała się jego matka. Przez moment kompletnie zapomniał języka w gębie. Taki rodzaj paraliżu rzadko mu się zdarzał. Stał obok Martynty i dopiero po chwili opanował emocje i szepnął jej do ucha to, co mu przyszło akurat do głowy:

– Bardzo ładnie wyglądasz.

Spojrzała na niego dosyć dziwnie i odpowiedziała z uśmiechem:

– Dziękuję. Ty też.

Po chwili odzyskał dawny animusz i zapytał:

– Jak tam pan Rysio?

– Tragedia, zabiera dziś mamę do kina. Sytuacja rozwija się w niedobrym kierunku.

– No, to szkoda, bo chyba nie skusi się na moją rodzicielkę. – Westchnął, udając rozżalenie.

Martyna uśmiechnęła się i zamilkła, bo właśnie zaczęło się przemówienie dyrektora Kowalskiego. Powiedział dokładnie to, co rok temu, tylko innymi słowami. Otrzymał stosowne brawa, po czym pracownicy Metaleksu mogli swobodnie przystąpić do konsumpcji alkoholi i zakąsek stojących na stolikach. Wzniesiono toasty za rozwój firmy, za udany rok, za przyszłość, za dyrektorów i pracowników, starych i nowych. Atmosfera rozluźniła się, gdzieś wybuchły salwy śmiechu, ktoś opowiadał o wakacjach, ktoś o dzieciach, a ktoś inny o kłopotach z pralką. Od polityki stroniono, bo każdy dziś wiedział swoje i nie zamierzał zmieniać



poglądów, po co więc było o tym mówić. Niemniej nie obyło się bez złośliwych aluzji wtrącanych mimochodem, które wnoszą do rozmów pozory wzajemnego zrozumienia i przybliżają rozmówców do siebie. Po krewetkach i owocach morza, którymi jedni się zajadali, a drudzy wybrzydzały, na stół wjechały czarki z barszczem czerwonym, a potem parujące półmiski z kaczką z jabłkami. Poziom decybeli w sali wzrastał wraz z wypitym alkoholem. Po daniu głównym dyrektor Kowalski przechadzał się z małżonką, panią Niną, u boku i witał się z niektórymi pracownikami, a innym elegancko się kłaniał. Stanęli również przy Hubercie, z którym się przywitali, a potem pani Nina zagadnęła Martynę:

– Czy to ty jesteś tym nowym nabytkiem zespołu metali?

Martyna lekko się zaczerwieniła, skinęła głową, a pani Nina spojrzała na nią i Huberta oczami pełnymi serdeczności. Zupełnie jakby ich znała albo wiele o nich słyszała. Zaraz potem oddaliła się z mężem do następnej grupki pracowników Metaleksu.

Huberta nieco zdziwiła ta uwaga. Pani Nina najwyraźniej widziała Martynę po raz pierwszy. Jeżeli jego koleżanka z pokoju dostała tę posadę dzięki protekcji dyrektora Kowalskiego, to czy to było możliwe? Nie zagłębiał się jednak w te przemyślenia, bo wywnioskował, że Martyna mogła być córką dalszej znajomej i pani Nina niekoniecznie musiała ją znać osobiście.

Po deserze nastąpiła część artystyczna, w której rosyjski artysta o imieniu Sasza miękki, acz wysokim jak na mężczyznę głosem zaśpiewał znane arie operowe. Robił to w tak rzewny sposób, że panie ocierały łzy ze wzruszenia, a panowie w przerwach z uznaniem chrząkali. Paweł nie omieszkał zasugerować z wrodzoną sobie otwartością, że taki głos może



mieć tylko gej, a nawet słyszał, że artysta jest podobno znany w pewnych kręgach ze swojej innej orientacji seksualnej. I właśnie przez tego śpiewaka Hubert, nawet tego nie wiedząc, naraził się na dalsze plotki.

Patryk przyjechał po przyjaciela na Krakowskie Przedmieście tak, jak się umówili, zaparkował blisko restauracji i czekał. Dziesięć minut po umówionej godzinie zniecierpliwiony niepojawianiem się Huberta zadzwonił na jego komórkę, ale była wyłączona. Po chwili spróbował znowu, ale ponownie usłyszał komunikat, że abonent jest czasowo niedostępny. Wyszedł więc z samochodu i poszedł go szukać do restauracji. Tak się złożyło, że wszedł do środka akurat w tym momencie, kiedy Sasza zakończył występ i odprowadzany gromkimi brawami, kłaniając się w pas, schodził ze sceny. Obaj panowie wpadli na siebie w hallu restauracji i na swój widok, zupełnie zaskoczeni, zamarli. W pierwszym odruchu Patryk chciał się cofnąć, ale Sasza już szedł pewnie w jego kierunku z rozradowaną twarzą. Na ucieczkę było za późno. Patryk unikał jego wzroku, błędził oczami gdzieś w przestrzeni, zastanawiając się, jak najlepiej wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji. Nie chciał tego spotkania; znał Saszę jeszcze z czasów swojego pobytu w Gdańsku, ale nie zmierzał kontynuować tej znajomości. Niestety, roziskrzone oczy dawnego znajomego wydawały się mówić zupełnie co innego.

Traf chciał, że właśnie z toalety wyszedł Paweł i, przechodząc przez hall, przypomniał sobie, że nie wie, gdzie schował numerek do szatni. Przystanął i zaczął szukać w kieszeniach spodni, a potem w marynarce. Wyczuł ręką kwadratowy kształt drewnianego breloczka i w tym momencie do jego uszu dotarły strzępki rozmowy Saszy i Patryka. „Zadzwonisz?“, pytał artysta błagalnie. „Proszę... jestem tu jeszcze przez następny weekend.

Mam występ. Proszę, zadzwoń... numer ten sam, co dawniej". Być może Paweł nawet nie zwróciłby uwagi na wypowiedziane słowa, gdyby nie ich desperacki ton. Zaintrygowany, podniósł głowę i zobaczył pałające namiętnością oczy Saszy wpatrzone w Patryka. Zupełnie jakby facet był... zakochany. Paweł cofnął się i dalej z ciekawością obserwował całą scenkę. Zobaczył, jak Patryk niemal wrywa się z objęć artysty, zbywając Saszę zapewnieniem, że na pewno zadzwoni, a potem wchodzi na salę, zostawiając artystę samego w hallu. Sasza odprowadził go tęsknym wzrokiem, po czym poszedł w kierunku toalety. W chwilę potem Paweł wszedł na salę i zobaczył, że Patryk szuka kogoś wśród tłumu rozochoconych alkoholem pracowników Metaleksu i podchodzi do... Huberta.

Hubert nieco się speszył nieoczekiwanym pojawieniem się Patryka na sali. Faktycznie, na czas występu wyłączył komórkę i zupełnie o tym zapomniał. Nie zorientował się, że jest już po dwudziestej trzeciej. Przedstawił Patryka siedzącym przy stole współpracownikom ze swojego zespołu jako sąsiada przyjaciela, po czym pożegnał się i obaj panowie przemaszerowali w stronę drzwi, wtapiając się w tłum. Kiedy zniknęli za drzwiami wejściowymi, Paweł wrócił do stolika z malującym się osłupieniem na twarzy

– Kurde, nie uwierzycie. Ten facio, co przyszedł po naszego Huberta, to pedzio. Widziałem na własne oczy, jak nasz artysta zza wschodniej granicy gwałcił go wzrokiem. Na moich oczach. Niech mi ktoś powie, co tu jest grane?

– A więc to prawda... – przemówiła przygnębionym głosem pani Gosia, łapiąc powietrze jak ryba wyciągnięta z wody.

Darek i Paweł skierowali na nią spojrzenia pełne ciekawości.

– O czym pani mówi, pani Gosiu?!

– Nie widziałaś? Przyjaciela naszego Huberta? Tego Patryka?

– Czy pani sugeruje, że ...

W tym momencie Darek wytrzeszczył oczy tak bardzo, że omal nie wypadły mu z oczodołów.

– Nasz Hubert... nie... to niemożliwe.

W tym czasie Paweł usiadł przy stoliku i ukrył twarz w dłoniach. W końcu wymamrotał przytomnie:

– Nie, to nonsens. To nie może być prawda.

– To prawda – wtrąciła Martyna. – Moja znajoma poznała Lucy, była dziewczyną Huberta, która się jej zwierzyła, że to właśnie był powód zerwania. Hubert zakochał się w Patryku.

Darek i Paweł utkwili w niej spojrzenia jak dwa kruki gotowe się na nią rzucić i rozszarpać. Co też ta dziewczyna mówi? Przecież znali Huberta nie od dzisiaj! Przy stoliku zaległa głucha cisza. Pierwszy otrząsnął się Paweł. Wziął butelkę i z grobową miną rozlał alkohol do kieliszków.

– Moi kochani, sami widzieliście! Nie będę tego komentował. Co można powiedzieć. Boże! Chyba się rozpłaczę! A na pewno upiję!

– Nadal w to nie wierzę – mówiła pani Gosia. – Normalnie w głowie mi się nie mieści.

– Musimy być tolerancyjni – wtrąciła Martyna.

– Co mu się stało? Przecież był najzupełniej normalny! – krzyknął Darek. – To nie może być prawda. Cholera! To mój szef! Nie przeżyję tego! Mam szefa pedzia!

– Chłopaki, musimy to trzymać w tajemnicy tak długo, jak się da. Jak się dyrekcja dowie, to może się komuś nie spodobać. Wiecie, jak u nas z tolerancją, jest tylko na papierze. – Pani Gosia posłała Darkowi i Pawłowi srogie spojrzenie. – A wolę Huberta niż jakiegoś nieznanego spadochroniarza, którego nam wsadzą, jak go wyrzuca. Więc język za zębami. Pełna dyskrecja. A teraz jeszcze raz się napijmy. Aby ta choroba mu przeszła.

Tymczasem Hubert, nieświadomy, że jest przedmiotem rozmów swoich biurowych kolegów i koleżanek, siedział u Patryka na kanapie i najzwyczajniej w świecie pił piwo. Nie miał zielonego pojęcia, że właśnie w tym momencie pracownicy działu intensywnie dyskutują na temat jego orientacji seksualnej. Gdyby wiedział... na pewno by coś zrobił, może nawet coś nieobliczalnego, ale zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, o co go podejrzewano. Spokojnie słuchał wywodów Patryka na temat jakiegoś budynku na Mazurach i kłopotów z ekologami, sączył piwo i spoglądał na ekran telewizora. Zastanowiło go trochę, dlaczego Patryk nie chciał pójść do żadnego klubu i opuścili Krakowskie Przedmieście tak szybko, jakby śmierdziało tam gnojówką, ale uznał, że nie jest to temat godny przesadnego zainteresowania. Nie był przecież agentem wywiadu, aby we wszystkim doszukiwać się drugiego dna. Gdyby Patryk chciał, to sam by mu powiedział. Po opróżnieniu butelki stwierdził, że wyczerpał całą dawkę tolerancji na alkohol na ten wieczór, paplanina Patryka też mocno go znudziła, poszedł więc do swojego mieszkania. Kiedy się kładł, znów zaczął rozmyślać o Martynie, a potem... o sposobie, w jaki może usunąć Czarka z jej życia. Czarek... ten gość po prosta nie był wart dziewczyny z takimi

ładnymi nogami. Ale co mógł zrobić? Nic. I absolutnie nic nie przychodziło mu do głowy.

TTLR

## *Rozdział 17*

### *Święta*

Juz od początku grudnia Patryk bił się z myślami. Po pierwsze, zastanawiał się, czy jechać na święta do domu. Upłynęło ponad pięć lat, od kiedy był tam po raz ostatni. Wiedział, że jego przeprowadzka do Trójmiasta, a potem do Warszawy tylko powierzchownie uzdrowiła atmosferę w rodzinnym domu. Konflikt z ojcem do tej pory nie został rozwiązany i nie wiadomo było, czy kiedykolwiek stosunki między nimi się poprawią. Z drugiej strony, teraz, kiedy Patryk miał dobrą pracę w Warszawie, mieszkanie, samochód, a więc był w pełni niezależny, tlił się w jego sercu promyk nadziei, że ojciec wreszcie go doceni i zaakceptuje. Chciał mu pokazać, że do czegoś doszedł, że nie jest kompletnym zerem.

Ojca nienawidził, od kiedy pamiętał. I odkąd sięgał pamięcią walczył o jego akceptację. Przez całe dzieciństwo ciągle słyszał, że coś robi źle, że nie jest taki, jaki powinien być, że mógłby lepiej, inaczej, że nie jest dość twardy. Ojciec był perfekcjonistą i tego samego wymagał od innych. To jego uporządkowanie i solidność imponowały Patrykowi, ale, niestety, ojciec, jak każdy zodiakalny bliźniak, miał dwie twarze: z jednej strony był poukładany, systematyczny i wydawało się, że emanował spokojem, ale kiedy coś go zdenerwowało, wpadał w szał, bił matkę, jego, a nawet starszą siostrę, i poniżał ich. Patryk nienawidził jego brutalności i grubiaństwa. Bał się go, ale nie potrafił mu się przeciwstawić. Kiedy ojciec zorientował się, że Patryk jest gejem, sytuacja jeszcze pogorszyła się. Któregoś dnia doszło do takiej awantury, że Patryk poważnie się obawiał, że ojciec go zabije.

Wtedy uciekł z domu i od tamtej pory nie wrócił. Utrzymywał telefoniczny kontakt z matką i siostrą, choć wiedział, że nawet one nie rozumieją jego odmienności.

Już parę razy miał powiedzieć Hubertowi o sobie, ale zawsze przesuwiał wyznanie na później. Może wierzył, że uda mu się „zejść na dobrą drogę”, że ucieknie przed własnymi pragnieniami i będzie normalny? Ale... przecież nie potrafił zrezygnować. Kiedy Jerry przyjechał do Warszawy na dwudniową delegację, umówił się z nim natychmiast. Nie mógł się oprzeć. Pewnego dnia zgodził się na przypadkowy seks z jakimś facetem, którego poznał w klubie. Ukrył to przed Hubertem, powiedział, że zaprosił go ktoś z pracy. Był słaby, nie godził się ze swoim homoseksualizmem, walczył ze sobą, ale coraz bardziej zdawał sobie sprawę z tego, że to nie ma sensu. Miał dosyć ukrywania się, uciekania przed własnymi pragnieniami i żądzami. Kiedyś półgębkiem wspomniał Hubertowi o konflikcie pomiędzy nim a ojcem, chcąc mu wyjawić całą prawdę o sobie, ale... nie odważył się. Hubert nie drażył tematu; kiedy jeszcze żył jego ojciec, stosunki między nimi układały się różnie, wydawało mu się więc, że dobrze rozumie przyjaciela. Nie miał pojęcia, że sprawa ma drugie dno.

Właściwie Patryk postanowił wszystko wyjawić Hubertowi tamtego wieczoru, kiedy spotkał Saszę. Rosyjskiego artystę poznał jeszcze w Gdańsku i przez pewien czas razem mieszkali. Ale to było zanim Patryk zakochał się w Jerryem. Gdy tylko zobaczył Saszę tam, w hallu restauracji, przestraszył się tak bardzo, że aż poczuł zimno w piętach. Jakby go prąd poraził. Spodziewał się, że jego dawny kochanek będzie nalegał na spotkanie i wszyscy wokół się domyśla, że on jest również gejem. Sasza nie krył się ze swoją orientacją seksualną, ale będąc artystą mógł sobie na to



pozwolić. Patryk obawiał się, że prawda dojdzie do uszu Huberta i straci przyjaciela. A przecież uważał, że to jego obowiązek, aby powiedzieć mu o tym samemu, bez nacisków i w taki sposób, aby szok był jak najmniejszy. Polubił swojego sąsiada i nie chciał stracić jego przyjaźni. Postanowił więc, że bezwzględnie powie mu tego wieczoru, prosto w twarz. Ale... odwaga znów go opuściła.

Dwa dni przed Wigilią zadzwonił Jerry. Gdyby Patryk nie odebrał tego telefonu, najprawdopodobniej pojechałby na święta do domu. Głos Jerry'ego miał jednak tę niezwykłą moc, że zawsze wywoływał u niego przeraźliwą tęsknotę za przyjacielem i pożądanie, któremu nie mógł się oprzeć. Już kiedy podnosił słuchawkę wiedział, jak się potoczy rozmowa.

– Patryku... ja czekam na ciebie. – Usłyszał drżący głos Jerry'ego. – Tęsknię za tobą. Kaśka, wiesz, ta, co mieszka w tym samym bloku, powiedziała mi, że widziała cię w klubie w Warszawie z jakimś facetem. W wakacje mówiłeś, że jak będziesz miał już mieszkanie, to mnie do siebie ściągniesz... I będziesz wierny... Myślałem, że mnie kochasz ... Muszę wiedzieć, co jest grane. – W jego głosie było tyle bólu, że Patryk poczuł mocniejsze bicie serca. – Proszę. .. pozwól mi przyjechać.

W tym momencie zrozumiał, że nie pojedzie na święta do domu i że zaprosi przyjaciela do siebie, do Warszawy. I nie wiedzieć czemu, poczuł ogromną ulgę, jakby ktoś zdjął mu z pleców ciężki kamień. Nie będzie musiał oglądać ojca, słuchać jego drwin, znosić pogardliwych spojrzeń. A mama... do mamy zadzwoni. Może odwiedzi ją po świętach. Jak ojca nie będzie w domu.

– Dobra, przyjeżdż – wyszeptał. I podał adres.

Jeśli Martyna była zaskoczona zaproszeniem pana Rysia na Wigilię, to doskonale to ukryła. Usłyszała od mamy, że pan Rysio pozbawiony został najbliższej rodziny i chrześcijańskim obowiązkiem jest go przygarnąć w tak uroczysty dzień. Miał on, co prawda, siostrę w Warszawie, ale czuł się u niej jak piąte koło u wozu. Jej rodzina była mu obca, nie utrzymywali bliskich kontaktów i zaproszenia na święta wynikały bardziej z poczucia obowiązku niż rzeczywistej rodzinnej miłości. Córka pana Rysia mieszkała w Kanadzie, wobec czego, według pani Renaty, czymś jak najbardziej odpowiednim było zaproszenie go na Wigilię. Chciała dalej rozwodzić się nad obiektywnymi powodami zaprosin pana Rysia, wypływającymi z jej ofiarnego charakteru, ale Martyna jej przerwała:

– To dlatego go zapraszasz? Że jest sam?

– No... nie tylko. Jest też bardzo miły. Byłam z nim w kinie. I... był miły.

Martyna patrzyła na zmieszaną starszą wersję samej siebie, która gryzła wargi i denerwowała się, jakby naprawdę było o co. Przytuliła więc mamę i szepnęła:

– Mamo, chcę, żebyś była szczęśliwa. Jeśli odpowiada ci pan Rysio, to obiecuję, że będę dla niego miła. Bardzo miła. A już na pewno w Wigilię. Ty jesteś dla mnie najważniejsza.

Rozpromieniona babcia wyszła z kuchni na te słowa. Zostawiła mak do ciasta, który akurat kręciła, i spojrzała na Martynę i panią Renatę. Aż jej się łza w oku zakręciła. Martyna, widząc radość na twarzy babci, już chciała zapytać, kto tu jest zakochany w panu Rysiu, mama czy babcia, ale pomyślała, że to i tak nie ma znaczenia. W każdym razie święta na trzecim piętrze zapowiadały się w tym toku w większym składzie.

W tej szczęśliwej chwili babcia zaraz stwierdziła, że ona, jako jedyna niezakochana w tym towarzystwie i z przytomną, głową, musi wnieść do domu trochę organizacji i od razu zaczęła planować lepienie pierogów tudzież skrobanie karpia i inne przygotowania do wigilijnej kolacji. Nagle przestała narzekać za nawał zajęć, na bolące kości i wiele innych części ciała, a wręcz promieniała energią, jakby pan Rysio był co najmniej uzdrowicielem energoterapeutą. Obie starsze panie cieszyły się również z odwiedzin Czarka, którego uznały za sympatycznego młodego człowieka, i wspólnie ustalono, że Martyna zaprosi go na drugi dzień świąt. Babcia planowała już uroczysty obiad i od razu wysłała Martynę po zakupy. Potem kazała jej dokładnie spisać przepis na makowiec, żeby Martyna wiedziała, jak się go robi, jak babci już zabraknie. Tradycja rodzinna nie mogła wygasnąć. Jeszcze babcia pani Pelagii, a więc praprababcia Martyny, znana była w całej okolicy z przepysznych makowców i tradycję rodu należało kontynuować. Sprawy prezentów babcia pozostawiła dwóm młodszym generacjom mieszkanek trzeciego piętra, wierząc, że ich zdrowsze nogi wychodzą coś sensownego. Dla pana Rysia rozważane były skarpetki lub krawat, ale w końcu stanęło na długopisie jako na najbardziej neutralnym i okazałym prezencie. Boże Narodzenie zapowiadało się radosne jak nigdy.

Niestety, Czarek znów zawiódł oczekiwania Martyny. Nie mógł przyjąć jej zaproszenia, bo na święta wyjeżdżał poza Warszawę. Zwyczajowo co roku cała familia jeździła w rodzinne strony jego matki, aby obejrzeć swoich kuzynów i kuzynki, poddychać nieskażonym spalinami powietrzem oraz najeść się wiejskiego ekologicznego jedzenia.

Z tego powodu wspólna pasterka też miała nie wypalić, bo Czarek wyruszał już w Wigilię rano. Mówił, że bardzo boleje nad tym, ale to

obowiązek rodzinny i nie może nie pojechać. Obiecał, że wynagrodzi Martynie swoją nieobecność po powrocie. Pytany o szkolenie w Krynicy, udzielał zdawkowych odpowiedzi; mówił, że było w porządku, czyli nudno. Ponoć tęsknił za Martyną, zasypiał na wykładach i marzył o powrocie do Warszawy. Dzień przed Wigilią spotkali się i wymienili prezentami. Martyna miała dla niego krawat, a on dla niej łańcuszek z wisiorkiem. Pożegnali się czule i oboje wpadli w wir końcowych przygotowań do świąt.

Ostatni dzień w biurze wypadł blado, każdy się śpieszył do domu i nikt nie był przesadnie rozmowny. Wspólna Wigilia była krótka; podzielono się opłatkiem, pani Gosia przyniosła sałatkę, a Martyna ciasto. Hubert otworzył butelkę wina, aby wznieść toast za pomyślność ich zespołu. Wydawało mu się, że w powietrzu wisi coś, co zatruwa atmosferę, ale nie miał pojęcia, co to mogło być. Każde jego wejście do pokoju Darka, Pawła i pani Gosi powodowało cichnięcie rozmów. Raz wydawało mu się, że słyszy za plecami jakiś rechot. Co było grane?, zastanawiał się. Ale ponieważ nic nie mógł wymyślić, zrzucił to na karb swojej paranoi i postanowił nie zwracać uwagi.

Na Wigilię jak co roku pojechał do mamy, gdzie była już ciotka Ala. Podzielił się z nią i z mamą opłatkiem, co było istnym spektaklem serdeczności i wylewności z damskiej strony zgromadzonego towarzystwa. Hubertowi życzone, aby był zdrowy, szczęśliwy i bogaty, żeby w końcu założył rodzinę i dorobił się dzieci.

Te ostatnie życzenia w większym stopniu dotyczyły jego mamy i ciotki, bo to one bardziej marzyły o wnukach niż Hubert o dzieciach. Kiwał jednak potulnie głową i zapewniał, że się stara, ale wybór partnerki życiowej to poważna sprawa. W pierwszy dzień świąt obejrzał z mamą *Dumę i*

uprzedzenie, a potem *Emmę*, W drugi: *Rozważną i romantyczną*, *Opactwo Northanger* i *Mansfield Park*. Były to ekranizacje powieści angielskiej pisarki Jane Austin, za którą jego mama przepadała. Ten dosyć nietypowy sposób spędzania świąt był u nich tradycją już od lat; mama Huberta nie była w najmniejszym stopniu religijna, nie chodziła do kościoła, a jako nauczycielka angielskiego uwielbiała oglądać angielskie filmy w oryginale i zachwycać się pięknym akcentem aktorów. Za każdym razem przeżywała wraz z Elżbietą Bennet jej ukrytą miłość do pana Darcy'ego, roniąc nawet łzę lub dwie, kiedy pod sam koniec widziała ich na ślubnym kobiercu. Powtarzała „Cóż za piękna para”, zagryzając świątecznym sernikiem i popijając kawusią. Huberta lekko to denerwowało, bo słyszał w tych słowach wyraźny życzeniowy podtekst dotyczący jego osoby. Chciał złośliwie zapytać, co też nie podobało się jego mamie w Lucy, ale tego nie zrobił. Wiedział, że szacowna rodzicielka marzy o synowej, ale takiej, która przypadnie i jej do gustu. A może przede wszystkim jej. Pocieszał ją więc tonem a la pan Darcy:

– Mamo, zapewniam cię, że pracuję nad tym, aby zakończyć okres mojej beztroskiej młodości i związać się z właściwą osobą, która spełni twoje wymagania. Musisz się jednak liczyć z możliwością, że mogę zakochać się w kimś nieodpowiednim... jak to było w przypadku pana Darcy'ego. Z okropnej, rozkrzyczanej rodziny, za to z wielkimi ambicjami.

Po takim wywodzie mama rzucała mu spojrzenie osoby znającej się na życiu i mówiła: – ja od razu będą wiedziała, czy to panna odpowiednia dla ciebie. I chciałabym, abys się pośpieszył, bo chcę piec serniki i robić indyka nie tylko dla mojego egoistycznego jedynaka, jakiego sobie wychowałam, ale również rozpieszczać synową i wnuki. Póki mi sił starczy. Więc nie

zwlekaj. I dobrze, że ta Lucyna ci przeszła. To była zupełnie nieodpowiednia dziewczyna dla ciebie.

W drugi dzień świąt Hubert był tak znudzony atmosferą rodzinnego domu, gdzie z każdego kąta było przekonanie jego matki, że ona wie najlepiej, czego mu potrzeba do szczęśliwego życia, że po wczesnej kolacji uściskał mamę, obiecał, że poszuka sobie sensownej dziewczyny, po czym z ulgą opuścił płynące z ekranu westchnienia panien z epoki jeszcze przedwiktoriańskiej i wrócił do swojego mieszkania. Trochę się zdziwił, kiedy zobaczył, że w oknach Patryka świeci się światło. Myślał, że jego sąsiad pojechał na święta do domu.

Martyna, podobnie jak Hubert, przeżyła Boże Narodzenie w bardzo rodzinnej atmosferze; mama z babcią podtykały jej pod nos na przemian sernik z makowcem albo śledzia z karpem w galarecie, bo święta postrzegały przede wszystkim jako ucztę dla podniebienia. Pan Rysio wtrącał do swoich monologów pokaźne porcje „pań dobrodziejek” i „panów dziejów”, aż w końcu przyzwyczaiła się do tych powiedzonek i przestały ją drażnić. W ogóle towarzystwo sąsiada znosiła coraz lepiej. Widząc, jak mama i babcia śmieją się z jego dowcipów i anegdotek, a gadulstwo sąsiada wcale ich nie przeraża, Martyna coraz bardziej przekonywała się do niego. Pod choinkę dostała od pana Rysia iPoda i sprawił jej tym wielką przyjemność. Do tej pory jakoś nie zdobyła się na to, żeby nabyć urządzenie, które już wszyscy jej znajomi dookoła posiadali.

Ku zdumieniu Martyny to pan Rysio był osobą, która wniosła do mieszkania na trzecim piętrze orzeźwiający powiew nowej rzeczywistości ekonomicznej. Do tej pory sądziła, że to jej jako absolwentce SGH przypadnie rola wniesienia kaganka oświaty finansowej pod ich strzechę, ale



się pomyliła. Pan Rysio świetnie orientował się w kwestiach pieniędzy i ich inwestowania i to on zaczął wtajemniczać mamę i babcię w sprawy giełdy. Mówił o tym tak, jakby to były... przepisy na ciastka. Trzeba się było trochę zaznajomić, poznać pewne wskaźniki, ale według pana Rysia to wcale nie była wiedza tajemna, zarezerwowana dla grupki nawiedzonych facetów, jakich pokazywano na kanale CNBC. Wydawało mu się, że każdy obywatel, jak to jest w Ameryce, może grać na giełdzie, a nawet powinien, bo w ten sposób można się dorobić. Mama dostała od niego książkę o inwestowaniu i zamierzała ją przeczytać, co przeraziło Martynę nie na żarty. Widziała swoją mamę w różnych rolach w życiu, ale w żadnej z nich nie występowała jako finansowy guru. Modliła się, aby ten facet z czwartego nie naciągnął pani Renaty na jakieś inwestycje i aby nie straciła swoich ciężko uciulanych paru groszy oszczędności. W drugi dzień świąt wymogła na mamie przyrzeczenie, że każdą sprawę dotyczącą finansów będzie zawsze konsultować z nią. Mama przyrzekła, że tak zrobi i że jej kochana córeczka może spać spokojnie.

Wieczorami, leżąc w łóżku, Martyna patrzyła na ściany swojego pokoju i przypominała sobie, że jeszcze parę dni temu stał tu na drabinie opryskany farbą Hubert. Teraz to wydawało jej się czymś tak nierzeczywistym jak senna zjawa. On tutaj, w jej pokoju... Dlaczego on jest „inny”, głowiła się. Teraz, kiedy zobaczyła go razem z Patrykiem, na samą myśl o nim przez plecy przebiegał jej nieprzyjemny dreszcz i głęboko wzdychała. Niby to nie była jej sprawa, ale... W tym ponurym nastroju nie trwała jednak długo, bo Czarek przypominał o swojej obecności, zasypując ją czułymi SMS-ami. Zapominała wtedy o Hubercie i jego homoseksualizmie, rumieniła się i odpisywała Czarkowi z wypiekami na



twarży, lekko przy tym chichocząc. W drugi dzień świąt Czarek przyjechał do Warszawy i jak na skrzydłach pobiegła, aby się z nim zobaczyć.

Po powrocie od mamy Hubert, jako dobry sąsiad, zapukał do Patryka, bo chciał się upewnić, że wszystko u niego w porządku. Bardzo się zdziwił, gdy drzwi otworzył mu jakiś nieznany typ owinięty ręcznikiem. W chwilę później w drzwiach pojawił się Patryk. Też był owinięty ręcznikiem. Hubert patrzył na dwóch mężczyzn i osłupiał. Ten widok poraził go bardziej, niż zrobiłby to wybuch bomby wodorowej. Stał jak słup soli, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa. W oczach Patryka wyczytał wyznanie.

– Hubert... wejdź – usłyszał głos przyjaciela.

– Nie, nie... sorry, nie chciałem ci przeszkadzać. Świeciło się, więc...

– Wejdź.

– Nie, nie będę przeszkadzał.

– Hubert, proszę, wejdź, już dawno chciałem ci powiedzieć...

– Sorry, Patryk, ale nie. Może potem. Chciałem tylko sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku. Cześć.

Ruszył po schodach na górę i machinalnie włożył klucz do zamka mieszkania. Nie zapalając światła, wkroczył do ciemnego wnętrza, oparł się o ścianę i stał tak parę minut, usiłując opanować drżenie nóg i zrozumieć, co przed chwilą zobaczył. W końcu kucnął i usiadł na podłodze. Kurde... nawet mu to do głowy nie przyszło... Patryk jest gejem! Dlaczego nie powiedział mu wcześniej? Teraz czuł się jak idiota! Ale skąd miał wiedzieć? Patryk nigdy go nie dotknął, nigdy nie zrobił nic, co sugerowałoby jego odmienną orientację. I jak teraz powinien się zachować? Co powinien zrobić? Niech to szlag... Taki pasztet! Wziął parę głębszych wdechów. Wstał i zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem. To wszystko wydawało mu się po prostu...

nieprawdopodobne. Przypomni sobie, e raz by mocno pijany i zosta u Patryka na noc. Wosy stany mu deba. Kurde... ale gdyby co si dziao, to chyba by pamita?! Chodzi po pokoju miotany roznymi uczuciami, zupenie nie widzc, co ma zrobi. W koncu wyszed z domu i pojecha do pubu. Pomysa, e wodka i swieze powietrze dobrze mu zrobi. Ostudz parujc gow. Grom z jasnego nieba nie mogby go mocniej porazi ni ta wiadomoc.

Usiad przy opustoszaym barze i zamowi kieliszek czyste. Boe Narodzenie nie byo dla lokalu okresem wzmozonych obrotw. Osb byo niewiele, paru yciowych rozbitkw i dwojka zagranicznych turystw, ktorzy opacznie zrozumieli informacj przeczytan w przewodniku, e w swita Polacy swietuj. Hubert patrzy tepo przed siebie i musiał wyglada niespecjalnie, bo barmanka dwa razy sie do niego usmiechna i zapyta, czy ma jakie kopoty. Pokiwa tylko gow i poprosi, aby sprzedaa mu spod lady papierosy. Z gosnikw leciaa jakas muzyka, ale nawet jej nie sysza. W gowie mia taki zamet, e ledwo zauwaa, co sie dzieje dookoa niego. Zamowi drug piecdziesiatk. Wtedy ktos klepn go w rami.

– Hubert! To ty?

Podnis gow i zobaczy starego kumpla, jeszcze z liceum.

– Czec, Slawek! Tak, to ja. A tak sie zmieniem?

– Nie, tylko... taki zgaszony jeste... Czy to swita tak ci day w koc, czy dziewczyna cie rzucia?

– Gorzej!... To znaczy, wiesz... dziewczyny aktualnie nie mam. Ale nie najlepiej znosz swita... Atmosfera rodzinna. .. lekko mnie wykancza. A ty co tu robisz?

– To co ty, w przybliżeniu. Z żoną się pokłóciłem. I wyszedłem na trochę z domu, wiesz... przewietrzyć się.

Hubert pokiwał głową.

– A tak w ogóle, to co u ciebie?

– Dziecko mi się urodziło. Dziewczynka. Cudowna. Głośniejsza niż mamusia. Jak nie jedno się drze, to drugie. Zwariować można. Ciągłe coś od ciebie chcą. Chwili spokoju nie ma. A jak dziecko wreszcie śpi, to żona ma o coś pretensje. Nawet dotknąć się nie da... co się porobiło.. . I jeszcze masz na głowie teściową i teścia. Wszyscy cię oceniają, punktuja. Każde niedociągnięcie zauważą. Bracie, nie żęń się. Spokoju nie ma.

Hubert popatrzył na dawnego kolegę.

– To się nazywa rodzina. – Uśmiechnął się wyrozumiale. Sławek włął w siebie całą zawartość kieliszka.

– Czasami mam dosyć.

– No, to się jeszcze napijmy – zaproponował Hubert.

– Nie, stary, nie mogę się upić. Mam rodzinę. Wiesz... córkę. Fajna jest. Tylko te krzyki mnie wykańczają. Ja z tych, co ciszę lubią. Muszę ten okres jakoś przetrwać. Z żoną nie mogę się dogadać. A taka fajna była. A teraz... Normalnie źle znosi moją obecność. Wiesz, nie ma cię w domu, źle. Jesteś w domu, jeszcze gorzej. Babie nie dogodzisz.

I ciągle jakieś pretensje. Mniejsza z tym. Co robisz w sylwestra?

– Właściwie nic.

– To wpadnij do nas.

– No, ale twoja żona i dziecko...?

– Dziecko idzie do teściowej. Już wyblągałem. A moja żona...? Poznasz ją. Fajna jest. Pogodzimy się do sylwestra.

– Ale, Sławek... Nie znam tam nikogo. Nie chcę się wpraszać, ani narzucać.

– Nie martw się. A ludzi poznasz. Będzie na przykład Anita. Ona pracuje z Czarkiem, którego możesz jeszcze kojarzyć ze szkoły, wiesz, ten lalusz. Pracuje w banku. A propos Anity. Jest stanu wolnego. Jeśli, oczywiście, to cię interesuje. Może ją już kiedyś poznałeś. Też chodziła do naszego ogólniaka. Ona coś trenowała... wioślarstwo czy kajakarstwo. I jest dosyć rozwinięta, szczególnie z przodu...

Hubert słuchał z zainteresowaniem, jakby Anita faktycznie zaczęła go bardzo ciekawić. Rozmowa zeszła na starych znajomych i ich losy i obaj panowie, nie wiedząc kiedy, opróżnili zawartość całej butelki. Sławek okazał się osobnikiem o słabszej głowie i po godzinie Hubert zorientował się, że jego kolega jest tak pijany, że zupełnie nie nadaje się do powrotu do domu. Szczególnie takiego, w którym jest małe dziecko. Zataczał się, język mu się plątał i był wylewny jak nigdy. Hubert zadzwonił do jego żony z komórki, którą znalazł w kieszeni Sławka, i powiedział, żeby się nie martwiła, bo weźmie jej męża na noc do siebie do domu. Tam nikomu nie będzie przeszkadzał. Jak rano Sławek wytrzeźwieje, odstawi go do domu. Potem zaciągnął zataczającego się kolegę na przystanek tramwajowy. Sławek tak się chwiał, że Hubert objął go ramieniem, aby tamten się nie przewrócił.

Pomagając koledze i samemu mając we krwi parę promili alkoholu, nie zauważył, że po drugiej stronie ulicy przechodzili akurat Czarek z Martyną. Byli zapatrzeni w siebie, ale nie na tyle, żeby nie zobaczyć Huberta obejmującego jakiegoś faceta. Aż przystanęli z wrażenia. Z tej odległości nie mogli dostrzec, że Sławek był pijany, i zupełnie inaczej

zinterpretowali humanitarne poniekąd zachowanie. Martyna powiedziała Czarkowi już wcześniej, przy okazji rozmowy o malowaniu jej pokoju, że Hubert jest gejem, ale nie chciał w to wierzyć. A teraz „słowo stało się ciałem”.

Wszystko wskazywało na to, że Hubert rzeczywiście był innej orientacji seksualnej.

TTLR

## *Rozdział 18*

### *Sylwester i przypadkowych spotkań ciąg dalszy*

Już od paru lat Martyna, Zosia i Sandra zawsze spędzały sylwestra razem. Ten rok nie miał być wyjątkiem. Chłopak Sandry, Robert, znalazł mały klub na Żoliborzu, gdzie ceny nie były z tych, co to wygryzają dziury w kieszeniach, a atmosfera w środku na tyle mroczna, żeby określić lokal jako przytulny i kameralny. Mieli tam przyjść zarówno Martyna z Czarkiem, jak i Zosia z nowym chłopakiem, którego jeszcze nikt nie znał. Dziewczyny uważały, że w ich życiu dokonał się znaczący postęp w stosunku do roku ubiegłego, bo wtedy żadna z nich nie miała chłopaka, a teraz wszystkie trzy były zakochane. Nawet Zosia.

Spośród trzech koleżanek Zosia miała najbardziej niestabilne życie uczuciowe. Uległa namowom Mariusza, kolegi Czarka, i spotkała się z nim, ale tylko jeden raz. Starła się zobaczyć w nim zdolnego architekta z przyszłością i siebie u jego boku, ale widziała już tylko faceta o zbyt gorących łapach, któremu wybiła przez przypadek jedynkę. Nawet to, że był kolegą Czarka, chłopaka Martyny, nie przekonało Zosi do spotkania się z nim kolejny raz. Aby zatrzeć złe wspomnienia, umówiła się z Wojtkiem, którego kiedyś poznała na kursie angielskiego. Wojtek prowadził firmę budowlaną i był bardzo interesujący, niestety, tylko przez pierwszą godzinę. Potem zaliczyła jeszcze Pawła, ale ten miał okulary jak denka od butelek i nie mogła ustalić, jak mu patrzy z oczu. W jej życiu pojawił się również Marek, który miał psa, ale miłość do zwierząt okazała się niewystarczająca, aby ich połączyć. Zosia zaczęła się poważnie obawiać, że nigdy nie spotka

sensownego faceta, a już na pewno nie przed sylwestrem. I że musi poczekać na swojego łysego Anglika, bo widocznie go kocha, skoro nie może zakochać się w nikim innym. W swoim postanowieniu nie wytrwała specjalnie długo, bo na korytarzu w banku wpadła na Grześka i to on właśnie był sprawcą obecnego sporego zamętu uczuciowego w głowie Zosi. Zakochała się w nim na pierwszej randce, zanim jeszcze skończyła pić kawę, na którą ją zaprosił. Strzała Amora była celna, w sam środek serca Zosi. Martyna i Sandra pokiwały głowami, zastanawiając się, czy uczucie było na tyle mocne, by przetrwać chociaż miesiąc, ale teraz ważne było, że ich koleżanka miała z kim tańczyć w sylwestra.

Zabawa w klubie była świetna; DJ w opiętej koszulce z napisem „Iron Maiden” był fantastyczny, i to nie tylko z wyglądu. Miksował porywające składanki i parkiet tonął w morzu podskakujących ciał. Ciemną atmosferę lokalu rozjaśniały kufle ze złocistym piwem i im więcej ich przybywało na stołach, tym jaśniej robiło się w głowach gości, a gwarniej w lokalu. Nowy Rok rozpoczęto tradycyjnym toastem szampanem, po którym część towarzystwa wyległa na ulicę, aby odpalić przyniesione sztuczne ognie. Kiedy fajerwerki ucichły, lekko zmarznięci, ale nadal w świetnych humorach, wrócili do dusznego klubu, aby poddać swoje ciała działaniu następnej dawki nakręcających decybeli płynących z głośników. Trzy przyjaciółki upiły się na wesoło, śpiewały, tańczyły, były szczęśliwe, jak nigdy w życiu, aż Martyna w przypiływie alkoholowego upojenia zdjęła buty, weszła na stół i zaczęła tańczyć. Poruszała się jak w transie i wszyscy klaskali z podziwem. Wszyscy oprócz Czarka, który nagle spoważniał. Zamiast bić brawo i bawić się, surowym głosem nakazał jej zejść ze stołu. Kiedy nie reagowała na jego uwagi, podniósł się, chwycił ją brutalnie za



ramię i siłą ściągnął na podłogę. Pogardliwym tonem stwierdził, że się upiła i że na nią czas do domu. Martynę zatkało. Sandrę i Zosię również. Robert złapał Czarka za ramię, Grzesiek stanął tuż obok, zrobił groźną minę, pokazując, że jest gotów do walki, i przez moment zapowiadało się, że Nowy Rok zacznie się od małej bijatyki. Czarek widocznie lekko się przestraszył spojrzeń chłopaków, bo puścił ramię Martyny, która opadła na ławkę i siedziała nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami, ledwo rejestrując, co się właściwie stało i o co chodzi. Szczęśliwie po chwili odzyskała mowę i możliwość posługiwania się szarymi komórkami, bo oświadczyła, że w takim stanie do domu nie zamierza wracać. Przyprawiłoby to babcię i mamę o palpacje, a tego z całego serca chciała im oszczędzić, szczególnie na początek Nowego Roku. Wstawiły się za nią Zosia i Sandra, ale atmosfera popsuła się na dobre. Martyna, chcąc ratować dobry nastrój i czując się winna całemu zajściu, postanowiła jakoś załatwić sprawę z Czarkiem i przyznała, że przedawkowała procenty, ale to w końcu sylwester. Sukces był połowiczny; Czarek do końca już siedział naburmuszony, po godzinie więc wyszli, zostawiając resztę towarzystwa. Ich pożegnanie pod klatką nie było takie czułe jak zwykle. Kiedy Martyna kładła się spać, jeszcze raz spojrzała na pomalowane ręką Huberta ściany i zaklęła siarczyście. Dlaczego taki super facet musi być gejem? I co się dzieje z Czarkiem? Czy on naprawdę jest takim niewyrozumiałym wypierdkiem?

Hubert spędził sylwestra u Sławka. Żona jego dawnego kumpla okazała się przemiłą dziewczyną. Miała w sobie tę słodycz, wdzięk i bezbronność, które powodują, że każdy mężczyzna był gotowy góry dla niej przynieść. Sławek mówił, że też tak miał, dopóki się z nią nie ożenił. Po ślubie ochota na przenoszenie gór mu przeszła. Nawet torby z zakupami

okazywały się często zbyt ciężkie. Jeżeli chodzi o góry, to preferował święty spokój, jakiego można jeszcze doznać, zaszywając się gdzieś w ich sercu.

Na imprezie Hubert poznał, oczywiście, Anitę, która musiała być uprzedzona, że dawny kolega z liceum jest stanu wolnego i szuka partnerki. Dziewczyna wydała mu się lekko wulgarna, z nadmiernie ostrym makijażem i na zbyt wysokich obcasach. Przez całą noc obawiał się, że nadeptnie mu na stopę jedną z tych dwudziestocentymetrowych szpilek i przedziurawi mu ją niczym dziurkaczem do papieru. Anita najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy z obaw Huberta, bo cały czas jej buty znajdowały się w pobliżu jego nóg, a nawet się o nie niebezpiecznie ocierały. Zdaje się uznała, że Hubert należy do tego gatunku mężczyzn, dla których rozwiązłość seksualna jest bardziej zaletą niż wadą. Zachowywała się tak, jakby miała wypisane na czole: „Jestem gotowa na niezobowiązujący seks z tobą w Nowy Rok”. Jej falujący, dorodny biust niby przypadkiem wchodził ciągle w kontakt dotykowy z różnymi częściami ciała Huberta, sugerując, że domaga się pieszczot, a rzucone uwodzące spojrzenia wróżyły łóżkowe rozkosze, jakich tylko mogą pragnąć mężczyźni. Z tego powodu miała w sobie również coś odpychającego, z czego biedaczka wcale nie zdawała sobie sprawy.

Pomimo to Hubert zaczął rozważać, czy jeden albo dwa numerki nie zrobiłyby mu dobrze na psychikę. Wprawdzie od kiedy dowiedział się, że Patryk jest gejem, o seksie starał się nie myśleć, ale w końcu... był mężczyzną i czuł potrzebę udowodnienia sobie, że nie stoczył się przy przyjacielu na złą drogę i nie zaraził „jego chorobą”. Taki sylwestrowy seks to byłoby jak... oczyszczenie. Skoro nadarza się okazja... Postanowił jednak wytrwać przynajmniej do Nowego Roku i rozmowa między nim a Anitą zesłała na znajomych, jak to często bywa w przypadku, kiedy dwie osoby

odkryją, że w przeszłości chodziły do tego samego liceum. Potwierdziła się informacja, że Anita pracuje z Czarkiem w tym samym banku. Ba, dziewczyna wyjawiała Hubertowi, że przed świętami była na szkoleniu w Krynicy, w którym uczestniczył również ich dawny szkolny kolega. I powiedziała coś, co Huberta zupełnie zmroziło.

– Czarek ma opinię bardzo cnotliwego chłopca. Takiego, wiesz, co to do kościółka chadza, paciorek przed snem mówi, seks tylko po ślubie kościelnym i tak dalej. Założyłam się z koleżanką, że go uwiodę. Sprawa miała być trudna, bo chyba akurat się zakochał. Ale wiesz... – wypięła biust tuż pod nosem Huberta, tak że woń jej perfum zupełnie zatkała mu nozdrza – okazało się, że całkiem niezły z niego ogier...

Spojrzał na nią, udając podziw.

–I rozumiem, że zakład... wygrałaś?

– A... nie, przegrałam. – Anita się roześmiała. – Ale koleżanka. .. i owszem... pochwaliła się, że miło spędziła noc z naszym cnotliwym kolegą. Całkiem wyedukowany się okazał... Aha... proszę cię, abyś tę informację zachował dla siebie. Obiecałam jej. On jest podobno zakochany. Możesz mi nie wierzyć, ale w gruncie rzeczy jestem bardzo moralna – powiedziała to najseksowniej, jak tylko potrafiła.

– Nie ma sprawy. A co on mnie w ogóle obchodzi. Gościa prawie nie znam. – Hubert westchnął, rzucając spojrzenie w stronę wydatnego biustu Anity, jakby on właśnie najbardziej go w tym momencie interesował. – Zatańczysz? – zaproponował.

O drugiej nad ranem wyszli oboje od Sławka, gdzie impreza „siadła”. Wszyscy snuli się po kątach, nastrój zabawowy gdzieś się ulotnił, nikt nie tańczył. Fizyczna bliskość dorodnych piersi Anity coraz bardziej

przekonywała Huberta, że nie należy marnować nadarzającej się okazji na rozpoczęcie Nowego Roku w sposób, jaki uważał za najbardziej męski. Zaproponował więc zmianę lokalu na jeszcze bardziej kameralny, na co Anita chętnie przystała. Nie mogąc złapać żadnej wolnej taksówki, szli ulicami Żoliborza i tak się złożyło, że przechodzili koło osiedlowego klubu, w którym bawiła się Martyna z Czarkiem. Anita знаła ponoć właściciela tego miejsca i gdyby nie zaproszenie żony Sławka, najprawdopodobniej przyszlaby na sylwestra właśnie tutaj. Chciała zobaczyć, jak się tam bawią i zaciągnęła Huberta do środka. Weszli do dusznego wnętrza wypełnionego kłębowiskiem ciał, oparami alkoholu i dudniącą muzyką zagłuszającą myśli, po czym przepchnęli się do baru. Wzrok przyzwyczał im się do panującego mroku i Hubert zamówił dwa drinki. Stanęli przy kontuarze i ciekawie rozglądali się dookoła, wodząc oczami po mocno już pijanym towarzystwie. I wtedy Hubert zobaczył, że na długim stole ustawionym wzdłuż ściany tańczy jakaś dziewczyna. Znów doznał uczucia, że ma omamy wzrokowe. Tą dziewczyną była... Martyna! Oczom swoim nie wierzył. Do cholery! Warszawa to małe miasto! I coś mocno ścisnęło go za serce. No... ładnie się bawi, pomyślał. Patrzył jak jej giętkie ciało wygina się w takt muzyki i zauważył, że jest... bardzo pijana. Może wzięła jakieś prochy, przestraszył się. Po chwili zobaczył, jak Czarek, usiłując przekrzyczeć muzykę, coś do niej mówi. Po czym łapie jej ramię i ściąga ją siłą na ławkę, zrzucając przy tym parę pustych butelek po piwie. Anita też spojrzała w tamtą stronę i od razu rozpoznała Czarka.

– O wilku mowa... – zaczęła i przerwała w połowie zdania.

– A wilk tu... – dokończył bardzo poważnym głosem Hubert, śledząc uważnie każdy ruch szamoczącej się pary.

– Muszę powiedzieć Oli, że dosyć rozrywkową dziewczynę podłapał nasz Czarus. – Anita zaśmiała się. – Jeśli to jego dziewczyna.

– Zdaje się, że tak... – mruknął Hubert.

Oboje jak zahipnotyzowani obserwowali rozwój sytuacji przy roztańczonym stole. Hubert miał wielką ochotę podejść i... no właśnie, nie wiedział, co miałby zrobić. Dołożyć Czarkowi? Nie mógł się przecież wtrącać, to nie jego sprawa. Śledził więc tylko całe zamieszanie z daleka, widział, jak do Czarka podszedł jakiś chłopak, złapał go za ramię i uwolnił Martynę z uścisku. Wtedy lekko rozluźnił dłonie zwinięte w pięści i dopiero zauważył, że w ogóle je zacisnął. Odwrócił się, aby nie patrzeć, co stanie się dalej. Chyba ten palant jej nie uderzy... Chciał jak najszybciej wyjść z klubu i być jak najdalej od tej całej sytuacji. Anita również nie miała ochoty na spotkanie z Czarkiem, szczególnie w tych nieco kłopotliwych dla obu stron okolicznościach, oboje więc szybko wyszli na zewnątrz. Na dworze, zapalając papierosa, rzuciła:

– Faktycznie ognisty chłopak z tego Czarka.

– Wiesz... ja pracuję z tą dziewczyną, więc... trochę mnie to dotknęło. Niby nie moja sprawa, ale nie chciałbym, aby przyszła poobijana do biura. Względy estetyczne, rozumiesz. – Spojrzał na Anitę, starając się obrócić sprawę w żart. – Muszę na nią czasami patrzeć. Siedzi ze mną w tym samym pokoju. Jestem... jej szefem.

– Ach... nie wiedziałam. – Popatrzyła na niego z lekkim współczuciem.

Na twarzy Huberta malowała się autentyczna troska. Ale przecież widział, że dziewczyna była pijana, więc... poniekąd sama sobie zasłużyła, pomyślała Anita. Postanowiła nie wracać do tematu, bo nie lubiła się

wtrącać w sprawy innych ludzi. Każdy żył tak, jak chciał. Usiłowała zmienić temat i przywrócić ten lekki nastrój zmysłowości, jaki panował między nimi przez całą noc, na próżno. Apetyt Huberta na seks minął bezpowrotnie. Odwiózł Anitę do domu, wymówił się bólem głowy i kacem. Z gorącej namiętności, jakiej oczekiwała, pozostało jedno wielkie rozczarowanie. Co za pechowy początek roku, pomyślała zawiedziona. Wszystko przez jakąś głupią gąskę, która się upiła. Ponieważ nigdy nie robiła nic na siłę, pożegnała się więc z Hubertem, cmokając go zaledwie w policzek i dziękując za udany wieczór. Miała jego numer telefonu, zatem... nie można się zrażać początkowymi trudnościami.

Nowy Rok sypnął śniegiem, służby miejskie jak zwykle okazały się nieprzygotowane, co tradycyjnie już zostało zauważone przez komentatorów w wieczornych wiadomościach telewizyjnych. Przez parę pierwszych godzin miasto było anielsko białe, płatki śniegu przykryły brud i szarość, otulając Warszawę puszystym szalem. Po nocnych szaleństwach miasto spokojnie spało, ruch na ulicach był niewielki i mało kto zachwycał się bajkową aurą i górską rzeźkością powietrza.

Martyna obudziła się koło południa z potwornym bólem głowy i kacem. Wypiła połowę litrowej butelki wody mineralnej, a potem zrobiła sobie mocną kawę i wyszła z kuchni, gdzie kręciły się mama z babcią, szykując obiad. Usiadła koło okna w swoim pokoju i patrzyła przez firanki na przykryte śniegiem dachy. Nie odczuwała tej radości ze śniegu, jaka zawsze ogarnia dzieci, była raczej w ponurym nastroju. Nie wiedziała, co ma myśleć. To zachowanie Czarka... Nie zrobił nic złego, ale to jego naburmuszenie... A przecież było tak fajnie! Faktycznie, upiła się, ale czy to



naprawdę coś tak bardzo złego? I wcale się nie upiła, tylko była lekko wstawiona i dobrze się bawiła. Czy on tego nie rozróżnia?

Martyna zaczęła rozważać bardziej zasadnicze kwestie dotyczące całego jej życia. Czy chce mieć partnera życiowego, który ją ciągle strofuje? Otwarcie krytykuje, ilekroć zrobi coś głupiego. Na którego nie może liczyć! Musi z nim koniecznie porozmawiać i sprawę wyjaśnić. Po południu zadzwoniła do Sandry i Zosi, ale obie były zajęte swoimi chłopakami i nie mogły się spotkać. Kiedy Martyna je przycisnęła i zapytała, co naprawdę myślą o Czarku, jej kochane przyjaciółki wcale nie były rozmowne. Sandra wymijająco odpowiedziała, że ma potencjał, ale dla niej jest nieco zbyt apodyktyczny. Zosia określiła go jako stanowczego chłopaka, co jest generalnie uznane za cechę męską, a potem poradziła Martynie, aby nie zwracała uwagi na to, co mówią inni, tylko kierowała się sercem. Martyna chciała ją kopnąć w tyłek przez telefon. Co za rada! Nadal miała kompletny mętlik w głowie.

Późnym popołudniem przed drzwiami Martyny pojawił się Czarek z bukietem kwiatów. Przeprosił za swoje zachowanie w nocy i prosił o przebaczenie. Na swoje usprawiedliwienie nie miał nic oprócz tego, że nie lubi, jak dziewczyny się upijają. Oczywiście, okazja była specjalna, powinien więc być bardziej elastyczny w swoich poglądach. Wyjaśnił również, że nie lubi, jak wszyscy gapią się na jego dziewczynę, bo czuje się z tym nieswojo. Przeprowadzili długą rozmowę, podczas której wiele sobie wyjaśnili i wzajemnie wygarnęli, i na koniec się pogodzili. Ale tylko na pozór wszystko wróciło do stanu sprzed sylwestra. W gorące uczucia Martyny wkradło się oziębienie, zupełnie jakby przywiało tam trochę zimna z dworu.



W Nowy Rok Hubert doczłapał się na noworoczny obiad u swojej mamy spóźniony o pół godziny. Starał się nie zasnąć przy stole i wysłuchać jej opowieści o wizycie u jakiejś bardzo mądrej pani astrolog, która również stawia karty. Czuł się zmęczony i skacowany. W głowie też mu się nieźle kłębiło od natłoku emocji. Cały ostatni tydzień starał się oswoić z myślą, że Patryk jest innej orientacji seksualnej, i to okazało się zajęciem bardzo męczącym. Chciał, aby nadal się przyjaźnili, ale... teraz widział to wszystko w zupełnie innym świetle. Do tego doszła tańcząca na stole Martyna i zdradzający ją Czarek, który pokazał, że ma zadatki na damskiego boksera. W końcu Anita. Dzwoniła do niego już rano, ale zbył ją, mówiąc, że śpieszy się na rodzinny obiad. Hubert zadumał się tak solidnie nad swoimi problemami, że aż ciotka, która również była zaproszona do mamy, nachyliła się ku niemu i szeptem zapytała:

– Zakochany?

Hubert omal nie podskoczył na krześle i spojrzał na nią kompletnie zaskoczony. Czyżby ta baba umiała w myślach czytać, przestraszył się nie na żarty. Czy to ta astrolog jej powiedziała?

– Nie, nie, ciociu, zmęczony. – Uśmiechnął się, ale ciotka nadal patrzyła na niego z niedowierzaniem, mrużąc filuternie oczy.

Po obiedzie wstał od stołu najprędzej, jak mógł, i zaległ na kanapie pod pretekstem oglądania powtórek najlepszych bramek ubiegłego roku. Do końca pobytu u mamy nie dał się wciągnąć w żadne rozmowy, szczególnie na swój temat.

Późnym popołudniem wrócił do domu, wziął butelkę wina i poszedł do Patryka. Wiedział, że powinien był to zrobić już parę dni wcześniej, ale nie zdobył się. Wstrząs był zbyt wielki. Powiedział mu, że akceptuje jego inność

i to mu w zasadzie nie przeszkadza. Nadal chce być jego przyjacielem. Poznał Jerry'ego, dowiedział się, że to imię to zdrobnienie od Jarka, i mimowolnie pomyślał o Lucy. Może u nich będzie inaczej... Uśmiechnął się, widząc, jak Patryk i Jerry oboje są w siebie wpatrzeni. Dowiedział się, że Jerry zamierza zamieszkać na stałe u przyjaciela, że jest informatykiem i od następnego dnia będzie szukał pracy w Warszawie. ,

Hubert wyszedł od sąsiadów o niezbyt późnej godzinie, mając w planach porządnie się wyspać. Przejrzał wiadomości w komórce i zobaczył, że napisała do niego Lucy. Co też ona od niego chciała? Wbrew sobie odczytał SMS-a. Były to tylko życzenia noworoczne, które uznał za mało szczere, odpisał więc lakoniczne „Dziękuję”, nie załączając nic więcej. Nie było żadnej wiadomości od Anity, odetchnął więc z ulgą, wyłączył telefon, zgasił światło i położył się.

Długo nie mógł usnąć. Przekręcał się z boku na bok, mając nadzieję, że jak zwykle odległy szum miasta podziała na niego jak kołysanka, ale powietrze co rusz przeszywał łoskot buksujących kół samochodów, których właściciele próbowali wyjechać z przysypanych śniegiem parkingów, jakby ich mało obchodziło, że porządni ludzie muszą odespać sylwestrową zabawę. W końcu zasnął, ale po paru godzinach się obudził. Spojrzał na zegarek, było zaledwie po północy. Zaklął siarczyście. Czyżby upodabniał się do matki i ciotki? Dziś słyszał jednym uchem, jak całe popołudnie opowiadały sobie o problemach ze spaniem. To byłoby żałosne. Usiadł w fotelu, wyjął paczkę papierosów, których od dzisiaj miał nie palić, i otworzył na oścież okno. Może świeże powietrze i dopływ tlenu dobrze mu zrobią? Patrzył na majaczące w oddali, rozjaśnione łuną miejskich latarni

niebo. I wtedy przyszedł mu do głowy ten diaboliczny, szatański pomysł, którego powinien się wstydić.

Rozważył wszystkie możliwości. Istniało pewne ryzyko, że spisek się wyda, ale przecież zawsze może się wyprzeć, że to nie on. A jeśli Anita kłamała w sprawie Czarka? Ale po co miałyby to robić? Zwłaszcza, że to nie ona się z nim łądaczyła, tylko jej koleżanka. Uśmiechnął się do siebie; tak czy siak, narobi niezłego zamieszania. Zatarł ręce, które zdążyły mu lekko zmarznąć, zgasił papierosa i wrócił do łóżka. Tym razem zasnął bez problemów. Przecież chce tylko wyjawic prawdę, uspokoił czające się wyrzuty sumienia i już spał jak suseł.

## *Rozdział 19*

### *List miłosny, który zakończył romans*

Już pierwszego dnia po powrocie do pracy Anita znalazła odpowiednią chwilę, aby powiedzieć swojemu biurowemu koledze, Czarkowi, że widziała go w sylwestra w klubie na Żoliborzu.

– Nie podeszliśmy do was, bo wyraźnie byliście zajęci sobą – mówiła Anita słodko–jadowitym głosem, nie mając zamiaru zdradzić, że trafili wtedy na moment, kiedy Czarek dosyć energicznie zdejmował ze stołu swoją pijaną dziewczynę, która wcale nie chciała stamtąd zejść. Uznała, że wypominanie takich okoliczności to przejaw złego wychowania i smaku. A niech się chłopak gubi w domysłach.

– O, naprawdę? – Czarek nieco się speszył, przeczuwając, że Anita prawdopodobnie widziała go w niezbyt fortunnych okolicznościach.

– Nigdy nie zgadniesz, z kim tam byłam – powiedziała tajemniczo.

– Skoro tak mówisz, to jest to prawdopodobnie ktoś, kogo znam.

– A tak! Przyszłam z Hubertem, tym z naszego liceum! Jest teraz szefem twojej ukochanej Martynki. Świat jest mały, co nie? – Spojrzała na niego pytająco i dodała niewinnie: – Czy dobrze zapamiętałam imię... twojej ukochanej?

– Tak, faktycznie. Byłam tam z dziewczyną i ona ma na imię Martyna – powiedział z naciskiem.

– Chyba się dobraliście z tą Martyną, bo po jej zachowaniu sądząc, ma równie ognisty temperament jak ty. I lubi taniec... podobnie jak ty... – Anita

rzuciła mu zalotne spojrzenie, o którym wiedział doskonale, że jest udawane.

Zastanawiał się, czy Anita mówi mu to wszystko ot tak, po prostu, czy też jest w tym jakiś głębszy podtekst. A może chce go szantażować? Pewnie ta głupia Olka naopowiadała jej Bóg wie czego. Pamiętał, jak na wykładzie w Krynicy lekko się z niego obie podśmiechiwały. Kurde, zaklął w duchu. Dał się zaciągnąć do łóżka tej Olce jak jakiś tępy szczył. W zasadzie go zgwałciła. I Anita na pewno się o tym dowiedziała. A może ma pretensje, że wybrał Olkę zamiast niej? Przystawiała się do niego przez cały dzień, aż było mu głupio. Zazdrość? Urażona duma? Ambicja? Czy chce mu dać lekcję moralności? O co jej chodzi? Co ona będzie mu tu o moralności, pomyślał rozdrażniony. Przecież puszcza się z każdym, kto jej się tylko nawinie. Zdaje się, że nie ma pojęcia, że Hubert jest gejem. No, to zaraz jej to uświadomi. Zgryźliwie się uśmiechnął i powiedział:

– Nie wiedziałem, że tak cię przycisnęło, że sypiasz również z gejami. Ale Hubert jest chyba biseksualny. Przedtem miał jakąś dziewczynę.

– Co???

Anitę kompletnie zamurowało. Aż otwarła usta ze zdumienia. Stała nieruchomo z uniesionymi brwiami nie mogąc wykrztusić słowa. Hubert? Gejem? Co on mówi? Zwariował?

– A co, źle było? – zapytał Czarek z lekko drwiącym uśmiechem.

– Nie, w ogóle nic nie było... – odpowiedziała w pełnym szczeroci osłupieniu. – I teraz wiem dlaczego... Kurde, musiałam *wyjsć* na kompletną idiotkę. Mógł mi powiedzieć. .. Ty też mi mogłeś powiedzieć!

– Skąd mogłem wiedzieć, że interesuje cię Hubert. Ostatnio wydawało mi się, że jest to ktoś zupełnie inny... Ale... – spojrzał na jej nadal kwadratowe ze zdziwienia oczy – mnie też zatkało, jak się dowiedziałem.

Nowy rok nie przyniósł szczególnych zmian w życiu Metaleksu. Hubert rozpoczął pierwszy dzień w pracy od lekkiego spóźnienia, czemu nikt się nie dziwił. Martyna zapytała go przez grzeczność, jak spędził sylwestra, i otrzymała dosyć zdawkową odpowiedź, że bawił się w gronie przyjaciół. Kiedy zainteresowała się, czy był z nim Patryk, obojętnie odpowiedział, że nie, bo przyjechał do niego kuzyn. Wyszła oczywisty wniosek, że Hubert zmienił partnera; to dlatego widziała go w drugi dzień świąt na ulicy z jakimś innym facetem. Postanowiła nie pytać o nic więcej, bo w żadnym wypadku nie chciała, aby uznał ją za wścibską, i postanowiła cierpliwie poczekać, aż sam zdecyduje się na *coming out*. Zagadnięta przez Huberta, jak ona się bawiła, odpowiedziała, że szampańsko, w małym klubie na Żoliborzu. Wytańczyła się tak, że aż nogi ją bolały, i procentów też sobie nie żałowała, było więc wspaniale. Hubert na to zrobił odpowiednią do sytuacji minę i wydusił z siebie: „Ach tak, nie wątpię. Teraz masz z kim tańczyć. Po prostu pozazdrościć”. Po czym rozmawiali już tylko o sprawach zawodowych.

Wydawało się, że Huberta całkowicie pochłonęła analiza giełdowych wykresów cen miedzi, cynku i cyny, bo nie odzywał się prawie wcale, siedząc z nosem w komputerze lub jakichś wydrukach. Martyna zauważyła jednak, że co jakiś czas przygląda się jej ukradkiem, zamiast gapić się w chmury, do czego już zdążyła się przyzwyczaić. Zupełnie tego nie rozumiała i aż poszła do toalety, by przejrzeć się w lusterku, czy czasami nie ma rozmazanego makijażu albo podobnego nieszczęścia na twarzy. Wyskoczyła

jej jedna krosta na policzku, ale z tego akurat powodu Hubert by się jej nie przyglądał. No bo niby dlaczego? Raczej powinien udawać, że nie zauważa podobnego brzydactwa, i nie gapić się na nią z takiego powodu. Podobno geje to esteci. Pedancik się znalazł, pomyślała kąśliwie i wróciła do pokoju. Wyszła z pracy wcześniej, zostawiając Huberta z wzrokiem utkwionym w komputerze. Ponieważ takie dni już się zdarzały, nie zwróciła więc uwagi na wysoki stopień koncentracji myśli Huberta. Pomyślała jedynie, że jej szef pracowicie zaczyna nowy rok. I nie myliła się.

Służby miejskie miały ręce pełne roboty, walcząc ze śniegiem i mrozem. Piaskarki jeździły non stop, część samochodów przysypana śniegiem spokojnie czekała na parkingach na zmianę pogody, autobusy pękały w szwach, a przystanki były wypełnione przytupującymi dla rozgrzewki pasażerami. Po wyjściu z biura Martyna postanowiła przejść się trochę na świeżym powietrzu i pomyśleć. Spacerzy zawsze dobrze jej robiły na życiowe utrapienia. Brnęła w szaroburej brei, królującej na chodnikach, patrzyła na przybrudzony już miejski śnieg i intensywnie zastanawiała się nad swoim życiem. Tyle marzeń wiązała z nowym rokiem, a było jej dziwnie markotno. Powodem był Czarek. Wierzyła, że naprawdę ją kocha, ale zaczęła mieć pewne wątpliwości co do własnych uczuć. Ta stuprocentowa pewność, którą miała w sobie jeszcze tydzień temu, gdzieś wyparowała. Czy to był chłopak dla niej? Czy naprawdę chciała się z nim wiązać? Nie proponował jej wprawdzie ślubu, ale... jeśli sytuacja dalej się będzie rozwijać w tym kierunku, to takiego pytania należało się spodziewać. Tyle pytań cisnęło się jej do głowy... i wątpliwości... Musiała sobie wszystko poukładać. Czy kochała Czarka? A może była z nim, bo nie chciała być już dłużej sama? Z wygody? Wszyscy naokoło poznajdowali



sobie pary, Sandra miała Roberta, Zosia była zakochana w Grześku, nawet Hubert miał jakiegoś faceta. A ona spędzi życie samotnie z babcią, mamą i panem Rysiem z czwartego piętra. Świetlana przyszłość dla starej panny... Do towarzystwa kupi sobie kota. E... lepiej kotkę, większe szanse na wzajemne zrozumienie. W Metaleksie pracowało sporo samotnych kobiet. Dołączy do ich grona, nic wielkiego się nie stanie. A jednak ogarnął ją smutek i żal, że Czarek nie jest taki, jak by chciała.

Po południu zadzwoniła do niej Zosia, bo jej łysy Anglik wreszcie zdobył się na kupno biletów i przylatywał za tydzień do Polski. Bardzo chciał zobaczyć śnieg, zacierał więc ręce z radości, że trafi mu się okazja. Wysłał jej zdjęcie w futrzanej czapce z nausznikami, którą kupił właśnie na styczniowej przecenie i zamierzał ją włożyć na wyjazd do Polski. Nowy rok rozpoczął się więc dla Zosi wielkim dylematem, bo łysy Anglik nie został poinformowany o Grześku, jej obecnym chłopaku. Martyna pocieszyła ją, że przecież Anglik przyjeżdża nie tylko po to, aby zobaczyć Zosię, ale również śnieg i Warszawę, zatem wizyta nie będzie zupełnie stracona. Poradziła przyjaciółce, aby kupiła przewodnik po stolicy i dowiedziała się czegoś więcej o swoim rodzinnym mieście. Poza tym dobrze by było, aby śnieg nie stopniał, ale na to, niestety, nie miały wpływu i mogły się jedynie modlić. Potem rozmowa zeszła na Czarka. Koleżanka pocieszyła ją, że huśtawka uczuć na początku związku to nic nadzwyczajnego. I żeby Martyna się nie przejmowała, niech spokojnie przeczeka.

Czarek to wartościowy chłopak, szkoda więc byłoby go stracić.

Tego wieczoru Martyna zadzwoniła również do Sandry, która też starała się ją pocieszyć, tłumacząc, że miłość przypomina wykres sinusoidy. Uczucie ma swoje fazy, raz odchodzi, raz przychodzi, raz na górze, raz na

dole i tak ciągle. Radziła podejść do tego ze spokojem. A tą sprzeczką w sylwestra Martyna nie powinna się przejmować, bo w końcu była pijana. I jeśli serce jej mówi, że Czarek to właśnie „ten”, to na pewno wszystko się ułoży. Potem obie zdecydowały, że chętnie poznają łysego Anglika i pomogą Zosi oprowadzić go po Warszawie. Tak uspokojona Martyna pobiegła na randkę z Czarkiem i za sprawą grzanego wina i ciepłych, odpowiednio dobranych słów ukochanego wydawało się jej, że znów zbliżyli się do siebie i było tak, jak na początku. Widać nie ma czegoś takiego jak idealny facet, pomyślała Martyna. A Czarek przynajmniej ją kocha i chce jej dobra, więc... nie ma się co przejmować drobiazgami. A potem przypomniała sobie powiedzonko babci, że każdy w życiu ma swój krzyż do niesienia. Pocieszyła się, że ten, który bierze na plecy, będąc z Czarkiem, nie powinien być zbyt ciężki, trzeba więc patrzeć w przyszłość optymistycznie. Może lepiej taki niż żaden. Lekkość bytu również może okazać się nieznośna.

Prawdopodobnie Martyna spotykałaby się z Czarkiem przez następne miesiące, a może nawet wyszłaby za niego za mąż i spędziła u jego boku resztę życia, gdyby nie pewien e-mail, który dostała parę dni po Nowym Roku. Przez zwykłą pomyłkę. Kliknięcie myszką na zły adres.

Było już po szesnastej, zimowe słońce chyliło się ku zachodowi, złocąc ośnieżone dachy domów. Hubert znów był pochłonięty jakimiś wykresami i nie zwracał na Martynę uwagi. Zauważyła, że ostatnio bardzo zaczął się przejmować pracą, ale nie widziała w tym nic dziwnego, ze spokojem więc zaczęła zbierać z biurka porozkładane papiery i szykować się do wyjścia. Właśnie wtedy zobaczyła na ekranie swojego komputera migającą ikonkę, sygnał, że otrzymała nową wiadomość. Postanowiła przed

wyjściem do domu sprawdzić, czy to nie było coś ważnego. E-mail przyszedł od Czarka, ale nie miał tytułu. Czyżby jej ukochany znów przysłał jej jeden z tych głupawych dowcipów krążących po Internecie? Bardzo się zdziwiła, kiedy zobaczyła dosyć długi tekst. Zaczęła czytać:

„Cześć!

Wiem, że obiecaliśmy sobie, że nie będziemy do siebie pisać żadnych listów i że to miał być tylko jeden raz, ale nie mogę o Tobie zapomnieć. Olu, ta noc w Krynicy była dla mnie jak przebudzenie. Chcę Ci podziękować. Jeszcze nigdy z nikim czegoś takiego nie przeżyłem. Nie mogę zapomnieć dotyku Twoich rąk, zapachu Twojego gorącego ciała i tych chwil rozkoszy, jakich razem doświadczyliśmy. Nie miałem pojęcia, że moje ciało jest zdolne do tak głębokiego odczuwania. Teraz, kiedy piszę te słowa, nie będę Ci mówił, co się ze mną dzieje... domyśl się sama. Pragnę Cię! Muszę się z Tobą zobaczyć. Choć raz! Pozwól mi! Błagam!

Jak Ci mówiłem, mam dziewczynę i myślałem, że ją kocham. Ale po tym, jak poznałem Ciebie, zdałem sobie sprawę, że to nieprawda. Daj mi znak, a zerwę z nią od razu. Bo ja pragnę tylko Ciebie! Myślę tylko o Tobie! Jestem zakochany jak szczeniak! Umieram z miłości.

Proszę, spotkaj się ze mną. Nie chcę zaczepiać Cię na korytarzu i narażać nas na jakieś niezdrowe plotki.

Założyłem nową skrzynkę e-mailową, której adres znasz teraz tylko Ty. Będzie tylko naszą skrzynką. Olu, błagam! Kocham Cię! Daj mi szansę! C."

To był... list miłosny. Ale nie do niej! Przeczytała jeszcze raz i jeszcze raz. Czarek musiał się pomylić... i zamiast wysłać go do tajemniczej Oli... wysłał na jej adres. Ale łajdak. .. Poczuła, jak zasycha jej w gardle, a serce

zaczyna walić niczym młot pneumatyczny. Boże... jak to możliwe? Czyżby Czarek naprawdę przespał się z jakąś Olą? Zdradził ją? Ale dlaczego? Przecież ... Nie, to nie może być prawda. Nie może! Nie może! Nie mógł być takim dwulicowcem! To do niego niepodobne!

Nawet nie wiedziała, kiedy do oczu napłynęły jej łzy, a całe ciało zaczęło nerwowo drgać. Zaciśnęła mocno powieki, chcąc powstrzymać płacz, ale poczuła tylko łaskoczące krople spływające po policzkach aż po szyję. Rozszlochała się na całego, bez krzty wstydu. Wcale tego nie chciała, ale po prostu nie mogła się opanować. Szybko złapała swoją torebkę, ale nie miała tam nawet paczki głupich chusteczek do nosa. Podniosła lekko głowę i zobaczyła wpatrzone w nią przestraszone oczy Huberta.

– O Boże! Martyna! Co się stało?

– Nic, nic – wykrztusiła pomiędzy łkaniami. – Nic takiego. Masz może chustki do nosa? Mój chłopak przespał się z koleżanką, kiedy był na szkoleniu w Krynicy. To przecież nic takiego, wiesz. Zdarza się. Muszę się uspokoić. Tak mnie wzięło. Nie wiem dlaczego. Zaraz mi przejdzie.

I znów zaniósł się płaczem. Hubert wyjął z kieszeni kraciatą męską chustkę i podał jej.

– Mam tylko taką. Niestety, nie noszę przy sobie jednorazowych.

Rozłożyła ją i mocno wysmarkała nos. A potem usiłowała otrzeć łzy i jakoś wziąć się w garść.

– Przepraszam, ale... nie byłam na to przygotowana – chlipała i znów zaczęła ronić łzy. – Po prostu się tego nie spodziewałam. Tak dobrze patrzyło mu z oczu. Nadal w to nie wierzę.

–Już dobrze, już dobrze – powtarzał Hubert i podszedł do niej. Delikatnie objął jej trzęsące się ramiona.

W tym momencie do pokoju weszła pani Gosia. Szósty zmysł nakazał jej otworzyć drzwi dokładnie w tej chwili. Scena, jaką zobaczyła, lekko zbiła ją z tropu. Chrząknęła.

– To ja nie będę przeszkadzać. Ale co się właściwie stało? Ktoś umarł czy co?

– Pani Gosiu. Sprawa sercowa. Jej chłopak... z jakąś inną... rozumie pani.

Pani Gosia, kobieta po dwóch rozwodach, rozumiała bardzo dobrze. Nawet lepiej niż Hubert mógł sobie to wyobrazić. Choć on sam przeżył przecież podobną historię.

– Biedna dziewczyna. Za pierwszym razem to zawsze jest szok... Bardzo jej współczuję. Musi jakoś to przeżyć. Biedne dziecko... Dobrze, że przed ślubem, jeśli to jakieś pocieszenie.

Hubert zaproponował, że odwiezie Martynę do domu. Zgodziła się potulnie jak baranek, czmychnęła do łazienki, aby umyć twarz, i znów wybuchnęła płaczem. Zdrada zawsze boli, tak jakby ktoś pchnął człowieka nożem w samo serce.

Kiedy siedziała w samochodzie razem z Hubertem, nadal pociągając nosem i ocierając łzy, stwierdziła, że absolutnie nie może się pokazać w domu w takim stanie. Zatrzymali się więc w jakiejś kawiarni, gdzie Martyna jak swojej najlepszej koleżance od serca opowiedziała Hubertowi całą historię związku z Czarkiem, zupełnie zapominając, że mówi do swojego szefa. Ale w końcu, czy geje nie są najlepszymi przyjaciółkami? W sposób naturalny przeszła z nim na „ty” i wyplakiwała mu się w rękaw, że tak bardzo wierzyła, że Czarek ją kocha, i jak on jej mógł zrobić takie świństwo. Przecież seks między nimi był całkiem udany i w ogóle. Hubert niewiele się

odzywał, a tylko potakiwał posepnie głową. W duszy przeżywał katorgi. Część osób siedzących w kawiarni rzucała mu złowrogie spojrzenia, sądząc, że to on jest powodem rozpaczy tej młodej, sympatycznej dziewczyny. Czuł się nieco niezręcznie, ale czego się nie robi w imię przyjaźni. Nie mówiąc o miłości. W końcu Martyna wypłakała cały zapas łez, wyzaliła się i uspokoiła na tyle, że uznała, że może wrócić do domu bez narażania mamy i babci na stres większy, niż powinna.

Po powrocie dowiedziała się od zdenerwowanej pani Renaty, że Czarek ciągle wydzwaniał i gdzie ona się włóczyła. Mogła przynajmniej zadzwonić. Przelykając łzy, Martyna wykrztusiła, że z Czarkiem definitywny koniec, że ją zdradził i że nie będzie więcej bywał u nich w domu. A jak się pojawi, to nie wpuścić za próg. Mamie serce się krajało na widok bólu, jakiego doświadcza jej rodzona córka, a zasepiona babcia zaraz zaczęła ją pocieszać, że lepiej teraz niż po ślubie. W końcu przytomnie zapytała wnuczkę, jak się o tym dowiedziała. Gdy Martyna jej opowiedziała, wzruszyła ramionami:

– Zawsze wiedziałam, że technika w końcu nas zgubi.

Wieczorem nieświadom niczego Czarek, zaniepokojony nieodbieraniem przez Martynę telefonów, pojawił się przed drzwiami jej mieszkania. Zadzwonił, otworzyła mu pani Renata, ale zaraz ze swojego pokoju wyszła Martyna z oczami czerwonymi od płaczu. Myślał, że stało się coś naprawdę poważnego. Nawet do głowy mu nie przyszło, że to on jest powodem jej łez. Martyna na tyle odzyskała już panowanie nad swoimi nerwami, że była zdolna do zimnego, wyrachowanego myślenia i działania. Lodowatym głosem oświadczyła, że muszą porozmawiać na dworze. Kiedy



byli już Sami, poza zasięgiem uszu mamy i babci, i ewentualnych podsłuchujących sąsiadów, wypaliła prosto z mostu:

– Spałeś z Olą?

Spojrzał na nią zaskoczony, bo zupełnie nie spodziewał się ataku z tej strony. Wreszcie wyjąkał:

– Ale co ci przyszło do głowy? Z jaką Olą?

– Z Olą z twojej pracy, tą, która była z tobą w Krynicy na szkoleniu.

– Martynko... ale to jakieś brednie... kochanie...

– Czarek, nie kłam, bo staniesz się zupełnym zerem w moich oczach. I tak wiem, że mnie zdradziłeś. Na szkoleniu w Krynicy. Z Olą. Po tygodniu sypiania ze mną. Myślałam, że mnie kochasz i że coś będzie z naszego związku. Jesteś po prostu gorszy niż padlina.

– Słuchaj, to jakieś totalne nieporozumienie. Co ci przyszło do głowy?

– Proszę, powiedz mi: tak czy nie.

– Słuchaj, jeśli to ten twój pieprzony pedzio coś ci nagadał, to...

– Nie, wyobraź sobie, że to nie mój pieprzony pedzio. No więc mów: spałeś z nią czy nie?

– Tak... ale posłuchaj, to był jeden, jedyny raz i więcej się nie zdarzy. Uwiodła mnie. Spła i zaciągnęła do łóżka. Prawie zgwałciła. Przysięgam. Nie wiesz, jakie są teraz dziewczyny. Ale ja kocham tylko ciebie, uwierz mi.

Jego wygnanie nie zrobiło na Martynie odpowiedniego wrażenia, bo spojrzała na niego z politowaniem.

– A ty, biedaczysko, nie miałeś siły, aby się bronić? Muskuły odmówiły ci posłuszeństwa. Tak zwiotczały pod wpływem dotyku gorących łapek ponętnej koleżanki. Wiesz... żaloszny jesteś... I jeszcze ten list... bardzo poetycki jak na ciebie... Nie przypuszczałam, że umiesz się tak wyrażać...



„ta noc była jak przebudzenie"... Wstrętne, po prostu wstrętne... – Spojrzała na niego z pogardą.

– Co?! O czym ty mówisz?!

– Ty kretynie, zamiast do Oli wysłałeś go do mnie! Jak mogłeś mi to zrobić?!

– Jaki list? – Na twarzy Czarka malowało się totalne osłupienie, jakby ktoś mu wmawiał, że urodził się na Marsie. – Martyna! To jakieś kolosalne nieporozumienie! Uwierz mi! Ktoś mi podłożył świnie! Nie widzisz tego!? Ktoś życzliwy chce nas rozdzielić! Boże, czuję się jak w filmie.

– Czarek! Proszę, przestań. Ja czuję się dokładnie odwrotnie, jakby film właśnie się skończył. Sorry, ale z nami koniec – powiedziała zdecydowanym tonem. – Ja nie chcę takiego życia. Zrobiłeś to raz, zrobisz i drugi. I trzeci też. Za każdym razem, gdy gdzieś pojedziesz w delegację, to nie będziesz mógł się oprzeć. Ona mnie prawie zgwałciła – przedrzeźniała go. – Przepraszam, ale to nie dla mnie. Byłam już na delegacji i widziałam faceta spuszczonego ze smyczy. Żałosne.

– Martyna! – Złapał ją za rękę.

– Zostaw mnie!

Szarpnęła ramieniem, jakby chciała strzepnąć podłe robactwo. Uwolniła się z uścisku Czarka i wbiegła do swojej klatki. Naprawdę miała go dosyć.

Czarek jak zbity pies krążył po ulicach jeszcze dobre parę godzin, zachodząc w głowę, kto mógł okazać się na tyle życzliwy, aby donieść Martynie o jego zdradzie. Ola? Raczej nie. Miała przecież męża. Wypadło więc na Anitę. Pewnie powiedziała Hubertowi, a on wygadał Martynie. Ale co z tym listem? jakaś paranoja. Przecież on nie napisał żadnego listu! A

jeśli ten list to sprawka Anity, to dlaczego miałyby to zrobić? Różne rzeczy o niej wygadywano, ale nikt nie mówił, że była podła. A jednak... Suka jedna... na pewno powiedziała Hubertowi, a on doniósł Martynie. Tylko po co ten pedzio miałby się wtrącać? Pieprzony pies ogrodnika, co nagle moralny się zrobił! Chyba że czuje się taki odpowiedzialny za swoją współpracownicę. To całe malowanie pokoju. O co mu chodziło? Chce dobrymi uczynkami zamydlić komuś oczy? Albo to Anita, która jest w zмовie z Hubertem. Może poczuła się urażona tą uwagą, że leci już nawet na gejów. Cholera! Użył paru epitetów dosadnie określających to, co myśli o Anicie i Hubercie. Był wściekły. Zresztą, oni w gruncie rzeczy mało go obchodzili. Nawet jeśli dowiedzie, że maczali palce w ujawnieniu jego zdrady, to i tak nic to nie da. Cholerna Ola. Skusiła go jak sam diabeł. Przespał się z nią i to był fakt. Musi jakoś przekonać Martynę, że to była chwila słabości, że Ola w ogóle się dla niego nie liczy, i prosić ją na kolanach o wybaczenie. Ale na to właśnie się nie zanosilo. Zdaje się, że ona nie z tych, co mają krótką pamięć. Miała taki lodowaty głos, że aż go ciarki przeszły. Kurde, faktycznie jest żaloszny. Przegrał sprawę. To był koniec... Cholera jasna! Są inne dziewczyny na świecie, stwierdził nagle. Kopnął pryzmę śniegu, aż noga wpadła mu w nią po kolano. A niech to, jeszcze raz zaklął. Co za pieprzony świat!

## *Rozdział 20*

### *Na depresję dobra przyjaźń*

Do pani Niny przychodzili różni ludzie. Młodzi i starzy. Kobiety i mężczyźni. Stojący na rozdrożu i zagubieni w meandrach życia. Jedni z zamglonym wzrokiem, widzący tylko własne obsesyjne myśli, inni spojrzenie mieli czyste jak źródłana woda. Wszyscy szukali odpowiedzi na dręczące ich pytania, łaknęli zrozumienia, pocieszenia i nadziei. Jedni zdesperowani, chłonęli jej słowa niczym kojący balsam na ich dusze; inni sceptyczni, z dystansem i niewiarą wsłuchiwali się w każde wypowiedziane zdanie i analizowali je. Jedni wchodzili niepewnie, lękliwie rozglądali się dookoła, inni śmiało siadali przy stoliku. Zanim przeszła do tasowania kart, pani Nina wyciszała się, odsuwała własne problemy i uczucia na bok. Była tylko medium, pośrednikiem, ręką tasującą. Nie liczyła się. Odkrywała karty i czytała z nich przyszłość, teraźniejszość bądź przeszłość. Nie mogła się pomylić. Mówiła, pytała, patrzyła i obserwowała. Szukała porozumienia, strzępów informacji, wątków, nawet cieniutkich nitczek, które trzeba schwytać, aby dotrzeć do wnętrza człowieka. Łącznika między pytającą osobą, nią a kartami. Bez tego zrozumienia nikt nie otworzy duszy, a wtedy ani tarot, ani żadna inna wróżba nie ma szans. Bo jest jak pukanie w szczelnie zamknięte drzwi. Dopóki nie zostaną otwarte, wiadomość nie dotrze.

Czy mogła im pomóc? Tym, którzy naprawdę potrzebowali pomocy? Wierzyła, że tak. Kim była? Wprawnym psychologiem? Księdzem? Przyjaciółką? Każdym po trochu. Kimś, kto kocha i rozumie ludzi, i potrafi

tchnąć w nich nadzieję i wiarę. Bo czyż dusza ludzka tego nie potrzebuje najbardziej?

Los i przeznaczenie. Poważne słowa. Cóż to jest? Od przeznaczenia nie uciekniemy, jest nieuchronne, narzucone odgórnie. Ale mamy wpływ na swój los. Możemy podejmować decyzje i sterować własnym życiem, niczym żeglarz okrętem. Omijać mielizny, wystające skały i zdradliwe wody. Tarot może ostrzec, ale nie zapobiec, może naprowadzić i wskazać, ale nie wybrać drogę.

Dziś przyszła do niej Martyna. Pani Nina postawiła karty, ale po minie dziewczyny widziała, że nie bardzo pomogła swojej klientce. Lecz tak to z kartami właśnie jest. Pokazują to, czego ludzie nie widzą, a czasami nie chcą zobaczyć.

Tygodnie, które nastąpiły po rozstaniu z Czarkiem były dla Martyny zupełnie nijakie. Dni ciągnęły się jak bezpłciowe godzinowe tasiemce; machinalnie wstawała, jadła, szła do pracy. Czuła się kompletnie zdołowana, ledwo jej się chciało żyć. Po wyjściu z biura, zamiast wracać do domu, włóczyła się po styczniowych wyprzedazach, bezmyślnie oglądając ubrania, których i tak nie zamierzała kupić. Zazwyczaj przymierzanie nowych ciuchów wprawiało ją w dobry nastrój, ale teraz szybko ją nużyło. Nic jej się nie podobało i bardziej chciała zapełnić wolny czas, niż rzeczywiście upolować jakąś tanią szmatę. Wracała do domu dopiero wtedy, kiedy była już tak głodna, że żołądek przyklejał się jej do krzyża, a obolałe nogi odmawiały posłuszeństwa. Pełne współczucia spojrzenia mamy i babci denerwowały ją i za wszelką cenę starała się ich unikać. Od czasu do czasu z irytacją w głosie mówiła: „Nie patrzcie tak na mnie, przecież nikt nie umarł”. Nie chciała słuchać dobrych rad ani pocieszeń. Jak najszybciej

zamykała się w swoim pokoju z książką i iPodem, nie wdając się w dłuższe rozmowy, jej ponury nastrój zawisł niczym nietoperz w mieszkaniu na trzecim piętrze i rzucał cień na wszystko inne.

Zosia i Sandra, jako jej serdeczne przyjaciółki, usiłowały pocieszyć Martynę, ale efekt był marny. Nagle znalazły tyle negatywnych cech Czarka, że patrzyła na nie z niedowierzaniem. Podobno od początku im się nie podobał; był zbyt zasadniczy, apodyktyczny i zarozumiały. Całkowicie nie dla niej. Mogły jej to powiedzieć wcześniej, a nie dopiero teraz, pomyślała zbulwersowana, ale przemilczała swoje spostrzeżenie. Cierpka lekcja przyjaźni została przyjęta, młodzieńcze złudzenia odchodziły w dal jako naiwne i... miłe, ale nieprawdziwe. Nie dała się zaprosić koleżankom do żadnego klubu i z ulgą przyjęła wiadomość, że Anglik Zosi przesunął przyjazd na wiosnę, bo coś bardzo ważnego wypadło mu w pracy. W ogóle nie miała ochoty na towarzystwo; czuła, że odstaje, i nie chciała psuć swoim podłym humorem dobrej zabawy, szczególnie że obie, Sandra i Zosia, były zakochane. Wiedziała, że potrzebuje czasu, aby pewne uczucia wypaliły się w niej do końca, wygasły jak żar w ognisku. Tu nic nie można było zrobić na skróty. Rany musiały się zagoić, ból ustąpić, a wraz z nim cierpienie duszy. Dopiero wtedy będzie mogła odzyskać dawną werwę i wesołość. Musiała przejść przez ten okres jak pacjent po ciężkiej chorobie wymagający rekonwalescencji.

Zmiana nastroju Martyny nie mogła zostać niezauważona również w biurze. Kiedyś żywa i pogodna, uśmiechająca się do każdego, teraz snuła się po korytarzach z bardzo poważną miną, jakby szła w kondukcje pogrzebowym. Dowcipy rzucane przez Darka lub Pawła bardziej ją drażniły, niż śmieszyły, i wydawało się, że cała radość życia, która jeszcze tak

niedawno emanowała z jej osoby, wsiąkła jak woda w piasek na pustyni. Nie pozostało ani kropelki.

Któregoś ranka przyszła do pracy i zdziwiła się, widząc Huberta siedzącego za biurkiem. Czyżby się spóźniła? Machinalnie spojrzała na zegarek, ale była dopiero za pięć dziewiąta. Rzuciła mu pytające spojrzenie i usłyszała, że on też czasami przychodzi przed czasem i nie powinna widzieć w tym nic dziwnego. Wtedy zerknęła na swoje biurko i zobaczyła tam... talerzyk z ciastkiem i mały wazonik z różą, a przy nim karteczkę. Przeczytała: „Proszę, uśmiechnij się dzisiaj chociaż raz”.

Popatrzyła na Huberta i... uśmiechnęła się. Coś ścisnęło ją w sercu po raz nie wiadomo który i żal się jej zrobiło, że taki facet jest gejem. Wyszepiała z wdzięcznością:

– Dziękuję. Ale po co to...

– Uśmiechnij się – przypomniał i przyłożył palce do kącików ust, unosząc je do góry.

Martyna posłała mu blady uśmiech, a Hubert go odwzajemnił.

– Zrobisz to jeszcze raz, jak zjesz ciastko? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Nie chcę, aby moja pupa przypominała dwie dorodne dynie – odparła z powagą.

Westchnął.

– Od jednego ciastka? Niemożliwe. Zresztą... jeszcze to pamiętasz? No więc powiem ci prawdę: masz bardzo zgrabny tyłek, który niejednemu się podoba. Uwierz mi. To komplement. A poza tym, naprawdę nie przypominam sobie, żebym coś takiego kiedykolwiek powiedział, więc

bardzo cię proszę, abyś mi tego nie wypominała. A co do dyni, to cię zaskoczę, ale lubię. I to na różne sposoby. W occie, w zupie, w czym chcesz.

Tego popołudnia Martyna poszła do wróżki. Bardzo się zdziwiła, kiedy okazała się nią pani Kowalska, żona dyrektora Metaleksu. Ona tarocistką? To chyba jakieś nieporozumienie. Jak taka inteligentna kobieta może zajmować się czymś takim? To jednak tylko wzmogło jej ciekawość, z ochotą więc usiadła przy stole nakrytym ciemnym zielonym sukniem. Słup ostrego halogenowego światła padał na blat, reszta pokoju ginęła w mroku. Martyna zobaczyła wpatrzone w nią bardzo jasne oczy pani Niny, przed którymi wiedziała, że nie ucieknie. Mimowolnie rozejrzała się na boki i zobaczyła na ścianach obrazy w złoconych ramach, z jakimiś postaciami z poprzedniej epoki. Poczowała się lekko nieswojo. Co tu się będzie działo? Zahipnotyzuje ją czy co? Nagle zdała sobie sprawę, że coś ociera się o jej nogi. Już miała wydać w sobie piskliwy okrzyk przerażenia, gdy usłyszała miauknięcie.

– To tylko mój kot – wyjaśniła zaraz pani Nina. – Chyba cię polubił. Nie do wszystkich się łąsi. A te portrety to dzieła pędzla mojej babci. Była malarką. Malowała wyłącznie wybrane osoby. Mówiła, że tylko te, w których widzi duszę... To ona zaszczepiła mi zainteresowanie kartami, wróżbami i astrologią. Dużo czytała, studiowała stare filozofie i religie. W rodzinie chodziły plotki, że była córką Cygana. Tego nie udało się sprawdzić, ale z pewnością miała nadzwyczajną intuicję. Zawsze dokładnie wiedziała, gdy ktoś w rodzinie zmarł albo wydarzyło się jakieś nieszczęście. Przepowiedziała datę moich urodzin, – Pani Nina uśmiechnęła się. – A teraz powiedz, czy coś cię gnębi, czy jest coś, co szczególnie chciałabyś wiedzieć?



Rozmowa była miła, pani Nina słuchała z uwagą, od czasu do czasu zadała jakieś pytanie, a potem rozłożyła karty.

Martyna wyszła od niej po godzinie. Miała mocno mieszane uczucia. Czasami wydawało jej się, że kobieta czyta z kart, jakby miała przez sobą otwartą książkę jej życia, ale przecież to, co jej przepowiedziała, miało niewielki związek z rzeczywistością. Poczula się lekko zawiedziona i stwierdziła, że chodzenie do wróżki to czysta głupota. Dowiedziała się, że kręci się wokół niej jakiś facet, a przecież to nieprawda. Czarek się nie odzywał, więc raczej trudno byłoby uznać, że nadal jest nią zainteresowany. A nikogo innego nie było. Nawet Mirek znalazł sobie inny obiekt do adorowania. Pani Nina twierdziła, że Martyna wyjedzie i tam spotka się z tą osobą, a przecież nigdzie się nie wybierała. A na koniec, że wszystko w jej życiu ułoży się bardzo dobrze. Każdemu wcześniej czy później jakoś się układa, i to przeważnie dobrze, pomyślała. To żadna rewelacja. Co do wyjazdu, to w dzisiejszych czasach też nie jest niczym nadzwyczajnym. Chyba tym wróżkom repertuar się wyczerpał... Albo nie nadążają za postępem.

Wizyta u wróżki i dzisiejszy gest Huberta z ciastkiem w roli głównej dostarczyły Martynie sporą dawkę pozytywnej energii, bo po przyjeździe do domu postanowiła, że nie będzie dalej poddawać się depresji i weźmie się w garść. Przecież nie zamierzała przeżyć życia, rozpamiętując jeden nieudany epizod miłosny. Powinna się nawet cieszyć, że tak się to skończyło. Teraz, z perspektywy paru tygodni, sama oceniała Czarka dużo bardziej krytycznie. Po ich rozstaniu zadzwonił dokładnie trzy razy, ale nie odebrała telefonu. Zostawił na sekretarce wiadomość, że jeśli chce mu przebaczyć, to czeka na jej telefon. Ona nie oddzwoniła, a on już więcej się nie odezwał. Dla Martyny było jasne, że jej nie kochał. W każdym razie nie na tyle mocno,

aby przekonać ją o swojej miłości. Podejrzewała, że Ola, do której napisał list, faktycznie zawróciła mu w głowie. Nadal nie chciała uwierzyć, że dla facetów seks jest tak ważny, ale ta druzgocząca wszelki romantyzm teza potwierdzała się. Być może Ola była dla Czarka tą drugą połówką jabłka? A Martyna – zwykłym nieporozumieniem, które miało zapchać pustkę w jego życiu? Starła się na siłę dopasować do jego wyobrażenia ideału dziewczyny, ale przecież zdawała sobie sprawę, że nim nie była. Starac się a być to dwie różne rzeczy. Powinna więc się cieszyć, że cały ten epizod się zakończył. Lepiej być samemu niż z kimś, kto cię nie kocha, mówiła jej mama. I pewnie dlatego większość życia przeżyła w samotności, dodawała w myślach Martyna, ale nie wypowiadała tej uwagi na głos. Właściwie, czy życie jej mamy było złe? Miała ją, babcię, koleżanki, pracę, którą lubiła, a teraz trafił się pan Rysio. U Martyny wyglądało to o wiele gorzej. Nie miała dziecka, koleżanki myślały o swoich chłopakach, a jej szefem był gej. Nawet na biurowy romans nie mogła liczyć.

Mając w perspektywie wiele lat celibatu, Martyna postanowiła skupić się na własnym rozwoju. Ułożyła i zapisała listę życiowych zamierzeń na kartce, bo gdzieś przeczytała, że w głowie nie wystarczy. Musi jasno, naocznie i namacalnie wiedzieć, co chce osiągnąć. Postanowiła: 1. schudnąć, 2. podciągnąć angielski, 3. zacząć chodzić na aerobic i siłownię, 4. awansować na starszego handlowca, 5. wyjechać na fajne wakacje, 6. zapisać się na hiszpański, 7. czytać mądre książki, 8. znaleźć sobie interesujące hobby. Do życia zamierzała podchodzić z dystansem i w sposób racjonalny oraz nie myśleć o wyjściu za mąż, bo te czasy skończyły się bezpowrotnie wraz z epoką Jane Austen. Teraz kobiety realizowały się w życiu zawodowym i miały partnerów seksualnych. Były niezależne

finansowo, rozwijały osobowość, zainteresowania i w ogóle starały się być bardziej wartościowymi osobami, które potrafią służyć społeczeństwu, a nie tylko pasożytować na rządowych programach socjalnych. Jeśli spotka kogoś na swojej drodze, to dobrze, jeśli nie, to nie będzie rozpaczać. Poświęci się pracy dla społeczeństwa.

Wyznaczywszy sobie te osiem celów życiowych, Martyna wzięła się za ich realizację. Ułożyła dzienny plan posiłków, w których dominowała zielona herbata, beztłuszczowy jogurt 0%, chudy biały ser i zielona sałata. Od razu postanowiła, że od czasu do czasu będzie sobie pozwalać na małe przyjemności, aby nie porobiły jej się za wcześnie zmarszczki. Ściągnęła z Internetu na swojego nowego iPod'a audiobooki wszystkich sześciu powieści Jane Austen w oryginale. Obejrzała na DVD *Dumę i uprzedzenie* z Keirą Knightley w roli Elżbiety Bennet, a potem serial nakręcony przez BBC z Colinem Firthem w roli pana Darcy'ego i była absolutnie zachwycona tą angielską powieścią. Postanowiła, że będzie chodzić na długie spacery ze słuchawkami od iPod'a w uszach i wysłucha ze zrozumieniem wszystkich powieści Jane Austen po angielsku – to w ramach szlifowania języka i czytania klasyki. Poza tym kupi sobie seksowny strój na aerobic i zapisze się do klubu. Będzie się bardziej starać w pracy, co nie wykluczało podlizywania się Hubertowi, jeśli zajdzie taka konieczność. Jest samotną kobietą i nie stać jej na luksus bycia zbyt honorową, co nie znaczy, że będzie się przed nim płaszczyć. Rozejrzy się za wycieczką last minute gdzieś do ciepłych krajów; już przysługiwały jej dwa tygodnie urlopu i jeżeli nadarzy się okazja, aby się opalić i dotknąć tego, co do tej pory widziała tylko w folderach, to musi ją wykorzystać. Wróżka przepowiedziała jej wyjazd, na którym spotka mężczyznę swojego życia, warto więc o tym pomyśleć. W

takim ciepłku to od razu romantyczniej. Realizację pozostałych punktów z listy odłożyła na następne miesiące. Z tak ułożonym planem w głowie zaczęła od poniedziałku nowe życie.

Hubert przyglądał się jej z ciekawością, jak pod koniec dnia z determinacją wypisaną na twarzy wkłada czapkę z nausznikami, a do uszu wsadza słuchawki od iPoda.

– Nowy styl? – zapytał.

– Tak jakby – odparła wymijająco.

– Słuchasz rapu? Czy hip-hopu?

– Zaskoczę cię. Słucham angielskich powieści w oryginale. Szlifuję język. – Wciągała właśnie grube wełniane rękawiczki z nordyckim wzorem.

– Nie mów mi tylko, że to *Duma i uprzedzenie*.

Uniosła brwi do góry w wyrazie kompletnego zaskoczenia. Skąd on, do cholery, wiedział, że w ogóle istnieje taka powieść. Kurczę, jest gejem, bo jak inaczej!

– Tylko mi nie mów, że ty to znasz!

– A czy to wiedza zakazana? Znam doskonale. Nie tylko to zresztą, znam też *Rozważną i romantyczną*, *Opactwo Northanger*, *Emmę*, *Mansfield Park* i tak dalej. Czy ich też zamierzasz słuchać?

– Czy ty to czytałeś? – Przyglądała mu się, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

– No, nie... Bez przesady – uśmiechnął się. – Aż tak daleko się nie posunąłem. Ale kiedyś przywiozłem z Londynu wszystkie zekranizowane powieści Jane Austen i dałem mojej mamie na Gwiazdkę. To był jedyny trafiony prezent, jaki kiedykolwiek udało mi się jej kupić. Ale teraz muszę cierpieć, bo mama uwielbia je ze mną oglądać. Pewnie uważa, że uczę się

przy okazji angielskiego. Co roku w święta zasiadamy przed telewizorem, objadamy się makowcem i oglądamy *Dumę i uprzedzenie*. To stało się już tradycją i niestety... jest to mój jedyny wkład w jej szczęście – zasepił się lekko. – Nie ma ze mnie wiele pożytku jako z syna... Ale wiem, że kocha romanse, a szczególnie angielską klasykę. Trudno się dziwić, była nauczycielką angielskiego. Czasami jest z nami jeszcze moja ciotka, siostra mamy.

Martyna s pojrzała na niego poruszona.

– To chyba miłe.., I twoja mama... musi być zwariowaną romantyczką...

– Niestety, jeszcze jej to nie przeszło. Mimo upływu lat. A propos, jak to skończysz, to z klasycznych romansów polecam Emily Bronte *Wichrowe wzgórza*. To dzieje się sto lat później, ale nawet się nie zorientujesz. Lub *Jane Eyre* – to drugie napisała jej siostra, Charlotte Bronte, ale jest równie dobre.

– Nigdy bym nie podejrzewała, że możesz cokolwiek wiedzieć o książkach dla kobiet...

– Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz. – Posłał jej smutny uśmiech.

Spojrzała na niego lekko zmieszana. Gdyby nie była osobą delikatną z natury, może palnęłaby prosto z mostu to, co tak bardzo chciała wyjawić. Że wie o jego homoseksualizmie i Hubert nie musi się ukrywać. Jest bardzo tolerancyjna, a nawet pójdzie z nim na Paradę Równości, jeśli będzie chciał. Nie posunie się tak daleko, aby nieść transparent, ale pójdzie na pewno. A jednak wrodzony takt kazał jej milczeć i czekać, aż Hubert sam dojrzeje do tego, by się ujawnić. Spuściła głowę, aby nie patrzeć mu w oczy, i odpowiedziała: – Zapewne.

A potem szybko wyszła z pokoju.

Tymczasem Hubert patrzył z okna, jak wychodzi przed budynek Metaleksu, opatula się ciepłym wełnianym szalem i znika w ulicznym tłumie. Czyżby pierwszy krok na nowej drodze życia został poczyniony? Dziś przyniosła do pracy jogurt i zieloną herbatę, pewnie więc się odchudza. Ale to znaczy, że znów zachciało jej się żyć! Okres kompletnej obojętności minął i wraca do ludzi! Nie mógł już patrzeć na jej udręczoną minę po rozstaniu się z Czarkiem. Widział, jak bardzo to przeżywa i... nie było mu lekko. Nie zdawał sobie sprawy, że zakochała się tak poważnie, i już zaczął się o nią martwić. Swoje rozstanie z Lucy też mocno przeżywał, ale chyba nie aż tak. Może u facetów było inaczej. Poszedł do Patryka, zalał robaka wódką i przeszło. U dziewczyn było o wiele gorzej. Na prawo i lewo wałkowały problemy w swoich główkach, jakby to było ciasto na pierogi

Znów pomyślał o Martynie. Ich stosunki były poprawne, nawet przyjacielskie, ale oprócz tego jednego razu, zaraz po otrzymaniu feralnego listu, kiedy kompletnie się rozkleiła, stroniła od jakiegokolwiek spoufalania się. Mówiła do niego po imieniu, ale trzymała dystans i tylko od czasu do czasu rzucała zdawkowe informacje o tym, co działo się w jej życiu. Niestety, nie widział, aby interesowała się nim jako osobnikiem płci przeciwnej. Wszystkie jego zalotne spojrzenia, uśmiechy, które dotąd perfekcyjnie działały na inne dziewczyny, tu nie zdawały egzaminu. Jeśli się do niego uśmiechała, to dlatego, że był zabawny, a nie pociągający. Traktowała go jak kolegę z pracy, ale nic poza tym. Zero uwodzenia. Zupełnie, jakby nie widziała w nim mężczyzny.

Generalnie nie lubił biurowych romansów i nie chciał się w nie wdawać. Te powłóczyście spojrzenia na korytarzach, głupawe uśmieszki



kolegów... Miał wrażenie, że czułby się jak aktor w teatrze, mający za plecami widownię śledzącą każdy jego ruch. I po kątach cichaczem komentującą najmniejszy grymas twarzy. Może to powstrzymywało go przed zaproszeniem Martyny na kolację? Sam nie wiedział... Bo co, na przykład, gdyby się pokłócili? Całe biuro miałoby wiedzieć? A niech to cholera, kłął po raz niewiadomo który. Na razie jednak nie było się o co martwić. Martyna nie wydawała się nim w ogóle zainteresowana. Postanowił, że poczeka i coś wymyśli. Zresztą, tłumaczył sobie racjonalnie, ona musi najpierw naprawdę zapomnieć o Czarku. Przecież nie chciał, aby go traktowała jedynie jako pocieszyciela. Żeby tylko nie znalazł się następny palant, który sprzątnie mu ją sprzed nosa. Ale co miał robić? Musiał czekać.

Dni płynęły, Jerry znalazł pracę w banku i na dobre zadomowił się u Patryka; wynosił mu śmieci, gotował i sprzątał. Patryk pojechał na jeden dzień do domu, ale rodzinne spotkanie trudno było uznać za udane. Ojciec zupełnie zignorował jego obecność: nie krzyczał, ale i nie odezwał się ani słowem. Patryk wrócił do Warszawy i poczuł się tu jeszcze bardziej jak w domu niż przedtem. Hubert wpadał do nich często, głównie ze względu na kuchnię Jerry'ego, który świetnie gotował. Już nie przeżywał, że jego sąsiedzi są innej orientacji seksualnej, pogodził się i zaakceptował to jako coś prawie naturalnego. Nadał lubił z nimi pogadać na męskie tematy, jak sport czy samochody. Od czasu sylwestra odnowił również kontakt ze Sławkiem i teraz często do nich wpadał i... bawił się z córeczką kolegi. Jeszcze parę miesięcy temu nie przyszłoby mu do głowy, żeby w ten sposób spędzać wolny czas.

Anita odezwała się tylko raz i była to dziwna rozmowa. Mówiła mu o tym, że mógł jej powiedzieć od razu, a nie robić z niej idiotkę. Nie bardzo



wiedział, co miałby jej powiedzieć od razu, ale wtedy usłyszał, że dowiedziała się od Czarka i że nie ma sprawy, a potem, że nie musi się ujawniać. Hubert przez chwilę miał podejrzenia, że Anita się czegoś naćpała i dzwoni do niego kompletnie zamroczona. Ale nie drażył tematu. Spodziewał się, że Czarek mógł podejrzewać, że maczał palce w ujawnieniu jego zdrady, i mszcząc się, wygadywał na jego temat jakieś oczerniające go bzdury. Ale one nic a nic go nie obchodziły. Anita rozłączyła się i wcale tego nie żałował.

Wraz z nadejściem wiosny depresja jaka ogarnęła Martynę, odchodziła coraz bardziej w zapomnienie i na plan pierwszy wypłynęły problemy Zosi. Łysy Anglik miał przyjechać do Warszawy, a Zosia nie powiedziała mu o Grześku. Ta głupia sprawa spędzała jej sen z powiek. Dzień przybycia Anglika zbliżał się wielkimi krokami, jak nadciągająca burza, a jej pękała głowa od zastanawiania się, jak ujawnić, że ma chłopaka i jest zakochana. Wprawdzie e-maile wymieniane pomiędzy nią a Anglikiem świadczyły tylko o tym, że byli przyjaciółmi, ale obawiała się, że Anglik oczekuje czegoś więcej. Martyna i Sandra były zdania, że powinna mu powiedzieć o Grześku. Ludzie generalnie nie lubią niespodzianek, nawet tych przyjemnych. W końcu za namową koleżanek napisała do Anglika, że wyjdzie po niego na lotnisko ze swoim chłopakiem, co wydało jej się delikatniejszą formą zawiadomienia go o posiadaniu kochanka, niż na przykład: „PS. Mam chłopaka”. Istniała obawa, że ów dopisek mógłby przeoczyć, bo niektórym nie chce się czytać listów do końca. Anglik odpisał jej od razu, że nie ma sprawy, i tak chce przyjechać. Uff... to znaczy, że był kulturalny i dobrze wychowany. Kamień spadł Zosi z serca. Doszła jednak do wniosku, że jej Anglik mógłby stanowić świetną partię dla Martyny.

Facet pracował w banku, dobrze zarabiał, jej serdeczna koleżanka powinna się więc nim zainteresować. Gdyby Anglik w niej zagustował i spodobał się Martynie, miałyby z Sandrą świetną metę w Londynie. To lekko zdenerwowało Martynę, ale wyrachowanie Zosi płynęło prosto z serca i było tak rozbijające, że od razu jej wybaczyła.

Wizyta Anglika początkowo przebiegała zgodnie z planem. Nawet zima wróciła i śniegu trochę spadło ku radości wszystkich oprócz służb miejskich. Samolot przyleciał o czasie, Martyna pojawiła się na kolacji punktualnie, przyszła również Sandra z Robertem. Jedzenie było świetne, obsługa też. Podczas wieczoru Anglik zapytał Martynę, gdzie pracuje, i już więcej nie interesował się jej osobą. Pomimo to spotkanie było całkiem przyjemne. Po kolacji całe towarzystwo poszło do najbliższego klubu. Anglik nadal nie zwracał uwagi na Martynę, pomyślała więc, że musi się przygotować na lata samotności i celibatu, gdzie jedyny seks, jaki ją ewentualnie czekał, to z panem Czesiem na delegacji służbowej. Jeżeli, oczywiście, pozwoli mu na coś więcej niż tylko całowanie kolan. Wyszła do domu wcześniej pod pretekstem, że jeszcze z kimś się umówiła w innym klubie, bo pomimo wszystko... zrobiło jej się trochę smutno. Anglik nie podobał jej się ani odrobinę, ale czy to powód, aby ją zupełnie zignorował? Naga, okrutna prawda. Będzie w życiu sama, samiuteńka.

Dosyć się zdziwiła, gdy następnego dnia rano zadzwoniła do niej podniecona Zosia.

– Martyna! Nie uwierzysz! Po prostu nie uwierzysz! – krzyczała w słuchawkę, jakby stało się coś zupełnie niewiarygodnego, na przykład zawalił się Pałac Kultury. – Dziś jem śniadanie z naszym Angolem i mówię mu, że zabierzemy go do muzeum Powstania Warszawskiego, a potem na

obiad, a potem do Wilanowa, a on mnie pyta – tu Zosia przerwała dla zaakcentowania wiadomości – słuchaj uważnie: „Czy znam jakieś kluby gejowskie w Warszawie"! Zamurowało mnie! A on mi na to, że jest gejem! Wyobrażasz to sobie! On jest gejem! No więc mam prośbę. Możesz się dowiedzieć, gdzie w Warszawie są takie kluby? Bo ja nie mam pojęcia! Nie znam żadnego geja. I nie mam czasu szperać po Internecie, bo zaraz wychodzimy do muzeum. Uznałam, że to mój patriotyczny obowiązek. I sama sobie zobaczę, bo jeszcze nie byłam. Ale wracając do tych klubów, czy możesz zadzwonić do Huberta i go zapytać? Proszę cię. Mogę go nawet poznać z naszym łysem sojusznikiem z NATO... gdyby, oczywiście, chciał.

–Ja! Do Huberta... zadzwonić ... w takiej sprawie... no wiesz... nie bardzo... głupio tak... on nawet nie wie, że ja wiem, że jest gejem...

– Proszę cię! Zrób to dla mnie. Jesteś moją serdeczną koleżanką czy nie? Martyna, ja bym dla ciebie to zrobiła.

– Ale to tak niezręcznie ...

– Bardzo zręcznie. W końcu mu kamień z serca spadnie, jak się dowie, że ty wiesz.

– No, dobra – odpowiedziała Martyna z wahaniem, bardzo niezadowolona z powierzonego jej zadania.

Po chwili wzięła do ręki komórkę. Nerwowo poszukała numeru Huberta na liście kontaktów. Spojrzała na zegarek. Była dopiero dziesiąta rano. Biła się z myślami. Czy wypada dzwonić do kogoś w sobotę o dziesiątej rano? Za wcześnie ... Ale czego się nie robi dla koleżanki. Co za głupia sytuacja! Przeszła niespokojnie po pokoju trzy kroki w jedną i trzy w drugą stronę. Dotknęła nosem ściany, obróciła się więc na pięcie i podeszła do okna. Spojrzała na podwórko, ale tam nie działo się nic szczególnego, co

uniemożliwiłoby jej wykonanie telefonu. Nadal jednak uważała, że to nie wypada. I za wcześnie. Z drugiej strony, jeśli Hubert dowie się, że ona wie o jego homoseksualizmie, będzie mu lżej. A może on z tych, co nie chcą się ujawniać, bo się panicznie boją? Jeśli do tej pory tego nie zrobił, należało przypuszczać, że w ogóle nie zamierza się przyznawać. W końcu Martyna przełamała się i postanowiła, że musi zadzwonić, bo się zobowiązała. Miała nikłą nadzieję, że Hubert nie odbierze, bo jeszcze śpi. Ale zadzwonić musi. Wybrała jego numer i nacisnęła klawisz „połącz”. Tak jak się spodziewała, usłyszała zaspany i nieco zirytowany głos swojego szefa:

– Halo!

– Cześć, Hubert, tu Martyna. Słuchaj... wiem, że jest strasznie wcześnie, ale dzwonię do ciebie z taką sprawą... Otóż do mojej przyjaciółki przyjechał kolega z Londynu i okazuje się, że on jest gejem. Chciałby pójść dziś wieczorem do jakiegoś klubu... no wiesz... dla gejów. Ale ona nie ma zielonego pojęcia, gdzie są takie miejsca w Warszawie. Więc... dzwonię, bo może... ty mógłbyś nam coś doradzić.

– Ja?! – prawie wykrzyknął ze zdziwienia. – No... ty.

– Przykro mi, ale ja nie chodzę w takie miejsca. Martyna poczuła się lekko zbita z tropu.

– No... ale Patryk... ten twój sąsiad... może on...

Usłyszała westchnienie Huberta, jakby ktoś właśnie władował mu wielki toból na barki.

– A więc... wiesz...

– Tak... wiem – powiedziała szeptem. A potem dodała. – Dowiedziałam się... przez przypadek. Ale nie ma sprawy. Jestem bardzo tolerancyjna.

Hubert znów westchnął zrezygnowany i odparł:

– Dobra, zapytam i oddzwonię.

Po godzinie podał Martynie parę adresów klubów, gdzie czasami chodzili Patryk i Jerry. Takim to sposobem Zosia miała z głowy Anglika, który balował całą noc w gejowskim klubie w Warszawie. Wcale nie była zachwycona, bo obawiała się, że Anglik zostanie pobity, okradziony i pewnie zadzwoni do niej z komisariatu z zakrwawioną głową i rozbitym nosem. Całą noc oka nie zmrużyła, denerwując się i gryząc paznokcie. Nawet rozważała, czy by nie posłać Grześka i Roberta, żeby sprawdzili, czy jej łysemu znajomemu nic się nie stało, ale obaj odmówili. Na szczęście Anglik pojawił się rano cały i zdrowy na śniadaniu. Oprócz tego, że był niewyspany, nic mu nie było. Mówił, że bawił się świetnie, poznał jakiegoś super faceta, którego imienia nie pamiętał, bo trudno się je wymawiało. Tego dnia stanowczo odmówił zwiedzania jakiegokolwiek muzeum, rzucił się na przygotowane dla niego łóżko i spał jak suseł do popołudnia. Potem musiał śpieszyć się na samolot i ledwo zdążył. Mama Zosi trzy razy wygotowała pościel, w której spał, tak na wszelki wypadek, aby jakaś zaraza się do nich nie przyczepiła, i tak się skończył epizod z Anglikiem.

## *Rozdział 21*

*Dużo słońca, dużo przygód za dużą wodą*

Martyna konsekwentnie realizowała swój życiowy plan dotyczący schudnięcia, podciągnięcia angielskiego, chodzenia na aerobic i rzeźbienia sylwetki. Schudła już trzy kilogramy i jej figura zbliżała się do powszechnie przyjętego modelu atrakcyjnej kobiety, co oznaczało ekstra szczupłej. Na jej lepsze samopoczucie wpłynął również e-mail od Łukasza, chłopaka stylistki, fryzjerki i wizażystki w jednym, Bernadetty, który przesłał jej zdjęcia do agencji poszukującej nowych twarzy. Napisał, że jeśli coś z tego wyjdzie, to da jej znać. Fotki były bardzo profesjonalne i Martyna ledwo się poznała. Pomyślała, że jeżeli rzeczywiście tak wygląda, to jest z nią całkiem nieźle i nie ma powodów, by się martwić o swój wygląd zewnętrzny. A że ten gej, Anglik, się na niej nie poznał, to już nie jej wina. Być może czuł się speszony jej urodą. Zresztą... doszła do wniosku, że najważniejsze, że podobała się sama sobie. Towarem eksportowym może nie była, ale spojrzenia niektórych mężczyzn na siłowni mówiły same za siebie.

Z pracy nadal wracała, idąc piechotą trzy albo cztery przystanki i słuchając angielskich powieści z iPod'a. Czowała się jak rasowy yuppie i znów była zadowolona z życia i uśmiechnięta. Przy jednej z mijanych ulic mieściło się biuro podróży i choć musiała nadkładać drogi, zaczęła specjalnie przechodzić koło dużej witryny obwieszanej plakatami reklamującymi gorące morze, złoty piasek, palmy i tropikalne słońce. Rzuciła w ich stronę rozmarzone spojrzenie i szła dalej. Chętnie wyciągnęłaby się w gdzieś w ciepélku i ponudziła, gapiąc się w niebieską, ledwo widoczną

kreskę horyzontu, gdzie ocean styka się z błękitem niebem. Na razie pozostawało to tylko w sferze marzeń. Miała już trochę oszczędności, ale nie tyle, by jechać w taką podróż. Przypomniała sobie, że przy malowaniu Hubert wspomniał, że chciałby pojechać na Dominikanę. Jemu pewnie wcześniej się to uda, pomyślała. Któregoś dnia stanęła przed witryną i puściła wodze fantazji. Wyobraziła sobie siebie leżącą na gorącej plaży, popijającą egzotyczne drinki podawane przez przystojnych kelnerów. O zachodzie słońca chodziłaby na spacerzy brzegiem morza, lekki wietrzyk muskałby jej twarz... Opaliłaby się na heban albo przynajmniej na złoto... I może spotkałaby tam jakiegoś przystojniaczka. Przecież wróżka jej powiedziała, że spotka się z tym kimś na wyjeździe, nadzieja więc niemrawo tliła się w jej sercu. A karty podobno się nie mylą... Jej myśli samowolnie powędrowały do Czarka. Że też musiał się okazać aż tak głupi. Gdyby się nie przespał z Olą, może właśnie teraz planowałby wspólne wakacje gdzieś w dalekim zakątku globu ziemskiego... A tak... Jest sama. Samiuteńka. Spuściła głowę i poszła dalej.

Dwa dni później w pracy zaczęło huczeć o podwyżkach. Pani Gosia jak zwykle była najlepiej poinformowana i nie myliła się. Podwyżki stały się faktem. Martyna skakała z radości, bo nagle została posiadaczką pewnej nadwyżki pieniężnej, z którą mogła zrobić, co tylko sama chciała. Nie była to wielka kwota, ale zawsze. I traf chciał, że tego dnia, przechodząc koło biura podróży, zauważyła, że na rozwieszonym w oknach plakacie wielkimi czerwonymi literami napisano „Dominikana – Wielka Okazja – Last Minute”.

Weszła z ciekawości do środka, aby się przekonać, o co chodzi, i dowiedziała się, że cena tygodniowego pobytu w czterogwiazdkowym



hotelu *all inclusive* wraz z przelotem została obniżona na tyle, że stać ją było na wakacje w tym raju na ziemi. To nie mogła być prawda! Nie wierzyła własnym oczom. „Sięgaj, gdzie wzrok nie sięga, łam, czego rozum nie złamie” – zamruczała pod nosem, gotowa zdobywać nowe lądy, pełna młodzieńczego entuzjazmu i chęci poznania świata w stopniu co najmniej równym Mickiewiczowi, kiedy pisał *Ode do młodości*. Pobiegała jak na skrzydłach do domu, aby podzielić się wiadomością z mamą i babcią. Dominikana to nie była Tunezja, Egipt czy Grecja – ale Ameryka Środkowa! To było coś! Od razu się zastanowiła, czy dadzą jej urlop w pracy, ale Hubert sam sugerował, że powinna gdzieś pojechać, mogła więc liczyć na jego przychyłność. Przez moment rozważała, czy wyjazd nie będzie się wiązał z dodatkowymi wydatkami, ale stwierdziła, że miała wszystko, co mogło jej być tam potrzebne: klapki, kostium, okulary przeciwsłoneczne i krem do opalania. W razie czego ma przecież kartę kredytową. A o rachunki będzie się martwiła później. Czyżby podjęła decyzję? Ach... szła niebieskich ciał! Tak! Postanowiła, że pojedzie! Ze szczęścia chciało jej się śpiewać i tańczyć.

Jak się spodziewała, babcia nie miała pojęcia, gdzie leży Dominikana. Mama też nie za bardzo się orientowała. Martyna musiała wyciągnąć atlas i dokładnie im pokazać. Kiedy obie zobaczyły, jak to daleko, przeraziły się nie na żarty i zaczęły narzekać. Bo Martynka tak długo będzie lecieć samolotem, czy nie zachoruje na tropikalną chorobę, samolot może spaść do oceanu albo mogą go porwać. I gdzie one będą jej szukać? W zimnej wodzie w morskich otchłaniach? Jedynie pan Rysio, kiedy się dowiedział o planach Martyny, otwarcie ją popierał, powtarzając: „Niech jedzie dziewczyna, przynajmniej kawałek świata zobaczy”.

Hubert był kompletnie zaskoczony jej pomysłem. Właściwie zupełnie zbaraniał. Wcale mu się nie podobało, że Martyna ma pojechać sama w tak daleką podróż. Zaczął nawet kombinować, by nie dać jej urlopu, ale parę dni wcześniej sam przecież doradzał, aby wzięła trochę wolnego. Zastanawiał się, jak to zrobić, żeby pojechać razem z nią, ponieważ jednak nic nie mógł wymyślić, więc z ciężkim sercem podpisał zgodę na urlop i życzył jej udanych wakacji. Był palantem, ganił siebie w duszy, nie przeczuwając nawet, że w niedalekiej przyszłości będzie miał okazję robić to tysiącrotnie mocniej. Zosia nieco się zdziwiła, że Martyna jedzie sama, ale zaraz się uspokoiła, bo przecież wróżka powiedziała, że ma tam kogoś spotkać. Zosia wierzyła święcie, że kart} / się nie mylą, więc... trzeba było życzyć przyjaciółce szczęścia.

W połowie kwietnia Martyna znalazła się na tej odległej egzotycznej wyspie. Kiedy zobaczyła wynurzający się z błękitu oceanu zielony ląd z otoczką żółtych plaż, wiedziała od razu, że jest to wyspa szczęśliwości. Spędzi cudowny tydzień, którego nic nie zakłóci, bo co złego może się wydarzyć na takiej wyspie w czterogwiazdkowym hotelu? Absolutnie nic. Gdy wyszła z samolotu, poczuła na skórze powiew gorącego powietrza, aż trudno jej było oddech złapać. To się nazywa tropik, uznała w zachwycie, nie przejmując się zbytnio. Na szczęście po chwili znalazła się w budynku lotniska pokrytym strzechą, świetnie chroniącą przed nieznośnie palącymi promieniami słońca.

Hotel był elegancki, jej pokój wystarczająco przestronny i choć z widokiem na basen, a nie na morze, wcale się nie zmartwiła. I tak było super. Zwiedziła cały kompleks obejmujący baseny, restauracje, siłownię, plażę i sklepy. Wszystko jak z obrazka, dokładnie tak, jak w reklamie. Życ,

nie umierać i płać się w luksusach – oto motto na cały tydzień. Na plaży rosły palmy, piasek był złocisty jak w Kołobrzegu, a woda w morzu cieplejsza niż w podgrzewanym basenie. I ten błękit nieba, bez ani jednej chmurki na horyzoncie... po prostu bajka. Hotelowy basen był wielki jak jezioro, naokoło stały leżanki z miękkimi poduszkami i kręcili się kelnerzy roznoszący drinki. Czegoż chcieć więcej! Cudownie, po prostu cudownie. Tylko... wolałaby być tu z kimś! Samotność ścisnęła jej serce i ogarnęła ją jakaś głupia nostalgia. Szczególnie kiedy siedziała sama jedna przy stoliku w wielkiej jadalni pełnej ludzi. Zupełnie jakby czekała na mężczyznę swojego życia, który... spóźnił się.

Obok jej stolika kolację jadła amerykańska rodzinka z trojgiem małych dzieci. Martyna zerkała na nich ukradkiem i... po raz pierwszy od przyjazdu odetchnęła z ulgą, że jest sama. Maleństwa były cały czas z czegoś niezadowolone, kaprysiły, co chwilę zanosily się płaczem i wołały, żeby im dać to albo tamto. Ich mama siedziała z zaciśniętymi ustami i cierpiętniczą miną, ale przynajmniej starała się nad nimi zapanować. Jej mąż nie zwracał uwagi na swoje potomstwo, spokojnie sączył wino, jakby był głuchy i ślepy. Albo siedział za dźwiękoszczelną szklaną ścianą. Och... pomyślała Martyna, czy to można nazwać szczęściem? I od razu zrobiło się jej lżej na duszy. Biedna kobieta miała podkrążone ze zmęczenia oczy i ani krzty makijażu. Martyna prawie jej pożałowała. Co prawda, zwróciła uwagę, że dzieci miały twarzyczki jak aniołki, ale... zachowywały się diabelsko. Musi docenić to, że może robić ze swoim czasem, co tylko jej się podoba, cieszyć się w spokoju zachodzącym słońcem i filiżanką kawy. Samotność miała swoje dobre strony, pocieszała się. Człowiek sam sobie był sterem, żeglarzem, okrętem... wolny jak ptak. Popatrzyła w drugą stronę i zobaczyła parę innych osób

siedzących samotnie przy stolikach. Sporo ich było. Nie ona jedna. Może wśród nich siedzi tajemniczy ktoś... To od razu dodało jej otuchy.

Po kolacji napisała mamie SMS-a, że doleciała szczęśliwie i że jest cudownie, i ten mały gest przywrócił jej straconą na moment pewność siebie. Nie było tak źle, skoro miała do kogo wysłać wiadomość, uspokoiła się. Ktoś ją kochał na tym ziemskim padole i się o nią martwił. Potem napisała również do Zosi, Sandry, Hanki i Marzeny. Wszystkie zaraz jej odpisały, że bardzo jej zazdroszczą. W końcu zdecydowała, że wyśle również SMS-a do Huberta. Napisała mu, że jest fajnie i jak na razie nie tęskni za jego skwaszoną miną. Potem jednak wykasowała to o tęsknocie i skwaszonej minie. To w końcu jej szef, przypomniała sobie.

Na drugi dzień rano zaczął wiać wiatr. Nadal było ciepło, Martyna więc przyjęła te podmuchy natury z wdzięcznością. Pozwalały lepiej znieść palące promienie słońca, do których jeszcze się nie przyzwyczaiała. Poszła na plażę, wzięła ze sobą książkę, ale wiatr rozwiewał jej włosy, zrezygnowała więc z czytania. Morze było bardziej wzburzone niż poprzedniego dnia, za to widok białych grzyw na niebieskiej toni urzekał swym pięknem; chciała go zapamiętać na całe życie. Nic a nic nie budziło w niej niepokoju. Natarła ciałem kremem do opalania, wyciągnęła się na leżance i wystawiła blade członki na działanie promieni słonecznych. Było cudownie! Wdychała morskie powietrze i zastanawiała się, czy bardzo się opali. Koleżanki będą jej zazdrościć, pomyślała z zadowoleniem. Tymczasem na niebie pojawiło się trochę chmur, ale zignorowała je zupełnie. Na pewno wiatr je odegna, pomyślała, niczego nie podejrzewając.

Kiedy przed lunchem wróciła do pokoju, zobaczyła, że Hubert napisał do niej SMS-a. Pewnie dotyczący pracy, pomyślała zirytowana i odczytała:

„Do wyspy zbliża się huragan, uważaj. Dowiedz się, czy w hotelu mają schron”.

Co????!!! Jaki huragan????!!! Jaki schron????!!! Czy on zwariował????!!! Usiadła z wrażenia na łóżku. Poczwała, że robi się jej zimno, a na ciele pojawiła się gęsia skórka. Złapała się za głowę. Gdzie, do cholery, ona przyjechała! Co to ma znaczyć! Nikt jej nie uprzedził! O Boże! Zginie tutaj sama, samusieńka, z dala od babci i mamy. Nawet nie będą mogły jej pochować! Czwała, że całe jej ciało drży, a nogi ma jak z waty. O Boże, co ona zrobi?

Wzięła się jakoś w garść i poszła do recepcji, gdzie dowiedziała się, że hotel jest wyposażony w schron, ale na razie zagrożenie nie było poważne. Istniało duże prawdopodobieństwo, że huragan ominie wyspę. Całe popołudnie Martyna przesiedziała w pokoju, czytając SMS-y od Huberta, który siedząc przed komputerem, zdawał jej relację z przemieszczania się huraganu. Mówił, żeby się nie martwiła, że myślami jest z nią. Kochany Hubert. Kocha geja! Powie mu to, jak wróci. O Boże! Dlaczego on jest gejem! I dlaczego huragan musiał się pojawić właśnie teraz?

Na wieczornej kolacji poproszono gości, aby wzięli najbardziej osobiste rzeczy, dokumenty i pieniądze i zeszli do schronu. Kierownik ośrodka wygłosił krótkie przemówienie, w którym oświadczył, że nie ma powodów do paniki, bo nadal jest szansa, że huragan przejdzie bokiem, ale woli być przezorny, i dlatego zdecydował, że goście hotelowi powinni na pewien czas zejść do schronu. Martyna spakowała do podręcznej torby parę kosmetyków i ubrań i zeszła do podziemnego pomieszczenia, gdzie już zgromadziło się sporo ludzi. Usiadła na pierwszym wolnym miejscu, jakie zobaczyła. Koło niej przystawiło sobie krzesła paru niemieckich emerytów,

którzy przyszli chwilę później. Wcale nie wydawali się przejęci huraganem, raczej sobie dowcipkowali i uważali całe zdarzenie za dodatkową, darmową atrakcję. Zaczęli zagadywać Martynę, skąd jest i na jak długo tu przyjechała, a w końcu zaprosili ją do gry w karty. Po ich oczach widziała, że są zachwyceni, mogąc przebywać w jej towarzystwie. Przynajmniej ktoś z zagranicy wreszcie się na niej poznał, pomyślała ucieszona, wspominając niedawny epizod z łysym Anglikiem. Starsi panowie pilnowali się i ograniczali kontakty do słowno-wzrokowych, co było nawet miłe. Flirt jeszcze zupełnie nie zanikł w społeczeństwie... Jednak po pewnym czasie jeden z nich nie wytrzymał i po wygranej rozdaniu klepnął ją w kolano. Usłyszała rechot pozostałych, ale zachowała kamienną twarz i udała, że nic się nie stało. Facet widocznie uznał to za zachętę, bo za chwilę położył całą swoją dłoń na jej kolanie. To było zdecydowanie za dużo. Co też ci faceci w starszym wieku mają do damskich kolan? Wykonała gwałtowny ruch i zepchnęła jego rękę ze swojej nogi. Spojrzał na nią zawiedziony, a wtedy pozostali zaczęli się zanosić śmiechem. Super, pomyślała. Nie dość, że huragan, to jeszcze musi znosić zaloty niemieckich emerytów, którzy pewnie porobili zakłady, czy uda im się ją poderwać. Masakra! Co było robić. Nic mądrego nie przychodziło jej do głowy, udawała więc, że świetnie się bawi, i nadal grała w karty.

O trzeciej nad ranem wiatr zelżał i pozwolono gościom wrócić do swoich pokoi. Szczęśliwie huragan ominął wyspę i nie narobił wielu szkód. Skończyło się na paru poprzewracanych parasolach i stolikach. Martyna odetchnęła z ulgą i opuściła dziarskich staruszków, którzy dopytywali się, gdzie kładzie się nad basenem, jakby planowali spędzić resztę pobytu w jej towarzystwie. Wykończona przeżyciami ostatnich godzin rzuciła się na



łóżko w swoim pokoju. Ależ ma szczęście, pomyślała. Jak nie pan Czesio, to niemieccy emeryci albo szef gej... i do tego huragan.

Następnego dnia Martyna poszła na basen z książką i specjalnie wybrała miejsce na samym końcu, z dala od swoich wczorajszych towarzyszy. Widziała, że dziś zajęli się adorowaniem jakiejś Niemki, bardziej w ich wieku, mogła więc spokojnie zająć się czytaniem. Po pewnym czasie do jej leżaka podeszła dziewczyna i zapytała po angielsku, czy może się położyć obok. Powiedziała, że widziała wczoraj Martynę i że ona również jest sama. Przedstawiła się jako Lucia, pochodziła z Hiszpanii i od razu na wstępie oświadczyła, że nie jest lesbijką. Martynę trochę uderzyła otwartość Lucii, ale z prawdziwą ulgą przyjęła tę informację, bo jeśli chodzi o homoseksualistów w swoim kręgu znajomych, to w zupełności wystarczał jej szef gej. Dziewczyny szybko się dogadały i okazało się, że Lucia, choć z innego kraju, problemy miała takie same jak Martyna; nie mogła trafić na właściwego faceta. Zupełnie jakby taki się jeszcze nie urodził. Co wchodziła w nowy związek, to porażka. Martyna dowiedziała się w szczegółach o pięciu jej ostatnich mężczyznach, z których każdy okazywał się niewłaściwym. Lucia pracowała w firmie ubezpieczeniowej i facetów spotykała codziennie, ale z klientami się nie zadawała. Chodziła po barach i tam poznawała ludzi. Niestety, nie miała dobrego zdania o tych palantach, którzy się zalewają co weekend. Według niej, jedno tylko mieli w głowie – seks. Ich rówieśnicy, którzy siedzieli w domach i spędzali czas na graniu w gry komputerowe albo oglądaniu filmów science fiction, byli jeszcze gorsi, bo infantylni. Trudno więc było dzisiaj znaleźć kogoś odpowiedniego. Była również na paru internetowych randkach, ale nie trafiła na nikogo interesującego. Martyna zrewanżowała się opowiadaniem, że w Polsce jest



dokładnie tak samo. A jak jakiś fajny, to okazuje się, że gej albo już żonaty. Wieczorem umówiła się z Lucią na hotelową dyskotekę, ale nikt się nimi nie zainteresował, spokojnie więc upiły się obie egzotycznymi koktajlami i jeszcze raz wymieniły spostrzeżeniami na temat mężczyzn. Trzeciego dnia Lucia wyjechała i Martyna znów została sama. Tajemniczy „ktoś” nadal się nie pojawił. Nawet nie zauważyła, aby ktokolwiek się jej przyglądał.

Któregoś dnia wybrała się do pobliskiego miasteczka, aby zobaczyć coś jeszcze oprócz hotelu. Życie tutaj toczyło się innym rytmem; ludzi wszędzie było pełno, siedzieli na skwerach, dyskutowali, obojętnie patrzyli na mijających ich przechodniów, zatopieni w obłokach swego zamyślenia. Nikt się nie śpieszył, zewsząd dolatywała muzyka z rozkręconych na maksimum odbiorników radiowych, jakby stanowiła niezbędny element małomiasteczkowego pejzażu. Pani sprzedawczyni obsługująca ją w sklepie śpiewała na głos miejscowy przebój, przeżywając tak mocno słowa piosenki, jakby to ona sama była na scenie, a nie za ladą w sklepie. Ciekawe, czy ona czuje się samotna, zastanowiła się Martyna. Niektóre miejscowe dziewczyny wyglądały niczym modelki, ale większość miała miękkie, krągłe kształty schowane pod kolorowymi sukienkami czy spódnicami. Tu, na tym krańcu świata, nie przejmowały się kanonami światowej mody. Żyły po swojemu. Kolorowo ciepło, leniwie i... głośno.

Martyna kupiła mamajuanę – miejscowy specyfik na bazie rumu, do którego dodaje się zioła, korę, miód i czerwone wino. Przypomina trochę naszą żołądkówkę – jest dobry na wszystko. Na kaszel, katar, niestrawność i kłopoty domowe. Kupiła trzy butelki: jedną dla Huberta, drugą dla pana Rysia, trzecią dla mamy i babci. Popatrzyła na piękną biżuterię z niebieściutkimi kamieniami, które występują tylko na Dominikanie,

zwanymi larimar. Kupiła sobie kolczyki na szczęście i wróciła do hotelu. Poszła na plażę i zatęskniła za Polską.

Jej spokój nie miał trwać długo, bo z samego rana dostała nerwowego SMS-a, tym razem od mamy, że na wyspie, w sąsiednim Haiti, wybuchła epidemia cholery. Zmarło już parę osób i Martyna na pewno była następną w kolejce. Powinna gotować wodę do mycia zębów, nic nie jeść i nic nie pić. Hubert również się odezwał; radził Martynie pić tylko mocno gazowaną colę i alkohol. Procenty i dwutlenek węgla zabijają zarazki. Boże, co za wyspa! W recepcji mało kto słyszał o cholery i powiedzieli jej, aby się nie martwiła. Na pewno nie zachoruje. I nie zachorowała.

Dwa dni potem Martyna wróciła do Warszawy z... radością. Bo chociaż wyspa bardzo się jej podobała, to wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Przypomniała sobie przepowiednię wróżki mówiącą, że spotka „tego kogoś” na wyjeździe. Co za brednie! Na pewno nie wyjdzie za mąż za żadnego z poznanych niemieckich emerytów. A nikt więcej się nią nie zainteresował.

## *Rozdział 22*

*Jak mogłeś mi to zrobić?*

Po powrocie z Dominikany Martyna pojawiła się w pracy wypoczęta, opalona i bogatsza o nowe doświadczenia życiowe. Dała Hubertowi butelkę z mamajuaną dobrą na wszystko i nawet zamierzała go pocałować, a może i powiedzieć, że go kocha albo przynajmniej, że, jest kochany, ale Hubert był mocno zakatarzony, więc zrezygnowała. Jeszcze się zarazi, pomyślała. Hubert faktycznie wyglądał dosyć niewyraźnie. Pociągał nosem, kaszlał, narzekał na ból głowy, w końcu stwierdził, że tak źle się czuje, że wyszedł wcześniej do domu. Specyfik z Dominikany nie podział na polskie wirusy, bo na drugi dzień dopadła go gorączka i nie przyszedł do biura. Miał tego żałować przez długi czas. Ale z chorobami już tak jest: przytrafiają się w najgorszych momentach.

Następnego dnia Martyna uwijała się w pracy jak w ukropie; miała tyle do zrobienia, że nie wiedziała, w co ręce wsadzić. Nie było czasu, aby się podrapać ani spokojnie opowiedzieć, jak udał się urlop. Uzbierało się sporo zaległości w prowadzonych przez nią sprawach, a przecież musiała zastąpić Huberta i jeszcze panią Gosię, której też zachciało się zachorować. Akurat teraz. Ale pani Gosia była znana z perfekcyjnego wycucia czasu we wszystkich dziedzinach życia.

Do Huberta, jak na złość, ciągle ktoś dzwonił i czegoś chciał. Dyrektor Bączek domagał się na gwałt specyfikacji koncentratu miedzi, którą Metalex miał sprowadzić do huty. Aż dwa razy ją ponaglał, a Martyna nie mogła jej znaleźć. Gdzie, do diabła, Hubert mógł ją wsadzić? Przeglądała wszystkie

możliwe segregatory, ale na próżno. Specyfikacji nie było. Zawsze był bałaganiarzem, denerwowała się na swojego szefa. W końcu zadzwoniła do niego i Hubert słabym głosem powiedział jej, że specyfikację ma w komputerze. Niechętnie podał jej swoje hasło dostępu i mętnie określił miejsce, gdzie mogła ją znaleźć, sam bowiem dokładnie nie pamiętał. Martyna usiadła przy jego biurku i ponaglana telefonami dyrektora Bączka zaczęła przeglądać zawartość folderów. Jeśli jej szef miał jakiś system oznaczania i segregowania dokumentów, to był on znany jedynie jemu. W końcu znalazła szukany plik i szybko wydrukowała specyfikację. Ale podczas przeszukiwania folderów natknęła się na dokument zatytułowany „Martyna”. Ciekawe, co tam mogło być, zastanawiała się. Ale ponieważ nie miała za dużo czasu, zajęła się więc innymi sprawami. Domyślała się, że to pewnie ocena jej osoby jako pracownika Metaleksu. Słyszała, że kierownicy musieli przygotowywać takie opinie, bo rzekomo wtedy firma lepiej funkcjonowała.

Pod koniec dnia, kiedy wszystko co się waliło, zostało załatwione, znów usiadła przed komputerem Huberta. Tym razem miała spokój. Upewniła się, że Darek z Pawłem poszli do domu i nikt nieproszony nie zajrzy do jej pokoju. Wahala się... ale miała prawo wiedzieć, co kierownictwo o niej myśli. A może to było podanie o awansowanie jej z młodszego handlowca na handlowca? Albo od razu na starszego handlowca? Jeśli Hubert jest z niej niezadowolony... to też miała prawo wiedzieć. Przecież nikt się nie dowie, uspokoiła słabe wyrzuty sumienia i kliknęła dwa razy na dokument zatytułowany „Martyna”. Zaczęła czytać:

„Cześć!

Wiem, że obiecaliśmy sobie, że nie będziemy do siebie pisać żadnych listów i że to miał być tylko jeden raz, ale nie mogę o Tobie zapomnieć. Olu, ta noc w Krynicy była dla mnie jak przebudzenie. Chcę Ci podziękować. Jeszcze nigdy z nikim czegoś takiego nie przeżyłem. Nie mogę zapomnieć dotyku Twoich rąk, zapachu Twojego gorącego ciała i tych chwil rozkoszy, jakich razem doświadczyliśmy."

Włosy stanęły jej dęba. Nie musiała dalej czytać. Znała ten list prawie na pamięć. To był dokładnie ten sam list, który dostała, niby przez pomyłkę, od Czarka. Tylko co on robił w komputerze Huberta? Bardzo dziwne... nadzwyczajne zjawisko... Przecież nie dała mu tego e-maila nawet do przeczytania. Powiedziała tylko, co w nim było. Hubert nigdy nie był w Krynicy, ani na szkoleniu, ani nawet na koloniach letnich, do czego przyznał się kiedyś w rozmowie na zupełnie inny temat. Więc jakim cudem... chyba że Hubert napisał go sam i wysłał do niej, podszywając się pod Czarka! Och... jakie to dziecinne proste! Założył nową skrzynkę e-mailową, podając się w niej za Czarka, i stamtąd wysłał jej list. Aaaa????!!! Co to ma znaczyć????!!! O Boże????!!! To znaczy tylko jedno! Tylko jedno! Hubert jest podłą wszą, psem ogrodnika, plugawym robactwem i złem wszelakim. Intrygantem i krętaczem.

To on napisał ten list! Jak on mógł? Dlaczego to zrobił? Zniszczył jej miłość! Zniszczył jej związek, który tak dobrze się zapowiadał. Czarek mówił jej prawdę! Nie kochał Oli, przespał się z nią tylko jeden raz, bo go uwiodła i upiła. Działał po wpływie alkoholu albo i czegoś więcej. Pewnie narkotyków. Ta podła baba zmusiła go do seksu! Pewnie go zgwałciła! Albo i pobiła... A on żadnego listu do niej nie napisał, bo wstydził się całej

sprawy! I chciał o niej zapomnieć! Aaaa!!! Chyba umrę, pomyślała Martyna i oparła rozpaloną głowę na rękach.

Przeczytała list do końca. Potem jeszcze raz. I jeszcze raz. Nie było wątpliwości. Tekst się zgadzał co do joty. Hubert musiał pękać ze śmiechu, widząc jej rozpacz. Co za upokorzenie! Drań. Gnida. Szuja. Gorzej! Wieprz! Tłusty, najohydniejszy, najpodlejszy wieprz na świecie. Dlaczego to zrobił? I jeszcze miał czelność ją pocieszać. Wygadywał, że niby Czarek nie jest chłopakiem dla niej. Że zasługuje na kogoś lepszego i tym podobne brednie, jakby to on miał decydować, kto jest dobry dla Martyny, a kto nie. Moralista się znalazł! Pieprzony pedzio! A Czarek... przynajmniej nie kłamał. Uczciwie się przyznał do błędu. Zaufał, że mu wybaczy. .. A teraz... A niech to cholera weźmie! Już ona pokaże Hubertowi. Jak on mógł jej to zrobić? Skurkowaniec! Wieprz! A może chciał się zemścić? Czarek mówił, że zbyt nie lubią, bo mu kiedyś odbił dziewczynę. Ale to było jeszcze w szkole średniej! Co za pamiętliwy wieprz! Była tak wzburzona, jak jeszcze nigdy w życiu. Może poza momentem, kiedy po raz pierwszy dostała ów list, ale wtedy to było co innego. Wtedy była zdruzgotana, zrozpaczona, a teraz? Zdradzona i oszukana. Dwa w jednym, trucizna z trutką.

Najpierw chciała chwycić słuchawkę i nawymyślać Hubertowi. Później pojechać do niego i go spoliczkować. Następnie rozważała wynajęcie kogoś, kto miałby go dotkliwie pobić. Potem zabójstwo. Przedtem tortury. Tak, żeby go bolało. Bardzo bolało. Już ona wymyśli coś okrutnego.

Zamiast jednak podjąć któreś z gorączkowo rozważanych działań, siedziała jak posąg z kamienia, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Była

wstrząśnięta, jakby jej poukładany świat właśnie wywrócił się jak piramida z klocków.

W końcu wstała, ubrała się i powoli wyszła z biura. Szła ulicami oświetlonymi pomarańczowymi promieniami chylącego się ku zachodowi słońca. W powietrzu czuć było wiosnę, niektóre drzewa nadal były obsypane kwieciami, na innych już pojawiały się pierwsze nieśmiałe listki, ale ją tak pochłaniały własne myśli, że na nic nie zwracała uwagi. W głowie nie mogło jej się pomieścić, dlaczego Hubert to zrobił? Może to jakaś pomyłka? Gubiła się, w plątaninie myśli i domysłów. Co miała zrobić? Zadzwonić do Czarka i przeprosić go? Rzucić w twarz Hubertowi, jaki jest podły?

Ale przecież... Czarek ją zdradził i już to samo w sobie bolało... nawet jeśli zrobił to jeden raz, z przypadkową osobą, pod wpływem zwierzęcego impulsu zmieszanego z nadmiarem alkoholu. Poza tym... już jej na nim nie zależało. Wyleczyła się z tej miłości i nie chciała do niej wracać. Tylko dlaczego Hubertowi tak zależało, aby ich rozdzielić? Może chciał ją uchronić? Postanowiła ochłonąć i nie działać pochopnie. Może coś więcej z tego zrozumie. Najważniejsze, to nie zrobić nic głupiego.

W domu zjadła obiad i oświadczyła, że boli ją głowa i musi się wcześniej położyć. Wtuliła się w poduszkę i rozplakała się. Czy ma zadzwonić do Czarka? Czy żałowała, że się rozstali? Po zerwaniu dosyć szybko pogodził się z sytuacją. To również ją zabolalo. Zadzwoił trzy razy, zostawił wiadomość, na którą nie odpowiedziała. Nie rozpaczał, nie straszyl samobójstwem, nie błagał o przebaczenie i możliwość powrotu... Nie kochał jej tak bardzo, jak to sobie wyobrażała. Jak marzyła. Czyżby Hubert go przejrzał? Możliwe. Chciał ją przestrzec czy odpłacić koledze pięknym za nadobne za jakąś starą sprawę? Ogarnął ją smutek i pustka. Może gdyby się



nie dowiedziała o zdradzie Czarka, byłaby teraz z nim szczęśliwa? A tak... Po cholere ten ohydny gej wtrącał się w nie swoje sprawy? Co chciał przez to osiągnąć? Znow się rozplakała. Postanowiła, że poczeka do rana i zdecyduje, jak rozegrać te karty, które wcisnął jej los. Ciekawe co ta wróżka by jej teraz powiedziała? Zdrady i manipulacji jakoś jej nie przepowiedziała.

Wraz z nastaniem nowego dnia burza emocji szalejąca jeszcze wieczorem w duszy Martyny ucichła. Ranek przyniósł upragniony spokój, ślepą złość powoli zastępował zdrowy rozsądek i dystans do spraw. Jej odczucia, wczoraj jeszcze ostre jak miecz samurajski, uległy przytępieniu i przestały ciąć jej duszę i nerwy na drobne strzępy. Do głosu szansę miała dojść rozwaga i drzemiąca siła mądrości.

Wiedziała, że Hubert będzie na zwolnieniu do końca tygodnia, miała więc czas. Rozważała różne możliwe scenariusze. Mogła zażądać od Huberta wyjaśnień. Zadzwoić albo nawet pojechać do niego do domu, patrzeć, jak chory wije się w pościeli nękany wyrzutami sumienia i gorączką i skleca na poczekaniu niewybredne kłamstwa. Spojrzeć mu prosto w oczy! Niech się tłumaczy! To jej jedyna satysfakcja za upokorzenie, jakiego doznała. Później, już na zimno, stwierdziła, że ten wariant odpada. Ryzykuje, że się zarazi od Huberta, a tego by mu nie darowała.

Mogła zadzwonić do Czarka i próbować go odzyskać. Powiedzieć o znalezionym liście, zwalić winę na Huberta i prosić o wybaczenie. A potem znaleźć się w ramionach byłego kochanka i odpłynąć... w błękit nieba. Czarek na pewno rozprawiłby się z Hubertem jak należy. W końcu facet powinien bronić kobiety i jej honoru, prawda? Pewnie by mu nieźle dołożył. Może złamał nos? Tylko co by się stało, gdyby Czarek naprawdę okaleczył Huberta? To raczej mało prawdopodobne, ale wykluczyć nie można. Jeśli

Zosi udało się wybić zęb temu koleśowi z gorącymi łapami, to... I sprawa może stać się polityczna. Co, jeśli Czarka wezmą za istotę nietolerancyjną, zwalczającą homoseksualistów? Głupio by było... Kolegium, brukowce... Musiała też dopuścić możliwość, że Czarek wcale nie weźmie jej w ramiona ani nie będzie chciał wyzwać Huberta na pojedynek... Ale w duchu wiedziała, że nie to było prawdziwym problemem. Zastanawiała się czy faktycznie chce wrócić do Czarka. Czy chce z nim być tak na dłużej albo i na całe życie. Kiedyś wydawało jej się, że go kocha, a teraz... coś się wypaliło.

To co miała zrobić? W grę wchodziła również możliwość, że nie zrobi nic. Nie piśnie słówkiem, że znalazła list w komputerze, będzie się zachowywała tak jak zwykle, nie dając po sobie poznać, że wie o nikczemności Huberta. I wszystko będzie się toczyło jak dotąd, aż znajdzie moment, kiedy mu wygarnie całą prawdę i się zemści. Nie... też odpada. Po pierwsze, źle udaje, po drugie, wcale wszystko nie było tak jak przedtem.

Musi zrobić coś innego. Coś niekonwencjonalnego. Coś dobrego dla niej. Tylko dla niej. Wreszcie musi zadbać o siebie, jak radzą we wszystkich kobiecych pismach. Jeśli nie liczyć babci i mamy, jest na tym świecie zupełnie sama i nikt, ale to nikt nie będzie o nią dbał, musi sama się o siebie zatroszczyć. Bo na kuzynkę z Łodzi raczej liczyć nie może. Nigdy nie były sobie bliskie.

Przez cały dzień bezskutecznie głowiła się nad tym problemem. Wróciła wieczorem do domu i znów pomyślała o Czarku. Gdyby nie ten list, pewnie nadal byliby razem. Mogła przynajmniej do niego zadzwonić i porozmawiać. Tylko czy naprawdę tego chciała? Wyjęła czystą kartkę i przedzieliła ją na pół. Po lewej stronie postanowiła wypisać dobre strony

Czarka, po prawej wady. Chłodno zastanowi się, czy chce kontynuować tę znajomość, czy jest on tego wart, czy też zupełnie wymaże go z pamięci. Zaczęła od pozytywów: praca w banku, przystojny, miły, ma przyjemną rodzinę, potrafi tańczyć, niezły w łóżku, nie śmierdzi, czysty, nie wypadają mu włosy, zmienia buty na kaptcie, praktykujący katolik. Zastanowiła się, czy to ostatnie to zaleta, czy może nie, ale uznała, że wada to to nie jest. Po drugiej stronie miała wynotować minusy. Obiektywnie, oczywiście. Cholera... nic nie przychodziło jej do głowy... W końcu napisała, że babcia za nim nie przepada. E... czy to wada? I zaraz skreśliła. Musi być obiektywna, upomniała się w duchu. Nie mogła wymyślić żadnej złej cechy charakteru Czarka. No tak, ideał spotkała i wydziwia.

Ale przecież ideałem to on nie był. No bo, na przykład, nakrzyczał na nią w sylwestra, kiedy się „troszku” upiła. I zaraz dopisała: nie pomalował mi pokoju, wyjechał z rodziną na święta zamiast zostać ze mną, po rozstaniu dzwonił do mnie tylko przez dwa dni, a potem dał za wygraną. Nie stał pod klatką, rzadko przynosił kwiaty, nie odprowadzał do pracy. To ostatnie skreśliła, bo wcale nie chciała, aby odprowadzał ją do pracy. Po chwili namysłu napisała: nie ma samochodu ani mieszkania. Apodyktyczny. Miał zapędy do dyrygowania mną. W końcu wielkimi literami podsumowała: nie kocha mnie. Wniosek ostateczny – nie kocham go A potem podarła kartkę na drobne kawałeczki.

Czy chce być z facetem, który jej nie kocha? I którego ona nie kocha. Ale czy na pewno go nie kocha? No właśnie... głupio było się przyznać, ale właściwie... to nie wiedziała. Może kogoś zapytać? Ale kogo? Wróżki? Nie, absolutnie nie. Straciła już różne rzeczy w swoim życiu, ale wszystkie

klepki w mózgu jeszcze miała. Znowu usłyszy bajki w rodzaju, że ktoś się wokół niej kręci i że spotkają się na wyjeździe.

Pomaszerowała do kuchni, zrobiła sobie herbatę z cytryną oraz kanapkę z żółtym serem i ketchupem i usiadła zadumana. W domu panował spokój, bo nie było mamy ani pana Rysia. Babcia nie włączyła nawet telewizora, twierdząc, że ma dosyć słuchania o jedynej sprawie, którą telewizja wałkowała od paru miesięcy. Martyna poczłapała więc do pokoju, gdzie pani Pelagia siedziała w fotelu pod lampą i czytała. Kiedy zobaczyła wnuczkę, od razu odłożyła gazetę.

– A co to? Kolacyjka?

Martyna nie chciała jednak wcale rozmawiać o jedzeniu, ani nawet o odchudzaniu. Miała ważniejsze sprawy na głowie. Zaczęła prosto z mostu:

– Babciu, czy ty kochałaś dziadka?

Pani Pelagia spojrzała na wnuczkę badawczo.

– Którego? Pierwszego czy drugiego?

– Właśnie... A czy to nie wszystko jedno?

– Drugiego tak, pierwszego nie. – A skąd wiedziałaś, że go kochasz?

Babcia spojrzała na nią jeszcze bardziej podejrzliwie i odpowiedziała pytaniem na pytanie:

– A skąd wiesz, że chce ci się śmiać?

– No., bo... normalnie,.. bo się śmieję...

– Tak samo z miłością. Bo chcesz być z tą osobą, choćby nie wiem co, i do głowy ci nie przyjdzie, żeby się zastanawiać dlaczego.

– A jak się nie wie?

– To znaczy, że się nie kocha, tylko człowiek chce się ustawić w życiu.

– Ale prawdziwa miłość może przyjść później, z czasem. Wiesz.., taka głęboka.

– Podobno. Mnie się nie zdarzyło. A skąd te pytania?

– zainteresowała się babcia.

– Bo nie wiem, czy kocham Czarka.

– Nie, nie kochasz.

– Dlaczego tak myślisz? – spytała zaskoczona.

– A tego to ja już nie wiem. Może dlatego, że on nie kocha ciebie.

Oboje jesteście samotni, więc za wszelką cenę chcecie z kimś być. Czasami takie układy się sprawdzają. Ale rzadko.

– Babciu... a skąd ty wiesz takie rzeczy?

– Dziecko, to że wzrok mi się pogorszył, to nie znaczy, że jestem całkiem ślepa. Mnie się nie podoba Czarek, jest w nim coś fałszywego. Taki niby elegancik, ale... mało w nim szlachetności. I nie widzę, żeby cię kochał. To już ten pan Hubert sympatyczniejszy.

Martyna przerwała jej w pół słowa.

– Babciu, lubisz Huberta, bo pomalował mi pokój, ale...

– Ugryzła się w język. Nie wiadomo czemu, nie miała ochoty wyjawiać babci prawdy o orientacji seksualnej Huberta. Przypomniała sobie mamę Zosi, która trzy razy wygotowała pościel po łysym Angliku, bojąc się wirusa HIV. Ściany trudniej byłoby zdezynfekować. Może babcia chciałaby zdrapywać tynk? Lepiej nie ryzykować. Odparła więc: – To jeszcze nic nie znaczy. Chyba zrobił to, bo sam u siebie niedawno malował pokój.

– Martynko, nie wiem, czy w Boga znów uwierzyłaś przy Czarku, ale w anioły na pewno. Ale powiem ci, że ja już tyle lat żyję i jeszcze żadnego nie widziałam. Diabła łatwiej spotkać.

– O co ci chodzi?

– Nie wierzę, że ten Hubert to taki bezinteresowny anioł.

– No, aniołem to on faktycznie nie jest. – Martynka uśmiechnęła się do swoich myśli – Raczej diabłem...

– A tego to już nie wiem.

– Oj, babciu, babciu. – Objęła panią Pelagię i złożyła głowę na jej ramieniu. – Babciu, czy mnie ktoś kiedyś pokocha?

– Na pewno, Martynko, na pewno. – Babcia poklepała ją z czułością po ramieniu. – Ale nie śpiesz się z tym jak na pociąg. To samo przyjdzie. Po prostu żyj, bądź między ludźmi, a najważniejsze, to miej przyjaciół. Oni czasami ważniejsi.

Następnego dnia Martyna dowiedziała się, że w dziale marketingu zwalnia się posada. Ta wiadomość spadła jej jak gwiazdka z nieba. Hanka powiedziała o tym w największej tajemnicy i zapytała, czy Martyna nie chciałaby starać się o to stanowisko. Marketing – to brzmiało nieźle. Wyjazdy były częstsze, więcej kontaktów z ciekawymi ludźmi, to było kuszące. Przesuwanie wagonów i pilnowanie faktur już trochę się Martynie znudziło. Zmiana mogła dobrze jej zrobić również z innego powodu. Przestanie widzieć codziennie Huberta, pozna nowych ludzi, spojrzy na świat innym okiem. Zresztą, po odkryciu, że to Hubert napisał list szkalujący Czarka, pomyślała, że wzajemne niewidywanie się dobrze im zrobi. Hubert przestał być całkiem fajnym szefem gejem, a stał się... no, właśnie. Patrzyła na niego innymi oczami. Sama nie wiedziała, co czuła. Uraz był jeszcze świeży i bolał. To, co zrobił, to była najohydniejsza manipulacja. Może w przyszłości podziękuje mu za to, że uwolnił ją od Czarka, ale teraz... chciała być od tego wszystkiego daleko. Nawet bardzo

daleko. Zdecydowała, że przejście do działu marketingu to byłby krok naprzód w jej karierze i postanowiła pójść do dyrektora Bączka na rozmowę.

Przyjął ją w swoim gabinecie, wysłuchał i bardzo się zdziwił.

– Wydawało mi się, że stanowicie z Hubertem świetny duet. Myślę, że pomimo początkowych oporów zaakceptował cię w pełni i teraz pewnie będzie mu żal, kiedy się dowie, że chcesz odejść – powiedział, wpatrując się w Martynę.

– Mam również pewne powody osobiste, o których jednak wolałabym nie mówić.

Bączek westchnął głęboko. Cholera, to się nazywa praca z młodymi ludźmi. Zakochują się, odkochują i same z tego kłopoty. Podejrzewał, że Hubert złamał Martynie serce i z tego cały dramat. Zakochała się, a on ma ją w nosie. Cały Hubert. Bo cóż mogło być innego? Tylko zdawało mu się, że lubił Martynę. Jak widać, pomylił się. Od początku przeczuwał, że to się źle skończy. Już od tej rozmowy z panią Martą.

– Dobrze, powiem Kowalskiemu, że chciałabyś przenieść się do marketingu.

Dyrektor Kowalski, pouczony, że Martyna to ta młoda osóbka, którą spotkał na targach w Hanowerze, nie widział problemu. Stwierdził, że taka dziewczyna świetnie nadaje się do marketingu, i jeszcze tego samego dnia Martyna wyszła z pracy cała w skowronkach, myśląc o swojej dalszej karierze. Był do spełnienia tylko jeden warunek. Kowalski powiedział, że Hubert musi się zgodzić. Ale zgodzi się na pewno. W razie czego pokaże mu list i już. Przecież nie będzie jej trzymał na siłę. Jak psa na uwięzi.

Tymczasem Hubert, nie przeczuwając niczego, powoli dochodził do siebie. Zapalenie oskrzeli zmogło go całkowicie, leżał z gorączką zupełnie



bez sił, brał przepisane antybiotyki i zanosił się kaszlem. Nie znośił chorować. Wysmarkiwał nos w papierowe chustki, naokoło pełno było kubków z niedopitą herbatą, ale mówił sobie, że jest tak osłabiony, że nie ma siły sprzątać. Kiedy zjadł ostatnią kromkę chleba, jaką miał, zgodził się na odwiedziny mamy. Tak jak się spodziewał, w domu zaczęła się rewolucja. Mama zmieniła pościel na czystą, odkurzyła, zrobiła pranie, ugotowała rosółek i kurczaka. Potem rozejrzała się z niesmakiem po mieszkanku i zapytała, czy w niedalekiej przyszłości Hubert zamierza się w końcu urządzić. W pokoju, oprócz materaca, szafy i telewizora, był tylko jeden oblany farbą stółek, na którym stał laptop Huberta, i nie wolno go było ruszać. Musiała pożyczyć krzesło od sąsiada, aby na czymś usiąść. Dobrze, że kuchnia i łazienka były wykończone. Hubertowi najwidoczniej to nie przeszkadzało, bo ze spokojem w głosie odpowiedział, że już niedługo wszystko kupi i mamusia może się nie martwić. W końcu zdrowie mu się na tyle polepszyło, że w poniedziałek poszedł do pracy.

Spóźnił się jak *zwykle* i nieco zdziwił, że na biurku nie było kawy. Pewnie Martyna nie wiedziała, że dziś się pojawi. zaraz wytłumaczył sobie to niedopatrzenie. Kiedy w końcu przyszła i wyrecytowała mu prosto w twarz przygotowany tekst, był kompletnie zaskoczony.

– Dostałam propozycję przeniesienia do działu marketingu. Mam nadzieję, że nie stanie mi pan na drodze do kariery zawodowej i zgodzi się, abym opuściła zespół metali.

Hubert spojrział na nią z malującym się na twarzy całkowitym niezrozumieniem.

– Co ty mówisz?

– Przenoszę się do działu marketingu. Zwalnia się tam akurat posada – opowiedziała z kamienną twarzą.

– Ale... zaraz... chwileczkę... przecież pracujesz tutaj.

– Chcę odejść.

– Odejść... ale dlaczego? Teraz? Kiedy wszystkiego się nauczyłaś? Przecież nasza współpraca dobrze się układa. Jesteś tu potrzebna! Martyna, co jest grane?

– Myślę, że będzie mi lepiej w dziale marketingu. To wszystko. Zresztą z pewnych powodów nie chcę już z panem pracować.

– Usiądź i spokojnie mi wszystko opowiedz. Mogę się dowiedzieć, co to za powody? – Spojrzał na nią najpoważniej, jak umiał. – Inaczej nie dam ci zgody – dodał surowym tonem.

Martyna zawahała się.

– Wie pan, co znalazłam w pana komputerze?

– Pojęcia nie mam.

– List.

– List? Jaki list?

– List, który pan napisał, podszywając się pod Czarka, i który, niby przypadkiem, został wysłany na mój adres e-mailowy zamiast do jakiejś tam Oli – wyrzuciła z siebie jednym tchem, patrząc mu prosto w oczy.

Hubert zdębiał. Poczul, jak włosy zjeżyły mu się na głowie, a przez plecy przebiegły lodowate ciarki. Nagle zrobiło mu się gorąco i zimno zarazem. Palce dłoni stały się wilgotne od potu. Nie wiedział czy ta fizyczna reakcja organizmu wynika bardziej ze złości na samego siebie, czy też ze wstydu, że jego podły występki został odkryty. No to chryja na całego. Zaklął po nosem. Jak ma się bronić? Czy w ogóle? Zatkalo go zupełnie.

Boże, jakim jest palantem! Nie skasował tego cholernego listu. Jak to możliwe! Westchnął głęboko i opadł na fotel. Cały czas czuł na sobie wzrok Martyny, w którym tyle było zawziętości, żalu i krzywdy, że aż się zląkł.

– A więc znalazłaś... Słuchaj... – Przetarł twarz rękami i dopiero po chwili zastanowienia odezwał się. – Nie będę się wypierał, to ja napisałem ten list i specjalnie wysłałem go do ciebie zamiast do Oli, której nawet nie znam. Założyłem nową skrzynkę e-mailową i podszycłem się pod Czarka. Zrobiłem to, bo... uważałem, że powinnaś wiedzieć o tym, że cię zdradził, i to w momencie, kiedy oboje byliście w sobie zakochani po uszy. Wiesz... jeżeli zrobił to w takim czasie i okolicznościach, to trzeba się spodziewać, że w przyszłości zrobi to jeszcze raz. Chciałem ci oszczędzić ewentualnego bólu, bo tak się złożyło, że wiem, co to znaczy być zdradzonym, i nikomu nie życzę. Po drugie, widziałem, jak cię traktuje, i to też mi się nie podobało. Przypadkowo byłem w sylwestra w tym klubie na Żoliborzu i widziałem cię tańczącą na stole. Zdaje się, że byłaś pijana, ale sposób, w jaki Czarek ściągał cię ze stołu... nie podobał mi się. Miałem prawie ochotę dać mu w twarz. Tak nie traktuje się dziewczyny. Szczególnie swojej dziewczyny. Nawet jeśli się upiła. Ponieważ widziałem twoje zaangażowanie, chciałem więc zwyczajnie ci pokazać, jakim jest facetem. Doszedłem do wniosku, że jeśli naprawdę się kochacie, to wytłumaczcie sobie wszystko i Czarek nie pozwoli ci odejść. Naprawdę przykro mi, że stało się inaczej.

– A więc widział mnie pan tańczącą na stole w sylwestra?!

– Tak.

– Dlaczego mi pan nie powiedział?

– Bo może ja nie chciałbym, abyś ty mi opowiadała, jak widziałas mnie we wstydlivych sytuacjach?

Martyna zaczęła się robić czerwona, ale nie jak maliny czy piwonie, lecz jak buraki pospolite. Boże, co za wstyd. Była wtedy pijana. Tańczyła na stole. Czy ten cholerny Hubert musiał to widzieć? A co on jest? Czy przejął od pani Gosi zdolność pojawiania się w najmniej stosownych momentach tam, gdzie akurat nie potrzeba?

– Nie sądziłam, że pan chodzi w takie miejsca – odpała.

– Myślisz, że ja już nigdzie nie chodzę?

– Chodzi pan, oczywiście. Tylko w innym towarzystwie.

– Właśnie, w innym.

– A skąd pan wiedział o zdradzie Czarka?

– Martyna, nie mogę ci wszystkiego powiedzieć. Powiedzmy, że wiem od osoby dobrze poinformowanej. Czyżby Czarek zaprzeczył?

– Nie. – Spuściła głowę – Powiedział, że był pijany i został uwiedziony.

– I to będzie jego wymówka za każdym następnym razem? Przecież jest to dla ciebie przykre, prawda? Zrozum. .. chciałem, żebyś wiedziała, w co się pakujesz. Po ślubie już trudniej jest się rozstać. Naprawdę... uwierz mi, chciałem dla ciebie dobrze.

– No może ale , pomimo wszystko jest pan... jest pan dla mnie... wieprzem. I nie mogę z panem dłużej pracować. – Poczowała łzy napływające jej do oczu. – Bardzo proszę o wyrażenie zgody. Tak będzie najlepiej dla nas obojga.

## *Rozdział 23*

*A świat toczy się dalej...*

Następne miesiące, choć ciepłe i prawdziwie wiosenne, okazały się chłodne dla stosunków pomiędzy Hubertem a Martyną. Nie pachniało w nich konwaliami ani peoniami, nie było wiosennego ciepła, które gościło za oknem. Ich przyjacielskie stosunki urwały się jak przetarta nitka. Unikali się nawzajem, z daleka wymieniali ukłony, jeśli przypadkiem spotykali się na korytarzu czy biurowym parkingu.

Hubert był wściekły na siebie, że dał się zaskoczyć i nie odważył się powiedzieć Martynie, dlaczego naprawdę napisał ten głupi list. Zadręczał się do bólu, że był tak nieostrożny i nie wykasował kompromitującego dokumentu z komputera. Chciał do niej zadzwonić, poprosić o spotkanie i... wyznać miłość. Ale nie zrobił tego. Potwornie bał się odrzucenia. Skóra mu cierpła na samą myśl, że mógłby zostać wyśmiany albo dostałby kosza. Czułby się jak pajac. Albo gorzej – jak skompromitowany, mało śmieszny błazen w objazdowym cyrku. Żaloszny wybryk natury. A może jej nie kochał? Nie, wiedział, że to nieprawda. Każdego dnia przeżywał katusze, że jej nie widzi; męki godne miana pokuty zadanej przez najsurowszego księdza. Na dodatek ta oschłość... kiedy sobie przypominał jej lodowaty wyraz twarzy podczas ich ostatniej rozmowy, miał wrażenie, że pojął wreszcie sens bajki o Królowej Śniegu, Gerdzie i Kaju. Martyna zachowywała się tak, jakby odłamek lodu wbił się w jej serce i zupełnie je zamroził. Ta niewzruszona, zacięta mina... Na jego oczach stawała się coraz bardziej... odległa. Na domiar złego starała się go unikać. Przemykała

korytarzami, ledwo szepcząc „dzień dobry”, i znikwała za jakimiś drzwiami. Zupełnie nie zwracała na niego uwagi, jakby nagle przestał być przystojny! A przecież nadal świetnie wyglądał! Wszystkie inne dziewczyny, które znał, dosłownie pchały mu się do łóżka, a ona w tej kwestii wykazywała obojętność zimnej ryby. Cholera, przeklinał w myślach, wpadł w zupełną gnojówkę. Stracił nawet jej przyjaźń. To wręcz go złościło. Chciał przestać o niej myśleć, ale nie mógł! Postanowił więc zdać się na los i czekać. Tliła się w nim isierka nadziei, że kiedyś Martyna wreszcie go dojrzy.

Któregoś dnia przeczytał w gazecie, że pewien poseł, ten, z którym miał okazję zamienić słowo przez telefon w okolicznościach nieoczekiwanych dla nich obu, jest podejrzany o malwersacje finansowe i oszukanie fiskusa na grube tysiące. Gazeta powoływała się na anonimowe źródło. Hubert podejrzewał, że za przeciekiem kryje się jego dawna miłość, Lucy. Odłożył ze wstrętem gazetę. Właściwie nie powinien się dziwić, znał naturę Lucy i wiedział, że była mściwa. Podejrzewał, że jego dawna dziewczyna nie może darować posłowi, że totalnie się na nią wypiął. Rozbujane ambicje i niespełniona obietnica zostania szefową kampanii wyborczej domagały się odwetu. A Lucy zachowywała się jak wściekła kotka; umiała wbić pazurki w najbardziej czułe miejsce we właściwym momencie. Zdał sobie sprawę, że dawno już o niej nie myślał. Ulotniła się z jego życia jak dym ze spalonej opony. Nawet brzydki zapach już wywietrzał. Z dawnej miłości nie pozostało nic. Zero. Resztką wyblakłych wspomnień i zupełna obojętność. Odetchnął głęboko z ulgą.

Postanowił skupić się na swoim życiu; meblował mieszkanie, chodził na niedzielne obiady u mamy i dużo czasu spędzał w firmie. Już od początku swojej pracy interesował się giełdą, bo cena metali kolorowych

takich jak miedź, cyna, cynk, aluminium, złoto czy nikiel, których handlem zajmował się jego zespół, jest ustalana na Londyńskiej Giełdzie Metali. Swoje zainteresowanie naturalnie rozszerzył na Warszawską Giełdę Papierów Wartościowych. Wiedział od paru znajomych, że trafnie inwestując, można się dorobić większych pieniędzy. To było kuszące. Zaczął dużo czytać na ten temat i odważył się zainwestować część swoich oszczędności. Najpierw były to niewielkie kwoty, a kiedy zobaczył, że jego pierwsze przewidywania okazały się trafne, zupełnie wciągnęło go to śledzenie cyferek, wykresów, ba, nawet czytanie obszernych raportów finansowych firm. Jego analityczny umysł potrafił skupić się na tych nudnych dla przeciętnego zjadacza chleba kwestiach, chłodno ocenić finansową kondycję spółek i wytypować te, których notowania miały potencjał, aby wzrosnąć. Z czasem zaczął nawet doradzać innym. Na przykład, namówił Patryka na kupienie pewnych akcji, w wyniku czego jego kolega zarobił na tym w krótkim czasie spore pieniądze. Do tej pory ta kapitalistyczna instytucja kojarzyła się Patrykowi tylko z krachem, czarnym piątkiem i przekrętem. Coś na kształt tajemniczego stwora wymyślonego przez kapitalistów, aby pożreć pieniądze drobnych ciulaczy. Teraz sam śledził codzienną cedulę giełdową i widział, że, mądrze inwestując, może pomnożyć swój majątek. Zainteresowanie giełdą umocniło przyjaźń obu panów, pomimo zdecydowanie odmiennych upodobań seksualnych. Fama o spekulacjach giełdowych Huberta rozeszła się do *po całym* Metaleksie. Kiedyś szepnął o tym słówko pani Gosi, która to „słówko” przekazała dalej. W ten sposób Hubert powoli stawał się nieoficjalnym firmowym guru od inwestycji na giełdzie. To jego nowe hobby tak go wciągało, że pozwalało



mu nie myśleć o życiu prywatnym. I mękach duszy, jakie przeżywał z powodu Martyny.

Tymczasem Martyna zupełnie wsiąkła w swoją nową pracę w dziale marketingu. Szybko wdrożyła się do nowych obowiązków i polubiła je. Kreatywna strona jej natury wreszcie znalazła swoje miejsce. Miała do czynienia z grafikami, plastykami, ludźmi mediów, przygotowywała targi i wystawy. Z koleżankami świetnie się dogadywała, atmosfera w ich pokoju stwarzała komfortowe warunki pracy, jednym słowem, jej życie zawodowe było bardzo udane. Niestety, nie można było tego samego powiedzieć o jej życiu prywatnym, które utknęło w martwym punkcie. Do Czarka nie wróciła, zresztą wkrótce okazało się, że znalazł sobie następczynię Martyny, i nawet chodziły słuchy, że zamierza się żenić. Przystojni mężczyźni, których spotykała w pracy czy w klubach, gdzie chodziła teraz głównie z Hanką, zazwyczaj byli zajęci albo w ogóle się nią nie interesowali. Gdyby nie obejrzała serialu o jakimś facecie z magnetycznie niebieskimi oczami, który chce uciec z więzienia, jej życie byłoby zupełnie pozbawione nawet tych paru wirtualnych, acz miłosnych westchnień, które osładzają kobietom ich szarą egzystencję, bez względu na wiek.

Kontakty między nią a Zosią i Sandrą przestały być takie częste jak kiedyś. Wydawało się, że każda szła swoją drogą, jaką wyznaczył jej los. Sandra już mieszkała z Robertem i nawet bąkała coś o ślubie i dziecku. Życie uczuciowe Zosi stabilizowało się bo od paru miesięcy była z Grześkiem i zamiast zastanawiać się wspólnie z Martyną, czy to ten, paplała ciągle o prawie jazdy, na które zdawała już piąty raz. Ponoć tylko dlatego, że miała niemiłego egzaminatora, który nie lubił kobiet. Postanowiła, że się nie podda i na przekór staremu dziadowi zda.

Sytuacja wyglądała zupełnie inaczej u mamy Martyny. Średni wiek okazał się dla niej złotym okresem życia. Przyjaźń z sąsiadem z czwartego piętra, który wpadł do jej życia wraz z lejącą się przez strop wodą, przemieniała się w trwały związek. Po wczesnej śmierci swojego męża, ojca Martynki, pani Renata nie sądziła, że jeszcze kiedyś w życiu dozna szczęścia z drugim mężczyzną. Opiekując się córką i matką, żyła skromnie, święcie przekonana, że taki los zapisano jej w gwiazdach. Miłość wydawała jej się niewartymi zachodu mrzonkami, nawet więc o niej nie marzyła. Lata płynęły, Martyna rosła, a w życiu pani Renaty nie działo się nic. Dni wypełniała pracą w szkole, korepetycjami, opieką nad mamą i córką. Szła przez życie, zawsze myśląc o innych, nigdy o sobie. Ubierała się w przyćmione kolory, nie nosiła biżuterii ani makijażu, sądząc, że to nie dla niej. Kłopoty z gardłem zmusiły ją do przejścia na wcześniejszą emeryturę i wycofania się z zajęć z młodzieżą. Gdyby nie pan Rysio, pewnie do końca życia pozostałaby szarą myszką.

Teraz wydawało się, że chce nadrobić stracony czas, bo zaczęła się zmieniać nie do poznania. Codziennie się malowała, kupiła sobie parę nowych ciuchów, nagle znalazła jakieś zapomniane korale i bransoletki, w domu pojawiła się czerwona szminka i buty na obcasach. Pani Renata zawsze dużo czytała, ale teraz знаła również repertuar wszystkich płać za bilety, wbijał się w garnitur, skrapiał wodą kolońską i szedł ze swoją damą na randkę, szczęśliwy, jakby miał szesnaście lat. Następnego dnia pani Renata, siedząc w kuchni, opowiadała babci i Martynie treść sztuki, na której była poprzedniego wieczora, ze wszystkimi szczegółami. Martyna pomyślała, że w ostatnich tygodniach pani Renata była tyle razy w teatrze, co dotąd przez całe swoje życie. Na bardziej dociekliwe pytania o pana

Rysia lekko się czerwieniła i mówiła „Nie wasza sprawa”. Ale wydusiły z niej, że podobno nigdy nie był szczęśliwy w małżeństwie i tylko przyzwoitość nakazywała mu o tym nie mówić i trwać w związku do końca jak żołnierz na posterunku.

Któregoś dnia Martyna uznała, że dobroczynny wpływ pana Rysia na jej mamę poszedł grubo za daleko. Pani Renata mianowicie zaczęła głośno w kuchni rozważać, czy nie zrobić sobie tipsów, i dopytywała się o Sandrę, która miała zrobione paznokcie. Martyna przestraszyła się nie na żarty. Zupełnie, ale to zupełnie nie mogła sobie wyobrazić matki, osoby zawsze tak skromnej, z, na przykład, czerwonymi tipsami. E... w ogóle z żadnymi tipsami. Ledwo przełknęła zmianę koloru włosów na jaśniejszy blond, który miał panią Renatę odmłodzić, i czerwoną szminkę do ust. Ponadto pani Renata, niby niespostrzeżenie, zaczęła mniej jeść. Początkowo nikt nie zwrócił na to uwagi, ale ponieważ schudła, przewinienie więc zauważono. Babcia głowiła się, czy aby nie chora, ale Martyna od razu wiedziała, że jej matka zakochała się w panu Rysiu, i podejrzewała, że uczucie zdążyło się „zmaterializować”. Kiedy w łazience pojawił się balsam do ciała i dobre perfumy, a mama zaczęła znikać z domu pod dziwnymi pretekstami, przestała mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Co mogła zrobić? Chyba powinna być szczęśliwa.

O tym, jak daleko posunęły się sprawy między panią Renatą a panem Rysiem, Martyna dowiedziała wkrótce. Pewnego majowego wieczoru. Siedziała w pokoju mamy, gapiąc się w telewizor i oglądając jakiś program publicystyczny, podczas kiedy jej rodzicielka wypełniała przekaz na pocztę.

– Mówiłam ci, że rachunki można płacić przez Internet. Bez opłat. Po co się tak męczyć i wypełniać te świstki. I jeszcze musisz na pocztę latać. Bez sensu. – Martyna spojrzała na mamę z dezaprobatą.

– Mnie to nie przeszkadza. Dobrze mi robią wyjścia z domu. Zresztą, nie umiem się posługiwać komputerem.

– Ale ja umiem.

– Ty zaraz wylecisz z domu, a ja tu z rachunkami zostanę.

– Na razie się nie zapowiada.

– Takie rzeczy przychodzą nagle. I kończą się też nagle – dodała, nie podnosząc głowy.

– Co masz na myśli? Mnie i Czarka?

– Nie o to chodzi...

– To o co? – zapytała zaintrygowana Martyna, patrząc na pochyloną mamę.

– O nic... o nic... – burknęła pani Renata.

– Mamo, przecież widzę. O co chodzi?

– No... mam pewien dylemat z Rysiem. – Pani Renata sięgnęła do torebki i wyjęła z niej małe pudełeczko, takie, jakie dostaje się od jubilera. W środku był pierścionek. Martyna domyślała się, od kogo jest ten podarek, spojrzała więc na nią bez cienia zrozumienia.

– Oj, Martynko, nie o to chodzi. Nie mogę go przyjąć.

– Dlaczego?

– Rysio chce, abym wyszła za niego za mąż i przeprowadziła się. A ja nie mogę zostawić babci. Przecież to rozumiesz.

– Poprosił cię o rękę! I nic nie mówisz! Oczywiście, że powinnaś zostać jego żoną. Taka okazja drugi raz się nie powtórzy – powiedziała podekscytowana Martyna.

– I co, zostawię babcię i ciebie?

– Po pierwsze, nie wyprowadzasz się na koniec świata. Po drugie, ja i babcia jesteśmy już dorosłe. I, w końcu, ja zostanę z babcią, bo jak na razie nigdzie się nie wybieram. Za męża też nie. Nie widzę więc problemu.

– Martynko, przecież ty cały czas w pracy jesteś albo gdzieś chodzisz.

– Babcia będzie cię miała w zasięgu paru zaledwie metrów w linii prostej. Ten układ byłby perfekcyjny! Nie widzisz tego?

– To ty nie widzisz. Babcia byłaby sama w domu. Ona tego nie lubi. Cały czas byłam z nią i nie mogę jej tak na starość zostawić.

– Chcesz poświęcić własne szczęście? – To chyba za górnolotne słowa!

– Kochasz go?

– No... chyba tak – wykrztusiła pani Renata, czerwieniąc się. – Ale małżeństwo w tym wieku... to niepoważne.

– Mamo, masz absolutnie wyjść za męża za pana Rysia. Słyszysz! Absolutnie!

– Martynko, moje dziecko, pragnę ci przypomnieć, że to nie twoja sprawa, ale moja.

– Mamo ...nie masz pojęcia jak bardzo chcę mieć twój pokój. Musisz się zgodzić. Musisz!

– Nie denerwuj się, jeszcze mu nie odmówiłam, powiedziałam jedynie, że potrzebuję czasu do namysłu. To trudna decyzja. Nie wiem, czy jestem gotowa. Czy się nadaję. Ludzie mają swoje przyzwyczajenia... Nie mamy po

naście lat. I ty go nie za bardzo lubisz. To takie wymuszone szczęście. Nie wiem, czy podołam.

Martyna podeszła i przytuliła mamę. Trwały tak w uścisku przez dłuższą chwilę. A potem, już spokojniejszym tonem, zaczęła mamę przekonywać:

– Mamo, jakie wymuszone? Co ty gadasz. Zupełnie zwariowałaś. Pozwól sobie na trochę szczęścia, skoro się do ciebie uśmiechnęło. Nie możesz się wszystkiego ciągle bać. A co do mnie, to już się przyzwyczaiałam. I lubię go. Tak, nawet bardzo. Masz zostać jego żoną i kropka – zakończyła wypowiedź stanowczym tonem.

Jeszcze tego wieczoru poczuła w sobie taki zapal do budowania szczęścia swojej mamy, że postanowiła zrobić wszystko, co w jej mocy, aby jej w tym dopomóc. Miała ochotę udać się do pana Rysia i powiedzieć, że jak najbardziej jej mama zgadza się na małżeństwo, ba, marzy o nim, tylko jest nieśmiała. Obawiała się, że sąsiad z góry może się do rana rozmyślić, wyjechać albo nawet nagle przedwcześnie umrzeć. Nie poszła do niego na rozmowę tylko dlatego, że pora była już późna i miała na sobie piżamę. Jej zamiary ochłodził również ton mamy, która surowo zabroniła jej wtrącać się w cudze sprawy. Martyna położyła się więc spać z ciężkim sercem, bo co miała robić. Westchnęła tylko i w intencji mamy i pana Rysia zmówiła pacierz, który przypomniła sobie z okresu, gdy była z Czarkiem. Tak bardzo chciała, aby jej mama doznała w życiu tych paru chwil szczęścia bo zasługiwała na nie bardziej niż ktokolwiek inny, kogo znała.

Następnego dnia nie poszła do pana Rysia, bo gdy wróciła z pracy okazało się, że właśnie była tam jej mama. Obie z babcią nasłuchiwały najdrobniejszych dźwięków dochodzących z mieszkania pana Rysia i tym

razem życzyłyby sobie, żeby strop był cieńszy. Niestety, nic a nic nie usłyszały. Babcia również uważała, że skoro takie szczęście samo pcha się w ręce, to nie ma się co zastanawiać, tylko trzeba brać, ale ani ona, ani Martynka nie mogły zmusić pani Renaty do małżeństwa.

– Ach, zawsze uparta była – jęknęła pani Pelagia z rozpalonymi wyczekiwaniem policzkami.

W końcu usłyszały kroki na klatce schodowej, potem zgrzyt zamka i drzwi ich mieszkania otworzyły się, ukazując uśmiechniętą twarz pani Renaty i stojącego za nią pana Rysia. Powitały ich nie mniej radosne oblicza Martyny i pani Pelagii, wpatrzone w przybyszów jak dwa psiaki w kość. Pani Renata wzięła głębszy oddech i powiedziała:

– Ustaliliśmy z Rysiem, to znaczy... Rysio, jak wiecie, poprosił mnie o rękę i zgodziłam się, ale pod warunkiem, że przeprowadzi się do nas. I Rysio się zgodził.

Martynka i babcia pochyliły się lekko do przodu i uśmiech zamarł na ich twarzach. Czyżby pani Renata postradała zmysły? Pan Rysio tutaj, w ich małym mieszkanku? Czy ona zwariowała? Miłość różne ma efekty uboczne...

– Tu do nas? – zapytała ostro Martynka, myśląc, że się przesłyszała.

– Tak, Martynko, będzie mieszkał razem ze mną w dużym pokoju.

– A... a ha... A co z mieszkaniem pana Rysia?

– Wynajmiemy.

– Wynajmiemy ?!Komu?!–krzyknęła z nieukrywanym przerażeniem w głosie Martyna.

Pan Rysio uśmiechnął się tajemniczo. Pani Renata spojrzała na niego z czułością, od której serce mu urosło. Wpatrywali się we własne oblicza,



pochłonięci tą chwilą szczęścia. Dopiero energiczne chrząknięcie Martynty przywołało ich do rzeczywistości.

– Rysiu, powiedz o naszym planie.

Tym razem pan Rysio chrząknął i spojrzał na babcię i na Martynę.

– Pomyśleliśmy z Renatką, że moglibyśmy wynająć to mieszkanie pewnej młodej panie o imieniu Martyna.

– Mnie! – zawołała Martyna.

– Tak, tobie. Słyszałem, że marzysz o tym, aby mieszkać sama

– NO, ale...

– Chyba że nie chcesz. Na razie wynajem będzie polegał na tym, że będziesz sama płacić za prąd i gaz. A potem, jeśli zechcesz wykupisz mieszkanie na korzystnych warunkach. ..

Martyna zaczęła krzyczeć z radości i rzuciła się panu Rysiovi w objęcia. No bo przecież był kochany.

Następne dwa miesiące upłynęły na entuzjastycznym przenoszeniu mebli, wyrzucaniu gratów, kupowaniu drobiazgów i przygotowaniach do ślubu pani Renaty. Energia rozpierała Martynę i jej mamę, babcia im kibicowała, ile sił w sercu, a pan Rysio zadowolony dreptał z kąta w kąt, drapał się w głowę i nie bardzo wiedział, gdzie ma się podziać. Przeprowadzki, porządki i wprowadzanie nowego ładu zupełnie go przerastało i było sprzeczne z jego naturą. Zgadzał się na wszystko, co zaproponowała pani Renata, potakiwał tylko głową i mówił "Jak sobie pani dobrodziejka życzy" albo „Ja, jak na zawołanie, już biegnę na usługi". W duchu marzył, aby to całe zamieszanie wreszcie się skończyło. Był urodzonym domatorem, który pragnie usiąść na kanapie w starych kapciach, a jeśli będzie miał w kuchni panią Renatę gotującą obiad, a szarlotkę babci

pod nosem, to poczytywał to za szczęście całkowite. Swoją łagodnością obycia wniósł tyle spokoju do mieszkania na trzecim piętrze, ile dawno tam nie było, i tym zdobył sobie serce nawet Martynty.

Pan Rysio z pozoru tylko był taką ciapą, o którą natura pani Renaty tak bardzo pragnęła się zatroszczyć. W istocie szare komórki całkiem nieźle u niego funkcjonowały. Żywo interesował się polityką, gospodarką i światem w ogóle.

Życie pani Renaty i babci przestało się ograniczać do telewizyjnych seriali, przepisów kulinarnych i omawiania domowych sposobów na różne bolączki tudzież plotek na temat przyjaciół i dalszej rodziny. Razem z panem Rysiem musiały oglądać różne mądre audycje, po czym pan Rysio tłumaczył im, co się dzieje w światowych finansach. Szczególnie babcia okazała się wierną słuchaczką. Zdaje się, że na stare lata odkryła w sobie nową pasję – śledzenie giełdowych notowań. Oprócz rozwiązywania sudoku i krzyżówek stało się ono jej ulubionym zajęciem. Potrafiła z pamięci wymienić wszystkie spółki, które wchodziły do WIG-20, i ich codzienne notowania. Przy panu Rysiu czuła się tu nad Wisłą częścią wielkiego świata, o czym zawsze marzyła. Pan Rysio cierpliwie tłumaczył jej niektóre zagadnienia ekonomiczne, na przykład, co może spowodować podwyższenie stóp procentowych przez amerykański FED albo jak wzrost gospodarczy w Chinach wpłynie na notowania na rynkach światowych, a babcia słuchała, wpatrzona w niego jak w obrazek święty. Trochę się irytował gdy myliła stopę bezrobocia z inflacją, ale jego wyrozumiałość była isticie anielska. Kiedy załamywał ręce, że pani Pelagia wszystko płacze, kiwała potakująco głową i pokornie mówiła: „Rysiu, zapiszę sobie i będę pamiętać. Nie denerwuj się”. Ale nigdy nie zapisywała, bo nie miała pod ręką papieru.

Kiedyś zdradziła Martynie, że tak chętnie ogląda z panem Rysiem programy na CNBC, bo podoba się jej jeden sprawozdawca telewizyjny, jest taki przystojny... jak ten jej kierownik Hubert. Martynka zastanawiała się, czy jej babcia się kiedyś zestarzeje. Nie zapowiadało się.

W domu zmieniło się też wiele innych rzeczy. W łazience pachniało męską wodą kolońską, w przedpokoju walały się wielkie czarne buty, a w kuchni stał ekspres do kawy bo pan Rysio lubił taką z ekspresu. Pokój Martyny został przemieniony w gabinet i wypełniony regałami, gdzie od góry do dołu stały książki, a na biurku królował wielki komputer. Przybyło mądrych tygodników i miesięczników, które namiętnie czytywał pan Rysio.

Wydawało się, że wpływ sąsiada z góry na życie w mieszkaniu na trzecim piętrze jest przemożny, a jego dominacja w sprawach finansów całkowita. Niestety, nawet jemu nie udało się przekonać pani Renaty do robienia płatności przez Internet. Nadal wypełniała ręcznie przekazy pocztowe za prąd, gaz oraz czynsz i chodziła je opłacać, o zgrozo, w kolejkę na pocztę!

Martyna tymczasem zachwycała się nowym lokum. Szyła firanki, kupowała różne drobiazgi i cieszyła się swoim małym szczęściem. Tylko momentami, kiedy siedziała sobie sama w swoim gniazdku, słuchając muzyki, jej myśli wędrowały ku... Hubertowi. Że też nie mogła przestać o nim myśleć! To było głupie, nieracjonalne i destrukcyjne, besztła samą siebie. Kiedyś przypadkowo zobaczyła go w pubie siedzącego przy stoliku z Patrykiem. Wywnioskowała, że nadal są ze sobą, pomimo chwilowych zawirowań. Pewnie się pogodzili i wrócili do siebie. Obserwowała ich, jak żywo o czymś dyskutowali; błyszczące oczy Patryka wpatrzone w Huberta

nie pozostawiały złudzeń. Musiał go kochać. Nie podeszła się przywitać i wyszła szybko, aby jej nie zauważyli.

Ślub pani Renaty i pana Rysia odbył się latem, tak jak chciała pani Renata. Miała na sobie koronkową, romantyczną sukienkę, o jakiej marzyła przez całe życie. Pan Rysio wyglądał bardzo dostojnie w ciemnym garniturze i oboje stanowili dobraną parę. Uroczystość była podniosła, ale kameralna; nie zrobiono hucznego weseliska, państwo młodzi zadowolili się skromnym bankietem w pałacu ślubów i kolacją dla najbliższej rodziny. Wydawali się tak szczęśliwi, że wzruszeni goście dyskretnie ocierali łzy. Pan Rysio, odmłodzony o dobre parę lat, sypał dowcipami, pani Renata jaśniała w swojej koronkowej sukience i nie wierzyła własnemu szczęściu. Państwo młodzi pojechali w podróż poślubną nad polskie morze i nawet pogoda im dopisała.

Wydawało się, że nic jest w stanie zakłócić szczęścia, jakie zagościło w mieszkaniu na trzecim piętrze. Te pierwsze tygodnie, a nawet miesiące były chyba najszczęśliwszymi w życiu pani Renaty. Babcia też była zadowolona, ze swoim zięciem bowiem dogadywała się nieraz lepiej niż córka. Nieoczekiwanie jednak na horyzoncie pojawiła się ciemna chmura w postaci listu z banku.

## *Rozdział 24*

*Czy chodzi o pieniądze?*

Pewnego popołudnia późną jesienią Martyna wyjęła ze skrzynki list z logo banku, w którym miała rachunek. Weszła do swojego mieszkania i bez sprawdzania adresata rozerwała kopertę, sądząc, że to znowu jakaś informacja o zmianie regulaminu albo zwykła ulotka promocyjna. Pobieżnie przebiegła oczami tekst i zrobiło jej się lekko słabo. Nie zdejmując płaszcza, usiadła na krześle w kuchni i jeszcze raz powoli przeczytała: „Niniejszym informujemy pana o przyznaniu kredytu w wysokości miliona złotych i przekazaniu tej kwoty na pana konto maklerskie celem zakupu 43 478 akcji Polskiego Towarzystwa Zasobów Energetycznych po 23 złote za sztukę”.

Czy to żart? Czy pomyłka? Przecież ona nie miała konta maklerskiego! I nie występowała o żaden kredyt! Wzięła do ręki kopertę, a potem jeszcze raz list. Był adresowany do pana Rysia. No jasne, nadal był zameldowany w mieszkaniu, które teraz zajmowała Martyna. Ręce zaczęły jej drżeć, a druk tańczył przed oczami. Zdenerwowana położyła list na stole, oparła się łokciami o blat i spokojnie starała się doczytać pismo do końca.

Informacja była jednoznaczna. Pan Rysio zaciągnął kredyt w wysokości miliona złotych na zakup akcji. Co to miało być? Boże kochany! Spojrzała jeszcze raz na zadrukowaną kartkę. List był datowany trzy tygodnie temu. Dlaczego bank wysłał go dopiero teraz? Pewnie mają bałagan.

Do cholery, żeby w takiej instytucji panował nieporządek! Do czego to podobne! Boże litościwy! Jej biedna matka! Pewnie ten podstępny staruch

przegrał już te pieniądze i teraz bank zabierze mu mieszkanie. Ona znajdzie się na bruku albo będzie zmuszona mieszkać w pokoju z babcią. Dlatego pan Rysio poprosił o rękę jej matkę, która naiwnie pozwoliła mu się wprowadzić do siebie do mieszkania. Będzie go miała na głowie do końca życia! Jeszcze będzie spłacać jego długi! I pielęgnować go na starość. Darmowa pielęgniarka! O Boże! Jak się dała zrobić! I pomyśleć, że Martyna jeszcze zachęcała ją do tego! I co teraz robić? Co robić????!!

Z rozpaczą na twarzy odchyliła się na oparcie krzesła. Siedziała jak skamieniała, ale w głowie huczało jej niczym w piecu martenowskim. Co sekundę dochodziło do jakiejś eksplozji myśli i tworzenia czarnych scenariuszy. Jej fale mózgowe przypominały ocean w czasie największego sztormu. Dopiero po chwili zdjęła płaszcz, bo zauważyła, że nadal ma go na sobie. Tylko spokój może mnie uratować, powtarzała, chcąc ukoić rozkołatanę nerwy i rwący potok myśli w głowie. Powoli do głosu zaczął dochodzić rozsądek. Postanowiła, że nie będzie denerwować mamy, dopóki nie upewni się, co ten nedorzeczny kredyt w ogóle znaczy. Przecież to niemożliwe, aby banki dawały takie pieniądze na spekulacje! Skoro nie chcą dawać kredytu uczciwym ludziom na rozkręcenie biznesu, to... O co chodzi? Musi się kogoś poradzić. Kogoś, kto zna się na giełdzie i będzie umiał objaśnić całą sprawę.

Spośród wszystkich znajomych przychodziły jej do głowy tylko dwie osoby, których mogła się poradzić. Pierwszą był pan Rysio, ale on odpadał, a drugą Hubert. Przyrzekła sobie, że nie będzie się do niego odzywać, ale teraz chodziło o pieniądze. Honor zszedł drugi plan i w ogóle się nie liczył. Chciała zadzwonić do Huberta od razu, ale postanowiła przespać noc, aby

rano się upewnić, że to, co przeczytała w liście, nie było wzrokową pomyłką.

Niestety, tej nocy nie zmrużyła oka. Nie mogła! Milion złotych! Pewnie pan Rysio cichaczem podsunął jej mamie wniosek kredytowy, a ona nawet nie przeczytała, co podpisuje. Czy jej mama będzie musiała spłacać długi pana Rysia? Jak ona to zrobi? Z emerytury? To zwyczajnie niemożliwe. Musiałaby wygrać w totolotka, ale szanse są znikome! Być może pan Rysio już zabrał te pieniądze i uciekł z kraju. Zaraz sobie przypomniała, że ostatni raz widziała go w niedzielę. A dzisiaj była środa. Mógł zwać, a mama nic jej nie mówi, bo nie chce jej denerwować. To bardzo w jej stylu. Zaraz też się zastanowiła, czy ona, jako córka pani Renaty, również ponosi odpowiedzialność za długi pana Rysia? Ach, ten podstępny staruch. A już uwierzyła, że naprawdę zakochał się w jej mamie. Boże! Co za naiwność! Mama powinna podpisać intercyzę przed ślubem! W tym wieku ludzie są pozbawieni uczuć, liczy się tylko kasa i zapewnienie sobie opieki na starość. Jak się okazała naiwna! Jeszcze ją namawiała do tego ślubu. Ach, dlaczego nie podsunęła mamie tego pomysłu z intercyzą? Co ona teraz zrobi!

Rano zjawiała się pod drzwiami pokoju Huberta. Niestety, Hubert nie zmienił nawyków i przychodził do pracy jak zwykle spóźniony. Pomijając, oczywiście, pierwszy dzień pracy Martyny w Metaleksie, kiedy był nawet przed czasem. Martyna nie ruszyła się z miejsca, dopóki nie przyszedł. Warowała u jego drzwi jak wierny pies.

– Czy nie pomyliłaś czasem pokoju? Wydawało mi się, że od jakiegoś czasu już tu nie pracujesz? – usłyszała zamiast powitania. Zdecydowała, że będzie mówić mu po imieniu ze względu na dawną przyjaźń.



– Wiem, ale mam sprawę. Chciałabym z tobą porozmawiać. Masz chwilkę? – Wysiliła się na uśmiech i udawała niefrasobliwość.

– Wejdz – zaprosił ją do środka, otwierając drzwi.

– Tak, to bardzo ważne, wiesz... chodzi o pieniądze, to znaczy, o szczęście mojej matki. – Zmieniła ton głosu na poważniejszy.

– A w jaki sposób ja mógłbym pomóc w szczęściu twojej matki? – zapytał lekko przerażony Hubert, obawiając się, że Martyna przyszła prosić go o pożyczkę.

– No właśnie mógłbyś. Bo nie mam do kogo się zwrócić.

– Ostatnim razem nazwałaś mnie wieprzem, nie wiem więc, czy powinnaś marnować swój czas... na rozmowę ze mną.

– Oj, Hubert – zachnęła się. – To było dawno. Zresztą, tylko krowa nie zmienia poglądów. To znaczy, chciałam przez to powiedzieć, że...

– Że nie jesteś krową? – przyszedł z pomocą. – Ja nigdy nie ośmieliłbym się nazwać cię krową. Wiem, jak jesteś czuła na punkcie niektórych roślin, na przykład takich jak dynie, nie ryzykowałbym więc ze zwierzęcymi porównaniami.

– Bardzo śmieszne... Przychodzę do ciebie w bardzo poważnej sprawie, proszę cię zatem, abys traktował mnie serio. Chodzi o pieniądze. Otóż moja mama wyszła za mąż za sąsiada z góry.

– Gratuluję.

– Tego, o którym ci mówiłam, jak malowałaś mój pokój. To znaczy, jak pomagałaś mi malować mój pokój. No, wiec... teraz ja mieszkam u niego. a on przeprowadził do mojej mamy i babci. I zobacz, co wczoraj wyjęłam ze skrzynki. – Położyła przed nim list.

– Mam czytać cudzą korespondencję?

– Hubert, nie żartuj, proszę cię. Ja prawie umieram.

Przeczytał uważnie położony przed nim list. Potem powoli jeszcze raz. Podniósł spokojnie głowę i popatrzył na Martynę

– Pan Rysio to gracz giełdowy pełną gębą. Ale o co ci chodzi?

– Jak on spłaci ten kredyt?

Uśmiechnął się z pewną ulgą. Już się bał, że Martyna przyszła pożyczyć od niego jakąś okrągłą sumkę.

– Nie denerwuj się. Faktycznie, pan Rysio zaryzykował, ale może wyjdzie mu to na dobre. Pieniądze z tego kredytu są przeznaczone na akcje, nie ma więc obawy, że je wypłaci i z nimi ucieknie. Dziś wchodzi na giełdę sprzedawane w ofercie publicznej akcje Polskiego Towarzystwa Zasobów Energetycznych i wszyscy analitycy uważają, że to złoty interes, i przewidują, że cena pójdzie od razu ostro do góry. Już wiadomo, że była redukcja kupna 96,5%, co oznacza, że pan Rysio nabył nie czterdzieści trzy tysiące akcji, ale – wziął do ręki kalkulator – 1522 akcje. Banki spodziewały się takiej redukcji kupna, dlatego dawały kredyty. Zresztą już sobie ten kredyt odebrały. Gdyby mąż twojej mamy wyłożył tylko swoje pieniądze, powiedzmy trzydzieści tysięcy złotych, to przy redukcji kupna 96,5% dostałby akcje za trzy i pół procent tej kwoty, czyli czterdzieści pięć sztuk. A tak ma ponad tysiąc pięćset akcji.

– I co dalej?

– Założę się, że teraz siedzi przed komputerem i nerwowo obserwuje notowania. Jeżeli cena pójdzie do góry na przykład na 24 złote, to zarobi półtora tysiąca złotych minus prowizja. W jeden dzień. A jeśli wyżej, to sobie policz. Opłaca się.

– A jeżeli cena pójdzie w dół?

– Istnieje takie ryzyko. Ale nie musi od razu sprzedawać. Wszyscy uważają, że to spółka o mocnych fundamentach, spodziewają się więc, że cena póleci do góry. Tylko czekać. I dostanie dywidendę. Więc się nie martw. Poza tym kupił trochę ponad tysiąc pięćset akcji po 23 zł, czyli zainwestował niewiele ponad trzydzieści pięć tysięcy, a nie milion. Te pieniądze są pewnie jego własne i dziś bank wziął już sobie z powrotem cały kredyt. Więc się nie martw – powtórzył i uśmiechnął się do niej tak ciepło, że prawie się wzruszyła.

Wstała i zapragnęła wycałować Huberta. Ale przewyciężyła ogromną ochotę, by wyrażać uczucia w tak ostentacyjny sposób, i rzuciła mu tylko:

– Wielkie dzięki za te informacje. Omal nie umarłam dziś w nocy ze strachu. Naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna. Nie masz pojęcia jak. No, to pa, leczę, bo jeszcze nie byłam w swoim pokoju. Życzę miłej pracy. Bardzo mi pomogłeś.

Chciał zapytać, czy nie umówiłaby się z nim na kawę, ale znikła za drzwiami tak szybko, że nie zdążył. Westchnął tylko, spojrzął smętnie na chmury za oknem i wziął się do pracy. Wciągnął głębiej powietrze i stwierdził, że jego była pracownica nadal używa tych samych perfum. Kurczę, miał się jej kiedyś zapytać, jak się nazywają, i wciąż zapominał.

Kiedy tylko Martyna dopadła swojego biurka, szybko wykonała telefon do domu. Podekscytowana mama powiedziała jej, że pan Rysio siedzi przed telewizorem i śledzi notowania, bo dziś debiutuje na giełdzie ważna spółka. Wersja, jaką przedstawił jej Hubert, potwierdziła się. Potem pani Renata wyjawiała córce szeptem, że Rysio wziął kredyt na zakup akcji i jest bardzo przejęty. Gdyby mama wiedziała, jakiej wysokości była kwota kredytu, zapewne dostałaby ataku serca, pomyślała Martyna. Sama nie miała

zamiaru ryzykować zdrowia rodzicielki i wyjawiać tajemnic jej męża. Nie sądziła, żeby pan Rysio wtajemniczał panią Renatę w szczegóły techniczne swoich manipulacji. Wystarczyło, że ona się denerwowała i przez całą noc nie mogła zmrużyć oka. Pożegnała mamę, mówiąc coś w rodzaju: „Ach, to świetnie, mamusiu, muszę trochę popracować”, i rozłączyła się.

W chwilę potem gorączkowo przeszukiwała strony w Internecie, aby znaleźć notowania giełdowe. Okazało się to bardzo proste. Tylko ile było tych spółek! I gdzie szukać cholernego Polskiego Towarzystwa Zasobów Energetycznych? W WIG-20? – Czy WIG-40? Czy w WIG-80? Przebiegała kursorem po wykazie spółek. Czy tego musi być tak dużo? Wreszcie znalazła szukany skrót i odetchnęła z ulgą. Cena przekroczyła 24 złote i rosła! Kamień spadł jej z serca, ale w ogóle nie mogła skupić myśli na czymś innym. Co chwilę wracała na stronę i patrzyła na notowania. Cena doszła do 26 złotych! Niech pan Rysio sprzedaje, krzyczało jej w duszy. Usiłowała porozumieć się z nim telepatycznie, ale co zrobi, jeśli cena skoczy do 27 złotych? Albo i 30 złotych? Och... nie przeżyje tego. Boże, co robić? Czekać czy sprzedawać? W końcu stwierdziła, że to za dużo nerwów jak dla niej. Zamknęła stronę z notowaniami i postanowiła na nią nie zaglądać. Wzięła parę głębszych oddechów i zauważyła, że Hanka z zaciekawieniem na nią popatruje.

– Coś się stało? – zapytała zaniepokojona koleżanka, myśląc pewnie, że Martyna siedzi na Facebooku z jakimś nowo poznanym przystojniaczkiem.

– Nie, nie... nic, już wszystko dobrze. Miałam pewną prywatną sprawę, ale... już wszystko OK.

– Czy to ma jakiś związek z Hubertem? – zapytała z uśmiechem Hanka.

– A... żadnego. Absolutnie żadnego.

– To po co warowałaś jak pies przed jego pokojem.

– Chciałam... chciałam go o coś zapytać. To wszystko. –I dostałaś odpowiedź?

– Tak jakby.

Na szczęście dyskusja się zakończyła, bo ktoś ważny zadzwonił do Hanki. A Martyna wreszcie zaczęła pracować. Wbrew jej woli jej myśli co jakiś czas wędrowały do... Huberta. Jak taki facet mógł się urodzić homoseksualistą? Natura nie jest sprawiedliwa.

W pracy dużo się tego dnia działo, bo dyrektor zaakceptował uczestnictwo Metaleksu na targach w Brukseli. Firma miała mieć swoje stoisko w pawilonie wystawowym na Heysel. Do obsługi została przydzielona Martyna i Hanka. Cieszyły się na ten wspólny wyjazd jak wariatki, Hanka od razu zarezerwowała dwuosobowy pokój w hotelu, aby mieszkały razem. Już planowały wspólne zwiedzanie Grand Place, zdjęcia pod budynkiem Komisji Europejskiej i opijanie się piwem. A potem łażenie po sklepach i, oczywiście, nocne pogaduchy.

Wieczorem Martyna wpadła do mamy i babci i już przy drzwiach usłyszała dźwięk stukania się kryształowymi kieliszkami. Nie pamiętała z czasów, gdy mieszkała na trzecim piętrze, aby ktoś tam pił jakikolwiek alkohol poza sylwestrem lub imieninami. Zmiany szły na całego! Rozpromieniony pan Rysio nalał jej lampkę musującego włoskiego wina, twierdząc, że jest lepsze niż szampan i mówiąc tajemniczo, że ma okazję do świętowania. Przeprowadził dziś pewną transakcję na giełdzie i był bardzo

zadowolony z wyniku. Szepnął jej do ucha, że w jeden dzień zarobił więcej, niż dostaje emerytury od państwa. Nawet nie miał pojęcia, z jaką ulgą i radością Martyna wychyliła z nim toast z tej okazji. Potem ukradkiem oddała mu list z banku i przeprosiła, że koperta jest otwarta. Ale on nawet nie zwrócił na to uwagi, machnął ręką, jakby codziennie brał milionowe kredyty. Pani Renata siedziała za to przy stole z katalogiem TUI i... zastanawiała się, gdzie mają pojechać na wakacje. Do Turcji czy Egiptu? Jeżeli jej mama ma już takie dylematy, to zmiany rzeczywiście poszły na całego, pomyślała Martyna i dołała sobie włoskiego trunku. Faktycznie, pan Rysio miał rację, wino było znakomite.

## *Rozdział 25*

### *W Brukseli*

Martyna i Hanka miały wylecieć do Brukseli we wtorek rannym samolotem. Hotel był zarezerwowany, bilety kupione i obie nie mogły się doczekać wyjazdu. Już planowały, że obkupią się przed świętami i zwiedzą okrzyczaną stolicę Unii Europejskiej. Martyna wertowała przewodnik po Brukseli, bo jeszcze nigdy tam nie była, ale to Hanka miała robić za przewodniczkę. Znała miasto, a przynajmniej jego centrum, bo co roku jeździła tam na targi. W poniedziałek, gdzieś w połowie dnia, kiedy dopinały wszystkie sprawy na ostatni guzik, Hanka stwierdziła, że bierze ją chyba jakieś przeziębienie, bo zaczęła czuć się fatalnie. Od razu wzięła paracetamol i okazałą dawkę witaminy C, ale nie pomogło. Wieczorem miała wysoką gorączkę, łamanie w kościach i była tak słaba, że ledwo podnosiła się z łóżka. Podstępna grypa dopadła ją w najmniej spodziewanym momencie. Roniąc łzy do słuchawki, powiedziała Martynie, że musi odwołać wyjazd.

Martynę zmroziło. Jak może pojechać sama?! Nigdy nie była w Brukseli i nie przygotowywała sama stoiska. Nie ma doświadczenia! Hanka trochę ją uspokoiła, że już zatelefonowała do dyrektora Bączka, aby kogoś wyznaczył w zastępstwie. Ale nie wiedziała, kto to będzie i czy będzie mógł jechać od razu jutro.

Martynę ogarnęła panika. Sama chciała się rozchorować. Zadzwoić do Bączka, że umiera. Albo że babcia w szpitalu mama złamała nogę... ale nie jest dobrze tak kusić los. Jeszcze coś takiego przytrafi się naprawdę.



Zacząła więc marzyć o ataku terrorystycznym, ale nic takiego się nie wydarzyło. Doczekała do rana, zamknęła spakowaną walizkę i postanowiła potraktować wyjazd jako życiowe wyzwanie. Pojechała na lotnisko. Wierzyła, że dyrektor Bączek znajdzie kogoś w zastępstwie. Jeśli nie, sama sobie poradzi. To szansa na wybicie się.

Podczas kiedy Martyna przeżywała męki z powodu choroby Hanki i odwołania przez nią wyjazdu, dyrektor Bączek, siedząc w fotelu, głowił się, kto mógłby rzucić wszystko i jutro rano polecieć do Brukseli na całe trzy dni. Ktoś, kto nie miał rodziny i zobowiązań. Ktoś wolny jak ptak. Na myśl przychodził mu tylko jeden kandydat – Hubert. Tylko czy się zgodzi jak się dowie, że jedzie tam z Martyną? Wydawało mu się, że stosunki między nimi pogorszyły się. Zaraz lekko poirytowany pomyślał, że nie może przejmować się animozjami między swoimi pracownikami, bo już dawno by zwariował. I bez tego miał sporo kłopotów, które przyprawiały go o siwe włosy i zmarszczki na twarzy. Zdecydował, że wyda Hubertowi polecenie służbowe i nie będzie tracił czasu na przejmowanie się tym, kto kogo lubi. Wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił. Ku jego zaskoczeniu Hubert wydawał się zadowolony z propozycji. Zgodził się od razu i nie miał zastrzeżeń, że będzie tam z Martyną. Z młodymi nie dojdiesz, pomyślał Bączek, ale odetchnął z wyraźną ulgą. Wziął z lodówki drugie piwo i pomyślał, że jutro uda się na siłownię. Jeśli nic nie stanie mu na drodze.

W ten sposób we wtorek rano na lotnisku zamiast Hanki pojawił się Hubert. Stał zziębnięty, z walizką w rękę, koło kompletnie zaskoczonej jego widokiem Martyny. Podróż samolotem przebiegła bezproblemowo, ale po przybyciu Martyny i Huberta do hotelu zaczęło się dziać. Zupełnie nieciekawa pani recepcjonistka oświadczyła im z kamienną twarzą, że nie

można zamienić zarezerwowanego pokoju dwuosobowego na dwa pokoje jednoosobowe, bo hotel jest pełen gości i nie dysponuje dodatkowym, wolnym miejscem. Żadna dopłata, błagalna mina Martyny ani nawet uwodzicielski uśmiech Huberta nie mogły tego zmienić. Ba, nawet telefony do hoteli w pobliżu nie przyniosły efektu – wszystko było zajęte. Martyna i Hubert byli więc skazani na dzielenie jednego pokoju. Co mieli robić. Należało pogodzić się z tym faktem, a nie walić głową w mur. Z posępnymi minami wjechali na trzecie piętro i poszli w kierunku przydzielonego im pokoju.

Kiedy weszli do środka, oboje oniemieli. Hanka, robiąc rezerwację, zamówiła *double room*, zamiast *twin bed room*, w rezultacie czego mieli pokój z jednym wielkim małżeńskim łóżem. Patrzyli na nie zakłopotani i mowę im na chwilę odjęło. Martyna zastanawiała się, jak to będzie spać koło geja, Hubert rozmyślał, co w takiej sytuacji może zrobić dżentelmen. Miał do wyboru spanie na podłodze albo na kanciastym fotelu. Wybrał hotelową wykładzinę, łudząc się, że dobrze mu zrobi na kręgosłup. Martyna zaraz powiedziała, że nie może się na to zgodzić, jakby nie zauważyła, że w ogóle nie pytał ją o zgodę. Hubert spojrzał na nią podejrzliwie i zapytał, czy w takim razie chce spać z nim? Usłyszał, że dobrze wie, że nie o to jej chodziło, i żeby się nie wygłupiał.

Już się zastanawiał, czyżby jego koleżanka rozważała trzecią możliwość a mianowicie, że on ją uwiedzie i zrobią użytek z tego wielkiego i wygodnego łóżka. No... jego umysł pracował bardzo jasno. Było to jakieś rozwiązanie problemu. Ale nie wolno się z nim śpieszyć. Powiedział więc, że ostatecznie może przesiedzieć całą noc w wannie w łazience. Ten pomysł też odpadał, bo był tylko natrysk. Po czym oboje postanowili odłożyć na

później rozwiązanie tego kłopotliwego problemu i pojechali do pawilonu na Heysel – do pracy.

Wieczorem poszli razem na brukselski Grand Place, byli na piwie, na pizzy, na winie, odwiedzili Siusiającego Chłopczyka i było bardzo, bardzo... przyjemnie. Hubert starał się być tak miły jak nigdy i według niego samego szło mu znakomicie. Martyna co rusz śmiała się z jego dowcipów i patrzyła mu w oczy, i było tak świetnie, że w pewnej chwili nachylił się ku niej i... chciał ją pocałować, ale wtedy ona energicznie poderwała głowę do tyłu i przytomnie zapytała: „Zwariowałeś czy co?”. Chciał jej powiedzieć, że tak, ale... nie odważył się. Uśmiechnął się tylko i całą sytuację obrócił w żart.

Kiedy znaleźli się wreszcie pod drzwiami hotelu, stwierdził, że chce jeszcze skoczyć do pubu. Nalegał, aby Martyna poszła do pokoju i kładła się spać, a on niedługo wróci. Nie będzie jej przeszkadzał w wieczornej toalecie. Zresztą, potrzebuje побыć trochę sam. Taki z niego dziwak. Prosił tylko, aby mu zostawiła koc i poduszkę na fotelu, i przyrzekł, że postara się jej nie obudzić. Zaskoczona nie oponowała. Rzucił jej na pożegnanie wymuszony uśmiech i poczekał, aż weszła do hotelowego hallu, a stamtąd do windy.

Sam skierował kroki w stronę Grand Place, do pubu, gdzie parę lat temu zaprowadził go zaprzyjaźniony Belg. Pamiętał, że świetnie się bawił przez całą noc. Był ciekawy, czy to miejsce jeszcze istniało? Znalazł boczną uliczkę oraz znajomy szyld i wszedł do środka, Wszystko było tak, jak pamiętał; za barem znajdowała się ściana z niezliczonymi gatunkami alkoholi, kolorowe nalepki połyskiwały w przyciemnionym świetle, stoliki z ciemnego drewna wypełniały wnętrze lokalu, na ścianach wisiały te same, przyblakłe teatralne plakaty i zdjęcia z hucznych pubowych imprez. Tylko

muzyka dzisiaj grała ciszej i nie było tylu ludzi co wtedy. Za barem kręciła się nieznana mu kelnerka, wyglądająca na Polkę, już chciał ją zagadnąć w ojczystym języku, ale się powstrzymał. Zamówił piwo i usiadł przy stoliku. Zamyślił się.

Już mu się wydawało, że dzisiejszy dzień zbliżył ich do siebie, że Martyna czuje to samo co on, ale... odtrąciła jego pocałunek, więc .. nie czuła tego samego. Ukłuło to jego dumę jak wbicie igły w kręgosłup. Gdzieś w mrocznych zakamarkach jego duszy do tej pory ćmił się tępy ból. Musiał się pogodzić z tym, że Martyna nie widzi w nim swojego Romeo... A tak im się świetnie rozmawiało, nadawali na tych samych falach i zaczął nawet mieć nadzieję, że noc prześpi w wygodnym łóżku i wcale nie sam... Srodze się zawiódł. Traktowała go jak kumpla, nic więcej. A to bolało... Zapłacił i wyszedł na przepięknie podświetlony Grand Place. Stał i podziwiał majestatyczny budynek miejskiego ratusza, jednego z najpiękniejszych w Europie, pochodzącego z XV wieku. Misterna robota, pomyślał, podziwiając finezyjne, koronkowe zdobienia. Potem wrócił do hotelu gwarnymi jeszcze ulicami. Ale nie poszedł od razu na górę. Skuszony nastrojową muzyką w barze wszedł na ostatni kieliszek wina.

Kiedy Martyna znalazła się w pokoju, umyła się, zrobiła Hubertowi na podłodze posłanie, a potem sama się położyła w "wielkim małżeńskim" łóżku i próbowała zasnąć. Hubert nie wracał, sen nie przychodził, przewracała się z boku na bok, ale na próżno. Morfeusz zrobił sobie chyba wolne i nie przybywał. Zamartwiała się więc nieobecnością Huberta. Gdzie on jest? Co się z nim dzieje? Czy coś mu się nie stało? Dlaczego ją zostawił? Może ktoś go pobił? Czy poszedł do jakiegoś gejowskiego baru? Jeszcze go zabiją. To się przecież gejom zdarza. Albo gdzieś leży pijany? A

w ogóle, to co mu do głowy strzeliło z tą próbą pocałowania jej? Przecież jest gejem. Albo biseksem, ale to na jedno wychodzi. Czyżby się zapomniał? Pytania wierciły jej dziurę w mózgu i nie pozwalały zasnąć.

Wtedy przyszedł jej do głowy zupełnie, ale to zupełnie absurdalny pomysł. Postanowiła, że wstanie i poszuka Huberta. I tak nie śpi, a przynajmniej zobaczy coś więcej z nocnego życia Brukseli. Ubrała się w dżinsy, t-shirt i sweter, na to zarzuciła płaszcz i zeszła do hallu. Wyszła na ulicę i zaczęła się rozglądać, czy nie ma gdzieś jej zagubionego towarzysza podróży. Szła już lekko wyludnioną ulicą i wtedy zauważyła, że pojawiło się koło niej paru Marokańczyków. Oblał ją zimny pot i już wiedziała, że nie ucieknie. W tym samym momencie ktoś złapał ją za ramię. Szamotała się, próbując się wyrwać, ale wówczas poczuła silne uderzenie, straciła równowagę i poleciała jak długa na trotuar. Przeszył ją tak dotkliwy ból w nadgarstku, że na chwilę chyba straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, wydawało jej się, że ktoś grzebie jej w kieszeniach płaszcz, słyszała rzucane po francusku przekleństwa, a zaraz potem jej napastnicy ulotnili się jak kamfora. Nawet by ich nie rozpoznała. Z trudem się podniosła, okropnie bolało ją przedramię. Miała chyba rozciętą wargę, bo w ustach czuła słodkawy smak krwi. Płaszcz był ubłocony, z kieszeni zniknęła portmonetka wraz z częścią jej diet w euro. Na szczęście dokumenty przezornie zostawiła w pokoju hotelowym. Skręcona bólem wstała i łkając, doczłapała do hotelu. Pieprzony Hubert, to wszystko przez niego, klęła w duchu, ile popadło. Kiedy weszła do hallu zobaczyła go wychodzącego właśnie z baru, jakby zupełnie nic się nie stało.

Zauważył ją od razu, ale nie mógł uwierzyć, że to ona. Przyjrzał się bliżej i zbladł. Miała krwawiącą wargę, podbite oko i skulona trzymała się za lewe ramię. Szybko do niej podbiegł.

– Zostałam pobita i okradziona – wybełkotała przez łzy. Miał szczerą ochotę nakrzyczeć na nią. I to bardzo ostro.

Po cholere wychodziła z pokoju! Czyż nie po to odprowadził ją pod same drzwi, aby być pewnym, że jest bezpieczna! Co jej strzeliło do głowy z tym nocnym spacerkiem? Czy jest zupełną wariatką? Miał ochotę to wszystko wykrzyczeć jej w twarz, ale zamiast tego przytulił ją mocno i wyszeptał:

– Dobrze, że cię nie zabili. Zaraz się wszystkim zajmujemy.

Po trzech godzinach byli z powrotem w hotelowym pokoju. W tym czasie odwiedzili izbę przyjęć w miejscowym szpitalu, gdzie zrobiono Martynie prześwietlenie i włożono przedramię w gips, stwierdzając złamanie kości. Rozcięcie wargi okazało się bardzo powierzchowne, wystarczyły więc plastry zamiast szwów. Na podbite oko zalecono zimne kompresy i jakąś maść. Złożyli również wizytę na komisariacie i Martyna została przesłuchana. Kiedy wrócili do hotelu, było po drugiej w nocy. Hubert pomógł Martynie się rozebrać i położył ją jak dziecko do łóżka.

– Hubert, dziękuję ci, nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie – usłyszał, kiedy już leżał na swoim pościeliu i oczy zamykały mu się ze zmęczenia. . ,

– Nie ma sprawy – wymamrotał. – Ale możesz mi zdradzić, po cholere wychodziłaś z pokoju? – zapytał w końcu.

– No... bałam się o ciebie. Myślałam, że... sama nie wiem, co myślałam. To było strasznie głupie. Raczej to ciebie wyobrażałam sobie pobitego.



– Skąd taki pomysł przyszedł ci do głowy?

– No... bo z takimi jak ty... to nigdy nie wiadomo...

Nie zapytał o co jej konkretnie chodziło, bo był zbyt zmęczony.

– Dobrze już. Chodźmy spać.

Zamknął oczy i zupełnie nie wiedział, co ma myśleć. Poczucił się jak... komputer, w który ktoś stuka bez zrozumienia i celu, wprowadzając mu taki mętlik w systemie, że biedna maszyna nie wie, co ma robić, i zawiesza się. Właśnie teraz tak się czuł. No bo co miał myśleć? Fajnie im się gadało, wydawało się, że jest między nimi bliskość i zrozumienie, ale kiedy spróbował ją pocałować, to dostał po nosie. Miał wrażenie, że Martyna patrzy na niego maślanymi oczami, a za chwilę czuł, jakby wylewała mu kubek zimnej wody na głowę. Czy ktoś rozumie kobiety? Był tak zmęczony, że odłożył te rozważania na później.

Po ich powrocie do Warszawy wszyscy współczuli Martynie i całe biuro miało o czym rozmawiać przez dobre dwa dni. Hubert został pochwalony przez dyrektora Bączka, że pomimo przeszkód tak dobrze sobie ze wszystkim poradził, i wkrótce wydarzenie straciło powiew sensacji, wszyscy przeszli nad nim do porządku dziennego i zajęli się swoimi sprawami. Rozmowy i plotki ucichły i tylko gips Martyny przypominał jeszcze przez pewien czas o całym zajściu. Hubert parę razy wpadł do jej pokoju i grzecznościowo zapytał o rękę. Zawsze był witany bardzo serdecznie, a raz nawet Martyna zaprosiła go na kawę po pracy. Przyniosła mu w podziękowaniu włoskie wino, jakie jej mama i pan Rysio przywieźli ze swojej podróży do Włoch. Odwiózł ją do domu, ale już nie próbował wykonywać żadnych gestów zdradzających jego prawdziwe uczucia. Na



zakończenie dostał całusa w policzek, serdeczny uścisk dłoni i zobaczył plecy Martyny znikające za drzwiami klatki schodowej.

Któregoś dnia poszli w trójkę razem z Hanką do kina, a potem na kolację. Było fajnie, ale Martyna traktowała go jak dobrego kolegę. Nic więcej. Coraz bardziej zaczynał akceptować, że musi mu wystarczyć jej przyjaźń. Podobno na świecie jest tylko garstka ludzi naprawdę szczęśliwych.

Minęły święta, następny sylwester, po którym zima rozpanoszyła się na całego, ale wkrótce dni zaczęły się stopniowo wydłużać, a słońce mocniej przygrzewało. I może nigdy nie doszłoby do związku Martyny i Huberta, gdyby nie pewna rozmowa w pociągu relacji Warszawa– Zakopane.

## *Rozdział 26*

*Powiedz mi, że mnie kochasz*

W marcu pani Marta z działu kadr jak zwykle zajęła się urlopami. Przeszłymi i przyszłymi, jej sumienność była czasami nie do zniesienia. Jak co roku zauważyła, że nie wszyscy pracownicy wykorzystali przysługujące im wolne dni w pełnym wymiarze, i jako osoba za to odpowiedzialna, postanowiła im przypomnieć o ich prawach. W związku z tym wezwała do siebie Hanke i Huberta, bo sprawa dotyczyła między innymi ich zespołów. Oboje zostali zrugani, że jako kierownicy nie dopilnowali zagwarantowanych ustawą praw pracowników, że firma nie ma pieniędzy ani zamiaru płacić za zaległe urlopy, wreszcie dostali polecenie służbowe, aby zrobić z tym jak najszybciej porządek. Bo ona, pani Marta, nie będzie oczami świecić, jak przyjdzie inspekcja pracy albo, nie daj Boże, ktoś się poskarży. Gotowi jakiś mandat wlepić albo i do sądu iść. Nie mówiąc już o dyrektorze Kowalskim.

Okazało się, że w dziale Hanki problem dotyczył Marty, a w dziale Huberta – samego kierownika. Hubert powiedział pani Marcie, że mu nie zależy i że nie będzie brał urlopu na siłę. Pani Marta poradziła mu, żeby się zastanowił nad emigracją do Japonii, bo tam to honor nie brać wolnego, ale tutaj, w Polsce, to ona będzie przestrzegać prawa. Na co Hubert wojowniczo oświadczył, że ma ważniejsze sprawy na głowie niż jej plany urlopowe. Hanka dała mu takiego szturchańca w bok, że na pewno miał po nim siniaka, zreflektował się więc, złagodniał i powiedział, żeby pani Marta się nie martwiła, coś wykombinuje. Potem napisał podanie o tydzień wolnego i

postanowił zdać się na ofertę last minute. Hanka, jako natura bardziej praktyczna, od razu zapewniła, że zaraz się sprawą zajmie. Po czym oboje zostali odprawieni.

Jeszcze tego samego dnia Hanka kazała napisać Martynie podanie o urlop, a potem sama wynalazła pensjonat w Zakopanem, gdzie były wolne pokoje, i kazała jej jechać. Na całe dwa tygodnie. W marcu w górach jest najfajniej. Mało ludzi i się opali. Martyna posłusznie kupiła bilet na ekspres, obiecała koleżankom, że wróci z twarzą na Murzyna, wyśpi się, będzie chodziła na spacer i pozna jakiegoś świetnego faceta. I pojechała.

Zakopane przywitało ją śniegiem z deszczem i zamglonym niebem. Górzące nad miasteczkiem wierzchołki przesłonięte były niskimi ołowianymi chmurami zapowiadającymi brak słońca przez co najmniej parę dni. W pensjonacie „Pod Giewontem”, gdzie Martyna się zatrzymała, o tej porze gościli głównie emeryci z wnuczętami. No, to będzie tak jak na Dominikanie, pomyślała, wodząc oczami po jadalni pełnej małych dzieci z dziadkami. Tylko tu staruszkowie muszą się zajmować dziećmi, a nie podrywać samotne kobiety. Na Krupówkach nie było lepiej. Średnią wieku obniżały niemowlaki w wózkach. Urlop zapowiadał się więc bardzo wypoczynkowo i... nudno. Pogoda też jakby sprzysięgła się przeciwko niej; mżyło lub padał śnieg z marznącym deszczem, słońca było jak na lekarstwo. Jak ona przetrwa tu dwa tygodnie?, zastanawiała się. Zasyłała się w swoim pokoju z bardzo grubą powieścią kryminalną i wychodziła stamtąd tylko na posiłki. Po czterech dniach ze zgrozą stwierdziła, że ma jeszcze przed sobą ponad tydzień wakacji. Nie wróciła wcześniej do Warszawy chyba tylko dlatego, że dostała SMS-a od Zosi, że przyjeżdża do Zakopanego w

delegację. Martyna liczyła, że się spotkają i że to umili jej trochę ten samotny pobyt.

Zosia faktycznie została wytypowana na szkolenie z informatyki organizowane przez jej bank właśnie w Zakopanem. Z tego powodu wynajęto jeden z pensjonatów i zjechało się mnóstwo osób. Szkolenie miało trwać trzy dni, przewidywano zajęcia integracyjne, zabawy na śniegu, kulig z pochodniami i inne rodzime atrakcje, za które bank chciał zapłacić. aby pochwalić się jak świetnie potrafi zintegrować zespół.

Zupełny przypadek sprawił, że Zosia miała miejsce w pociągu do Zakopanego w tym samym przedziale, co pewien chłopak z jej banku o imieniu Jarek. Właściwie to znała go tylko z widzenia. Był niepozorny, ani wysoki, ani niski, i w ogóle nie rzucałby się w oczy, gdyby nie delikatna twarz, jak u dziewczyny. Zaczął pracować w banku rok temu, nikomu w drogę nie wchodził, był uczynny, szybko więc zjednał sobie sympatię współpracowników. Raz komuś powiedział, że przyjaciele mówią do niego „Jerry”, zdrobnienie się przyjęło i teraz wszyscy tak się do niego zwracali. Zosia odnosiła wrażenie, że jest wstydlivy i musi być mocno zakompleksiony. Wiedziała, że nie pochodził z Warszawy, i temu właśnie przypisywała jego nieśmiałość. Chodziły słuchy, że jest gejem, ale Zosia szczerze w to wątpiła.

Kiedy zobaczyła Jerry'ego przy oknie w tym samym przedziale pociągu, w którym i ona miała miejsce, nie była zachwycona. Będzie musiała siedzieć naprzeciwko niego przez parę bitych godzin. Właściwie nie wiedziała, czy lepiej udawać, że go nie zna, czy też jakoś nawiązać kontakt. A może to okazja, aby dowiedzieć się czegoś więcej o tym tajemniczym młodym człowieku? Właściwie to mało ją obchodził, ale... Po dwóch

godzinach siedzenia w milczeniu, kiedy oboje patrzyli się przez okno lub spali, Zosia nie wytrzymała i zaczęła rozmowę. Jerry okazał się miłym chłopakiem i przy bliższym kontakcie bardzo zyskiwał. Szybko znaleźli wspólny język, przeskakiwali z tematu na temat i czas płynął im błyskawicznie. Mówili o pracy w banku, a potem zeszło na obgadywanie szefów i sprawy prywatne. Po następnej godzinie rozmowy Zosia stwierdziła, że rozmowa osiągnęli ten stopień zbliżenia, który upoważnia ją, by zapytać Jerry'ego, czy ma dziewczynę. Uśmiechnął się zagadkowo i powiedział, że nie. Ponieważ budził zaufanie, bez wahania więc opowiedziała mu dzieje swoich ostatnich romansów. Wspomniała między innymi o łysym Angliku, który przyjechał do Warszawy i okazał się gejem. Rozbawiona opowiadała, że na szczęście szef jej koleżanki z Metaleksu, który też jest gejem, powiedział im, w których klubach są dobre imprezy i tam zaprowadziły Anglika. Na dźwięk słowa „Metalex” i „gej” Jerry zastrzygł uszami jak pies owczarek. Bardzo dobrze pamiętał, jak któregoś dnia Hubert wypytywał ich o imprezy gejowskie, podobno dla jakiegoś Anglika.

– Czy mówisz może o Hubercie z Metaleksu, kierowniku zespołu metali? – wtrącił, kiedy na krótką chwilę umilkła.

Zosia przerwała zaskoczona.

– Tak, a co, znasz go?

– Znam i on nie jest gejem.

– E..jest, jego dziewczyna to potwierdziła. To znaczy... była dziewczyna. Podobno dlatego się rozstali. Rzucił ją dla swojego sąsiada Patryka, tamten też jest gejem.

Oczy Jerry'ego dziwnie zabłysły.

– To czysta nieprawda! – zaperzył się.

– Co? – Zosia spojrzała na niego zupełnie zdezorientowana.

– Hubert nie jest gejem. Na pewno.

– Jak to? Nie jest?! Jest! Lucy tak mówiła, poza tym... jak był u Martyny, to zrobił głośniej radio, gdy leciało *I Will Survive* Glorii Gaynor, więc to znaczy, że chciał jej dać... no wiesz... sygnał. No i przecież spotyka się z tym Patrykiem, swoim sąsiadem. A Patryk jest gejem.

– Chyba nie możesz o kimś powiedzieć, że jest gejem, bo słucha tej czy innej muzyki. Patryk, owszem, jest gejem. Znam go dobrze. Ale Hubert nie jest.

Zosia patrzyła z kompletnym niedowierzaniem.

– No popatrz. Jaki ten świat jest mały. To znasz też Patryka?

– Tak, bo... bo to ja mieszkam z Patrykiem.

– Ty?

– Tak. Ja. Jestem gejem

– Naprawdę? Ktoś mi tak mówił, ale nie mogłam uwierzyć. Ale... przecież Martyna widziała ich razem. No wiesz... Patryka i Huberta.

– To możliwe. Czasami chodzimy gdzieś razem. Hubert często do nas wpada. I to prawda, że Hubert bardzo lubi tę piosenkę Glorii Gaynor, ale to jeszcze nie czyni z niego geja.

– Ach... więc to ty i Patryk, wy jesteście gejami, a Hubert. .. nie?

Oczy Zosi omal nie wyszły z orbit. Patrzyła na Jerry'ego w całkowitym osłupieniu.

– Hubert naprawdę nie jest gejem? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Ale to nonsens... przecież jest. Tak mówiła Martyna! To jakieś kolosalne

nieporozumienie. Czy jesteś pewny, że mówimy o tym samym Hubercie? – zapytała, patrząc podejrzliwie na Jerry'ego.

– Wszystko się zgadza, musimy więc mówić o tym samym.

– Ale pasztet. Nie do wiary... Co za zwariowana historia! Jak to w ogóle możliwe? To dlaczego ta Lucy... co za larwa! Chciała się zemścić. Podły babsztyl! W taki sposób! Ohyda! Wiesz... ja muszę koniecznie powiedzieć o tym Martynie. Tak się złożyło, że ona jest teraz w Zakopanem. Boże! Ale ją zamuruje! Biedaczka. Kurza twarz, byli razem w Brukseli, ty wiesz... i nawet mieli jedno łóżko. Że też go nie wykorzystali. Ale Martyna została napadnięta i rękę złamała. A Hubert spał na podłodze – Zosia mamrotała jak w transie. – To zupełnie niesamowite... Jak Hubert się dowie, to dopiero będzie wściekły... a ty wiesz, że Martyna się w nim kocha, od samego początku. To taka miłość od pierwszego wejrzenia...

– Naprawdę? – zapytał Jerry. – Mnie się wydaje, że to on kocha się w niej. Bardzo często o niej mówi.

Martynę faktycznie zamurowało, kiedy się dowiedziała o rozmowie Zosi i Jerry'ego. Ręce zaczęły jej się tak trząść, że rozlała kawę z filiżanki i z trudem postawiła ją na spodeczku. Oczy miała przerażone. Jej serdeczna przyjaciółka, Zosia, siedziała przed nią w małej kafejce w Zakopanem i była równie przejęta co Martyna. Miała wypieki na twarzy i współczująco patrzyła na twarz koleżanki.

A mina Martyny była coraz bardziej niewyraźna. Dziewczyna najpierw nic nie mówiła, jakby nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa, a potem zaczęła głupkowato się uśmiechać, udając, że nic się nie stało i powtarzając „Co za historia, co za historia”. Aż w końcu wydusiła ze łzami w oczach:



– Czy ty wiesz, że on mnie chciał pocałować, jak byliśmy w Brukseli, ale ja... no wiesz, śmiać mi się chciało. Całować się z gejem... A teraz... Czy jeszcze spojrzysz na mnie? W dodatku to ja mówiłam wszystkim, że on jest gejem. Będzie wściekły! Chyba straciłam go na zawsze... Kurde! – ukryła twarz w dłoniach. – Co ja teraz zrobię?

Hubert również dowiedział się o wszystkim tego samego popołudnia co Martyna. Zadzwoił do niego Patryk, z miejsca więc zaczął mu opowiadać, że zastanawia się, czy pojechać na Krete, czy na Ibizę, bo od następnego dnia będzie na przymusowym urlopie, ale Patryk raptownie mu przerwał.

– Pojedziesz do Zakopanego. Muszę ci coś powiedzieć. Już do ciebie jadę.

Hubert był dosyć zdziwiony zachowaniem kolegi, ale prawdziwego zaskoczenia miał dopiero doznać. Kiedy Patryk wreszcie przyszedł i na spokojnie zrelacjonował Hubertowi rozmowę Zosi i Jerry'ego, zupełnie go zatkało. Posądzenie, że jest gejem, wydało mu się równie absurdalne jak opowieści o krasnoludkach spacerujących na Marszałkowskiej. Nie chciał w ogóle przyjąć do wiadomości, że ktoś mógł tak myśleć, nawet przez jedną sekundę. Chodził po pokoju i powtarzał jak katarynka, że to niemożliwe. Patryk próbował mu tłumaczyć, że Martyna mogła mieć podstawy, aby tak myśleć, bo Lucy to potwierdziła.. W dodatku kiedy malował jej mieszkanie, to zrobił głośniej radio, bo leciało *I Will Survive* Glorii Gaynor, i Martyna była pewna, że to taki subtelny znak, za pomocą którego chciał się ujawnić.

– Nie... nie, to niemożliwe, przecież by mnie zapytała – tłumaczył Patrykowi, nadal nie radząc sobie z tak nonsensownym pomówieniem.

– Hubert, ty jedź do niej i wszystko wyjaśnij – mówił Patryk. – Zosia twierdzi, że Martyna zakochała się w tobie od pierwszego wejrzenia. A dziewczyny to, wiesz, one sobie wszystko mówią. I Martyna nie może przeżyć, że jesteś gejem.

– Bo, do cholery, ja nim nie jestem! – wykrzyknął oburzony Hubert, aż Patryk podskoczył.

–Jezu, wyluzuj się. Przestraszyłeś mnie! Ale myślała, że jesteś! Co ty taki wolny w myśleniu! Słuchaj, Martyna jest teraz w Zakopanem w pensjonacie „Pod Giewontem”. Jedź tam i wszystko wyjaśnij. Jak cię zobaczy, to na pewno się dogadacie. Aha, nie dzwoń do niej. Dziewczyny uwielbiają niespodzianki. To na nie działa podobnie jak kwiaty. Jak najlepszy afrodyzjak. Jeśli cię wyrzuci, możesz spać u Jerry'ego, co... nie, to znaczy... znajdziesz sobie coś. W Zakopanem nie ma z tym problemu. Zostaw tę Kretę czy inną Ibizę i jedź do Zakopanego. Podrzucę cię na dworzec. Pakuj się.

Hubert chodził jak pijany po pokoju i powtarzał w kółko, że to wszystko nie ma sensu i jak ktokolwiek mógł uwierzyć, że on jest gejem. Do pakowania nie miał głowy. Właściwie to nie wiedział, czy jest bardziej wściekły, oburzony czy zaskoczony. To się w głowie nie mieściło, jak ktoś mógł go nawet przez moment podejrzewać! To obraza! Czyste szkalowanie! Oszczerstwo! Po godzinie Patryk, nie mogąc skłonić przyjaciela do rozsądnego działania, sam go spakował, a potem odwiózł na dworzec, wykupił mu kuszetkę i wsadził do pociągu.

– Masz się z nią spotkać i powiedzieć, że nie jesteś gejem. A potem jej powiedz, że ją kochasz. Zanim pozna tam jakiegoś gacha, który sprzątnie ci ją sprzed nosa. Już raz tak było, nie pamiętasz? – zegnał się z Hubertem,

który stał przy otwartym oknie nocnego pociągu odjeżdżającego do Zakopanego.

Hubert pokiwał tylko z rezygnacją głową. Pociąg ruszył, a Patryk stał na peronie, odprowadzając przyjaciela wzrokiem. Chciał się upewnić, że Hubert nie zrobi nic głupiego, na przykład, nie wyskoczy z pociągu. Ludzie robią różne niemądre rzeczy pod wpływem szoku. Na szczęście z pociągu nie wyskoczył i cały i zdrowy dojechał rano do Zakopanego.

Martyna miała ciężką noc. Zamiast spać, bez końca przypominała sobie te chwile, kiedy siedziała w biurze naprzeciwko Huberta; jego miny, stalowo niebieskie oczy, rzucane mimochodem spojrzenia, uśmiechy. Były to krótkie jak mgnienie oka przebłyski, ale to one składały się na obraz Huberta, jaki pamiętała. Teraz nabrały innego znaczenia. Pamiętała, jak zaciskał wargi tuż przed wybuchem złości i jak kiwał lekko nogą, gdy ktoś go denerwował. No, teraz to dopiero musi być wściekły, pomyślała. Dobrze, że nie ma jej w pobliżu... Z drugiej strony... chciała mu jak najszybciej wszystko wyjaśnić i go przeprosić. Cały wieczór zastanawiała się, czy powinna do niego zadzwonić, ale zdecydowała, że musi przeprosić go osobiście. Wróci z wakacji, emocje trochę opadną, zaprosi go na kolację i wytłumaczy swoją pomyłkę.

Czuła się okropnie. To wszystko było koszmarnie i jednocześnie śmieszne. Najlepiej byłoby cofnąć czas. Ale jak? A pani Gosia, Darek, Paweł, Hanka? O Boże! Musi ich koniecznie wyprowadzić z błędu, i to szybko. Hubert pewnie się obrazi i nie będzie jej mógł darować... Jak potwornie musi się teraz czuć! Powinna była zapytać go wprost, czy jest gejem! Nie byłoby tych wszystkich głupich sytuacji... Przeklinała siebie w duchu, wstawiała, wracała do łóżka, znów wstawiała, chodziła po pokoju i

znów się kładła. Nagle zaczęła się zastanawiać, co Hubert zrobił z tymi designerskimi butami, w których parę razy przyszedł do pracy? Wyrzucił czy schował? A może komuś podarował? Właściwie nie było to ważne, a jednak była strasznie ciekawa. Czas mijał, niewzruszony zegar odmierzał godzinę za godziną, nie przejmując się ciszą nocną, a ona wiła się w pościeli jak piskorz w piekielnej udreće. Zasnęła dopiero nad ranem.

Kiedy się obudziła zobaczyła za oknem niebieskie niebo. Zapowiadał się słoneczny dzień, taki, w którym ma się ochotę pójść wysoko w góry, poczuć w ustach słony smak zmęczenia, usiąść na kamieniu i zachwycić się widokiem. W powietrzu wyczuwało się wiosnę; delikatny zapach tającej na słońcu ziemi, budzącego się do życia poszycia leśnego i nieśmiałyłch jeszcze pąków na drzewach. Martyna wstała, zjadła śniadanie i rozejrzała się po jadalni pełnej staruszków uganiających się za swoimi nieznośnymi wnuczętami. Przy recepcji zatrzymała się przed mapą Tatr. Poranne promienie słońca wpadające do hallu pensjonatu kuśiły, aby pójść na wycieczkę. Na dworze było tak ładnie, że nie przyszło jej do głowy, aby przeczytać wywieszoną prognozę pogody. Marsz dobrze jej zrobi, pomyślała. Będzie miała czas na myślenie, ułoży sobie wszystko w głowie, opracuje jakiś plan i wyciszy gonitwę myśli. Zosia zapowiedziała, że cały dzień będzie zajęta na szkoleniu, nawet wieczorem mieli coś zaplanowane, nie mogła więc liczyć na jej towarzystwo.

Ale gdzie pójść? Patrzyła na mapę i starała się wybrać trasę, wytyczyć sobie cel podróży. Nie znała dobrze Tatr, była tu raz czy dwa z mamą i babcią, ale mało co pamiętała. Giewont był najbardziej znajomą nazwą, jaką znalazła, uznała, że nie jest zbyt daleko od Zakopanego, i postanowiła tam właśnie się wybrać. Będzie miała chociaż czym pochwalić się Hance po

powrocie. Wyszła po dziewiątej rano, akurat gdy do stacji dojeżdżał pociąg Huberta. Dla zasady wpisała się do wyłożonej w recepcji „Książki Wyjść” i powiedziała kelnerce w jadalni, że nie będzie jej na obiedzie.

Hubert dotarł do pensjonatu przed dziesiątą. Przedstawił się jako narzeczony i oznajmił pani recepcjonistce, że przyjechał niezapowiedziany, bo chciał zrobić swojej dziewczynie niespodziankę. Rozpromieniona kobieta uwierzyła mu od razu, bez cienia wątpliwości. Niestety, okazało się, że Martyny nie ma w pokoju i nikt nie wiedział, gdzie może być. Pewnie poszła do jakiejś dolinki na spacer, ale do której? Przypadkowo przy recepcji pojawiła się kelnerka, która oznajmiła, że Martyny nie będzie na obiedzie. Wtedy komuś przyszło w końcu do głowy, aby zajrzeć do „Książki Wyjść”. Kiedy pani recepcjonistka zobaczyła, że Martyna wpisała „Giewont”, przeraziła się nie na żarty.

– Teraz na Giewont? O tej porze leży tam jeszcze śnieg, to niebezpieczne! – zaczęła wykrzykiwać. – I pogoda ma się popsuć! Czy ta pana narzeczona rozumu nie ma – zapytała Huberta zatrwożona. – Zwariowała, zupełnie zwariowała dziewczyna! – powtarzała.

Hubert chciał jej przytaknąć, bo też uważał, że jeśli ktoś myślał, że on jest gejem, to musiał stracić rozum i zupełnie zwariować, pokiwał więc tylko głową. Taka jest i co zrobić.

– Musi pan szybko ją dogonić i zawrócić – mówiła recepcjonistka. – A może się pokłóciliście? – zapytała całkiem serio .

– Bo wie pan ,niektórzy to idą na Giewont ,żeby...

– Czy pani zwariowała – zapytał Hubert, któremu taka myśl przyszła dopiero teraz do głowy. Szybko uznał ją za zupełnie nieprawdopodobną, ale kiedy absurd goni absurd, nagle okazuje się, że wszystko jest możliwe.

– Ja to nie – zmieszała się recepcjonistka – ale ta pana narzeczona... kto wie! Ja tam nie wiem, co między wami zaszło...

– Niech mnie pani nie denerwuje, tylko mi powie, jak dojść na ten Giewont – powiedział mocno już zniecierpliwiony Hubert, próbując ukryć narastające zdenerwowanie.

W hallu zebrało się całkiem spore grono ciekawskich i zaczęła się debata, którądy Martyna mogłaby pójść. Zdecydowano, że wejściem od Polany Strążyskiej, bo ta droga biegła najbliżej pensjonatu. Hubertowi kazano wpisać się do księgi i czym prędzej gonić tę narwaną dziewczynę. Wziął mapę, zarzucił na grzbiet mały plecaczek i ruszył w drogę. Kiedy wyszedł poza drzwi pensjonatu, wyjął komórkę. Koniec z niespodziankami, pomyślał. Nie będzie szedł nie wiadomo gdzie tylko dlatego, żeby zrobić Martynie niespodziankę. Wybrał jej numer i zadzwonił. Niestety, nikt nie odpowiadał. Po chwili usłyszał nagrany komunikat na skrzynce głosowej i wyłączył się. Westchnął głęboko w desperacji. Nie dość, że zwariowała, to jeszcze głucha.

Nie słyszy jak jej komórka dzwoni. Boże w kim on się zakochał. A może nie wzięła komórki? Co miał robić? Ruszył w drogę.

Słoneczny ranek nie trwał długo. Już po godzinie niebo zasnuło się chmurami i zaczął z nich prószyć lekki śnieżek. Hubert mijał małe grupki spacerowiczów, przeważnie emerytów, którzy wybrali się na swoje codzienne przechadzki dla zdrowia. Nigdzie ani śladu Martyny. Przyśpieszył kroku, ale nadal nigdzie jej nie widział. Tak bardzo chciał się znaleźć blisko niej, uspokoić myśli, być pewnym, że jest bezpieczna. *Znów* zadzwonił, ale nie odbierała. Co ta głupia baba w recepcji mówiła?, zaczął się jeszcze raz



zastanawiać. Samobójstwo Martyny było zupełnie niedorzeczne, ale tyle rzeczy wokół niego, które do tej pory wydawały mu się nieprawdopodobne, działało się naprawdę, że stracił jasność myślenia. A może Martyna wpadła w depresję? I naprawdę chce się targnąć na swoje życie. E... niemożliwe. Ale... czy było możliwe, aby ktoś pomyślał o nim, że jest gejem? Nie, też nie było możliwe. A jednak podobno ktoś w to uwierzył. I dlaczego nie odbierała telefonu? Musiała przecież wziąć ze sobą komórkę. To dziś ważniejsze niż... niż rękawiczki.

Ponieważ nic nie mógł wymyślić, jeszcze bardziej przyśpieszył kroku. Dopóki szedł między drzewami, nie zwracał uwagi na pogarszającą się pogodę. Powiewy wiatru były łagodzone przez wysokie świerki i okalające dolinę grzbiety górskie. W marcu jak w garncu – mówi przysłowie, i to jest prawda. Zresztą pogoda w górach potrafi się zmienić bardzo szybko, o każdej porze roku. Kiedy Hubert dotarł na otwartą przestrzeń Polany Strażyskiej, w twarz uderzył go porywisty wiatr niosący malutkie kawałeczki zmrożonego śniegu. Poczuł, że policzki bombardują mu kłujące igielki lodowych płatków. Wciskały się do ozu mroziły nos wpadały w rękawy kurki. Nagle naokoło zrobiło się zupełnie białe, jakby ktoś sypnął mąką. Mocniej naciągnął czapkę i owinął szyję szalikiem. Przedzierał się przez spowitą białą zadymką polanę. Ledwo dojrzał drewniane chaty, gdzie w pogodne dni sprzedają pyszny piernik i szarlotkę. Teraz były zamknięte na kłódkę. Postawił kołnierz kurtki i zaklął. Diabeł nasłał taką pogodę, to pewne. Martyna na pewno zawróciła, pomyślał. Tylko dlaczego nigdzie jej nie widać?

Ogarniało go coraz większe zdenerwowanie, bo wiatr się nasilał, targał świerkami, wył w wyłomach skalnych, a Martyny ani śladu. Droga była



śliska, pokryta cienką warstwą świeżego śniegu, którego kulki jak małe piłeczki odbijały się od podłoża. Zmrożone płatki przylepiały się do kurtki, czapki i szalika i Hubert wyglądał jak bałwan. Twarz mu powoli zamarzała, ręce grabiwały i czuł przejmujące zimno w palcach u nóg. Ale w ogóle o tym nie myślał. Z trudem odnalazł ścieżkę prowadzącą na Giewont. Szlak był wąski, nieprzetarty, ale na śniegu widoczne były ślady butów. Po dziesięciu zaledwie minutach dogonił krzepkiego emeryta, który właśnie zawracał i jemu radził zrobić to samo.

Ale gdzie była Martyna? Serce zabiło mu mocniej. Musiała pójść w ogóle w jakieś inne miejsce. Cholera! Znów wyjął komórkę i zadzwonił. Nie odbierała, po chwili więc ponowił próbę. A potem spróbował jeszcze raz. Kiedy wreszcie się odezwała, wrzasnął zdenerwowany: – Martyna! Gdzie ty, do cholery, jesteś?

W słuchawce słyszał poświstywanie wiatru i mało co więcej. Martyna musiała przekrzykiwać szum, aby coś rozumiał.

– Hubert! A to ty, ja jestem w Zakopanem. Strasznie źle cię słyszę, bo tu wieje. Ja cię rozumiem... naprawdę... możesz być wściekły. No... masz prawo... nie wiem, co powiedzieć. Głupio wyszło. Naprawdę rozumiem, że jesteś... no, wiesz, wściekły! Jak się spotkamy to ci wszystko wyjaśnię. Naprawdę bardzo przepraszam.

– Gdzie jesteś?! – jeszcze raz krzyknął.

– No, mówiłam, w Zakopanem.

– Gdzie w Zakopanem?

– Aktualnie to jestem w górach. Ale pogoda się popsuła.

– A gdzie konkretnie w tych górach?

– Niedaleko Giewontu. Ale źle cię słyszę. U ciebie też tak wieje? A gdzie ty w ogóle jesteś?

– W krzakach.

– Co?! W krzakach? W Warszawie? Koło biura? A co ty tam robisz?

– Chciałem powiedzieć w kosówce.

– W jakiej znowu kosówce?

– Szukam cię na Giewoncie. Wpisałaś do „Książki Wyjść”, że idziesz na Giewont.

– Zwariowałeś?! Poszedłeś na Giewont w taką pogodę! To niebezpieczne! Jeszcze lawina zejdzie albo co.

– Faktycznie, zwariowałem, już dawno. I to z zupełnie innego powodu. Na twoim punkcie. Możesz mi, do cholery ciężkiej, w końcu powiedzieć, gdzie jesteś?

– Jestem na szlaku odchodzącym od Polany Strażyskiej, który prowadzi na Sarnią Skalkę. Za tymi drewnianymi chałupami w lewo. Ale już wracam, bo pogoda straszna. Ale czy ty jesteś naprawdę tutaj???

Kiedy wreszcie się spotkali, Hubert wziął Martynę w objęcia, popatrzył jej w oczy, a potem bez pytania długo ją całował, nie zwracając uwagi na śnieg, wiatr ani zawieruchę coraz bardziej szalejącą naokoło nich. Gdy przestał, powiedział:

– Powiedz mi, że mnie kochasz .

– Powiem... – odparła z rozmarzeniem w oczach.

– Więc?

– Kocham cię w słońcu. I przy blasku świec. Kocham cię w kapeluszu i w berecie. W wielkim wietrze na szosie, i na koncercie.

– A w śnieżycę?

– W śnieżycę też. Ale to wiesz, wariacie! Tam nie ma nic o śnieżycy!

– Teraz już jest. Aha... ja nie jestem gejem. Na pewno. I w... w tym pensjonacie, gdzie mieszkasz, przedstawiłem się jako twój narzeczony. Więc jeśli nie chcesz, abym kłamał, musisz pozytywnie odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy zostaniesz moją żoną?

TTLR

## Rozdział 27

*Wszystko się wyjaśnia*

Parę tygodni później w piękny czerwcowy dzień odbył się ślub Martyny i Huberta. Ale zanim historia dobiegnie końca, parę słów wyjaśnienia.

Przed ślubem Hubert znalazł wiersz Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego *Rozmowa Liryczna* i zauważył, że pierwszy wers brzmi: „Powiedz mi, jak mnie kochasz”, a nie „Powiedz mi, że mnie kochasz”. Został za to obrzucony chmurnym spojrzeniem i dowiedział się, że jak zwykle czepia się szczegółów.

Martyna wyjawiała, że o wolnej posadzie w Metaleksie dowiedziała się, bo zadzwoniła do niej pani Marta, która miała jej numer telefonu z uczelni. Była oburzona, że Hubert podejrzewał ją o używanie protekcji.

Hubert udawał, że jest rozczarowany; mówił, że liczył na szybszy awans, dzięki koneksjom Martyny, ale w głębi serca był zadowolony.

Pani Marta z kamienną twarzą potwierdziła wersję Martyny i powiedziała, że dziewczynę poleciła uczelnia i tylko dlatego ją przyjęto.

Dyrektor Bączek prosił, aby go nie mieszać w żadne intrygi.

Babcia była wniebowzięta, bo Hubert od razu jej się spodobał.

Mama płakała ze szczęścia.

Pan Rysio skomentował; "Wreszcie będę miał z kim pogadać o giełdzie".

Pani Gosia przyszła ze swoim trzecim mężem. Nareszcie miała okazję go przedstawić.

Darek i Paweł odetchnęli z głęboką ulgą, kiedy się dowiedzieli, że Hubert nie jest gejem.

Hanka przyszła z nowym kandydatem na męża. Postanowiła, że nie będzie go zmieniać na lepsze i udzielać mu dobrych rad. Z wyjątkiem tej, gdzie ma zaparkować.

Marzenka na ślubie pokazywała wszystkim zdjęcia swoich dzieci.

Zosia była druhną i sama szykowała się do ślubu. Przyszła z Grześkiem.

Patryk był drużbą. Przyszedł z Jerrym.

Sandra była z Robertem, już po ślubie, wyznała Martynie, że jest w ciąży.

Mamie Huberta wydawało się, że skądś zna panią Ninę. Pani Nina powiedziała, że zupełnie sobie nie przypomina.

Hubertowi spodobała się komoda babci i chciał, aby postawić ją u nich w sypialni. Martyna nie zamierzała się zgodzić i wybuchła o to niezłą kłótnią. Niech czytelnik sam się domyśli, kto ją wygrał.

Niestety żadna agencja reklamowa nie zdecydowała się na kupno zdjęć Martyny, czym dziewczyna wcale się nie zmartwiła.

Pani Nina... no właśnie... A co ona ma wspólnego z całą tą historią? Jeszcze nie wiecie? Ach... to już mało poetyckie szczegóły.

To pani Nina dowiedziała się na spotkaniu brydżowym, że Martyna szuka pracy. Wiedziała, że w dziale Huberta jest wolny etat. Od pani Tereski, która przyjaźniła się z mamą, którą znała jeszcze z dawnych czasów, dostała datę urodzenia Huberta. Wyliczyła dla tych dwojga horoskop i stwierdziła, że stanowiliby bardzo dopasowaną parę. Wtedy przypomniała sobie, co mówiły jej karty po czerwcowym przyjęciu, na

którym poznała Huberta. I domyśliła się, że jej zadanie polegało na ułatwieniu im spotkania. To ona powiedziała pani Marcie, że córka jej znajomej szuka pracy i jest bardzo zdolna, i namówiła ją do zaproszenia Marty na rozmowę kwalifikacyjną. Ustaliły, że pani Marta powie, że dowiedziała się o niej z uczelni. Resztę już znacie...

Czy można powiedzieć, że pani Nina połączyła Martynę i Huberta? Och, nie! Co za bzdura! Horoskop? Karty? Też nie! Połączyła ich miłość, bo tylko ona jest zdolna trwale związać dwoje ludzi.

PS. Dyrektor Kowalski nigdy nie dowiedział się o matactwach swojej żony.

PS2. Jedyna prawdziwa historia w tej książce, to ta z akcjami pewnej spółki energetycznej, które kupił pan Rysio. Faktycznie, banki udzielały kredytów na zakup jej akcji aż do tysiąca procent własnego wkładu. Inwestorzy nie wyszli na tym zbyt dobrze, bo prowizje pobierane przez banki w zasadzie zjadły cały zysk. Ale jeśli ktoś sprzedał pierwszego dnia, kiedy cena osiągnęła 26 złotych, dobrze wyszedł na tej transakcji. Tak jak pan Rysio.